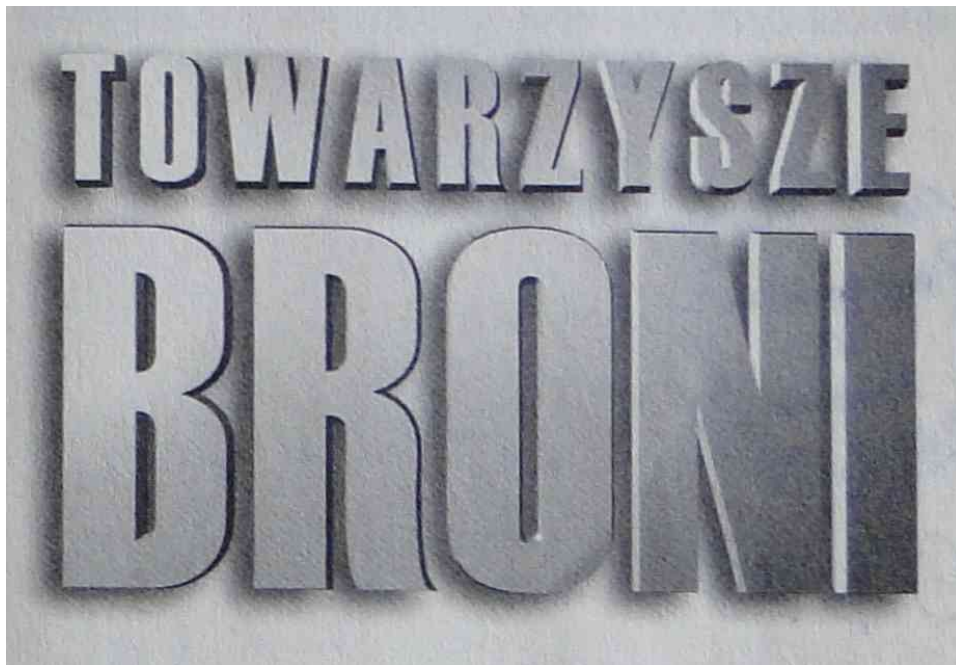


Marcus Wynne



Przekład Maciej Szymański

REBIS
DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2005

Książkę tę dedykuję mężczyznom i kobietom ze służb specjalnych Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza tym, którzy polegli w Afganistanie i Iraku.

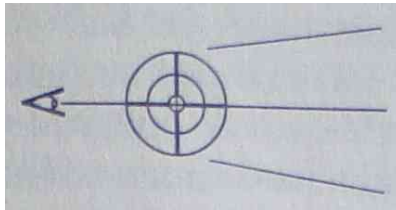
Podziękowania

Pragnę podziękować, jak zawsze, mojemu agentowi literackiemu, Ethanowi Ellenbergowi, agentowi do spraw sprzedaży praw za granicę, Danny'emu Barorowi, oraz moim agentom filmowym, Kevinowi Cleary'emu i Joshowi Morrisowi. Specjalne podziękowania należą się mojej niezrównanej specjalistce do spraw reklamy, Elenie Stokes, jej asystentce Jennifer „Buttercup” Hunt oraz Jennifer Marcus, Brianowi Callaghanowi, Tomowi Doherty'emu, Lindzie Quinton oraz Kathy Fogarty.

W chwili, gdy piszę te słowa, wojna w Iraku trwa. Choć jej wynik nie budzi wątpliwości, zapewne wiele związanych z nią szczegółów, o których wspominam, ulegnie zmianie, nim książka trafi do druku. Do ostatniej chwili dokonywałem zmian w treści, by odtworzyć najbardziej prawdopodobny przebieg wydarzeń. W terminologii wojskowej istnieje skrót OBE (*overtaken by events*) oznaczający „wyprzedzony przez bieg wydarzeń”. Właśnie to przytrafiło się tej książce.

Niech Bóg ma w opiece naszych żołnierzy. Udanych łowów.

CZEŚĆ PIERWSZA



DZIELNICA LINDEN HILLS, MINNEAPOLIS, MINNESOTA

Gdy samochód z ekipą ochroniarzy zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, Dale Miller pomyślał o balerynie, z którą kiedyś się spotykał. Nie przeszkadzało jej to, że nie mógł opowiadać o swojej pracy. Podobał jej się klimat intrygi i ryzyka, który wzbogacał seksualne doznania. Dale uczył ją strzelania i walki wręcz, a ona wprowadzała go w tajniki baletu, tłumacząc znaczenie artystycznej wizji oraz tego, jak każdy element tańca ją odzwierciedla. Niedługo potem, gdy w ramach pracy zawodowej zaznajamiał się ze sztuką ochrony VIP-ów, przekonał się - ku swemu zaskoczeniu - że lekcje baleriny przygotowały go do zawilej choreografii ruchów, które wykonuje ekipa pilnująca swego pryncypała.

Dlatego też w ten piękny, letni poranek, siedząc wygodnie w ocienionym przez korony drzew ogródku ulubionej kawiarni w Minneapolis, Dale Miller umiał docenić skomplikowane manewry zespołu ochroniarzy zajmujących pozycje po przeciwnej stronie ulicy. Beżowy, czterodrzwiowy sedan marki Ford zatrzymał się przed galerią sztuki i wypuścił czterech barczystych typów w biznesowych garniturach, z rozpiętymi marynarkami. Jeden z nich natychmiast zniknął za drzwiami budynku, pozostali zaś zajęli pozycje na ulicy, całkowicie ignorując samochody, które zwalniały, by ich pasażerowie mogli przyjrzeć się temu, co się dzieje. Kierowca sedana przestawił wóz nieco dalej, by kilka sekund później na jego miejscu, pomiędzy trzema ochroniarzami, mogło stanąć czarne bmw. Ten, który wyszedł na ulicę, zasłonił własnym ciałem okno pasażera od strony kierowcy, podczas gdy dwaj pozostali obstawili drzwi z przeciwnej strony oraz tylną szybę.

Przednie prawe drzwi bmw uchyliły się i z wozu wysiadł szczupły mężczyzna o aparycji charta, w drogim, czarnym garniturze. Zbliżył się do drzwi pasażera i przystanął z dłonią na klamce, rozglądając się z wielką uwagą. Zlustrował najpierw najbliższe otoczenie, potem popatrzył dalej, w lewo, w prawo, i wreszcie skierował twarde spojrzenie w okna budynków w sąsiedztwie sklepu. Wreszcie obejrzał się przez ramię na pierwszego ochroniarza, który stojąc w drzwiach galerii, uniósł prawy kciuk. Dopiero wtedy szczupły elegant otworzył tylne drzwi samochodu.

Z wozu wysiadł niski i pulchny facet o ciemnej karnacji, ubrany w wygnieciony garniturek obficie posypany łupieżem, widocznym nawet z przeciwległej strony ulicy. Zaczepił czubkiem buta o próg i omal nie runął jak długi na chodnik. Chudy dowódca zespołu ochroniarzy złapał swego klienta w locie i przywrócił do pionu. Gruby stanął niepewnie, a tymczasem pozostali otoczyli go ciasnym kordonem, zabezpieczając przed niepożądanymi spotkaniami - i ewentualnym postrzałem. Facet w wymiętym garniturze spuścił głowę, jakby krępowała go ta opiekuńczość, a potem spojrzął na ochroniarzy i ich dowódcę. Dopiero gdy ten ostatni skinął głową, pulchny ruszył w stronę galerii, wciąż otoczony ruchomym pierścieniem dorodnych goryli. Gdy weszli do środka, dwaj opiekunowie odłączyli się od grupy i stanęli na warcie przy drzwiach.

- Co tam się dzieje? - odezwała się ciemnowłosa kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku, ubrana w T-shirt i szorty od Calvina Kleina.

- Pojęcia nie mam - skłamał Dale z wieloletnią wprawą. - Zdaje się, że ktoś bardzo ważny wszedł do galerii.

- Ale żeby dwoma samochodami z ochroną... - dodała z niesmakiem kobieta. - Ktoś powinien mu powiedzieć, że to szczyt bezguścia.

Dale roześmiał się.

- To tylko obnoszenie się z bogactwem.

Przyglądając się pracy ochroniarzy, pociągnął łyk kawy z mlekiem. Byli dobrze wyćwiczeni i pewni siebie, ale bez wątplenia nie służyli w policji. W postawie gliniarzy było coś, co zawsze ich wyróżniało. Nawet w cywilnych ubraniach wyglądali tak, jakby mieli na sobie mundury i pasy obwieszane wyposażeniem i bronią. Ci, których Dale miał przed sobą, musieli pracować albo dla bardzo dobrej prywatnej firmy ochroniarskiej, albo dla FBI. Ale kto miałby odwiedzać galerię sztuki w asyście całej ekipy goryli? W Twin Cities, Bliźniaczych Miastach, jak nazywano Minneapolis i Saint Paul, nie brakowało zamożnych ludzi, których z pewnością byłoby stać na taką ekstrawagancję. Z drugiej jednak strony, Dale wielokrotnie przeprowadzał ocenę ryzyka w tej okolicy i wiedział, że tak wysoki poziom ochrony nie był niczym uzasadniony. Niewykluczone, że przybyszem był dyplomata lub zagraniczny biznesmen, przyzwyczajony do takich środków ostrożności.

Dale odstawił filiżankę i zmienił pozycję na metalowym krześle, uważając, by nie stuknąć o podłokietnik pistoletem, który ukrywał pod luźną koszulą w hawajskie wzory.

Na chodniku przed ogródkiem kawiarni zebrała się już mała grupka gapiów, którzy skutecznie zasłonili mu widok na drugą stronę ulicy. Dale przestawił krzesło najpierw w jedną stronę, potem w drugą, aż wreszcie wrócił na swoje miejsce, zadowolając się krótkimi chwilami, w których za plecami gapiów dostrzegał wartowników o kamiennych twarzach.

Mężczyzna w wieku studenckim, ubrany w bezrękawnik i krótkie spodnie, odezwał się do swego kumpla:

- Może skoczysz na drugą stronę i zapytasz, kto jest w galerii?

- Jeszcze czego - parsknął tamten i obaj roześmiali się głupkowato.

Tłumek rozproszył się nieco, gdy przy krawężniku zatrzymał się motorower. Przyjechały na nim dwie młode kobiety. Obie były blondynkami i miały na sobie

krótkie, letnie sukienki, których skraje dla przyzwoitości na czas jazdy przycisnęły udami. Każda z nich miała na plecach torbę kurierską marki Patagonia.

- Co się dzieje? - spytała ta, która siedziała za kierownicą.

Miała cudowne, niebieskie oczy i krótką fryzurę, dobrze dobraną do dość małej głowy. Zielone oczy zaś błyszczały w pociągłej, wyrazistej twarzy pasażerki. Jej długie włosy związane były w koński ogon.

Młody mężczyzna w bezrękawniku szturchnął kumpla łokciem.

- Ktoś ważny robi zakupy w galerii - odpowiedział. - To jego ochroniarze.

- Ale kto? - indagowała krótkowłosa.

- Nie wiemy. Może podejdziecie do tych gości i zapytacie?

- A co, wy się boicie? - spytała dziewczyna za kierownicą. Mówiła z lekkim akcentem. - Zapytać nie zaszkodzi. Może dostaniemy autograf?

Jej koleżanka wybuchnęła głębokim, nieco gardłowym śmiechem, kontrastującym z jej młodym wyglądem.

- Chodź, przekonamy się, kogo tak pilnują - odpowiedziała.

Dwaj studenci spojrzeli po sobie i wymienili uśmiechy, by po chwili ruszyć na drugą stronę ulicy, w ślad za motorowerem, który zawrócił szerokim łukiem. Grupka gapiów podążyła ich tropem. Gdy odeszli, Dale znowu mógł podziwiać pracę ochroniarzy. Stłumił śmiech, widząc miny dwóch goryli pilnujących drzwi, którzy z niepokojem przyglądali się nadchodzącej gromadzie ciekawskich, prowadzonej przez dwie blondyny na motorku. Ochroniarze za kierownicami obu wozów stojących na jałowym biegu raz po raz zerkali w lusterka wsteczne, starając się na wszelki wypadek śledzić poczynania gapiów.

Na przeciwnym chodniku także pojawiły się grupki obserwatorów. Jednym z nich był rosły, jasnowłosy mężczyzna o poranej głębokimi bruzdami twarzy, ubrany w dżinsową koszulę spuszczoną luźno na sprane lewisy. Stał z kubkiem kawy w dłoni i obserwował ludzi zbierających się wokół wejścia do galerii. Było w nim coś, co przykuło uwagę Dale'a. Być może była to pozycja, którą blondyn zajął na chodniku - z miejsca, w którym stał, mógł obserwować pracę całego zespołu ochroniarzy. Spoglądał na nich tak, jak trener patrzy na swoich zawodników. Czujność Millera została nagrodzona już po chwili, gdy nieznajomy zmienił pozycję i na krótką chwilę materiał jego koszuli wybrzuszył się nienaturalnie kilka centymetrów za biodrem.

Jasnowłosy był uzbrojony w pistolet, podobnie jak Dale.

Miller odstawił filiżankę z kawą i przesunął ją na środek stolika, po czym nieznacznie odsunął się z krzeselkiem. Na krótką chwilę przechodzień zasłonił mu widok, lecz zaraz ponownie mógł się skupić na obserwowaniu nieznajomego. Było w nim jakieś napięcie, ale sugerujące raczej koncentrację na zdarzeniach rozgrywających się przed drzwiami galerii niż gotowość do użycia przemocy. Dale miał doświadczenie w wychwytywaniu takich detali. Nieznajomy zdecydowanie nie wyglądał na policjanta po służbie.

Zatem kim był i co tu robił?

Nieco dalej, na szczycie wzgórza, gdzie Czterdziesta Czwarta Ulica krzyżowała się z Upton Avenue, mieścił się kościół unitarian. Na parking przed świątynią zajechała

niespiesznie furgonetka z napisem „AAA - Usługi Hydrauliczne”. Z tego stanowiska postojowego można było obserwować nie tylko wejście do galerii, ale i spory kawałek ulicy - i właśnie dlatego kierowca furgonetki czekał, aż zwolni się to miejsce. W ciasnym wnętrzu wozu, wypełnionym skomplikowaną aparaturą podsłuchową, z trudem mieścili się dwaj mężczyźni siedzący udo przy udzie. Mieli przed sobą zestaw małych ekranów wideo, otaczających jeden większy, na którym oglądali cyrk rozgrywający się przed drzwiami galerii.

- Niezły burdel - zauważył pierwszy. Miał nieco ponad trzydzieści lat i mocno umięśnione ciało wciśnięte w kombinezon z logo „AAA - Hydraulika” na plecach.

Jego towarzysz był starszy. Miał siwiejące, krótkie włosy i szczupłe ciało długodystansowca.

- To dobra lekcja. Goście powinni byli działać dyskretniej... Spójrz tylko, jakie zamieszanie wywołali.

- Fakt - przyznał pierwszy.

Nazywał się Robert Sanders i wraz ze swym partnerem, Marcusem Williamsem, pracował jako specjalista od podsłuchu i obserwacji w bardzo tajnej rządowej jednostce operacyjnej zwanej Dominance Rain. - Lepiej by zrobili, gdyby podjechali jednym wozem.

- Choć z drugiej strony... zagrożenie jest duże.

- Trudniej namierzyć i śledzić dwa wozy.

- Też prawda - zgodził się Williams. - W sumie nie są źli. Dobrze się ruszają.

- Dobre ruchy się nie liczą, kiedy robisz wokół siebie taki cyrk.

Williams wzruszył wąskimi ramionami.

- Może nie mieli wyboru? Facet lubi się pokazać z całym dworem.

- Widziałeś nogi tych ślicznotek na motorowerze?

Starszy uśmiechnął się chytrze.

- Nie zwracam uwagi na takie rzeczy, kiedy pracuję. O jakich dziewczynach mówisz?

- Akurat uwierzę, że nie zauważyłeś - odparł Sanders. - Pozwól, że odświeżę ci pamięć, staruszk.

Pokręcił gałką na pulpicie, drugą ręką manipulując małym drążkiem. Teleskopowy obiektyw, ukryty w wylocie wentylatora, skierował się ku jasnowłosym dziewczynom, robiąc zbliżenie. Wciąż siedziały na motorowerze, obserwując drzwi budynku wraz z resztą ciekawskich.

- Nie najgorsze, co? - rzucił Sanders.

- Nie najgorsze. Tylko że zajeżdżyłyby na śmierć takiego młodzika jak ty. Takim potrzeba sprawdzonej wytrzymałości starszego faceta.

Sanders parsknął z cicha i wierzchem dłoni otarł z czoła krople potu. Po chwili przestawił obiektyw w poprzednie położenie, tak by móc śledzić cały tłum gapiów.

- Ludzie będą o tym gadać przez tydzień - powiedział.

Williams skinął głową.

- Widzisz potencjalnego kandydata?

- Nie... A ty?

- Może ten w luźnej, roboczej koszuli? Tam, po tej samej stronie ulicy, gdzie te twoje blondyneczki.

- Widzę. Dlaczego on?

- Wszyscy inni podeszli całkiem blisko albo zatrzymali się w chwili, gdy zauważyli zbiegowisko, i tam już zostali. On jeden pofatygował się w takie miejsce, z którego może obserwować całą sytuację.

- Sądzisz, że to zabójca?

- Zrób zbliżenie twarzy, przepuścimy jego portret przez bazę danych. Tak na wszelki wypadek. Wygląda odpowiednio.

- Jasne. - Młodszy operator zrobił zbliżenie pobrużdżonej twarzy mężczyzny w roboczej koszuli i nacisnął klawisz. Obraz na monitorze zamarł na krótką chwilę i zaraz ożył. - przepuścić od razu?

- Nie, pilnuj tłumy. Zdjęcie daj na mój monitor, ja się nim zajmę.

Sanders wcisnął jeszcze kilka klawiszy i portret nieznanego pojawił się na małym ekranie tuż przed Williamsem. Agent przebiegł palcami po panelu dotykowym. Na wyświetlaczu ukazało się menu. Wybrał opcję i znieruchomiał, czekając, aż dobiegnie końca odliczanie procentowe na wskaźniku przebiegu operacji. Program komputerowy przeszukiwał bazę danych, próbując dopasować świeże zdjęcie do podobizn wszystkich terrorystów, przestępców i innych osób, którymi interesowały się amerykańskie agencje wywiadowcze. Jeżeli była wśród nich ta jedna, system powinien dokonać identyfikacji i wyświetlić dane podejrzanego. Po kilku sekundach wskaźnik procentowy zniknął, a w polu wiadomości ukazał się komunikat: „prawdopodobna identyfikacja”.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy? - mruknął Williams.

Stuknął palcem w panel i pod zdjęciem otworzyło się okienko z wyraźnym, oficjalnym portretem mężczyzny oraz notatką na jego temat.

- To Charles Payne, były pracownik Wydziału Operacji Specjalnych CIA, następnie operator SAS, Sztabu Akcji Specjalnych... Zabójca. Jaki mały ten świat. Co on tu, u diabła, robi?

- Jest aktywny? - zainteresował się Sanders.

- Nie - odparł Williams. - Piszą, że zrezygnował i od tamtej pory nie szukał kontaktu z Agencją. Pracuje jako kontraktowy fotograf dla miejscowej policji.

- Sądzisz, że jest uzbrojony?

- Wątpię. Po co fotografowi pistolet?

- Facet był w SAS. Naprawdę myślisz, że nie nosi gnata?

- Hmm - mruknął Williams. - Nosiłby, gdyby potrzebował, ale teraz nie potrzebuje.

- Będę go miał na oku.

- Dobry pomysł - przytaknął Williams. - Właśnie tak zrobimy.

Charley Payne czuł, że rzuca się w oczy. Wmawiał sobie, że jest tylko jednym z wielu gapiów. Zawodowa ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem, gdy zobaczył grupę ochroniarzy zajmujących pozycje. Z pewnością, jaką dały mu lata pracy, wybrał najlepszy punkt obserwacyjny. Wprawdzie miał za sobą kurs ochrony w Secret Service

oraz intensywne szkolenie w CIA, jednak ochrona osobista była dziedziną, w której miał stosunkowo niewielkie doświadczenie. To dlatego był ciekaw pracy zespołu, który miał przed sobą. Zespołu, któremu z pewnością udało się zwrócić na siebie uwagę.

Podobnie jak jemu.

W ogródku kawiarni Sebastiana Joego po przeciwnej stronie ulicy dostrzegł atletycznie zbudowanego mężczyznę w dużych okularach przeciwsłonecznych, zasłaniających niemal pół twarzy. Gość był wyczulony na to, co się wokół dzieje, i podczas gdy wszyscy inni obserwowali ochroniarzy, on obserwował Charleya. Czyżby był jednym z członków ochrony? Wprowadzenie w tłum kilku ludzi w nie rzucających się w oczy ubraniach byłoby niezłym zabezpieczeniem. Takie rozwiązanie wydawało się jednak mało prawdopodobne. Gdyby tak było, zapewne cała operacja miałaby znacznie dyskretniejszy charakter.

Charley uśmiechnął się na myśl o tym, jak zaczyna ponosić go wyobraźnia. Facet po drugiej stronie ulicy wyglądał na fachowca, ale był zapewne tylko policjantem po godzinach albo był zawodowo związany z branżą ochroniarską. Charley miał wrażenie, że sam siebie próbuje przechytryć, przecież karierę agenta miał już za sobą. Jedynym powodem, dla którego zachował cywilne pozwolenie na broń, było to, że.., Właściwie nie wiedział, dlaczego je zachował. Po prostu miał wrażenie, że skoro nosił broń przez niemal całe dorosłe życie, czułby się bez niej nienaturalnie. Odruchowo musnął łokciem kolbę pistoletu ukrytego pod luźną koszulą.

Podziwiał dwie długonogie blondyny na motorowerze. Roześmiane, dobrze się bawiły, gawędząc z ciekawskimi, trąbiąc klaksonem i próbując zagadywać dwóch ochroniarzy pilnujących wejścia do galerii.

- Kto jest w środku? - zawołała krótkowłosa. - Może chociaż podpowiedz?

- Hej, przystojniaku - zagadnęła ta z końskim ogonem. - Jeśli nam powiesz, pokażę ci coś ładnego.

Po twarzach ochroniarzy przemknęły uśmiechy.

- Ooo, chyba chcą, żeby im pokazać coś ładnego! - skomentowała krótkowłosa. - Patrzcie, już wychodzą!

Znajdujący cię na zewnątrz stanęli w gotowości, gdy drzwi się otworzyły i pojawił się w nich ochroniarz trzymający w rękach oprawiony obraz owinięty w papier. Tuż za nim wyszedł pulchny pryncypał i pozostali goryle, którzy zaraz otoczyli go kordonem, by jak najszybciej przeprowadzić przez chodnik. Gruby zawahał się jednak i miętosząc klapę marynarki, spojrzał na ludzi, którzy zebrali się, by na niego popatrzeć.

- Kto to jest? - zawołał ktoś z tłumu.

Charley patrzył, jak dwie blondyny zaciskają nogi na siodle motoroweru, by go ustabilizować, i jakby w zwolnionym tempie wysuwają z identycznych toreb kurierskich pistolety maszynowe. Natychmiast rozpoznał czeskie skorpiony z tłumikami i metalowymi kolbami. Dziewczyny przycisnęły broń do ramion z wprawą, którą daje tylko wieloletnia praktyka, a następnie pewnie nacisnęły spusty, posyłając po krótkiej serii w stronę ochroniarzy. Po trzy pociski wbiły się w grzbiety nosów goryli idących po bokach i trafiły w mózgi, powodując śmierć na miejscu.

Lufy płynnym ruchem skierowały się ku nowym celom. Kobiety w pełni wykorzystały element zaskoczenia, gdy na sekundy wszyscy zamarli w bezruchu. Wystarczyło im czasu, by położyć kolejnych dwóch ochroniarzy strzałami w głowę, zdecydowanie powyżej kamizelek kuloodpornych, które nosili pod eleganckimi garniturami. Czterech nie żyło, pozostało więc jeszcze dwóch oraz kierowcy, którzy nie słyszeli wystrzałów i niewiele widzieli, odcięci kordonem gapiów. Obaj wysiedli jednak z samochodów; świadomi tylko tego, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Najtwardszym zawodnikiem okazał się dowódca zespołu. Skoczył i zasłonił sobą pryncypała, jednocześnie wyszarpując z kabury pistolet. Zdażył wystrzelić ponad idącym na szpicy, gdy ten rzucił obraz i daremnie sięgnął po broń, bo w tej samej sekundzie dostał serię w twarz z niewielkiej odległości. Krótka ostrzyżona blondynka wzdrygnęła się, gdy krople krwi prysnęły jej na twarz. Jej długowłosa partnerka nawet nie mrugnęła, gdy kule z browninga HP dowódcy niemal musnęły jej twarz. Spokojnie wycelowwała i wpakowała krótką serię w miednicę szefa ochrony, poniżej kamizelki, a następnie dobiła go strzałem w głowę.

Nadszedł czas na rozprawę z kierowcami, którzy niepewnie wymachiwali pistoletami, daremnie usiłując namierzyć cel poprzez ogarnięty paniką tłum gapiów. Strzały dowódcy były sygnałem, że sytuacja jest fatalna. I rzeczywiście była, zwłaszcza że blondynki nie miały skrupułów i bez wahania posłały kule w tłum, by trafić obu kierowców, przy okazji trafiając młodą kobietę w elastycznym topie i szortach. Tymczasem pulchny pryncypał stał bezradnie pośród ciał swych obrońców, samotny, smutny i jakby nagi, z rezygnacją spoglądając w oczy zabójczyń.

Jedna z nich strzeliła mu w głowę, druga w biodro. Upadł na ziemię. Szybko zmieniły magazynki w pistoletach maszynowych i zaczęły faszerować ołowiem czaszkę leżącego. Przestały, gdy mózg rozprysnął się na wszystkie strony, a zęby zaklekotały na płytach chodnika.

Nagły bezruch, który teraz nastąpił, był typowym zjawiskiem na polu walki - gdy cichną strzały, żołnierze po obu stronach nasłuchują i obserwują, próbując odgadnąć, jak zmieniła się sytuacja.

Porcelana z trzaskiem rozpadła się na kawałki, gdy Charley upuścił kubek na chodnik i wyciągnął spod koszuli glocka .45.

Po drugiej stronie ulicy Dale Miller kopniakiem odrzucił stolik i poderwał się z krzeselka, dobywając browninga model High Power.

- Marcus! - zawołał Sanders w furgonetce zaparkowanej na wzgórzu. - Wszyscy dostali!

- Zostań! - odkrzyknął Williams. - Nie wchodzimy! Nie wchodzimy!

- One uciekną!

- Dopilnuj tylko, żebyśmy mieli dobry materiał na taśmie. To nasze zadanie, pamiętaj o tym.

Dłonie Williamsa zatańczyły po konsolcie, kierując obiektywem tak, by uzyskać zbliżenie zabójczyń.

Krótko ostrzyżona blondynka wsunęła dymiący pistolet maszynowy do otwartej torby, oparła ręce na kierownicy motoroweru, mocno odepchnęła się nogami i dodała gazu. Jej partnerka, wciąż z bronią w ręku, dołączyła do niej. Charley już pędził w ich stronę, trzymając pistolet w wyciągniętych rękach. Przebił się przez tłum niczym amerykański futbolista i gdy tylko znalazł się na czystej pozycji, oddał strzał w plecy długowłosej blondynki.

Ta przygarbiła się nagle i obejrzała przez ramię, a potem uniosła skorpioną i jedną ręką posłała krótką serię w kierunku Charleya, zmuszając go do uniku i szukania schronienia za węglem budynku.

Dale przeskoczył nad niskim kwietnikiem oddzielającym ogródek od chodnika i przykucnął za samochodem zaparkowanym dokładnie naprzeciwko kawiarni. Karoseria była niezłą osłoną i dobrym punktem podparcia dla broni. Kątem oka zobaczył mężczyznę, którego wcześniej obserwował, a który teraz oddał strzał w kierunku uciekających zabójczyń i dał nura za róg budynku. Każdy jego ruch zdradzał zawodowca.

Miller nie wiedział, kim jest ów człowiek, ale wystarczyła mu pewność, że tego dnia gra po stronie aniołów. Wymierzył starannie i strzelił za oddalającym się motorowerem, tylko raz, zanim uciekający przechodnie zasłonili mu cel. Przemieścił się szybko wzdłuż bagażnika samochodu, licząc na lepsze miejsce do ostrzału, ale zanim je znalazł, motorower był już daleko. Po drugiej stronie ulicy nieznajomy mężczyzna wyszedł zza węgła i wycelował broń w uciekające kobiety.

Charley miał długowłosą blondynkę na celowniku tylko przez ułamek sekundy, bo na linii strzału pojawił się przechodzień. Niedobrze, pomyślał. Zabójczynie zniknęły już za rogiem. Słyszał tylko warkot silnika przyspieszającego motoroweru. Profesjonalistki - a po tym, co zobaczył przed chwilą, nie miał wątpliwości, że właśnie z takimi ma do czynienia - z pewnością przygotowały sobie inny pojazd, którym ruszą w dalszą drogę. Wiedział, że za parę chwil znikną bez śladu, a tymczasem policyjne syreny nawet się nie odezwały. Włożył pistolet do kabury i wyjął telefon komórkowy, by zgłosić zajście. Spojrzał na drugą stronę i spostrzegł mężczyznę w wielkich okularach przeciwsłonecznych, który również schował pistolet i ruszył w jego kierunku.

Rozmawiając krótko z dyspozytorem, Charley przyglądał się nadchodzącemu. Usłyszał, że wiele osób zgłosiło już strzelaninę, i w tym momencie, jakby na potwierdzenie słów policjanta, w oddali rozległo się wycie syren. Za późno dla wszystkich, którzy leżeli na chodniku.

Mężczyzna w ciemnych okularach był średniego wzrostu, szeroki w barach i szczupły w talii. Widać było, że trenuje nie dla wyglądu, lecz dla siły. Stał przed Charleyem swobodnie, ale w takiej pozycji, by móc w każdej chwili odskoczyć w dowolnym kierunku.

- Jesteś w robocie? - spytał.
- Tak - odparł Charley. - Już zgłosiłem sprawę.
- Zdaje się, że będziemy musieli odpowiedzieć na parę pytań.

- Na pewno.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Jestem Dale Miller - powiedział.

Charley uściśnął jego dłoń - twardą i mocną, a ponadto naznaczoną charakterystyczną blizną po zahaczeniu o zamek pistoletu automatycznego.

- Witaj, Dale - odrzekł. - Charley Payne. Nie jestem gliną, ale współpracuję z miejscową jednostką.

- No to jest nas dwóch - stwierdził Dale. - Co konkretnie robisz?

- Fotografuję dla dochodzeniówki. A ty?

- Rezerwa specjalna. Pracuję w zespole szkoleniowym i w jednostce szybkiego reagowania.

- Biegasz i strzelasz?

- Właśnie. Ty nie?

- Już nie. Za stary jestem na takie zabawy. Nie nadążam.

- Przyjrzałeś się tym dwóm?

- Nie za bardzo. Ale widać było, że to profesjonalistki.. Ciekawe, kim są.

Kamera ukryta w furgonetce zarejestrowała rozmowę dwóch mężczyzn. Williams zrobił im zbliżenie.

- Święta Mario i Józefie - stęknął Sanders. - Wiesz, kto to jest?

- Kiedyś z nim pracowałem - odparł Williams. - Był jednym z nas.

- Nasi w bazie się posrają.

- Jeszcze jak. Niesamowity przypadek... Dale Miller i Charley Payne na tej samej ulicy, tego samego dnia, dokładnie w chwili egzekucji... Coś w tym musi być.

- Nie strzelali do ochroniarzy...

- To fakt. Siadaj do komputera i poszukaj w tłumie innych znajomych twarzy.

W tym momencie rozległ się sygnał telefonu komórkowego.

- Halo? - rzucił Williams, podniósłszy aparat. - Tak, sir. Tak jest - dodał po chwili.

- Rozpoznałem go, gdy tylko uzyskaliśmy wyraźny obraz. Mamy wszystko na taśmie, prześlę łączem satelitarnym. Już się zbieramy.

Odłożył słuchawkę na stojak-ladowarkę i zwrócił się do Sandersa:

- Kończymy i spadamy stąd, zanim gliny wezmą się do roboty.

- Już po wszystkim?

- O nie, mój młody Jedi - odparł Williams. - To dopiero początek.

Cztery przecznice dalej blondynki wjechały motorowerem po opuszczonej rampie wyładowczej wprost do niedużej ciężarówki należącej do firmy kurierskiej. Gdy tylko znalazły się w środku, kierowca podniósł rampę i starannie zamknął klapę. Wsiadł do szoferki, uruchomił silnik i ruszyli. Kobiety ułożyły motorower na podłodze, zrzuciły buty, zdjęły sukienki przez głowy i szybko włożyły specjalnie przygotowane kombinezony. Zapiąwszy je pod szyję, zabrały się do sprawdzania broni i załadowania nowych magazynków.

Wreszcie jedna usadowiła się przy tylnej klapie, z bronią na kolanach, druga zaś przykucnęła za fotelem szofera.

Na podłodze obok kierowcy leżał przenośny skaner radiowy. Dzięki niemu pasażerowie ciężarówki mogli podsłuchiwać rozkazy, wskazówki i zgłoszenia wywoławcze z całej policyjnej sieci.

- Pojedziemy na południe France Avenue - odezwała się kobieta zza pleców kierowcy.

- Dobra - odparł mężczyzna.

- Marie? - zawołała długowłosa. - Chcesz wody?

- Poproszę, Isabelle. Muszę przemyć twarz. Ten ostatni trochę mnie ochlapał - odparła ostrzyżona na chłopaka dziewczyna.

Isabelle sięgnęła po torbę leżącą za fotelem, wyjęła butelkę wody i rzuciła partnerce, która złapała ją jedną ręką i otworzyła.

- Masz serwetki? - spytała długowłosa.

- Na siedzeniu pasażera - odparł kierowca.

Isabelle wyciągnęła rękę i wyjęła z paczki kilka serwetek. Zniosła je Marie, która zmoczyła papier wodą z butelki i starła z twarzy kropelki krwi.

- Jestem już czysta? - spytała.

Isabelle wzięła wilgotną serwetkę z jej dłoni i usunęła kilka ostatnich plamek koło nosa.

- Teraz tak - odparła z satysfakcją. - Jak nowa - dodała, po czym pochyliła się i musnęła ustami wargi partnerki. - Jak się czujesz?

Marie uśmiechnęła się i odepchnęła ją łagodnie.

- Jesteśmy jeszcze w pracy. Wracaj na miejsce.

Isabelle wydeła usta, ale wróciła na przód pojazdu, nie wypuszczając z ręki broni.

- Jak myślisz, kim byli ci dwaj? Ci, którzy do nas strzelali?

- Nie wiem - odrzekła Marie. - Ale cieszę się, że im zwiąaliśmy. Pewnie policjanci po służbie.

- Moim zdaniem zawodowcy - zaoponowała Isabelle. -Większość policjantów nie zareagowałyby tak szybko.

- Nie wiem - powtórzyła Marie. - Ale nie martw się, Uciekłyśmy, a oni zostali daleko w tyle. Więcej ich nie zobaczymy.

OŚRODEK REHABILITACJI OFIAR TORTUR, CAMPUS UNIWERSYTETU MINNESOTY, MINNEAPOLIS, MINNESOTA

Ośrodek Rehabilitacji Ofiar Tortur mieścił się w wielkim, wiktoriańskim domu otoczonym przez kilka budynków gospodarczych, wzniesionym w spokojnym zakątku kampusu Uniwersytetu Minnesoty. W jego zacisznych, pastelowych pokojach krzątali się najlepsi lekarze i psychologowie w kraju, skupieni na jednym zadaniu: odbudowie ludzkich istot. To tutaj trafiały osoby, których krzyki odbijały się od więziennych murów Gwatemali, Iraku, Iranu, Ruandy, Chin i wielu innych państw. Wydaleni z ojczystych krajów lub przemyceni za granicę przez krewnych, złamani ludzie odnajdywali drogę do ośrodka, w którym zajmowano się wyłącznie najcięższymi

przypadkami - stanami głębokiego urazu psychicznego, jaki mógł być wynikiem jedynie najpotworniejszych tortur.

Doktor Rowan Green była drobną kobietą dobiegającą pięćdziesiątki, o wiecznie nieuporządkowanych włosach, zazwyczaj niedbale odgarniętych do tyłu. Okulary nosiła zawsze na łańcuszku, na szyi, z bardzo praktycznego powodu, by nie zapomnieć ich w którymś z pokoiów pacjentów czy pomieszczeń terapeutycznych podczas codziennego obchodu. Tego dnia szła energicznym krokiem po wypolerowanej posadzce korytarza, wybijając niskimi obcasami szybki rytm. W marszu raz po raz zaplatała wokół palca łańcuszek ód okularów.

Dotarwszy do pokoju jednego z pacjentów, na moment przystanęła przed drzwiami, nasłuchując, a potem delikatnie przekręciła gałkę i weszła do środka. Zobaczyła mężczyznę w drogim dresie i adidasach, siedzącego w fotelu obok szpitalnego łóżka. Pacjent miał ciemną cerę oraz bujne i nie uczesane czarne włosy. Był szczupły, ale wydawało się, że jeszcze niedawno jego tusza była znaczna. Ramiona, jakby za szerokie, były skulone, jak u gracza przyciskającego piłkę do piersi. Wpatrywał się w ekran małego telewizorka umocowanego na ścianie i nastawionego na odbiór lokalnej stacji informacyjnej.

- Panie Uday? - odezwała się doktor Green. - Panie Uday, co oglądamy?

Mężczyzna uśmiechnął się i spojrzał na nią, po czym przewrócił oczami, odsłaniając białka.

- W niektóre dni oni są bardzo blisko - powiedział.

- Kto jest blisko, panie Uday?

- Nigdy nie wiem.

- Co oglądamy? - powtórzyła doktor Green, spoglądając na ekran.

Dźwięk był wyciszony, obraz zaś przedstawiał karetki pogotowia i nosze z rannymi. Natychmiast rozpoznała tę okolicę. Spędziła w Linden Hills sporą część życia. Jej dzieci lubiły odwiedzać kawiarnio-lodziarnię, która teraz znajdowała się w samym centrum dramatycznych zdarzeń. Lekarka wyjęła pilota z bezwładnych palców pana Udaya i włączyła dźwięk.

- ...zastrzelenie ważnej osobistości świata biznesu w zachodnim Minneapolis sprawiło służby policyjne...

Doktor Green na powrót wyłączyła głośnik telewizora i spojrzała na pacjenta.

- Myślą, że są tak blisko, a jak dotychczas wcale nie są - powiedział pan Uday.

- Są blisko?

- Proszę spytać tego, którego znaleźli.

- A kogo znaleźli?

Uday spojrzał na telewizor ciemnymi, martwymi oczami.

- Znaleźli tego, kogo myślą, że znaleźli.

- Już czas na naszą rozmowę, panie Uday. Zechce pan pójść ze mną?

- Rozmowę też chcę mieć dla siebie. Chcę mieć smutne wakacje. Nie chcę was.

- Chodźmy - powiedziała doktor Green. Wyłączyła telewizor, odłożyła pilota i delikatnie ujęła Udaya pod ramię. Jego mięśnie były sflaczałe, wisiały na kościach jak rozgotowane mięso. - Pójdziemy do mojego gabinetu, dobrze?

Mężczyzna wstał i pokuśtykał naprzód.

- Tak - powiedział. - Chodźmy.

KWATERA GŁÓWNA JEDNOSTKI DOMINANCE RAIN, FAIRFAX, WIRGINIA

Ray Dalton był wysokim, szczupłym mężczyzną. Wchodząc do swego biura w Fairfax, w Wirginii, jak zawsze miał na sobie szyty na miarę, kosztowny garnitur. Pokoje, które zajmował, mieściły się w budynku należącym do Centralnej Agencji Wywiadowczej. Ktokolwiek chciał złożyć mu wizytę, musiał pokonać rozbudowany system zabezpieczeń, począwszy od wielkich i bardzo sprawnych, dobrze uzbrojonych wartowników strzegących recepcji, a skończywszy na ukrytych kamerach i sensorach biometrycznych zainstalowanych przed drzwiami gabinetu. Takie środki miały sens, jako że Ray Dalton szefował jednej z najbardziej tajnych jednostek na usługach rządu Stanów Zjednoczonych, oddziałowi specjalnemu Dominance Rain. Jego istnienie i działanie objęte było ścisłą tajemnicą, a zlecane zadania należały do najważniejszych operacji specjalnych o strategicznym znaczeniu. Ray Dalton osobiście wybrał sobie podwładnych spośród najlepszych żołnierzy Delta Force, SEAL Marine Recon oraz wyróżniających się agentów z programu paramilitarnego Agencji.

Siedząc za ogromnym biurkiem, z wielkim zainteresowaniem oglądał kasetę wideo z egzekucji w Linden Hills, tłumiąc mieszane uczucia, które wzbudzał w nim widok Dale'a Millera i Charleya Payne'a zajętych rozmową. Znał ich obu - tego ostatniego tylko z akt, jako byłego operatora Sztabu akcji Specjalnych CIA, elitarnej jednostki paramilitarnej, dość podobnej do tej, którą Ray sam kierował. Zdarzało się w przeszłości, że obie formacje współdziałały.

Znacznie więcej wspomnień obudził widok Dale'a Millera. Był jednym z najlepszych, starannie wyselekcjonowanych członków Dominance Rain. Swego czasu Ray wysłał go w pościg za zbiegłym skazańcem, Jonnym Maxwellem, który również służył w tej tajnej jednostce, póki nie ujawniono jego zbrodni i nie osadzono w więzieniu. Był też przyjacielem Dale'a Millera.

A Dale, zgodnie z rozkazem, wytropił i zabił Jonny'ego.

Później zaś samowolnie porzucił służbę, zabezpieczywszy się odpowiednio przed konsekwencjami, i ułożył sobie życie na własną rękę. Choć agenci Dominance Rain wielokrotnie próbowali nawiązać z nim kontakt, zgorzkniały operator za każdym razem unikał spotkania. Zamieszkał z kobietą detektywem, którą poznał podczas poszukiwań Maxwella, i znalazł zatrudnienie na pół etatu w policji Minneapolis jako instruktor strzelectwa i taktyki. Ogólnie trzymał się na uboczu i nigdy nie zauważono, by szukał kontaktu z aktywnymi operatorami służb specjalnych. Spalił za sobą mosty i wydawało się, że jest z tego zadowolony.

To, że znalazł się w Linden Hills akurat w chwili, gdy dokonano zamachu, było czystym zbiegiem okoliczności. Fakt ten podsunął jednak Rayowi Daltonowi pewien pomysł na rozwiązanie problemu, który przed nim stał. Dowódca Dominance Rain usadowił się wygodnie w fotelu i zaczął przeglądać dane w notatniku Rolodex. Po chwili odnalazł nazwisko oraz numer, którego szukał, należący do znanej

międzynarodowej firmy specjalizującej się w ochronie i zabezpieczeniach. Jej siedziba znajdowała się niezbyt daleko od terenów należących do CIA, na przedmieściach Waszyngtonu. Sekretarce, która podniosła słuchawkę, Dalton powiedział, że chce rozmawiać z Michaeliem Callanem. Po chwili usłyszał męski głos.

- Halo?

- Mike, tu Ray Dalton.

- Tak właśnie twierdzi dziewczyna w moim biurze. Zaraz wyrząłem przez okno, ale nie zauważyłem żadnych innych cudów, więc nie wiem, czy wierzyć... Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio gadaliśmy. Co u ciebie, Ray?

- To samo co wtedy, gdy dla mnie pracowałeś - odparł Dalton. - Masz może dla mnie jakąś posadkę?

- Gdybym cię zatrudnił, po tygodniu wygryzłbyś mnie ze stołka. Ale jeśli mówisz poważnie, to...

Ray zachichotał.

- Nie, Mike, jeszcze nie jestem gotowy na karierę specja od ochrony. To na pewno kusząca perspektywa, ale chyba posiedzę jeszcze parę lat tu, gdzie jestem.

- Nie wiesz, co tracisz. Nie chodzi tylko o pieniądze... My po prostu robimy to, co trzeba. Jest w tym trochę polityki, ale nic takiego, z czym byś sobie nie poradził.

- Przydałby mi się taki spokój... Ale nie dlatego dzwonię.

- Tak też myślałem. Czyżby było coś, czego nie może ci zapewnić nawet sama góra?

Ray znowu się zaśmiał. Przyjemnie było od czasu do czasu porozmawiać z kimś bez ogródek.

- Potrzebuję cię, Mike. Chcę, żebyśmy poszli razem na lunch i pogadali o rozmowie, którą mógłbyś z kimś przeprowadzić. Z kimś, komu chcę zlecić zadanie, a kto nie chce się ze mną skontaktować. Z kimś, kto pracował z tobą i na pewno wysłucha tego, co masz do powiedzenia.

- Pracował ze mną i nie gada z tobą? To jakiś cywil?

- Obecnie tak.

Callan milczał przez długą chwilę, a kiedy znowu się odezwał, jego głos brzmiał bardziej twardo.

- Lista kandydatów jest krótka. Jeżeli chodzi o tego, o kim myślę, to pamiętaj, że to mój przyjaciel. I że nie podoba mi się sposób, w jaki się rozstaliście.

- I dlatego musimy zjeść razem lunch i porozmawiać - odparł spokojnie Ray. - Pokażę ci pewne nagranie. Wtedy pogadamy o tym, co jest do zrobienia. Przekonasz się, że to czysta sprawa.

- O co miałbym poprosić naszego wspólnego znajomego?

- Chcę mu zaproponować pracę.

DZIELNICA LINDEN HILLS, MINNEAPOLIS, MINNESOTA

W chaosie, który zapanował na miejscu zbrodni w Linden Hills, Dale Miller i Charley Payne bez oporu oddali broń dziewczynie z dochodzeniówki, ubranej w niebieską kurtkę z wielkim napisem „Policja” na plecach.

- Zajmę się nimi, chłopaki - powiedziała. - Postaramy się zwrócić je tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Dzięki, Francine - odrzekł Charley. - Nie lubię czuć się nagi w tym brutalnym świecie.

- To twój jedyny? - spytał Dale.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Payne był wysoki i szczupły, ale mięśnie zaznaczały się wyraźnie pod luźną koszulą. Bruzdy na jego pociągłej twarzy zaczynały się na linii włosów i biegły aż do podbródka.

- Tak - odpowiedział. - A twój?

- Instruktor strzelecki musi mieć zapasową broń.

- Szczęściarz z ciebie. Pożyczysz?

Dale pochylił głowę, a potem spojrzał Charleyowi w oczy.

- Musiałbym cię lepiej poznać. Może postawisz mi kawę?

- Zanoszę na interesującą rozmowę.

Jeden z detektywów stojących opodał uniósł głowę znad notatnika.

- Spodziewałem się, że dwaj tajni agenci wpadną na siebie znacznie wcześniej.

- Tak sądzisz, Rocco? - spytał Dale. - Że jesteśmy tajnymi agentami?

- Ty byłeś - sprecyzował Rocco. - Słyszałem, że Charley też.

Charley skrzywił się, zanim odpowiedział.

- Powiedzmy, że coś w tym guście. Kiedyś napijemy się kawy, Miller, ale teraz muszę już iść.

- Jasne - odparł Dale, po czym wskazał na kawiarniany ogródek Sebastiana Joego. - Jestem tu co rano, jak w zegarku. A ty pewnie odwiedzasz Linden Hills Diner, jak w zegarku. Więc zaryzykuj kiedyś i przejdź na drugą stronę ulicy. Postawię ci kawę i bułkę.

- Aż tak rzucam się w oczy?

- Niewielu zawodowców z najwyższej półki bywa w tej okolicy, chłopie.

Dale odprowadził Charleya wzrokiem na drugą stronę ulicy i dalej, do bramy prowadzącej do mieszkań nad lokalem Linden Hills Diner.

- Znasz go, Rocco? - spytał po chwili.

Rocco skinął głową.

- Powiedzmy. Pracuje dla policji, fotografuje miejsca zbrodni. To dlatego zna większość z nas. Przyjaźnił się z Bobbym Martaine'em, tym gliniarzem, który rok temu zginął, tropiąc zabójcę-kanibala.

- Nie wiesz, co robił wcześniej?

- Podobno był kontraktowym w CIA. Odszedł i zmienił zawód, został fotografem. Więcej nie wiem... To równy gość, dogaduje się z naszymi i jest lubiany. Ma niezłe poczucie humoru i robi dobre zdjęcia. Ostatnio pstrykał ślub jednego z moich kumpli.

- A co wiadomo o gościu, który dostał kulkę?

- O którym? Może zauważyłeś, że mamy tu paru.
- O tym, którego pilnowali.

Rocco odgarnął długie, czarne włosy, które opadły mu na czoło, i zajrzał do notatnika.

- Miał honduraski paszport na nazwisko Rhaman Uday. Ekipa należała do United Security, miejscowej dość drogiej firmy ochroniarskiej. Dowódcę znaleźliśmy. Był kiedyś sierżantem w policyjnej jednostce szybkiego reagowania, tu, w Minneapolis. Nazywał się Heritage. Jeden z zabitych ochroniarzy też był kiedyś gliną.

- A co z wykonawcami? - spytał Dale.

- Mówisz o tych kobietach? Stuprocentowe profesjonalistki. Zniknęły bez śladu. Przeczesujemy okolicę i ogłaszamy w telewizji, że chcemy rozmawiać z każdym, kto widział sprawczynię albo znał ofiarę. Jak dotąd niczego się nie dowiedzieliśmy i nie mam zbyt wielkiej nadziei. Skoro jeszcze nie ma sygnałów, to raczej już nie będzie.

Dale zatarł dłonie, a potem wetknął je w tylne kieszenie lewisów i spojrzął na drugą stronę ulicy, na miejsce otoczone policyjną blokadą i żółtymi taśmami.

- Idę do domu po drugi pistolet. Ta dzielnica robi się, jak na mój gust, cholernie niebezpieczna.

Charley Payne wrócił do ciasnego mieszkania nad restauracją Linden Hills Diner. Stał przy oknie i wyjrzał na ulicę, machinalnie dotykając łokciem pustej kabury przy boku, w której powinien tkwić Glock .45. Nie podobało mu się, że jest nieuzbrojony, podczas gdy zabójczynie są na wolności. Wozy policyjne i karetki wciąż blokowały ulicę, a blask ich migających świateł, choć był jasny dzień, wdzierał się do pokoju Payne'a i odbijał od fotografii wiszących na ścianach. Dale Miller rozmawiał jeszcze z detektywem. Charley czuł się dziwnie, patrząc na nich z góry. Był pewien, że jest tematem ich konwersacji. Choć minęło tyle czasu, wciąż trzymał się pozostałości dawnego życia, w którym wszystko objęte było ścisłą tajemnicą.

Nie lubił, kiedy rozmawiali o nim ludzie, którzy wiedzieli coś o jego przeszłości.

A Miller zdecydowanie był jednym z tych, którzy mogli słyszeć co nieco o Charleyu Paynie i innych ze Sztabu Akcji Specjalnych CIA, a także orientowali się, jakie znaczenie miała jego kariera w ciasnym światku agentów służb specjalnych. Służąc w SAS, Charley nalatał się po świecie z bronią w ręku, wykonując wszelkie zlecenia - od zabójstw, przez skomplikowane akcje zakładania podsłuchu, aż po eliminowanie terrorystów w ich własnych kryjówkach. Był jedną z legend tej zamkniętej społeczności.

Charley przyciągnął pod okno nieduży fotel, usiadł, oparł stopy na parapecie i rozluźnił się. Wciąż jeszcze czuł wysoki poziom adrenaliny po strzelaniu. Muskulary jego nóg i ramion drżały nieznacznie. Wykonał powolne krążenie głową, by zmniejszyć napięcie mięśni. Pomyślał o drinku, ale doszedł do wniosku, że jeszcze się wstrzyma.

Tego dnia spisał się całkiem przyzwoicie. Nieźle, jak na kogoś, kto wyszedł z wprawy. Opłaciło się poświęcać czas ćwiczeniom na strzelnicy. Czasem zadawał sobie pytanie, czy naprawdę potrzebuje broni i regularnego treningu. Był w końcu tylko fotografem, zarabiał na życie Strzelaniem migawką, nie z pistoletu. Z drugiej jednak

strony, przez całe życie był uzbrojony. Bez spluwy czuł się niekompletny. Całe szczęście, że miał ją dziś przy sobie.

Miller też był dobry. Detektyw mówił, że miał za sobą karierę w służbach specjalnych. Charley pomyślał, że miło byłoby pogadać z kimś, kto wiódł kiedyś podobne życie. Może jednak powinien był zaprosić go na kawę? Zniechęcała go trochę zadziorność i pewność siebie Millera. Charley nie był pewien, czy się nie starzeje, skoro postawa młodszego agenta tak podziałała na jego - niemalą przecież - próżność.

Roześmiał się do własnych myśli i przecesał palcami rzednące, tu i ówdzie siwiejące już włosy. Cholera, zdecydowanie powinien był postawić Dale'owi Millerowi kawę, a może i piwo - w końcu młodziak spisał się całkiem nieźle.

A w dodatku mógł pożyczyć pistolet.

GABINET LEKARZA SĄDOWEGO, MINNEAPOLIS, MINNESOTA

Patrice Nordby od dziesięciu lat była lekarzem sądowym w Minneapolis. Dokonując setek autopsji, miała okazję przyjrzeć się skutkom bodaj wszystkich odmian przemocy, jakiej człowiek może się dopuścić wobec bliźniego. Po raz pierwszy jednak miała do czynienia ze zbiorowym morderstwem. Spojrzała na długi szereg sztywnych, zimnych ciał leżących na wózkach i czekających na nią w miejskiej kostnicy. Strzeliła mankietami chirurgicznych rękawiczek, gotowa do pracy.

- Zacznę od szefa - zwróciła się do asystenta. - Przywieź go tutaj.

Chwilę później zwłoki niskiego, pulchnego człowieczka, o twarzy zniekształconej ranami postrzałowymi i bez zębów powybijanych przez kule, spoczęły na stole sekcyjnym. Lekarka poprawiła pozycję mikrofonu zawieszzonego pod sufitem i rozpoczęła wstępne oględziny. Zabity miał niespełna sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ważył ponad osiemdziesiąt sześć kilogramów. Coś tknęło Patrice, gdy spojrzała na wynik pomiaru.

- Jerry? - zawołała do asystenta. - Gość miał paszport, prawda?

- Miał.

- Mamy jego kopię?

- Jest tutaj.

Asystent podał jej kserokopię wewnętrznej strony okładki paszportu. Mężczyzna na zdjęciu wyglądał tak jak leżący na stole, oczywiście pomijając uszkodzenia twarzy. Z dokumentu jednak wynikało, że powinien mieć sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważyć dziewięćdziesiąt pięć kilogramów. Coś się nie zgadzało, i to bardzo.

- Jerry? Połącz mnie z detektywem, który prowadzi tę sprawę.

Patrice odczytała detektywowi Rocco Rococellemu swoje wstępne notatki z autopsji.

- To nie jest facet z paszportu - powiedziała. - W paszporcie stoi: metr osiemdziesiąt pięć, a ten ma metr siedemdziesiąt trzy. W paszporcie: dziewięćdziesiąt pięć kilogramów, a ten na stole - osiemdziesiąt sześć. Rozumiem, że można schudnąć,

ale nie sposób skurczyć się o dwanaście centymetrów. Twarz, chociaż zdeformowana, wygląda bardzo podobnie, i tu właśnie mamy prawdziwą niespodziankę: zabity przeszedł operację plastyczną.

- Operację plastyczną? - powtórzył Rocco.

- Tak jest - przytaknęła Patrice. - Operację twarzy, i to dość kosztowną. Założę się, że zmienił rysy po to, żeby wyglądać tak jak ten z paszportu. Jeżeli w ogóle istnieje jakiś Rhaman Uday, a muszę powiedzieć, że ma dość osobliwe nazwisko jak na obywatela Hondurasu, na pewno nie jest to ten, którego kroję.

Rocco westchnął ciężko.

- Jakby mało było rzeźni na ulicy, to na dokładkę mam nie zidentyfikowanego trupa. Jesteś pewna, Patrice?

- Przecież mnie znasz. Z tym, co mam, mogę stanąć przed sądem.

- W porządku. Dzięki.

Rocco z trzaskiem zamknął notatnik i wsunął go do wewnętrznej kieszeni wymiętej, sportowej marynarki.

- Szlag by to - mruknął. - To kogo właściwie tu mamy?

OŚRODEK REHABILITACJI OFIAR TORTUR, CAMPUS UNIWERSYTETU MINNESOTY, MINNEAPOLIS, MINNESOTA

Doktor Rowan Green wyjrzała przez okno na zielone pagórki rozległego trawnika i na drzewa, które zasłaniały widok na rzekę. Kusilo ją, by wyjść z chłodnych murów i stanąć w letnim słońcu, ale odwróciła głowę i ponownie skupiła się na pacjencie. Rhaman Uday siedział naprzeciwko niej, pochylony, w miękkim fotelu obok długiej kanapy. Bez końca szarpał palcami luźną nitkę wystającą z zamka jego sportowej bluzy.

- Jak się pan dzisiaj czuje, panie Uday? - spytała.

Nie oderwał wzroku od nitki.

- Zagubiony. Zawsze zagubiony.

- A pamięta pan, jak to było być odnalezionym?

Twarz mężczyzny pociemniała.

- Być odnalezionym znaczy cierpieć. Być zagubionym... to być bezpiecznym.

- Tutaj jest pan bezpieczny. I czuje się pan zagubiony?

Uday skinął głową.

- Tak. Bezpieczny. Zagubiony.

Doktor Green zanotowała coś w arkuszu postępów. Wreszcie udało się wciągnąć go w krótką rozmowę. Kiedy przyszedł do niej po raz pierwszy, przed wieloma tygodniami, nie mogła z niego wyciągnąć absolutnie nic. Już po wstępnym badaniu umieszczono go na samym szczycie listy oczekujących na pomoc ośrodka. Na szczęście dla niego, szybko znalazło się wolne miejsce.

- Jak długo jest pan zagubiony? - spytała.

Uday ujął palcami dolną wargę i popatrzył ponad ramieniem Rowan Green na dyplomy wiszące na ścianie.

- Nie tak długo, jak byłem odnaleziony.

- A jak długo był pan odnaleziony?

Pacjent opuścił ręce, oparł dłonie na kolanach, a potem splótł palce, ruchliwe jak węże.

- Wiele tygodni - odparł. - Wiele, wiele tygodni.

- Tak - szepnęła. - Wiem. A czy pan wie, kim jestem?

- Nie jest pani Jedynym. Żona mi powiedziała.

- Jedynym?

- Koniec wrzasków. Koniec... kabli. Koniec. Nie jest pani Jedynym. Ja znam Jedynego. Zawsze krzychałem, wiele razy, kiedy tamten brał się do nas. Przynosił nam wrzask.

- Kto przynosił wrzask?

- Saddam. Byliśmy zagubieni, a potem odnalezieni. I wrzeszczeliśmy, a inni patrzyli. - Mężczyzna umilkł i wbił spojrzenie w dłonie złożone na kolanach.

Doktor Green zmierzyła go wzrokiem przywykłym do szacowania emocjonalnej ceny takich wyznań. Saddam. Miała już do czynienia z ofiarami jego reżimu. Dyskretnie zajrzała do notatek w teczce Udaya. Jak zeznała jego żona, która przywiozła go do ośrodka, był wysoko postawionym urzędnikiem na „dworze” Saddama Husajna i przyjaźnił się z jego zięciem. Gdy ten uciekł z kraju, a następnie wrócił, czystka objęła wszystkich, z którymi blisko współpracował. Uday był jednym z tych, których torturami doprowadzono do obłądzenia. Gnił w więziennej celi, nim żona zebrała pieniądze na łapówkę, by kupić mu wolność. Udało im się uciec na Zachód, do Ameryki, a tam trafili do ośrodka, w nadziei, że uda się naprawić ciało i umysł Rhamana.

I rzeczywiście był tu bezpieczny. Bardziej bezpieczny niż gdziekolwiek indziej.

- Saddam - wyszeptał człowiek złamany. Zamknął oczy i zaczął pomrukiwać monotonnie, kołyszając się w przód i w tył. - Saddam.

KWATERA GŁÓWNA JEDNOSTKI DOMINANCE RAIN, FAIRFAX, WIRGINIA

Michael Callan, starszy konsultant w Kroner-O’Hanrahan, jednej z najbardziej renomowanych amerykańskich - choć prowadzących działalność na całym świecie - firm z branży ochrony i bezpieczeństwa, siedział na kanapie w gabinecie Raya Daltona i jadł ze styropianowego pudełka sałatkę cesarską. Ray siedział po przeciwnej stronie ławy, w fotelu, żując pieczeń wołową i szwajcarską kanapkę. Ich ulubiony lokal był w porze lunchu zbyt zatłoczony, by mogli spokojnie porozmawiać, toteż wzięli dania na wynos i udali się do zacisznego biura Daltona.

Callan otarł usta serwetką i powiedział:

- Kto wykonał zlecenie?

- Bliźniaczki - odparł Ray.

Odłożył kanapkę na ławę i sięgnął po pilota sterującego odtwarzaczem wideo i telewizorem, umocowanymi na ścianie. Przewinął taśmę z nagraniem egzekucji w Minneapolis i zatrzymał obraz w chwili, gdy na ekranie ukazało się zbliżenie dwóch pięknych kobiet na motorowerze.

- Z górnej półki - mruknął Callan. - Wciąż siedzą w Amsterdamie?

- Tak jest. Marie Garvais i Isabelle Andouille, jedyna kobieca ekipa w branży podejmująca się ataków na dobrze strzeżone cele. Są niesamowicie skuteczne i mają nader urozmaicony zestaw klientów. Wszyscy zlecają im robotę: od karteli narkotykowych po europejskie agencje rządowe. Nawet my, raz czy dwa.

- Mam wrażenie, że to nieoficjalna informacja.

- A ja myślę, że macie ją gdzieś tam, w pamięci tych drogich komputerów, które trzymacie w Tyson's Corner.

Callan uśmiechnął się, nieświadomy kropli sosu sałatkowego na górnej wardze.

- I słusznie. Dostajemy te same dane od tych samych ludzi.

- Właśnie wróciliśmy do tego, o czym mówiłem na początku: wszyscy pracujemy po tej samej stronie ulicy.

- Chciałbyś, żebym porozmawiał z Dale'em i spytał go, czy przyjmie zlecenie?

Jakie?

- Ten Uday, facet, który zginął... Należał do grupki irackich uciekinierów, którą obserwujemy. Są ze sobą powiązani, albo przez pokrewieństwo, albo przez wspólną historię pobytu w więzieniach Saddama. Z jakiegoś powodu, którego jeszcze nie znamy, niedobitki irackiego reżimu usilnie poszukują tych ludzi. Sprawa jest poważna, skoro wynajmują Bliźniaczki do przeprowadzenia egzekucji. Jeden człowiek już zginął, dwoje - mężczyznę i kobietę - mamy pod opieką. Kobieta jest żoną jednego z nich, nie bierze udziału w grze. Ale facet być może tak.

- Gdzie jest ta para?

- Wciąż w Minneapolis. Kobietę umieściliśmy w prywatnej dziupli i daliśmy obstawę. Mężczyzna jest pacjentem psychiatrycznym w wyspecjalizowanej klinice należącej do Uniwersytetu Minnesoty. W Ośrodku Rehabilitacji Ofiar Tortur, mówiąc ściślej. Tamtejsi specje mają doświadczenie w opiece nad poszukiwanymi, więc działają dyskretnie i mają całkiem niezłą ochronę. Problem w tym, że nie na tyle dobrą, by spotkać się z takim przeciwnikiem jak Bliźniaczki. I tutaj zaczyna się nasza misja. Chcemy przejąć opiekę nad tym mężczyzną, a kobietę przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Chcemy też, żeby Dale Miller objął dowództwo oddziału, który będzie chronił faceta.

Callan odsunął styropianowy talerz na środek ławy i rozprostował palce, kolejno strzelając stawami.

- Nie to, żebym chciał się reklamować, ale mam zespoły najlepszych specjalistów od ochrony i mógłbym ci je wynająć, Ray. Ludzie z Delta, SEAL, Secret Service... Mam zarówno strzelców, jak i technicznych. Po co podpisywać kontrakt z singlem, kiedy możesz mieć ekipę najlepszej marki?

Ray pokiwał głową.

- Dale był jednym z nas. Dla mnie osobiście wciąż tak jest. Chcemy działać dyskretnie, ale masz rację co do tego, że twojej firmie nie brakuje odpowiednich ludzi

i środków. Dale i zespół najemników są nam potrzebni, żebyśmy mogli zachować czyste ręce. Ty i twoja firma zostajecie w odwodzie.

- Widzę tu mały konflikt interesów, Ray. Jeżeli wyświadczę ci tę przysługę i pogadam z Dale'em, mojej firmie przejdzie koło nosa intratny interes.

- Na osłodę mam dla ciebie poważną kwotę jako honorarium za konsultację. No i kolejny depozyt w banku przysług.

- W porządku - zgodził się Callan. - Znamy się z Dale'em jeszcze z Delty. Jeżeli mogę mu jakoś pomóc, zrobię to. Czy jest coś, o czym zapomniałeś mi powiedzieć?

- Wiesz już wszystko - odparł Ray. - Chciałbym wciągnąć w to Dale'a osobiście, ale poróżniły nas dość przykre wydarzenia.

Callan wstał, wycierając dłonie serwetką, którą następnie zgniótł i cisnął na talerz. Podszedł do wielkiego okna i wyjrzał na ulicę.

- Jonny Maxwell wbił klin między nas. Powinien był zginąć wcześniej. - Callan umilkł na krótką chwilę. - Niedobrze mi się robi od tych korków. Mija wieczność, zanim człowiek dokąds dotrze... Wiesz, że jechałem do ciebie czterdzieści minut?

Ray rozparł się wygodnie w fotelu, rozprostował nogi i skrzyżował je w kostkach.

- Zrobisz to dla mnie, Mike?

- Minneapolis to urocze miasto. Chętnie zobaczę się z Dale'em, a przy okazji wyrwę się stąd choć na jeden dzień.

Ray wstał, podszedł do okna i stanął obok Callana.

- Dzięki, Mike.

- Znowu wykonuję za ciebie brudną robotę, Ray. Duuuży depozyt w banku przysług.

- Jasne.

AMSTERDAM, HOLANDIA

Youssef bin Hassan stał przed głównym dworcem kolejowym w Amsterdamie, w tłumie przechodniów, którego większość stanowili młodzi ludzie z całego świata, spędzający tu wakacje. I on był młody. Miał pochyłe barki i pociągłą, wiecznie skrzywioną twarz. Był ubrany w workowate, dżinsowe spodnie, lekkie buty i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. W torbie przewieszanej przez ramię czuł ciężar laptopa, najnowszego I-booka marki Apple.

To był piękny, ciepły i bezchmurny dzień. Promienie słońca połyskiwały w oknach hotelików nad kanałami. Youssef stał przy łukowatym, kamiennym mostku prowadzącym na ulicę Dam i przyglądał się stateczkom wycieczkowym kursującym po kanale. Gdy uznał, że odczekał już wystarczająco długo, spojrzął na cyferblat taniego zegarka Casio, po czym ruszył w stronę budki telefonicznej stojącej przed pobliskim centrum informacji turystycznej. Wsunął do aparatu kartę na rozmowy miejscowe, zaczekał na sygnał i wystukał na klawiaturze numer, który mu wcześniej podano. Ktoś podniósł słuchawkę po trzecim sygnale.

- Tak? - odezwał się kobiecy głos.

Brzmiał metalicznie, a w tle słychać było trzaski, jak w połączeniu z telefonem komórkowym.

- Mówi Joe ze Stanów - odpowiedział Youssef dobrą angielszczyzną. - Szukam Marty z Minnesoty.

- Tu Marta, Joe - powiedziała kobieta. - Masz?

- Mam - odrzekł Youssef. - Mogę to zrobić w dowolnym miejscu, na przykład tam, gdzie jesteś.

Nasłuchiwał uważnie. Kobieta nie odzywała się przez chwilę, ale pośród trzasków można było wychwycić stłumione dźwięki, w tym paplaninę małego dziecka.

- To nie będzie konieczne - odpowiedziała wreszcie. - Zrób to i daj nam znać. Mamy własne sposoby weryfikacji.

- Tylko że są pewne sprawy, które powinniśmy omówić - rzekł Youssef dokładnie tak, jak mu kazano.

- Naprawdę?

- Tak. Chodzi o waszą zapłatę i ostatnie zlecenie w ramach tego projektu w Minnesocie.

- Chwileczkę, Joe.

Odgłosy w tle ucichły, ustępując miejsca jeszcze silniejszym zakłóceniom, jakby rozmówczyni zakryła mikrofon dłonią. Youssef usłyszał stłumioną wymianę zdań, a potem znowu odezwała się kobieta.

- Przyjadę do ciebie - powiedziała. - Gdzie jesteś?

- Przy VW, w budce obok informacji turystycznej, niedaleko Dworca Głównego.

- Jak cię rozpoznam?

Youssef zastanawiał się przez moment.

- Będę stał obok budek. Mam na sobie białą koszulę, niebieskie dzinsy i granatową torbę kurierską na ramieniu.

- Niedługo będę.

- A jak ja...

Kobieta przerwała połączenie, nie odpowiadając. Youssef wzruszył ramionami i odwiesił słuchawkę. Spojrzał na tłumy przelewające się rozpalonymi ulicami i pomyślał, że czas na filiżankę kawy w dworcowym barze. Kupiwszy ją, wyszedł z tekturowym kubkiem na ulicę, by wygrzewać się w słońcu obok budek telefonicznych.

Marie Garvais przystanęła nad kanałem oddzielającym Dworzec Główny od Starego Centrum, po stronie miasta, przy moście, by przyjrzeć się Youssefowi bin Hassanowi. Nie spieszyła się zbyt na to spotkanie, jadąc rowerem z nabrzeża, przy którym cumowała barka mieszkalna należąca do niej i Isabelle. Jak gdyby nigdy nie zatrzymała się przed mostkiem, udając, że odpoczywa, ciesząc się słońcem letniego dnia. W rzeczywistości chciała się upewnić, czy okolica nie jest pod obserwacją. Naprawdę dobra ekipa - gdyby tylko miała dość czasu - mogłaby zainstalować się tu tak skutecznie, że byłaby niezauważalna nawet dla wprawnych oczu. Marie jednak była pewna swoich zdolności i uważała, że spotykając się z łącznikiem w miejscu publicznym, podejmuje raczej rozsądne ryzyko. Wszystkie kontakty z ludźmi, których reprezentował młodzieniec, były jak dotąd zorganizowane w pełni profesjonalnie.

Tym razem spotkanie nie było przygotowane aż tak dobrze, ale warte ryzyka, w grę bowiem wchodziły duże pieniądze. Wreszcie, usatysfakcjonowana, Marie wsiadła na nie rzucający się w oczy czarny rower i włączyła się w leniwy nurt cyklistów pokonujących mostek nad kanałem. Zatrzymała się - lecz nie zeskoczyła z siodełka - tuż przy młodym mężczyźnie w białej koszuli.

- Joe? - zagadnęła głosem pełnym radości, jakby spotkała dobrego przyjaciela. - Kogo ja widzę!

Arab uśmiechnął się nerwowo. Marie zsiadła z roweru, postawiła go na nóżce i uścisnęła Youssefa na powitanie. Niepostrzeżenie z wprawą przebiegła dłońmi po jego ciele, szukając broni.

- Witaj, Marto - odpowiedział. - Miło cię znowu widzieć.

- Nawzajem, Joe. - Marta zdjęła torbę z jego ramienia i zajrzała do środka. - Masz dla mnie prezent?

- Tylko to, co w komputerze - odrzekł.

- W takim razie chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli to obejrzeć - zaproponowała. Zarzuciła torbę kurierską na szczupłe, muskularne ramię i powiodła Youssefa z powrotem przez most, do Starego Centrum, prowadząc rower.

- Jest tu niedaleko kafejka internetowa, tam podłączymy laptopa do sieci.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, a tłum turystów rozstępował się przed rowerem, który prowadziła Marie. Wreszcie przypięła go do stojaka i razem weszli do kawiarni. Kobieta zamówiła dwie kawy, a Youssef kupił kartę umożliwiającą podłączenie laptopa do jednego z gniazd i dostęp do Internetu. Gdy Marie przysiadła obok, włączył komputer. Uruchomiwszy system, aktywował połączenie i odpalił przeglądarkę. Po kilku minutach pracy na klawiaturze na ekranie ukazały się dane finansowe oraz adres banku docelowego w Oranjestad na Arubie.

- Wszystko w porządku? - spytał Arab.

- Tak - odrzekła Marie, przyjrzawszy się liczbom.

- Chciałabyś...

- Owszem - przerwała mu, uśmiechając się filuternie. Wcisnęła klawisz RETURN i z zadowoleniem przyglądała się procentowemu wskaźnikowi wykonania operacji przelewu środków między dwoma rachunkami bankowymi. Po krótkiej chwili transfer dobiegł końca. Marie i jej partnerka wzbogaciły się o poważną kwotę, zdeponowaną na jednym z wielu kont chronionych przez holenderskie prawo o tajności danych.

- Tę część naszych interesów mamy za sobą - odezwał się Youssef. - Przejdźmy więc do następnej... Co z tym drugim mężczyzną i z kobietą?

Marie wzruszyła ramionami.

- Jediną przeszkodą jest rozliczenie.

- Pieniądze nie stanowią problemu... Kiedy możecie wykonać zadanie?

- Macie podobne dane wywiadowcze na temat tej pary?

- Tak.

- Potrzebujemy trochę czasu na przygotowania.

- W takim razie polecono mi złożyć oficjalne zlecenie.

Marie zdecydowanie skinęła głową i powiedziała:

- Dobrze. Przelej zaliczkę w tej samej wysokości jak poprzednio. Zrób to teraz, jeśli zależy wam na czasie.

Youssef kiwnął głową.

- Jak sobie życzysz.

Wystarczyło kilka stuknięć w klawisze, by wykonać kolejny przelew.

Marie wstała.

- Skontaktuję się z wami tak jak zawsze. Często sprawdzaj skrzynkę e-mailową. Zamierzasz zatrzymać się w Amsterdamie?

- Na kilka dni. Będę musiał przekazać ci to, czego się dowiem.

- W takim razie miłego pobytu. To naprawdę cywilizowane miasto.

- Tak - zgodził się młody terrorysta. - W rzeczy samej.

Marie przypięła rower do ogrodzenia, które oddzielało chodnik od kanału, po czym ostrożnie zeszła po schodkach na pokład barki mieszkalnej. Pochyliła głowę w niskim wejściu prowadzącym do kabiny i omal nie potknęła się o małą, jasnowłosą dziewczynkę, która bawiła się klockami tuż za progiem.

Przykłęknęła przy dziecku i powiedziała karcącym tonem:

- Chodź, Ilse. Nie tak blisko drzwi. Isabelle, nie pozwalaj jej bawić się tak blisko wyjścia!

Isabelle wyszła z kuchni, ubrana w czarny kombinezon mocno opinający umięśnione ramiona i nogi oraz w niebieską, dżinsową koszulę.

- Daj mi ją - powiedziała, odbierając uśmiechniętą dziewczynkę z rąk Marie. - Chodź do mnie, niegrzeczna. Co ci mówiłam o zabawie przy drzwiach?

Mała roześmiała się i wtuliła buzię w jej ramię, po czym mocno objęła wysoką kobietę rękami i nogami.

- Sądzisz, że ujdzie ci to na sucho, jeśli będziesz nastawiała nas przeciwko sobie? - spytała z uśmiechem Marie. - Nic z tego.

- Jak poszło? - spytała Isabelle, gładząc włosy ich córki.

- Pieniądze przeszły - odparła jej partnerka, po czym musnęła dziecko palcem pod brodą i wyszła do kuchni. Napełniła kubek kawą i stanęła w drzwiach do saloniku. - Chcą, żebyśmy wróciły i załatwiły pozostałych.

- Zdawało mi się, że ten był naprawdę ważny.

- Chcą być dokładni. Wpłacili zaliczkę i obiecują dane wywiadowcze na tym samym poziomie co poprzednio.

- W przyszłym tygodniu chciałam zabrać Ilse do Brugii - odparła Isabelle - żeby zobaczyła łabędzie...

- Raczej nic z tego. Będziemy w podróży. Zabierzemy ją kiedy indziej, całe lato przed nami.

- Marie, ona tak szybko rośnie. Musimy mieć to na uwadze.

- Przede wszystkim musimy zarabiać na życie, a to nie jest takie łatwe.

Isabelle uścisnęła córkę i postawiła na podłodze. Ilse natychmiast usiadła ze skrzyżowanymi nogami i zaczęła przebierać rozsypane klocki. Matka przyglądała jej się przez chwilę, z delikatnym i czułym uśmiechem.

- Oczywiście masz rację. Ale i tak nie cierpię zostawiać jej tutaj... Za każdym razem, gdy wracamy, wydaje mi się, że urosła.
 - Tak to jest z dziećmi - odrzekła miękko Marie. Upiła łyk kawy i uśmiechnęła się do kochanki. - Zastanawiam się, kim będzie, kiedy dorośnie.
 - *Que sera, sera...* co ma być, to będzie... - zanuciła Isabelle.
- Ilse uniosła główkę, uśmiechnęła się szeroko i zaklaskała.

Youssef włóczył się bez celu brukowanymi uliczkami Starego Centrum Amsterdamu. Parę razy zatrzymywał się na kawę i zawsze pił samotnie, przyglądając się jakby z wielkim dystansem temu, co robią otaczający go rówieśnicy. Czuł się samotny, ale panował nad tym uczuciem z dawno nabytą cierpliwością i wprawą. Obserwując przepływający tłum, zmuszał się do myślenia o zasadach, które wpójono mu podczas szkolenia dla zaawansowanych. Dostrzegał skupiska - w tramwajach, na ścieżkach rowerowych, na chodnikach. Instruktorzy nauczyli go, że skupiska są znakomitymi celami ataku, zwłaszcza w zamkniętych pomieszczeniach, gdzie można kontrolować przepływ powietrza. Youssef przystanął przed ścianą, do której przyklepiono afisz reklamujący koncert irlandzkiej grupy U2. Zapewne w dużej sali, pomyślał.

W zamkniętej sali pełnej ludzi.

Lecz to nie był właściwy czas na selekcję celów. Youssef musiał zająć czymś umysł, by nie roztrząsać innych spraw. Niespiesznie wrócił do taniego młodzieżowego schroniska, gdzie pozostawił resztę skromnego ekwipunku: plecak, śpiwór, trochę ubrań oraz małą, dobrze zamkniętą, pancerną walizeczkę marki Pelican. Dopłacił kilka euro, by dostać klucze do jednoosobowego pokoju. Zamknął się w nim, usiadł przy stoliku i wyjął z torby komputer. Napisał e-mail do przełożonego, który zamierzał wysłać później, z kafejki internetowej, a potem zamknął laptop, położył się na cienkim materacu i wbił spojrzenie w sufit.

Był bardzo samotny.

Pomyślał o jasnowłosej kobiecie, którą spotkał tego dnia.

Zastanawiał się, czy głosik, który słyszał w słuchawce, należał do jej dziecka. Lubił dzieci, ale wątpił, by kiedykolwiek doczekał się własnych. Życie, które wybrał, chwilami wydawało mu się bardzo, bardzo ciężkie.

OŚRODEK REHABILITACJI OFIAR TORTUR, CAMPUS UNIWERSYTETU MINNESOTY, MINNEAPOLIS, MINNESOTA

Rhaman Uday stał przy oknie w swym pokoju, spoglądając na kwitnący ogród, którym opiekowali się pacjenci. Lubił patrzeć na kwiaty. Nie bardzo interesował go zadbany warzywnik, zdecydowanie wolał kwiaty. Z pokoju, który zajmował, rozciągał się dobry widok na klomby, toteż pracownicy ośrodka często zastawali go właśnie w tym miejscu, stojącego przy oknie.

Pomoc pielęgniarska zapukała i niemal jednocześnie uchyliła drzwi.

- Panie Uday? Chciałby pan pospacerować w ogrodzie?
Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.
- Tak. Spacer dobrze mi zrobi.

Ruszył jak wielkie, dobrze wychowane dziecko w ślad za niepozorną kobietą, która poprowadziła go długimi korytarzami na zewnątrz, do ogrodu.

- Widzi pan? - spytała pogodnie. - Jakie piękne kwiaty.
- Tak - zgodził się. - Widzę, jakie piękne kwiaty.

Stał z rękami opuszczonymi bezwładnie wzdłuż boków, spoglądając na róże w kilku odmianach, niecierpki, nagietki i stokrotki, na schludne rzędkie fiołków, żonkili i innych kwiatów. Ich widok oraz zapach sprawiły, że na krótką chwilę rozluźnił ramiona, na co dzień spięte nieustającym stresem.

- Kwitnienie - odezwał się po chwili. - Kwitnienie zaczyna się wcześniej. Dłuższy okres, a potem kwitnienie. Nie ma smutnych wakacji bez kwitnienia. To sprawia, że jesteśmy smutni.

- Ale dlaczego pan się smuci, panie Uday? - spytała pomoc pielęgniarska. - Taki piękny dzień. Tutaj nie ma smutnych wakacji.

- Nie - odparł Uday. - Tutaj też będą smutne wakacje. Nawet tutaj.

DZIELNICA LINDEN HILLS, MINNEAPOLIS, MINNESOTA

Drzewa ocieniały ogródek przed kawiarnią Sebastiana Joego z trzech stron, z czwartej sąsiedował on z chodnikiem ruchliwej ulicy. Mike Callan i Dale Miller siedzieli przy stoliku, zwrócenii twarzami właśnie ku Czterdziestej Czwartej. Mieli na co patrzeć: rowerzyści wracali z przejażdżki wokół Jeziora Harriet, odległego zaledwie o kilkaset metrów, a opaleni zakochani spacerowali, trzymając się za ręce i liżąc lody, z których sływał lokal Sebastiana Joego. W samym ogródku nie brakowało klientów siedzących w cieniu jak Miller i Callan i przyglądających się leniwemu nurtowi letniego tłumu.

- Jesteś tu jak rekin wśród płotek - powiedział Callan.
- Nic się nie zmieniłeś, Mike - odparł Dale.
- Co powiesz na moją propozycję?

Dale musnął palcem łącznik okularów marki Ray-Ban.

- Nie wiem. Muszę się zastanowić i pogadać z Niną.
- Aż tak poważna znajomość?
- Nina liczy się we wszystkim, co robię.
- Zazdroszczę ci. Margie była moim ostatnim podejściem do kwestii udomowienia. Odeszła, zostawiając mnie bez grosza.
- Z nami jest inaczej.

Callan skinął głową, spoglądając na niewysoką, szczupłą blondynkę, która przebiegała właśnie chodnikiem.

- Dostałbyś wolną rękę... Sam dobraćbyś sobie ekipę. Odpowiadałbyś wyłącznie przede mną. Ja podpisywałbym czeki, mnie składałbyś raporty.

- Jak powiedziałem, muszę się zastanowić.
- Nad czym chcesz się zastanawiać? Szkolenie policyjnych antyterrorystów aż tak cię podnieca? Przecież wiem, że przydałaby ci się gotówka. Przyjrzałem się twoim finansom...

Dale zaśmiał się z cicha.

- Chyba nie będziesz kręcił nosem na dwa tysiące dziennie.

Dale uniósł szklankę z mrożoną herbatą i zakręcił na wpół roztopioną kostką lodu.

- Masz rację, nie będę. Ale minęło sporo czasu, odkąd robiłem w ochronie. I naprawdę musiałbym skompletować zespół. Właściwie dlaczego nie weźmiesz do tej roboty jednej ze swoich gotowych ekip? Nie mów mi, że Kroner-O'Hanrahan nie ma zespołów do ochrony VIP-ów.

- Przecież wiesz, że mamy. Ale chcemy ciebie. Jesteś tu, na miejscu, i masz świetny kontakt z lokalną policją.

- Tylko nie wiem, czy znowu chcę się pakować w tego typu kłopoty.

Callan skrzyżował ramiona na piersiach.

- Za bardzo przywykłeś do łatwego życia, bracie. Ale i tak nikogo nie oszukasz, do szczęścia potrzeba ci odrobiny ryzyka.

- Podoba mi się to, co robię.

- Możliwe. Słuchaj, może przejedziesz się ze mną, żeby rzucić okiem na podopiecznego? Facet jest w kiepskiej formie, potrzebuje opieki najlepszych fachowców.

Dale przyglądał się przez chwilę ptakowi, który przysiadł na gałęzi i zaraz odleciał.

- Ile miałyby potrwać ta robota? Umowa na czas nieokreślony nie wchodzi w grę.
Callan odwrócił się i pochylił w jego stronę.

- Tylko kilka tygodni. Do czasu, aż góra zdecyduje, czy facet zostaje tutaj, czy przenosi się w bezpieczniejsze miejsce, z dochodzącymi lekarzami. Pewnie przenieśliby go już dawno, gdyby nie to, że w ośrodku pracują najlepsi specjaliści i nie świadczą usług na zewnątrz. Chcą mieć pełną kontrolę nad własnym podwórkiem, czy można ich za to winić? W tym, co robią, naprawdę są najlepsi na świecie. I dlatego będzie tak, jak powiedziałem: tylko kilka tygodni.

- I mogę wziąć ze sobą, kogokolwiek zechcę?

- Mogę ci dać krótką listę doświadczonych operatorów, którzy ostatnio działają na własny rachunek, jeżeli potrzebujesz. Jeśli wolisz, weź, kogo chcesz, choćby i tutejszych. Wszystko zależy od ciebie.

Dale zsunął się nieco na krzeselku i rozprostował nogi. Łyknął mrożonej herbaty i przetarł ręką miejsce na koszuli, gdzie skapnęło kilka kropel wody z zimnej szklanki.

- Rozejrzyj się, Mike. To jest prawdziwe życie. Ludzie dobrze się bawią, wychowują dzieci, chodzą do pracy. Nie czujesz czasem, że coś ci umyka?

- Lubię swoją robotę - odparł Callan.

- Ja też. Od początku do końca.

Nina Capushek była trzydziestoczteroletnią brunetką o twarzy modelki i umięśnionym ciele. Była też szanowanym detektywem w Wydziale Przystępstw Seksualnych Specjalnej Jednostki Dochodzeniowej policji Minneapolis. Kiedy zostali parą, Dale wprowadził się do jej mieszkania nad Harriet, zaledwie dwie przecznice od kawiarnio-lodziarni, w której tak często bywał.

- Jak sądzisz, co powinienem zrobić? - spytał, gdy usiedli w salonie, przy wielkich oknach, z widokiem na taflę jeziora i obsadzone drzewami ścieżki wiodące wzdłuż brzegu.

- Nie do mnie należy decyzja - odparła Nina. - To twoja rzecz. Nie potrzebujemy pieniędzy, ale też nie wydaje mi się, żebyś chciał to zrobić wyłącznie dla forsy. Brakuje ci akcji, a nie sądzę, żebyś wystarczająco się wyżywał, prowadząc szkolenia czy nawet jeżdżąc od czasu do czasu z jednostką szybkiego reagowania. Mam wrażenie, że przydałaby ci się jakaś misja. I wcale nie potrzebujesz mojego pozwolenia.

- Nie sugeruję, że potrzebuję pozwolenia - odparł z naciskiem. - Raczej twojej rady.

- W takim razie powiem ci, że chyba już podjąłeś decyzję. Sprawdzasz tylko, czy ktoś zdoła cię nakłonić do zmiany zdania. Będziesz dowodził, masz wolną rękę i operacja nie potrwa długo, dobrze zrozumiałam? Kilka tygodni? Więc czemu nie? Forsa przyda się na wakacje.

- Mówisz tak, jakby to było proste.

- Będzie trudne, jeśli sam będziesz sobie przeszkadzał. Dlaczego nie miałbyś tego zrobić?

- Nie wiem, czy chcę znowu mieć do czynienia z rządowymi agencjami, nawet jeśli trzymają się z daleka i udają, że nie będą się wtrącać.

- Trudno cię za to winić. Ale z drugiej strony to naprawdę krótki termin, robotę nadzoruje twój dobry przyjaciel, a w dodatku to tylko kontrakt - możesz odejść, kiedy zechcesz.

- Masz rację.

- Jasne, że mam - przytaknęła Nina i położyła dłoń na jego udzie. - Chcesz pobiegać, a potem pójść ze mną do łóżka, czy wolisz na odwrót?

JEZIORO HARRIET, MINNEAPOLIS, MINNESOTA

Firma Kroner-O'Hanrahan była światowym liderem w branży ochrony i bezpieczeństwa, a jej kierownictwo przywiązywało wielką wagę do tego, by pracownicy na odpowiedzialnych stanowiskach posługiwali się wyłącznie najnowocześniejszym sprzętem łączności. To dlatego Mike Callan mógł swobodnie rozmawiać przez telefon komórkowy, używając szyfrowanego łącza, siedząc spokojnie na ławce nad jeziorem i podziwiając przebiegające alejką kobiety o wysportowanych i opalonych ciałach.

- Uday był kimś znacznie ważniejszym, niż sądziliśmy - powiedział Callan. - Spędziłem dzień w drodze między siedzibą miejscowej policji a centralą firmy, która

miała kontrakt na ochronę. Facet, który został zabity, miał przy sobie dowód tożsamości należący do Udaya. Przeszedł też operację plastyczną, żeby wyglądać jak Uday.

- Dubler? - zdziwił się Ray.

- Tak jest. Saddam postarał się, żeby tylko najbliżsi współpracownicy i najważniejsze osoby w państwie miały sobowtórów. Co więcej, dotyczyło to tylko tych, którzy byli mu absolutnie niezbędni i którym groziła śmierć. Zamordowany był prywatnym sekretarzem Udaya jeszcze w Iraku.

- Zatem Bliźniaczki były przekonane, że załatwiają Udaya? - upewnił się Ray. - To on był głównym celem?

- Tak.

- Coraz ciekawiej. Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Wiem niewiele więcej niż na początku. Gość był ważną figurą i osobistym znajomym Saddama. Załapał się na czystkę, którą dyktator urządził po ucieczce Husajna Kamela. Zdychał w więzieniach, zanim żona i sekretarz zebrali forszę, zapłacili łapówkę i wywieźli go z kraju tuż po zakończeniu wojny. Teraz są w Stanach.

- Wiadomo, co robił dla Saddama?

- Możemy tylko zgadywać - odparł Callan. - Facet jest wrakiem. Zupełnie zwariował, stracił kontakt z rzeczywistością. To jeden z najgorszych przypadków załamania wywołanego torturami, jakie widziano w ośrodku, a widziano tam na pewno najstraszniejsze rzeczy, jakie tylko można sobie wyobrazić.

- Musimy dowiedzieć się więcej o Rhamanie Udayu - rzekł Ray. - Niech Dale monitoruje jego sesje terapeutyczne i spróbuje coś wywęszyć.

- Musisz dać mu trochę czasu - odparł zirytowany Callan. - Dale jeszcze nie zaczął roboty, a ty już mu dokładasz nowe obowiązki.

- Masz rację - odrzekł gładko Dalton. W jego głosie nie było śladu skruchy. - Ale kiedy zaczniesz, niech o tym pamięta.

*DZIELNICA LINDEN HILLS/OŚRODEK REHABILITACJI OFIAR TORTUR,
CAMPUS UNIWERSYTETU MINNESOTY, MINNEAPOLIS, MINNESOTA*

Charley siedział przy stoliku przed restauracją Linden Hills Diner, wygrzewając się w słońcu jak kot. I podobnie jak kot, lypał na świat jednym okiem, obserwując zwłaszcza Dale'a Millera, który jak zawsze tkwił na swoim miejscu po przeciwnej stronie ulicy, u Sebastiana Joego. W końcu Miller podniósł się z krzeselka, przeszedł kilkadziesiąt metrów chodnikiem i przystanął dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym siedział Charley. Odczekał, aż przejechała fala samochodów, po czym truchtem przebiegł na drugą stronę ulicy.

- Mogę się przysiąść? - spytał.

Charley odsunął nogą jedno z krzeseł.

- Siadaj. W towarzystwie przyjemniej.

Dale usiadł i wyjął kartę dań spod sprężynującego uchwyty na rogu stolika.

- Dają tu coś dobrego?
- Same dobre rzeczy. Lubisz kawę?
- No.
- To spróbuj specjalności zakładu. Niezrównana mieszanka.

Kelnerka, która wyłoniła się z cienistego wnętrza restauracji, zawisła nad ramieniem Charleya.

- Przyprowadziłeś przyjaciela? - spytała.
- Jedyne, jakiego mam, Jan. Przynieś mu tej waszej pysznej kawy.
- Robi się, Charley - odpowiedziała Jan, uśmiechając się promiennie. - Czy przyjaciel Charleya życzy sobie coś jeszcze?

- Wystarczy kawa - odparł Dale. - Dziękuję.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, przyglądając się sobie nawzajem. Jan przyniosła wielki kubek z kawą, postawiła go na stoliku przed Dale'em i zniknęła we wnętrzu restauracji.

Dale podmuchał, powąchał i przez chwilę analizował zapach.

- Dobra - stwierdził w końcu.
- Zdecydowałeś się pożyczyć mi broń? - spytał Charley.
- Niewykluczone - odparł Miller. - Chociaż dziwię się, że gość z taką przeszłością nie ma małego arsenału w zanadrzu.

- Z przeszłością? Sprawdzalesz mnie?

- Trochę. A ty mnie?

- Wcale. Pomyślałem, że pewnego dnia wpadniesz tutaj i opowiesz mi co nieco.

- Charley Payne - odrzekł Dale. - Przed kilku laty strzelec w Sztapie Akcji Specjalnych. Wcześniej ostro działałeś na Okinawie, w Kompanii Charley. Twoim sierżantem był tam Filipińczyk, Evan Coronas. Przeszedł później do Delty i tam go poznałem.

- Spędziliście razem trochę czasu?

- Tak. W zasadzie to najpierw w Siódmej Grupie, potem w Delcie. A później w Dominance Rain.

- Właśnie zrobiłeś na mnie wrażenie.

Dale wzruszył ramionami i upił łyk kawy.

- A ty na mnie. Niewielu ludzi wie o tej jednostce.
- Nasi współpracowali z wami niejednym razem, o ile tylko szefowie nie próbowali włączyć sobie w drogę.

- Nie za moich czasów.

Charley kiwnął głową i potarł palcem grzbiet nosa.

- Parę lat temu brałeś udział w obławie na tego gwałciciela z Zielonych Beretów - powiedział.

Zauważył, że Dale zacisnął usta, jakby kawa nagle zaczęła go parzyć.

- Zgadza się - przyznał Miller.
- Paskudna sprawa.
- W każdym razie nie dla słabych. Pozwolisz, że spytam... właściwie dlaczego odszedłeś?

- Miałem dość biurokratów, którzy próbowali rządzić akcjami w terenie. Miałem też dość tego, że naprawdę porządni ludzie się marnowali - w każdym znaczeniu tego słowa - podczas niepotrzebnych misji wymyślonych przez zasmarkanych gryzipiórków.

Dale pokiwał głową i przyknął oczy.

- To fakt, że nie brakuje takich na rządowych posadkach - powiedział.

- Też na to wpadłeś?

- Jak najbardziej.

Charley zabębnił palcami po blacie. Dale upił łyk kawy, a potem odstawił kubek, rozparł się na ogrodowym krzeselku i splótł dłonie na płaskim brzuchu.

- Jak ci się podoba robota fotografa? - spytał.

- A co ciebie sprowadziło do Minneapolis? - odpowiedział pytaniem Charley.

- To samo, o czym mówiłeś. Zostałem tu, bo nie chciałem wracać. Poza tym znalazłem kobietę.

- Aaa - mruknął Charley. - Kobiety. Nawet psy wojny ulegają im od czasu do czasu, nieprawdaż?

- Ty też?

- Ja miałem tu tylko przyjaciela. To on załatwił mi robotę dla policji. Ale pstrykałem zdjęcia już wcześniej.

- W podsłuchu i obserwacji?

- Nie, byłem normalnym operatorem. Ale znalazłem sobie hobby. Sprzedałem parę zdjęć po Pustynnej Tarczy i Burzy. Wtedy naprawdę się do tego zapaliłem. Kiedy byłem gotowy zrezygnować z jednego zajęcia, miałem już drugie w zanadrzu. Lubię to, co robię.

- To ciekawa robota. Da się z niej wyżyć?

Charley zaśmiał się lekko.

- Jako tako, przyjacielu. Jako tako. Nie będę bogaczem, tyle mogę ci powiedzieć.

- A zastanawiałeś się kiedy nad dorywczą robotą na pół etatu?

Charley zgarbił się nieco, ale zaraz powrócił do poprzedniej pozycji.

- Co masz na myśli?

Dale potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Chyba wyszedłem z wprawy w gadaniu - powiedział.

- Z takimi jak my najlepiej walić prosto z mostu.

- Więc posłuchaj: czy byłbyś zainteresowany kilkutygodniową, niebezpieczną misją ochrony VIP-a?

- No, tego się nie spodziewałem - przyznał Charley.

- Facet, którego tu stuknęli - ciągnął Dale - nie był prawdziwym celem. To jego szef miał zginąć.

- Zaraz, zaraz. Chcesz powiedzieć, że miałeś coś wspólnego z tą egzekucją?

- Teraz mam.

- To poważna sprawa.

- Nie inaczej. Byłbyś numerem drugim w ekipie. Tysiąc pięćset dolców dziennie plus wydatki.

- Kwota mi się podoba, ale wolałbym wiedzieć więcej o samej robocie.

- Misja potrwa kilka tygodni. Znasz się na tym, nic nowego. Nie będziesz musiał wyjeżdżać, bo pracujemy tu, w mieście.

- Jest coś jeszcze - odparł Charley. - W jakiej jesteś formie?

- Trochę zardzewiałem, ale pamiętam co i jak. Poza tym będą z nami i inni, oni są na bieżąco.

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

- A ja myślę, że tak. Siedzisz tu codziennie, popijasz kawę i wsuwasz bułki. Pstrykasz fotki, czasem dla glin, ale najczęściej dla siebie. A po paru tygodniach pracy ze mną - krótki kontrakt, wchodzisz i wychodzisz - będziesz mógł kupić sobie mnóstwo wolnego i beztrudnego czasu. Zrobisz z nim, co zechcesz. Prawdę mówiąc, Charley, sądzę, że spodoba ci się ta robotka. Fakt, ja też musiałem się nad tym zastanowić, ale teraz już wiem: dobrze jest znowu podjąć się misji. A ty, Charley, masz jakąś misję?

Payne zdjął okulary przeciwsłoneczne i przetarł oczy, a potem wygładził zmarszczone brwi. Spojrzał na Dale'a z zamierzoną obojętnością.

- Nieźle mnie podszedłeś - powiedział.

- To wcale nie tak - zaproponował Dale.

- Tak po prostu chciałbyś, żeby „rewolwerowiec” z sąsiedztwa pojechał z tobą na wycieczkę?

- Każdy, kto doczekał się w tym zawodzie siwych włosów, jest dla mnie partnerem, z którym chętnie popracuję.

Charley roześmiał się głośno, odchylając głowę. Po chwili znowu spojrzał na młodszego towarzysza.

- To jak jazda na rowerze, prawda? - Pochylił się na krześle. - Jasne. Czemu nie. Przyda mi się forsa.

Pozostali dwaj członkowie zespołu, Harrison i Ford, byli dobraną parą. Obaj służyli wcześniej jako podoficerowie w Siłach Specjalnych i obaj po zakończeniu kariery wojskowej zajmowali się ochroną VIP-ów. Callan zaliczał ich do swych najlepszych agentów i chętnie korzystał z ich usług. Harrison był niski i krępy, imponująco umięśniony, jego partner Ford zaś - chudy jak szczapa, istny maratończyk pełen niespożytej, nerwowej energii. Pracowali razem i zaledwie przed tygodniem wrócili z Ohio, gdzie przez dłuższy czas ochraniali ważną osobistość.

Przejęcie sprawy odbyło się szybko i bez problemów. Zespoły agentów federalnych pojawiły się w biurze prywatnej firmy ochroniarskiej, która do tej pory opiekowała się Udayem. Jej szef był bardzo szczęśliwy, że pozbywa się sprawy i klienta, który nagle stał się osobą znaczącą dla bezpieczeństwa narodowego, a zatem i bardziej zagrożonym celem. Ekipa szeryfów federalnych wzięła pod opiekę panią Uday, która szybko zniknęła w trybach maszyny zwanej Programem Ochrony Świadców, by czekać na męża. Dale dostał teczkę podopiecznego, wysłuchał szczegółowego wprowadzenia Mike'a Callana, a następnie został przedstawiony doktor Rowan Green, podczas gdy Harrison, Ford i Charley Payne pieszo zwiedzali urokliwe zakątki ośrodka rehabilitacji.

- Czy zdarzały się tu incydenty związane z naruszeniem strefy ochronnej? - spytał Miller.

- Nie - odparła doktor Green. - Nawet nie wiedzieliśmy o związku naszego pacjenta z wydarzeniami w Linden Hills. Musi pan przyznać, że środki bezpieczeństwa, które pan tu widział, są dobre. Ale najlepszą ochroną jest dyskrecja - nie ujawniamy informacji o tym, kto jest naszym pacjentem i gdzie dokładnie przebywa.

- Jak się miewa pan Uday?

- A ile pan wie o psychologii?

- Prawie nic - odparł Dale.

- Tortury czynią w umyśle straszliwe spustoszenia. Pan Uday jest chory. Kiedy nie bierze leków, słyszy głosy. Czasem nawet podczas kuracji, w najlepszych warunkach, ma bardzo słaby kontakt z rzeczywistością. Zdarza się, że zachowuje się prawie normalnie i potrafi prowadzić sensowną rozmowę. Najczęściej jednak niewiele rozumie z tego, co dzieje się wokół niego. Ledwie rozpoznaje żonę, która odwiedza go od czasu do czasu.

- Mogę go zobaczyć?

- Naturalnie. Będziemy z panami współpracować tak ściśle, jak to możliwe.

Dale wyszedł z gabinetu w ślad za lekarką. Ruszyli w głąb korytarza i po chwili doktor Green zatrzymała się przed drzwiami z niewielkim okienkiem. Dale zajrzał do środka i zobaczył wysokiego mężczyznę o śniadej cerze, przygarbionego i wychudłego, ubranego w niebiesko-złoty dres. Pacjent spoglądał przez okno na ogród. Doktor Green otworzyła drzwi i razem weszli do środka.

- Panie Uday? - powiedziała. - Ma pan gościa.

Uday jeszcze przez chwilę wypatrywał czegoś za szybą, a potem odwrócił się niespiesznie. Przez dłuższy czas mierzył Dale'a wzrokiem, zanim się odezwał.

- To nie Jedyny. Jest nowy, ale to nie Jedyny.

- Kto nie jest Jedynym? - spytała doktor Green.

- Ten, który przyszedł, nie jest Jedynym - odrzekł Uday. - Jest z tego samego rodzaju, ale to nie Jedyny.

- O czym on mówi? - spytał cicho Dale.

- To element jego urojeń... Pacjent zbudował sobie wewnętrzną rzeczywistość, co pomogło mu przetrwać najcięższe tortury. „Jedyny” jest dla niego postacią o dużym znaczeniu. Jeśli posłucha go pan dłużej, przekona się pan, że Jedyny wciąż powraca w jego wypowiedziach, podobnie jak kilka innych wątków. O ile nam wiadomo, pan Uday znał osobiście Saddama Husajna.

Irakijczyk spojrział na Dale'a pustymi, ciemnymi oczami.

- Będiesz miał smutne wakacje. Wszyscy będziemy mieli smutne wakacje. Nawet Jedyny. I tyle powinieneś wiedzieć.

- Co robi pacjent w chwili stresu? - spytał Dale. - Czego mogę się spodziewać, jeżeli będę musiał zabrać go stąd w pośpiechu i uciekać?

- Najprawdopodobniej wyłączy się, zwinięty w kłębek. W obliczu przemocy będzie się opierał i nie pozwoli, by wyrwano go z tej obronnej pozycji.

- Nie istnieje żadna obronna pozycja - wtrącił Uday zaskakująco głębokim głosem. - Możemy mówić, że jest inaczej, ale ona nie istnieje. Nie ma dokąd uciec, chyba że z Jedynym, a on jest na smutnych wakacjach.

- Co to znaczy „smutne wakacje”? - spytał Dale.

- Nie wiemy - odpowiedziała doktor Green. - Pan Uday wciąż mówi o Jedynym i o smutnych wakacjach, ale nie udało nam się odnaleźć w tym sensu. Mogę przejrzeć z panem notatki z terapii, ale obawiam się, że i tak do niczego nie dojdziemy w tej sprawie.

- Gdybyśmy wiedzieli, być może łatwiej byłoby ustalić, dlaczego ktoś chce go zabić. Czy kiedykolwiek mówił o tym, czym się zajmował w Iraku? Wiadomo coś o jego przeszłości?

- Nie. Tylko tyle, że zajmował wysokie stanowisko i łączyła go zażyłość z Saddamem Husajnem i jego zięciem.

Dale zerknął ukradkiem na złamanego człowieka, a ten odpowiedział mu prostolinijnym spojrzeniem dziecka.

- Spodziewałem się, że będzie wyglądał inaczej - przyznał Dale.

- Dlaczego? - zdziwiła się Green.

- Chyba miałem inne wyobrażenie o ofiarach tortur.

- Większość z nich wygląda zupełnie normalnie, panie Miller. Łączy je tylko jedno: są złamane. Widać to w mowie ciała, jeśli tylko dobrze się przyjrzeć. Proszę spojrzeć na jego postawę, na skulone ramiona, jakby się garbił. Proszę sobie wyobrazić, że skulił się jeszcze bardziej - byłaby to pozycja płodowa, którą przyjmujemy zawsze, gdy coś nas przytłacza. To także podstawowa pozycja obronna, gdy ktoś nas bije.

- Naprawdę nie znamy żadnych szczegółów z jego życia? Nic nie wiemy o wykształceniu, przeszkoleniu wojskowym?

- Tylko tyle, ile zdradziła nam żona. Pan Uday nie służył w wojsku, chociaż z racji wysokiej pozycji cieszył się pewnymi przywilejami zarezerwowanymi dla oficerów armii. Kształcił się w Iraku i w Anglii. Uzyskał stopień naukowy z biochemii.

- Z biochemii?

- Tak twierdzi jego żona.

Dale odwrócił się i raz jeszcze spojrzął na ofiarę tortur. Na biochemika.

*OŚRODEK REHABILITACJI OFIAR TORTUR, CAMPUS UNIWERSYTETU
MINNESOTY, MINNEAPOLIS, MINNESOTA*

Ten, kto chce kogoś chronić, musi umieć myśleć tak jak napastnik. Kto chce bronić kogoś przed terrorystą, musi myśleć jak terrorysta. Niezbędną umiejętnością, którą musi posiadać obrońca, jest umiejętność przewidywania posunięć przeciwnika. Dale Miller, Charley Payne i ich dwaj towarzysze posiadli tę umiejętność w bardzo wysokim stopniu. Poznając Ośrodek Rehabilitacji Ofiar Tortur, starali się przemierzać jego teren tak, jak czyniłby to intruz - analizując możliwe drogi dostępu, punkty osłony, położenie zaopatrzonych w alarmy wejść, rozmieszczenie źródeł światła oraz miejsc, w których nocą bywa najciemniej. We wnętrzu starego, wiktoriańskiego budynku wyszukali wszystkie możliwe punkty penetracji, obejrzeni zamki w drzwiach, zabezpieczenia okien, a także zbadali wszelkie drogi prowadzące do pokoju, w którym sypiał ich podopieczny. Dyskutowali o scenariuszach ataku, począwszy od dyskretnego aż po atak zbrojny na wielką skalę, i razem opracowywali szczegółowe plany na każdą ewentualność. Czteroosobową drużynę trudno było nazwać liczną, ale doświadczenie każdego z jej członków czyniło ich naprawdę niebezpiecznymi przeciwnikami. Wiedzieli, że siłą zespołu ochrony nie jest jego zdolność bojowa, ale umiejętność unikania walki i - w razie potrzeby - ewakuowania podopiecznego. Dlatego też, choć każdy z nich potrafił walczyć - i to bardzo dobrze - nie zapominali o podstawowej zasadzie obowiązującej w tym rzemiośle: ochroniarz, który sięga po broń, to ochroniarz, który nie przygotował się do akcji i nie był wystarczająco czujny. A także ochroniarz martwy, tylko jeszcze tego nieświadomy.

Choć i Dale, i Charley mieli doświadczenie w ochronie, szybko nauczyli się polegać na rutynie Harrisona i Forda. Ten pierwszy był szczególnie dobry w rozpoznaniu i wstępnym planowaniu; Dale'owi podobał się jego sposób myślenia. Atletyczny były operator Sił Specjalnych miał naprawdę bystry i podstępny umysł. Wyobrażał sobie najbardziej wyrafinowane plany ataku, które następnie rozpracowywali całą grupą, szukając najskuteczniejszych metod obrony. Jego chudy jak chart partner, Ford, był raczej dyplomatą z charakteru. Lubiany przez personel ośrodka, stał się drugim łącznikiem między zespołem a miejscowymi, oczywiście po Dale'u. Pracowali systemem dwanaście na dwanaście godzin, przy czym odpoczywająca para pozostawała w budynku, w jednym z wolnych pokoi.

Dale opuścił sypialnię, którą zamienili na centrum operacyjne, podszedł do drzwi Udaya, zapukał lekko i wszedł do środka. Ubrany już pacjent stał przy oknie, jak zawsze z upodobaniem przypatrując się kwiatom.

- Dzień dobry, panie Uday - powiedział Dale.
- Jaki miły poranek - odparł Irakijczyk. - Poranek po nocy. A noc była spokojna.
- Cieszy mnie to.

Miller delikatnie ujął podopiecznego pod ramię i poprowadził w stronę drzwi. W pierwszej chwili Uday zeszytywniał, czując dotyk, ale zaraz się rozluźnił. Dale poszedł z nim korytarzem do sali, w której pacjenci jadali posiłki wspólnie z personelem ośrodka. Posadził go przy stole, a ubrana na białą salowa przyniosła tacę ze

śniadaniem. Dale upił łyk kawy i uklonił się doktor Green, która siedziała niedaleko wśród współpracowników. Skinęła ręką, przywołując go do siebie.

- Przepraszam, panie Uday - powiedział Dale, wstając od stołu.

Pacjent nie odpowiedział, skupiony na opychaniu się owsianką. Dale zabrał ze sobą kawę i zajął wolne miejsce przy stoliku lekarki.

- Jak minęła noc, panie Miller? - spytała.

- Jak najspokojniej. Czyli tak, jak lubię. A pani?

- Też dobrze. Jak się dziś miewa pan Uday?

- Zdaje się, że nasze towarzystwo mu służy.

- Niedługo zabieram go na terapię.

- Wiem, zgodnie z planem. Pozwoli pani, że pójdę z nim?

- Czy to konieczne?

- Nie. A czy to będzie problem?

- Raczej nie - odparła doktor Green. - Czyżby coś pana niepokoiło?

- Bardzo mnie ciekawią niektóre wątki pojawiające się w jego wypowiedziach.

Na przykład te uporcezywe wzmianki o smutnych wakacjach. Nie dostrzega pani żadnego klucza?

- Całkiem możliwe, że te słowa nic nie znaczą. W tym momencie nie mam żadnej teorii na ten temat. To powracający motyw, ale urojenia pana Udaya wciąż mają mocno wewnętrzny charakter i dostrzegamy jedynie ich małe fragmenty, które ujawnia. Niewiele materiału, na którym możemy pracować: smutne wakacje i Jedyny.

- A czy udało się pani ustalić, dlaczego był torturowany? Może to przypadek, związany z tym, że Uday tak blisko współpracował z Saddamem?

- Nic nam nie wiadomo na ten temat - odparła doktor Green.

- Smutne wakacje - mruknął Dale. - Ciekawe, co to znaczy.

Charley Payne był zadowolony ze swej nowej pracy. Spacerował po starannie przystrzyżonych trawnikach, pomiędzy wypielegnowanymi klombami kwiatów otaczającymi wiktoriańską rezydencję, i raczył się świeżym, letnim powietrzem. Zatrzymał się na pewien czas na rozległej polaci trawy skąpanej w słońcu, przymknął oczy i zaczął wygrzewać się z lubością.

Życie jest piękne.

Kasował tysiąc pięćset dolarów dziennie, nie licząc zwrotu niewielkich przecież wydatków, a do tego pracował z naprawdę dobrą załogą. Niemałą przyjemność sprawiały mu rozmowy z Dale'em, który był dobrym dowódcą - wystarczająco doświadczonej i pewnym siebie, by jasno wyrażać swoje życzenia, a zarazem nie wchodzić w drogę ludziom, gdy pracowali. Charley był naprawdę zadowolony. Dale miał diabelnie ciekawą karierę, o czym można było wnioskować na podstawie przypadkiem wtrącanych zdań w ich częstych rozmowach. Payne nie narzekał też na stosunki z resztą zespołu. Przebywanie z młodszymi przypominało mu - wywołując lekką gorycz - o własnej przeszłości w Agencji. Wiedział, że najlepsze czasy ma już za sobą, podczas gdy Dale dopiero wkracza w najciekawszą fazę zawodowej aktywności. Zastanawiał się, co młody dowódca zamierza robić po zakończeniu tej roboty. On, Charley, miał swoje fotografowanie. Miller nie miał nic, żadnej misji. Tłumiony dotąd

mentorski instynkt nakazywał Charleyowi wziąć Dale'a pod swe skrzydła, zachęcić do poszukania zajęcia, w którym mógłby się zatracić. Stary wyga miał jednak dość rozsądku, by ugryźć się w język i pozwolić młodemu działać samodzielnie.

Miał wrażenie, że to początek życiowej mądrości: wiedzieć, kiedy nie należy się odzywać.

Charley opuścił rękę i musnął łokciem kaburę z glockiem, którą miał pod koszulą. Był ubrany w lewisy i wypuszczoną na wierzch dżinsową koszulę z krótkim rękawem. W jej kieszeni miał małą krótkofalówkę, a w uchu podłączoną do niej słuchawkę. Zespół był na tyle mały, że wystarczała jedna wspólna częstotliwość.

- Jeden-Zero, tu Jeden-Dwa - powiedział.

- Tu Jeden-Zero, mów - odezwał się metaliczny igłos Dale'a w słuchawce.

- Na trzeciej czysto - zameldował Charley.

- Przyjąłem, czysto - odparł Dale. - Jeden-Zero bez odbioru.

Charley ruszył dalej, kontynuując obchód. Wspiął się po stoku niewielkiego wzniesienia osłaniającego budynek. Wiła się wokół niego na kształt podkowy droga dojazdowa łącząca pobliską aleję z parkingiem przed wejściem do ośrodka. Wzdłuż alei ciągnęła się ścieżka dla rowerzystów i biegaczy. Stojąc na szczycie pagórka, Charley widział kilku miłośników joggingu oraz samotną rowerzystkę pedałującą w wolnym tempie.

To był naprawdę piękny dzień. Ani śladu zagrożenia.

Marika Tormay pedałowała najwolniej, jak umiała, ale nie zatrzymywała się. Zauważyła samotnego mężczyznę, który stanął na szczycie niskiego pagórka oddzielającego ośrodek rehabilitacji od drogi. Od kilku dni pokonywała tę trasę po kilka razy dziennie, wypatrując wszelkich oznak aktywności ochrony. Tu, na skraju terenów należących do kampusu uniwersyteckiego, zawsze widywało się mundury lokalnej policji, jednak ostatnio pojawił się nowy przeciwnik: mężczyźni w cywilnych ubraniach, kręcący się w pobliżu budynku ośrodka. Nie należeli do personelu i z pewnością nie byli pacjentami. Uwaga, z jaką obserwowali okolicę i pojawiających się w niej ludzi, wskazywała jednoznacznie, że są pracownikami ochrony.

Marika skręciła w drogę dojazdową i zrobiła pętlę, zahaczając o podjazd do budynku. Nikt jej nie zaczepiał, ale przez cały czas czuła, że jest bacznie obserwowana przez mężczyznę pilnującego ogrodu, do którego po chwili dołączył drugi. Obaj byli muskularni, ubrani całkiem zwyczajnie, z koszulami na wierzchu, bez wątplenia po to, by ukryć broń. W ich wyglądzie było coś charakterystycznego, a Marika miała spore doświadczenie w kontaktach z takimi mężczyznami. Ćwiczyła oko najpierw na Zachodnim Brzegu, potem w Bejrucie, a jeszcze później w libańskiej dolinie Bekaa. Jako wywiadowca siatki znanej jako Al-Bashira była do tej pory tak zwanym uśpionym agentem - wiodła zwyczajne życie w wielkiej, kosmopolitycznej społeczności uniwersyteckiej Minneapolis i St. Paul, korzystając z wizy studenckiej. Aktywowano ją niedawno, specjalnie po to, by obserwowwała niewielką grupkę uciekinierów z Iraku. Po raz pierwszy spotkała się z innym - również dotąd uśpionym - agentem siatki działającym w rejonie Twin Cities. Razem rozpracowali profil jednego z celów, mężczyzny, który wkrótce potem został zabity podczas nader

spektakularnej akcji. Znacznie trudniej było wytropić kobietę i drugiego mężczyznę. Długo nie udawało się ustalić miejsca pobytu poszukiwanego. Tymczasem kobieta spędzała większość czasu w czterech ścianach dyskretnej kryjówki, chroniona przez dobrą ekipę. Wreszcie zniknęła na dobre, lecz zanim to zrobiła, wraz z małym konwojem samochodów odwiedziła właśnie to miejsce, Ośrodek Rehabilitacji Ofiar Tortur! Marika, która ją śledziła, zdołała dostrzec, że kobieta rozmawia z wysokim, ubranym w dres mężczyzną, któremu towarzyszyła lekarka.

Tak znaleźli trzeci obiekt obserwacji.

Od tamtej pory zbierali dane głównie na terenie ośrodka. Któregoś dnia Marika ubrała się elegancko i złożyła wizytę w biurze firmy zajmującej się odnawianiem wiktoriańskiego budynku, w którym mieścił się ośrodek. Opłaciło się: wyniosła stamtąd kopię planów budowlanych i fotografie wnętrz. Jej partner, milczący i poważny Palestyńczyk, przez wiele dni skrupulatnie i ostrożnie filmował kamerą cyfrową budynek i prowadzące doń drogi. Następnie, korzystając z I-Maca, obrobił materiał tak, by uzyskać szczegółową i zrozumiałą dokumentację na temat ośrodka i jego otoczenia. Wreszcie dotarli do miejsca, w którym nic więcej nie można było ustalić poprzez zewnętrzną obserwację - ktoś musiał dostać się do budynku i sprawdzić, gdzie mieszka poszukiwany, by przenieść wywiadowczą działalność na nowy, wyższy poziom.

Choć Marika Tormay nie była zabójcą, na obozowych szkoleniach dowiedziała się, jakich informacji potrzebują ekipy egzekutorów. Zwykle były to drobiazgi: w którą stronę otwierają się drzwi, jakie mają zamki, jaka odległość dzieli pagórek od budynku, jaki jest czas reakcji lokalnej policji kampusu na alarm w ośrodku, ilu ludzi z ochrony uzbrojonych jest w broń długą... Ten, kto miał zabić poszukiwanego, musiał znać odpowiedzi na te pytania.

Marika wiedziała, że intruzi pojawią się już wkrótce.

AMSTERDAM, HOLANDIA

Youssef bin Hassan siedział samotnie w kawiarni Golden Herb, otoczony dziesiątkami młodych ludzi, których nie kończące się rozmowy opływały go tak, jak strumień opływa kamienie. Niespiesznie sączył kolejną kawę i zastanawiał się, dlaczego nikt nie chce z nim rozmawiać. Tyłu młodych ludzi, z tak wielu krajów, w tym najbardziej przyjaznym z miast, a jednak prawie nikt nie zatrzymał na dłużej spojrzenia na Youssefie bin Hassanie. Nie było tak, że przez cały dzień nikt nie próbował go zagadnąć. Youssef zbywał jednak te nieliczne próby i w zasadzie sam nie wiedział, dlaczego to robi. Wmawiał sobie, że ze względów bezpieczeństwa, ale samotność doskwierała mu coraz bardziej i widać to było w jego twarzy - tym większym zdziwieniem na jego niechęć reagowali ci, którzy odważyli się przełamać otaczającą go barierę milczenia.

Youssef był nowy w siatce Al-Bashiry. Stosunkowo niedawno ukończył szkolenie w jednym z sudańskich obozów. Uśmiechnął się do siebie i potarł palcem gorący

kubek z kawą, wspominając towarzyszy i radosne chwile, które przeżyli razem podczas treningu. Szkolenie było trudne, a obozowe rygory surowe. Poznawał tajniki walki wręcz, posługiwania się bronią oraz taktyki i planowania operacji. Słuchał też licznych i długich wykładów, wygłaszanych przez imamów o przyczynach i naturze walki zbrojnej przeciwko Izraelowi i Stanom Zjednoczonym. Wspólne doświadczenia sprawiły, że Youssef czuł silną więź z towarzyszami ze szkolenia - więź, która dla jedynaka (prawdziwej rzadkości wśród arabskich rodzin) miała szczególne znaczenie.

Jednakże wszystkie wykłady, które miały przygotować go do działania na wrogim terytorium, nie przygotowały go do znoszenia samotności pojedynczego operatora. Pozwolono mu zgolić brodę, nie uczestniczyć w modlitwach, a nawet pić alkohol, gdyby było to niezbędne dla zachowania pozorów, lecz w jednej sprawie obowiązywała go absolutna wstrzeźliwość: nie mógł zwierzać się ze swych problemów współczującym duszom, a jedynie kontrolerom z siatki. Osobiste spotkania z przełożonymi nie były częste, zazwyczaj posługiwali się pocztą elektroniczną. Rozpaczliwie potrzebował kontaktu z żywym człowiekiem. Jako jedyne dziecko w rodzinie nigdy nie nauczył się sztuki niezobowiązującej konwersacji, zwykłej wymiany myśli z otaczającymi go ludźmi. Odwiedzał więc miejscowe kawiarnie, tylko podsłuchując, jak jego rówieśnicy planują wspólne wycieczki i się śmieją.

I wzbierał w nim gniew.

Ziarno goryczy, które nosił w sobie, dostrzegli swego czasu werbownicy Al-Bashiry. Głębokie poczucie samotności osłabło nieco, gdy wstąpił do organizacji terrorystycznej. Czuł się w niej tak, jakby został pracownikiem wielkiej firmy. Były pikniki z rodzinami innych operatorów, imprezy, na których przywódcy bratali się z szeregowymi żołnierzami i oficerami, regularne wypłaty na pokrycie kosztów codziennego życia, a także zadania, które należało wykonać. Teraz Youssef tęsknił za tym wszystkim, a porównanie przeszłości z chwilą bieżącą sprawiło, że poczuł jeszcze większą gorycz.

Pomyślał, że nadszedł właściwy dzień na próbę generalną. Misja, którą miał do wykonania, dotyczyła zupełnie innego miejsca, ale tu miał do dyspozycji właściwy poligon doświadczalny. Dobrze go nauczono, jak ważne jest rozpoznanie i przygotowanie gruntu pod przyszłe operacje. Wiedział, że najlepiej będzie zadziałać właśnie teraz i poczuć satysfakcję z tego, że pewnego dnia jego czyny pokażą światu, iż nie był małą, nic nie znaczącą jednostką. Nie, był przecież kimś, ukrywającą się, lecz ważną postacią, z którą powinni się liczyć ci wszyscy młodzi ludzie, którzy teraz go ignorują.

Dokończył kawę i zostawił drobne na stoliku, nim wyszedł. Zarzucił na ramię torbę z laptopem i kilkoma drobiazgami, po czym ruszył w stronę Dworca Głównego, jego szarych wież i stromego dachu. Na moście nad kanałem zatrzymał się na moment, otoczony tłumem turystów, by popatrzeć na gmach stacji i przechodniów. Potem wszedł do budynku i przemierzył zatłoczony hol, zaciskając w kieszeni dłoń na niewielkiej puszcze atomizera. Wreszcie wyjął ją, ukrywając pojemnik, z kciukiem spoczywającym na klawiszu otwierającym dyszę, i nie zmieniając tempa marszu, zaczął poruszać ręką w możliwie naturalny sposób.

Pierwszym celem była starsza kobieta w eleganckiej, czarnej sukience i pończochach; dawka sprayu trafiła ją w plecy. Kolejne krople wylądowały na rękawie młodzieńca zabawiającego rozmową grupę dziewczyn. Youssef musnął go w marszu, kierując wzrok wprost przed siebie, jakby nic się nie działo. Dwie panny biegły, by zdążyć na pociąg. Spray dosięgnął opasek na ich głowach. Nikt ze spryskanych nie zauważył delikatnej mgiełki, która pomknęła ku nim z tyłu czy z boku. Youssef znał się na rzeczy - ręka, którą kierował dyszę w stronę kolejnych ofiar, poruszała się w zupełnie naturalny sposób. Tego dnia pojemnik zawierał wodę.

Wkrótce miał zostać napełniony czymś zgoła odmiennym.

*OŚRODEK REHABILITACJI OFIAR TORTUR, CAMPUS UNIWERSYTETU
MINNESOTY, MINNEAPOLIS, MINNESOTA*

- Cześć, Daria - powiedział Ford do kucharki, przeciskając się przez wąską kuchnię ku tylnym drzwiom budynku. Miał na sobie sportowe szorty i podkoszulkę. Krótkofalówkę i pistolet ukrył w torebce przy pasie.

- Cześć, Greg - odrzekła młoda Murzynka. - Idziesz pobiegać?

- Parę szybkich ruchów nie zaszkodzi.

- Lubię szybkie ruchy.

Ford wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie chciałbym ci zrobić krzywdy, dziewczyno.

- Niegrzeczny Greg! - skarciła go Daria i zamachnąwszy się ścierką, trzepnęła go w szczupły bok. - No już, zmiataj stąd!

Ford roześmiał się i zniknął za drzwiami. Wyszedł z budynku i z przyzwyczajenia przyjrzał się otoczeniu - najpierw dalszemu, potem bliższemu, zaczynając od szerokiej panoramy i stopniowo zawężając sprawdzany obszar - po czym ruszył truchtem długodystansowca. Przebiegł po niedużym wzniesieniu i dotarł do ścieżki rowerowej równoległej do River Road. Puścił się wzdłuż brzegu Minnesoty, meandrującej na południe. Był to przyjemny szlak: w miarę równy, o łagodnych zakrętach i niezliczonych pagórkach, obsadzony drzewami, a do tego z widokiem na rzekę. Ford biegał zazwyczaj pięć mil i z powrotem. Normalnie nie ćwiczył tak długich dystansów podczas misji, lecz nowy szef kazał mu dbać o formę. Ford lubił Dale'a Millera. Nie pracował z nim nigdy wcześniej, chociaż służyli w Siłach Specjalnych w tym samym czasie. Znał jednak innych ludzi z Deltę i Siódmej Grupy, gdzie obu rzucił los.

Bieganie było ulubionym zajęciem Forda podczas misji. Lubił wsłuchiwać się w rytm własnego ciała i znajdował przyjemność w pokonywaniu kolejnych wzniesień, a także, od czasu do czasu, w rywalizacji z innym miłośnikiem długich dystansów, dorównującym mu klasą. Biegnąc ścieżką, zauważył przed sobą kobietę o płynnych, szybkich i luźnych ruchach ramion i tułowia - bez wątplenia dobrze wyszkoloną zawodniczkę. Przyspieszył nieco i zrównał się z blondynką o włosach spiętych w długi koński ogon.

- Cześć - rzucił między oddechami.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Cześć, nieznajomy. Świetny dzień na bieganie, prawda?

Miała ledwie wyczuwalny obcy akcent.

- Pewnie - zgodził się Ford. - Daleko biegiesz?

- Nie bardzo... Dopiero wychodzę z kontuzji. A ty?

- Pięć mil i z powrotem.

- W takim razie nie zatrzymuję cię - odpowiedziała smukła blondynka.

- Do zobaczenia! - rzucił Ford przez ramię, przyspieszając kroku.

Czuł na plecach rozgrzewające spojrzenie nieznajomej.

Isabelle Andouille zwolniła tempo, rozkoszując się łatwością biegu oraz uczuciem odprężenia po ciasnocie panującej na pokładzie transatlantyckiego samolotu.

Mężczyźni są tacy prości, pomyślała nie pierwszy raz w swej karierze. Nigdy nie uważają kobiet za poważne zagrożenie.

KWATERA GŁÓWNA JEDNOSTKI DOMINANCE RAIN, FAIRFAX, WIRGINIA

- I jak to wszystko wygląda? - spytał Ray Dalton Mike'a Callana.

- Całkiem ciekawie - odparł Callan. - Robota przebiega bez zakłóceń. Załatwiłem Dale'owi dobrą ekipę. Sam namówił Charleya Payne'a, żeby został jego zastępcą.

- Jak sobie radzi Payne?

- Dobrze. Praca idzie im gładko. Nie dostrzegli dotąd żadnych oznak obserwacji z zewnątrz. Pilnują Udaya, sprawdzili środki bezpieczeństwa ośrodka, którego podopieczny nie opuszcza, mają wsparcie policji kampusu... Są w dobrej formie. Payne przeżywa drugą młodość.

- A Dale?

- Nie byłby szczęśliwy, gdyby wiedział, że to ty podpisujesz czeki. Wciąż pamięta tę sprawę z Jonnym Maxwelllem, zapewne podobnie jak inni, którzy mieli z nią coś wspólnego. Ale robi swoje, i to dobrze.

- Co jeszcze?

- Dale uczestniczy w spotkaniach z psychiatrą, podczas których Uday wciąż wspomina o „Jedynym” i o „smutnych wakacjach”. Dale podejrzewa, że to ważny motyw, być może związany z powodem, dla którego facet w ogóle trafił na tortury. Wydaje się, że Saddam był świadkiem, a może nawet współuczestniczył w dręczeniu Udaya, a to oznacza, że nasz podopieczny był cholernie ważną figurą.

- Sugerujesz, że powinniśmy przejąć tę sprawę?

- Nie wiem, czy psychiatrzy Agencji spisaliby się lepiej. Specjaliści w ośrodku są najlepsi na świecie w tym, co robią. Nie sądzę, żeby odebranie im pacjenta było najlepsze dla jego zdrowia. Raczej nie da się wyciągnąć z niego więcej, niż już wiemy. Sugerowałbym, byśmy zaczekali na rozwój wydarzeń. Co macie w komputerach na temat Udaya?

- Niewiele - odparł Ray. - Jest Irakijczykiem, dawniej wysoko postawiony, towarzysko związany z Saddamem, wykonywał tajną robotę. Był też bliskim

współpracownikiem zięcia Saddama, Husajna Kamela, który wyrwał się z kraju na wystarczająco długi czas, by opowiedzieć nam o wszystkim, co wiedział. Kiedy wrócił do Iraku, został aresztowany, poddany torturom i stracony. Uday, którego związki z Kamelem były znane, został zgarnięty przez iracki wywiad i służbę bezpieczeństwa wewnętrznego. Torturowano go aż do obłędu, o ile nam wiadomo wyłącznie dlatego, że przyjaźnił się z Kamelem. Wiemy, że Uday musiał być kimś naprawdę ważnym, ponieważ miał co najmniej jednego sobowtóra, swego sekretarza. Po wojnie rodzina wykupiła go z więzienia za ciężkie pieniądze, a następnie wraz z żoną i osobistym sekretarzem przemyła za granicę. Gdy uciekinierzy dotarli do Stanów, zwróciliśmy na nich uwagę. Szukając schronienia, mając nie załatwione sprawy imigracyjne, przybyli do Minneapolis, gdzie Uday został objęty programem terapeutycznym Ośrodka Rehabilitacji Ofiar Tortur. Sekretarz przejął jego tożsamość i zaczął pokazywać się w mieście w solidnej obstawie, która nie zdała mu się na wiele, gdy Bliźniaczki wzięły go na celownik.

- Zatem Bliźniaczki sądziły, że likwidują Udaya? - upewnił się Callan.

- Tak. Najprawdopodobniej zamierzały też zdjąć - dla porządku - żonę i sekretarza, ale Uday, jak sądzę, był pierwszy na ich liście. Dlaczego jest taki ważny, że sam Saddam nadzorował jego tortury? Dlaczego odkąd uciekł z Iraku, ktoś go tropi i wynajmuje najdroższą i najlepszą ekipę sprzątaczek, by go zlikwidować?

- Dale doniósł mi, że Uday jest z wykształcenia biochemikiem. Co ty na to?

- To by pasowało do bardzo brzydkiego scenariusza, bo Husajn Kamei kierował projektem budowy broni chemicznej i biologicznej.

- A Uday blisko z nim współpracował i był biochemikiem...

- Co oznacza, że sprawa wiąże się z irackim arsenałem BCB.

Ray Dalton odchylił się w głębokim, skórzanym fotelu i złożył dłonie, rozprostowując palce.

- Mógłbym zlecić naszym ludziom poszukiwanie informacji na temat związków Rhamana Udaya z programem budowy broni chemicznej i biologicznej.

Mike Callan pokręcił głową.

- A może lepiej zgarnij Udaya i ukryj go gdzieś, aż wydobrzeje. Może wtedy opowie ci co nieco o tym, co porabiał w Iraku.

- Jak sam powiedziałaś, nie wiadomo, czy udałoby się nam wydobyć z niego coś sensownego. Zmiana mogłaby to wręcz utrudnić. Lepiej niech Dale robi swoje. Niech spróbuje się czegoś dowiedzieć, uczestnicząc w sesjach terapeutycznych.

Ray wstał i podszedł do okna.

- Mam dziwne przeczucie, że coś wymyka nam się spod kontroli, tylko jeszcze nie wiemy co - rzucił przez ramię.

- Bo ja wiem - mruknął Callan. - Posłaliśmy tam dobrych ludzi... niech sprawy potoczą się jeszcze trochę.

- Z zeznań Husajna Kamela wiemy sporo na temat irackiego programu BCB. To była priorytetowa sprawa dla administracji. ..

- Teraz wiesz coś więcej. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Masz rację - odparł Ray Dalton. - Zobaczymy, co z tego wyniknie.

*OŚRODEK REHABILITACJI OFIAR TORTUR, CAMPUS UNIWERSYTETU
MINNESOTY, MINNEAPOLIS, MINNESOTA*

Najlepszą porą na atak są najciemniejsze godziny nocy, tuż przed świtem, gdy naturalny rytm ludzkiego ciała jest najwolniejszy, a mózg z trudem brodzi w gęstej mgle między snem a jawą. Według starej wojskowej zasady należy uderzać wtedy, gdy wróg jest najsłabszy, a obrońca najsłabszy jest nocą.

Jimmy Harrison pamiętał o tym dobrze, patrolując teren ośrodka o trzeciej nad ranem. Utrzymanie czujności i koncentracji kosztowało go sporo wysiłku. Jego zmiana - a pracował do spółki z Gregiem Fordem, który siedział przed drzwiami pokoju Rhamana Udaya - trwała od osiemnastej do szóstej rano. Dale Miller i Charley Payne spali w jednej z wolnych sypialni, którą zamienili w swoją kwaterę.

Harrison uniósł ręce nad głowę, rozciągnął mocno i potrząsnął nimi, by pobudzić krążenie. Wcześniej, wieczorem, wykonał między obchodami solidniejszą gimnastykę: poćwiczył z ekspanderem, zrobił nieskończenie długą serię pompek, przysiadów i brzusków - a wszystko po to, by utrzymać się w formie i być gotowym na każdą ewentualność. Poza tym był to dobry sposób na walkę z nudą, nieuchronnie dopadającą każdego, kto para się ochroną osobistą. Uśmiechnął się lekko na myśl o wszystkich nowicjuszach o błyszczących oczach, którzy trafiali do agencji zajmującej się pilnowaniem VIP-ów. Spodziewali się, że ich życie będzie polegało na tępieniu terrorystów w przerwach między wykwinnymi kolacjami, oczywiście w najlepszych hotelach. Z reguły dość szybko docierało do nich, że rzeczywistość jest zgoła odmienna. Rozczarowani, spędzali całe dni pod drzwiami hotelowych pokoi, szczając do doniczek z kwiatami, tylko dlatego, że pryncypał był zbyt skąpy, żeby zatrudnić wystarczająco liczną ekipę. Lecz dla tych, którzy nadawali się do tej roboty, zostawali w niej i pracowicie pieli się po szczeblach kariery, były i zlecenia rodem z marzeń żółtodziobów - dobry ochroniarz mógł nieźle żyć za swe wynagrodzenie, a przy tym dobrze się bawić na koszt szefa.

A tym razem zlecenie było naprawdę dobre. Realne zagrożenie sprzyjało skupieniu na pracy i przyjemnie podnosiło poziom adrenaliny. Wynagrodzenie było znakomite - Harrison i Ford dostawali po tysiąc dolarów dziennie plus zwrot - niewielkich, ale jednak - wydatków, Miller zaś był dobrym dowódcą. W prywatnych rozmowach wyrażali się o nim w superlatywach, podobnie jak o jego zastępcy, Charleyu Payne. Uważali, że ekipa powinna być liczniejsza, lecz byli zgodni co do tego, że ktokolwiek sponsoruje to przedsięwzięcie, wybrał do niego najlepszych ludzi, a czterech najlepszych znaczy więcej niż ośmiu z drugiej ligi.

Harrison przystanął, by spojrzeć na pagórek. Z której strony by na to patrzeć, był to dobry kontrakt.

Marie Garvais przyglądała się mężczyźnie, który patrolował teren ośrodka. Miała gogle noktowizyjne, przez które widziała świat w odcieniach zieleni. Słabe światło gwiazd i pobliskich latarni wystarczało, by dostrzec cel jak na dłoni. Pistolet maszynowy MP-5, który miała przy sobie, był wyposażony w trzy dodatkowe źródła światła, umocowane pod lufą: silną latarkę, celownik laserowy oraz reflektorek

podczerwony. Mogła je uruchamiać, przesuwając palce po przednim uchwycie broni i naciskając jeden z trzech przycisków.

Marie zauważyła, że mężczyzna nie korzysta z noktowizora i nie ma broni długiej. Zdziwiłaby się, gdyby było inaczej, jako że należał do cywilnej ochrony budynku, jeśli wierzyć raportowi wywiadowców. Spojrzała na pozostałych członków zespołu. Isabelle leżała na trawie ze swym partnerem, Francuzem imieniem Andre. Partner Marie, Belg Dougard, leżał obok niej na wyciągnięcie ręki. To ona zaplanowała operację i uznała, że czworo ludzi z pistoletami maszynowymi wystarczy na nocny atak. Jak dotąd widzieli tylko dwóch ochroniarzy i było to w pełni zgodne z raportem wywiadowczym. Przewaga dwóch na jednego była układem prawie doskonałym; ideałem byłby stosunek trzech do jednego. Marie jednak, jak każdy zawodowiec, wołała polegać na szybkości i brutalności, a nie na liczebności zespołu.

A także, rzecz jasna, na elemencie zaskoczenia.

Nie spuszczała oka z mężczyzny, który spacerował ścieżkami i trawnikami wokół wiktoriańskiego budynku. Zaczekała, aż pojawiła się smuga światła sygnalizująca, że otworzyły się tylne drzwi, a kiedy ochroniarz zniknął we wnętrzu, bez słowa dała znak swoim ludziom. Ruszyli ławą w pięciometrowych odstępach, bezszelestnie posuwając się ku budynkowi. Zbliżyli się od strony skrzydła, omijając pagórek, który przez chwilę zapewniał im ochronę, a następnie zaczęli przebiegać ostrożnie i szybko od jednej plamy gęstszego mroku do kolejnej, z pistoletami maszynowymi w gotowości i z palcami na przyciskach uruchamiających reflektorki podczerwone. Poruszali się jak śmiertelne cienie, wodząc lufami ku wszystkim miejscom, w których choćby teoretycznie mogli natknąć się na przeciwnika.

Razem zbliżyli się do bocznej ściany budynku, gdzie zbiegały się cienie, poza zasięgiem latarni ustawionych od frontu i na tyłach ośrodka. Byli gotowi.

Harrison zaszedł do kuchni, wziął z lodówki butelkę wody i ruszył korytarzem w stronę pokoju Rhamana Udaya, ku posterunkowi Forda.

- Masz, bracie - powiedział, podając wodę partnerowi. - Chcesz pójść się odlać?
- Chcę - odparł Ford. - Dzięki.

Przyjął butelkę i postawił ją obok krzesła, a potem wstał, przeciągnął się i oddalił w kierunku toalety dla niepełnosprawnych. Wszedł do środka i pstryknął przełącznikiem.

Światło, które rozbłysło w oknie łazienki, poraziło Isabelle i Andre - oślepiony rozbłyskiem spotęgowanym przez układ optyczny noktowizora mężczyzna zachwiał się i odruchowo oparł o mur, by odzyskać równowagę.

Ford bardziej wyczuł, niż usłyszał coś za oknem toalety. Zapiął rozporek, zgasił światło i wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Ktoś jest na zewnątrz - syknął do Harrisona. - Pod oknem łazienki.

Harrison wyjął pistolet, zajrzał do pokoju i zerknął na Udaya pogrążonego w głębokim śnie, a następnie zamknął drzwi i stanął przed nimi, trzymając broń nisko, ale w gotowości do strzału. Ford również sięgnął po broń, biegnąc korytarzem w stronę pokoju, który zamienili na swoją sypialnię.

- Dale? - odezwał się cicho, trącając nogę szefa. - Mamy gości.

Miller natychmiast usiadł na łóżku i zamrugał, otrząsając się ze snu. W jednej chwili był przytomny i gotowy do działania. Wsunął stopy w na wpół zasznurowane buty i wstał. Charley ocknął się równie szybko - najpierw uchylił powieki, rozejrzył się, a potem wskoczył w buty. Obaj spali w zwykłych, cywilnych ubraniach, przykryci lekkimi kocami.

Dale otworzył szafę i wyjął dwa krótkolufowe AR-15 w wersji cywilnej, wyposażone w latarki umocowane pod lufami. Wręczył po jednym Fordowi i Charleyowi. Ci natychmiast przeładowali broń, odciągając lewarki zamkowi spuszczając je z trzaskiem.

- Amunicja z wydrążonymi czubkami - uprzedził Dale. - Rozwala się na ścianie. Pamiętajcie o tym, gdybyście musieli strzelać przez coś.

- Jasne - odrzekł Ford i chyłkiem wybiegł na korytarz.

Harrison skinął głową na jego widok.

Charley i Dale wyszli chwilę później, z bronią gotową do strzału. Szybko i cicho dotarli na upatrzone pozycje w korytarzu i przykucnęli, kierując lufy w stronę tylnego i frontowego wejścia do budynku.

Byli gotowi.

Marie zakłęła bezgłośnie. Andre wycelował w okno łazienki, w której niemal natychmiast zgasło światło. Marie spojrzała na swoją ekipę, rozważając możliwości. Nie słyszała alarmu i nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek usłyszał, jak Andre zatacza się i opiera o ścianę budynku. Przez moment kusiło ją, by przerwać akcję i wrócić innej nocy, ale odpędziła od siebie tę myśl. Skinęła na swoich ludzi i rzędem ruszyli za nią, za węgiel, ku kuchennym drzwiom ośrodka. Marie zatrzymała się na chwilę, a potem, ostrożnie stawiając stopy, wspięła się po kilku schodkach. Nacisnęła klamkę. Zamknięte. Tak jak się spodziewała, ościeżnica była umocniona. Mierząc w drzwi z pistoletu maszynowego, gestem przywołała Dougarda i wskazała zamek.

Dougard puścił broń, pozwalając jej luźno zwisać z szyi, i sięgnął do płóciennej torby, którą niósł na plecach. Wyjął z niej niewielki ładunek wybuchowy przeznaczony do wrywania zamków. Umocował go do drzwi między klamką a ościeżnicą, przekręcił włącznik i odsunął się. Marie uniosła rękę i na palcach odliczyła pięć sekund.

Ładunek eksplodował i w ciemności rozległ się donośny huk. Marie z rozmachem otworzyła drzwi i drużyna intruzów wbiegła do pogrążonego w mroku budynku.

Choć byli przygotowani na atak, Dale i jego zespół podskoczyli po eksplozji. Dobrze było jedynie to, że teraz wiedzieli przynajmniej, z której strony nastąpi szturm. Harrison wśliznął się do pokoju Udaya, rzucił go na podłogę i położył się na nim, osłaniając go. Ford ustawił się tak, by zapewnić mu wsparcie, a jednocześnie mieć oko na główne wejście do budynku. Charley i Dale mieli zatrzymać atak od strony tylnych drzwi. Dale wyciągnął przed siebie rękę z browningiem high power, drugą po omacku szukając na ścianie przycisku, by włączyć oświetlenie korytarza. Nacisnął go szybkim ruchem, chwycił kolbę pistoletu oburącz i spokojnie wymierzył.

Nagła powódź światła sprawiła, że Marie poczuła w żołądku potężne ukłucie strachu. Noktowizory nagle przestały działać. Najgorsza jednak była świadomość, że stracili element zaskoczenia i pchają się wprost pod lufy dobrze przygotowanych i uzbrojonych ochroniarzy.

Dostrzegła w wizjerze rozmazane sylwetki mężczyzn przyczajonych w korytarzu. Uniosła broń i posłała serię trzech pocisków w stronę najbliższego.

Widząc pistolety maszynowe przeciwników, Charley docisnął do ramienia kolbę AR-15 i pociągnął za spust. Jedno pociągnięcie, jeden strzał. Zaraz jednak zrozumiał, że potrzebna będzie na początek przewaga ogniowa, i zaczął naciskać spust najszybciej jak potrafił, przesuwając lekko lufę, by postawić na drodze napastników zasłonę ogniową.

Dale niespiesznie wziął na muszkę pierś prowadzącego i wypalił dwukrotnie, po czym przeniósł celownik na kolejnego intruza, nie zważając na ostrzał z ich strony.

Marie czuła, że Dougard przepycha się naprzód i staje obok niej. Oboje przestawili broń na ogień ciągły - pruli seriami, nie zważając na to, że w noktowizorach niewiele widzą. Nie powiodła się próba ataku z zaskoczenia, zatem jedyną szansą, jaka im pozostała, był zmasowany atak i osiągnięcie przewagi ogniowej. Tylko oni dwoje znajdowali się wewnątrz i mieli przeciwko sobie ścianę ognia z AR-15. Marie zachwiała się, gdy dwie kule uderzyły w jej pierś. Gruby pancerz kamizelki kuloodpornej zamortyzował impet uderzenia, lecz mimo to poczuła się tak, jakby ktoś z bliska wraził jej między żebra żelazny kij bilardowy. Stojąca za nią Isabelle, podtrzymała ją jedną ręką, drugą ostrzeliwując się ogniem ciągłym z MP-5.

- Odwrót! - krzyknęła Marie. - Odwrót!

Charley zobaczył, że intruz prowadzący grupę zachwiał się nagle i zaraz potem krzyknął:

- Odwrót!

To był kobiecy głos.

Marie i Dougard wycofali się na zewnątrz, po drodze opróżniając magazynki długimi seriami. Drzwi i boazeria poszły w drzazgi na całej długości korytarza, zgasło też jedno ze światel. Przebiegli we dwoje obok Andre i Isabelle, którzy osłaniali ich odwrót.

- Wycofujemy się! - zawołała Marie, biegnąc trochę chwiejnym krokiem, wciąż obolała po podwójnym postrzale w pierś, ku punktowi zbornemu, który sama wyznaczyła po przeciwnej stronie pagórka.

Charley i Dale stali ramię w ramię, celując w tylne drzwi budynku.

- Pilnujcie Udaya! - rozkazał Dale.

- Robi się! - odkrzyknął Ford.

Wycofał się tyłem i przywarł plecami do drzwi pokoju.

- Jest ze mną! - zawołał Harrison.

W sąsiednich pokojach, a także na wyższym piętrze, rozległy się wrzaski pacjentów i krzyki personelu.

Harrison i Ford zostali na posterunku, gotowi bronić Udaya, podczas gdy Charley i Dale ruszyli naprzód, osłaniając się wzajemnie. Szybko dotarli do tylnych drzwi. Grad kul, które znienacka przebiły drzwi, zmusił ich do odwrotu w głąb względnie bezpiecznego korytarza.

- Ewakuacja! Natychmiast! - rzuciła Marie do mikrofonu połączonego z miniaturowym nadajnikiem radiowym.

Tuż za granicą terenu należącego do ośrodka Marika Tormay i jej partner uruchomili silniki dwóch minifurgonetek, w których czekali. Chwilę później grupa uderzeniowa - cała czwórka - wyłoniła się z gęstych krzaków i wbiegła na trawiasty plac. Podzieleni na pary zabójcy wsiedli do wozów i wolno odjechali, kierując się w stronę przeciwną do tej, z której lada chwila miały nadjechać jednostki policji strzegące kampusu.

- Uciekli? - spytał Charley.

- Są na zewnątrz i oddalają się - odparł Dale. - Ford! Wezwij policję kampusu!

- Tak jest! - odkrzyknął Ford.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i oparł karabin o ścianę, wybierając bezpośredni numer do dyspozytorni miejscowego posterunku.

- Policja kampusu, w czym mogę pomóc?

- Tu prywatny zespół ochrony z Ośrodka Rehabilitacji Ofiar Tortur przy River Road szesnaście-piętnaście - powiedział szybko Ford. - Zostaliśmy zaatakowani przez kilku uzbrojonych napastników. Doszło do strzelaniny.

- Potrzebna karetka?

- Tym razem nie, wystarczy policja.

- Proszę się nie rozłączać.

Ford przekazał dyspozytorowi wskazówki i niespełna pięć minut później silny oddział policji pojawił się w miejscu, w którym czekał Dale z pistoletem w kaburze. Gdy dowodzący oficer ruszył w jego stronę, Miller pochylił się ku Charleyowi.

- Trochę to potrwa.

Kilka kilometrów od miejsca akcji Marie Garvais nasłuchiwała zgłoszeń kolejnych jednostek policji, posługując się przenośnym skanerem częstotliwości. Zadowolona, że w meldunkach ani razu nie pojawił się opis pojazdów, którymi uciekali, usiadła wygodniej w fotelu, by złagodzić nieco ból klatki piersiowej w miejscu, gdzie trafiły ją kule. Wydłubała je, tak jak się spodziewała, były to pociski pistoletowe. Karabinowe przebiłyby kamizelkę. Dougard miał zadraśniętą dłoń, Isabelle i Andre wyszli z akcji bez szwanku.

Minifurgonetki przemknęły po moście i wjechały na przedmieścia St. Paul, by wkrótce zatrzymać się na podjeździe przed domem z podwójnym garażem. Automatyczny mechanizm uniósł powoli bramę i opuścił ją, gdy wozy znalazły się w środku. Zabójcy wysiedli.

- Nic ci nie jest? - spytała Isabelle, podchodząc do Marie. - Zranili cię?
- Będę miała siniaki - odrzekła Marie, muskając palcami policzek Isabelle. - Nie martw się, to nic poważnego.
- Nikomu nic się nie stało? - spytała głośniejsz Isabelle.
Dougard uniósł skaleczoną rękę.
- To tylko otarcie, nic groźnego. Może mogłabyś założyć opatrunek...?
- Ja to zrobię - odpowiedziała Marika Tormay, zbliżając się z zestawem pierwszej pomocy w rękę.

Marie przez chwilę masowała obolałą pierś, po czym zdjęła kamizelkę kuloodporną i spojrzała na coraz lepiej widoczną siną plamę pod czarnym T-shirtem. Isabelle delikatnie dotknęła stłuczonego miejsca.

- Na pewno nie połamało ci żeber? - spytała.
- Nic mi nie jest. Kule z pistoletu... a swoją drogą, nie spodziewaliśmy się, że będą mieli coś większego.

- To zawodowcy - stwierdziła Isabelle. - Błyskawicznie przygotowali się do obrony i dobrze sobie poradzili. Nie poszli za nami, zostali, żeby poczekać na policję.

- Tak - mruknęła Marie. - Trzeba będzie zasięgnąć języka. Podejrzewam, że teraz przeniosą cel do lepiej strzeżonego miejsca. Mariko, myślisz, że uda ci się dowiedzieć czegoś na temat tej ekipy?

- Nie wiem - odpowiedziała dziewczyna, kończąc bandażowanie dłoni Dougarda. - Raczej nie uda się nam zatrudnić w ośrodku. Mają tam niewiele personelu i starannie dobierają ludzi. To chyba nie będzie możliwe.

- Czy ktoś obserwuje teraz budynek?

- Jeden z naszych ludzi siedział w lesie z kamerą, chociaż w tej chwili pewnie cała ekipa już się wycofała, żeby nie dać się złapać w policyjną obławę. Dopilnuję, żeby tam wrócili.

- Niech powęszą, ile się da - poleciła Marie.

- Naturalnie - zgodziła się Marika. - Tylko że niewiele zdziałają, póki jest tam policja.

Marie mruknęła coś pod nosem i poszła do kuchni. Wyjęła z zamrażarki tackę z lodem i wrzuciła kostki do plastikowego worka na śmieci, który zawiązała i wsunęła pod koszulkę na wysokości powiększającego się siniaka.

Isabelle przysła za nią.

- Błędy się zdarzają - powiedziała. - Andre miał pecha, to wszystko. Poza tym dane z rozpoznania nie mówiły o ochroniarzach z karabinami. Spodziewaliśmy się grupki zaspanych facetów z pistoletami, a trafiliśmy na bardzo profesjonalnie zorganizowaną ekipę.

- Wcale mnie to nie pociesza. Cel i tak był trudny do zlikwidowania, teraz będzie jeszcze trudniejszy. Ale ja nie zamierzam się poddać.

- Na razie musimy się wycofać i poczekać na lepsze rozpoznanie, Marie. Nie możemy za każdym razem rozpętywać wojny z nadzieją, że wreszcie go dopadniemy.

- Masz rację, ale to też nie poprawia mi humoru. Trzeba będzie wymyślić coś lepszego niż bezpośredni szturm.

- Jak to groźnie brzmi: „bezpośredni szturm”.

Marie roześmiała się i otoczyła ramieniem szyję kochanki.

- Chodź do mnie - powiedziała. - Wymasujesz mi żebra.

*OŚRODEK REHABILITACJI OFIAR TORTUR, CAMPUS UNIwersYTETU
MINNESOTY, MINNEAPOLIS, MINNESOTA*

Zaraz po nocnym telefonie doktor Rowan Green ubrała się i pospieszyła do ośrodka. Służbowy identyfikator pozwolił jej przedostać się na teren placówki - pomiędzy chaotycznie zaparkowane wozy policyjne otaczające budynek. Dostrzegła Dale'a Millera w wygniecionym ubraniu, zajętego rozmową z kilkoma policjantami. Wysiadła z samochodu i pobiegła w jego stronę.

- Pan Uday żyje? - spytała zdyszana.

Dale kiwnął głową.

- Jest cały i zdrowy. Żadnych obrażeń. Coś jeszcze? - zapytał, zwracając się do policjantów.

- Nie - odparł funkcjonariusz w stopniu sierżanta. - Może pan wracać do środka. Jeśli czegoś się dowiemy, znajdziemy pana.

Dale ruszył w stronę budynku, krok za doktor Green, która przeszła na tyły i przez chwilę przyglądała się poczerńiałym drzwiom, naszpikowanym kulami i osmalonym wskutek wybuchu, który wyrwał zamek. Zaraz jednak weszła do środka i pomaszzerowała w stronę pokoju Udaya. Jej pacjent siedział w fotelu, zaskakująco poważny i oficjalny. Harrison stał za nim, a Ford pilnował drzwi.

- Wszystko w porządku, panie Uday? - spytała.

Uday niespiesznie skinął głową.

- Oni chcą Jedynego.

Dale, który wszedł do pokoju w ślad za lekarką, spojrzał na spokojnego Irakijczyka.

- Pan jest Jedynym?

- Nie jestem Jedynym - odparł Uday. - Tylko Jedyny jest Jedynym. Ale ja Go widziałem.

- Kim jest Jedyny? - spytał Dale.

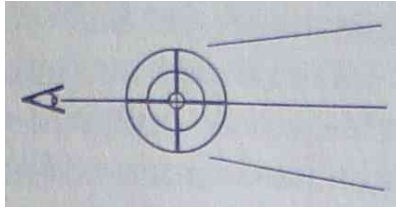
- On sprowadzi smutne wakacje - kontynuował pacjent. - Są z nim uzbrojeni ludzie. Tak jak dzisiejszej nocy.

- Czy uzbrojeni ludzie to właśnie smutne wakacje? - indagował Dale.

- Nie. Smutne wakacje to smutne wakacje. Kiedy nadchodzi kwitnienie.

- Kiedy nadchodzi kwitnienie... - powtórzył Miller. - Ale co to znaczy?

CZEŚĆ DRUGA



REZYDENCJA RAYA DALTONA, FAIRFAX, WIRGINIA

Życiowe doświadczenie nauczyło Raya budzić się z głębokiego snu już po pierwszym sygnale dzwoniącego telefonu. Uchylił powieki i rozejrzał się po pokoju, zanim wyciągnął rękę po słuchawkę.

- Dalton - powiedział.

Głos Mike'a Callana był zniekształcony blaszanym pogłosem.

- Domyślam się, że jeszcze nie piłeś porannej kawy.

- Co się stało?

Callan złożył krótki meldunek na temat wydarzeń w ośrodku rehabilitacji.

- Zatem próbowali go zlikwidować - podsumował Dalton. - Mieli precyzyjne dane wywiadowcze.

- Niewystarczająco precyzyjne - skorygował Callan. - Nie spodziewali się takiego oporu. Nasi chłopcy dobrze się spisali. Napastników było co najmniej czterech, jeden z nich na pewno został trafiony. Naszym nic się nie stało.

- Naprawdę nic?

- Ani draśnięcia. Ośrodek został zamknięty, personel jest w szoku. Pora zabrać stamtąd Udaya.

- Co na to jego lekarz?

- Doktor Green uważa, że w tej chwili nikt nie zdoła wydobyć z Udaya więcej informacji. Atak nie zrobił na nim żadnego wrażenia, to chyba wystarczający dowód na to, że facet stracił kontakt z rzeczywistością. Lekarka uważa, że nie będzie mu gorzej, jeśli zostanie przeniesiony w inne miejsce, byle kontynuować leczenie farmakologiczne i wsparcie terapeutyczne. Poza tym jej zdaniem dalszy pobyt Udaya w ośrodku stwarzałby zagrożenie dla pozostałych pacjentów. Krótko mówiąc, mamy się wynosić.

- Masz może jakąś kryjówkę w pobliżu?

- Dale pomyślał o wszystkim. Ma kumpla, emerytowanego sierżanta sztabowego Sił Specjalnych, na farmie opodal Decatur w Illinois, jakieś dziesięć do dwunastu godzin drogi na południe od Twin Cities. Gość zajmował się ostatnio szkoleniami dla miejscowych pracowników Agencji. Dom leży na uboczu, sąsiedzi daleko, do przyzwoitego miasta w sumie dość blisko. Obok domu są zabudowania gospodarcze przerobione na garaże i kwatery. Cholera, jest tam nawet strzelnica. Sąsiedzi pilnują swoich spraw i nie interesują się tą posesją. Dale mówi, że możemy tam przerzucić

Udaya i sprowadzić własnych lekarzy, którzy się nim zajmą. Ochrona będzie mogła przygotować się na ostrą akcję, nie zwracając niczyjej uwagi.

- Zróbcie to. Potrzebujesz czegoś ode mnie?

- Wystarczy, że będziesz podpisywał czeki. Ściągniemy więcej ludzi, więc koszty wzrosną.

- Dostaniesz tyle, ile będzie trzeba. - Ray umilkł na chwilę, spoglądając na pokój, do którego z wolna wkładał się blask porannego słońca. - Sądzisz, że na tym etapie Dale byłby gotowy na rozmowę ze mną?

- W tej chwili nie ma powodu, żeby się z nim drażnić - odparł Callan. - Po prostu nie widzę sensu. W końcu po to jestem w tej sprawie. Mam rację?

- Masz - przyznał Ray po krótkim zastanowieniu. - Informuj mnie o wszystkim.

- Pilnuj czeków, Ray. Ja zajmę się całą resztą.

AMSTERDAM, HOLANDIA

Youssef bin Hassan włóczył się brukowanymi ulicami dla zabicia czasu. Miło było czuć ciepło słonecznych promieni w ten pogodny, letni dzień. Spacerując zaułkami dzielnicy Jordaan, zatrzymywał się przed brudnymi szybami barów, w których wszystko pożółkło od nikotynowego nalotu, i zadzierał głowę, by przyjrzeć się fasadom kamieniczek przytulonych jedna do drugiej. Wędrując wzdłuż krętych kanałów, przyglądał się łodziom wiozącym turystów. Zatrzymał się w kafejce internetowej, by odebrać pocztę, ale w skrzynce nie było ani jednej wiadomości. Wkrótce potem przystanął przed budynkiem o skromnej elewacji. Na szyldzie widniał napis: schronisko dla bezdomnych. Przed wejściem wygrzewała się w słońcu grupa niedomytych mężczyzn, którzy przyglądali się Youssefowi z zainteresowaniem. Zignorował ich, jak zawsze gdy spotykał tak licznych w Amsterdamie bezdomnych. Liberalna polityka społeczna Holendrów sprawiała, że każdy mógł liczyć na dach nad głową, ciepły koc i strawę - na przykład w takim przybytku jak ten.

Youssef wszedł do środka i zobaczył za kontuarem pulchną kobietę o jasnych włosach zaplecionych tuż przy skórze w rzędkę drobnych warkoczyków. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Czym mogę służyć? - spytała.

- Zastanawiałem się właśnie, czy nie potrzebujecie wolontariuszy - odparł Youssef.

- Pomoc zawsze się przyda - stwierdziła kobieta. - Chcesz się zapisać?

- A czy mógłbym najpierw się rozejrzeć? - spytał Arab. - Żeby mieć pojęcie, czym właściwie miałbym się zająć.

- Mogę cię oprowadzić - zaproponowała blondynka. Postawiła na blacie tabliczkę z napisem „Wracam za dziesięć minut” i wyszła zza kontuaru. - Chodźmy.

Pokazała mu wspólną salę z dwoma telewizorami nadającymi wiadomości i rockowe teledyski oraz ze starymi kanapami i składanymi krzeselkami. Następnie przeszli do części sypialnej, do pokoiów umeblowanych piętrowymi łóżkami,

odrapanymi szafami i małymi, zielonymi szafkami - po jednej przy każdym posłaniu. Za sypialniami znajdowało się pomieszczenie magazynowe, gdzie zaraz za drzwiami piętrzyły się stosy równiutko poskładanych koców.

- Dostają codziennie świeżą pościel? - spytał Youssef.

- Nie - odrzekła kobieta. - Każdy, kto się do nas zapisze, dostaje koc. Pościel zmieniamy dwa razy w tygodniu.

Youssef przystanął na moment, gdy pulchna blondynka wychodziła na korytarz, szybko wyjął atomizer i posłał obłok mikroskopijnych kropelek w stronę stosu koców i prześcieradeł. Nie trwało to dłużej niż uderzenie serca, zaraz pospieszył za przewodniczką.

- A jak jest zimą? - spytał. - Rozdajecie ciepłe ubrania?

- Tak - odpowiedziała kobieta. - Są tutaj - dodała, wskazując na sąsiednie drzwi. Po chwili zastanowienia uchyliła je, by pokazać mu sterty używanych ubrań. - Kto nie ma własnej, dostaje od nas kurtkę.

Youssef wszedł do środka pomiędzy stosy złożonej odzieży. W wyciągniętej ręce, którą zasłaniał ciałem tak, by nie widziała jej przewodniczką, trzymał atomizer. Idąc niespiesznie, przez cały czas go naciskał. Wreszcie zawrócił, stanął przy drzwiach i powiedział:

- Szczęśliwi ludzie mieszkają w tym kraju.

- A ty skąd pochodzisz?

- Moja rodzina mieszka w Arabii Saudyjskiej.

- Pracuje u nas kilku muzułmanów.

Youssef uniósł brwi.

- Naprawdę?

- Mamy jednego Palestyńczyka, zatrudniamy też lekarza z Jordanii, którego rodzina w wolnych chwilach pomaga w prowadzeniu noclegowni.

Po chwili byli już z powrotem przy kontuarze w holu.

- I co? - spytała kobieta. - Jesteś zainteresowany?

- Tak - odparł Youssef. - Ale muszę się jeszcze zastanowić.

- Nigdzie się nie wybieramy - rzuciła pogodnie blondynka, wracając za kontuar i zdejmując z blatu tabliczkę. - Pomoc na pewno się przyda... a ty będziesz miał okazję poznać ciekawych ludzi.

- Dobrze by było.

- Nie obraż się, ale mam wrażenie, że jesteś bardzo samotny. Na imię mi Britta. Zajrzyj do nas jeszcze, kiedykolwiek zechcesz.

- Britta - powtórzył, starannie wymawiając spółgłoski. - Miło cię poznać, Britto. Jestem... Youssef. Youssef bin Hassan.

- Youssef bin Hassan... Youssef to arabski odpowiednik Józefa, prawda?

- Tak, właśnie tak brzmiałoby moje imię - przytaknął. - Józef.

- Józef, ojciec Jezusa, który czynił cuda. Może ty też uczynisz dla nas cud? - spytała z uśmiechem Britta.

Youssef zarumienił się, jakby dostał w twarz.

- Muszę już iść - wyjąkał.

- Wróć, kiedy zechcesz. Zapraszam na kawę lub herbatę.

- Dobrze - odparł Youssef. - Na pewno wrócę.

Pospieszył w stronę drzwi, zostawiając za kontuarem lekko zdziwioną Brittę. Na zewnątrz przystanął na chwilę, wystawiając skrzywioną twarz na ciepłe promienie słońca i lekkie podmuchy wiatru. Poczul wilgoć w kącikach oczu i gwałtownie zamrugał, ruszając z miejsca, by jak najszybciej oddalić się od noclegowni dla bezdomnych. Co w nim było takiego, że obcy ludzie natychmiast dostrzegali jego samotność? Przecież dobrze go wyszkolono. Ta kobieta była niegroźna, nic nie znaczyła, a jednak jej proste, uprzejme gesty zrobiły na nim duże wrażenie.

Znowu wałęsał się bez celu, omijając z daleka lokale, z których dolatywał zapach marihuany. Były pełne ludzi w jego wieku, którzy spotykali się, by zapalić i pośmiać się beztrudnie. Youssef pomyślał, jak cudownie byłoby dla odmiany zmówić pięć razy dziennie modlitwę w czyimś towarzystwie, a nie samotnie, jak zawsze. Niewinny czas dzieciństwa, który spędził w otoczeniu rodziny i przyjaciół, wydawał mu się teraz niezmiernie odległy. W przeciwieństwie do towarzyszy, których poznał w sudańskich obozach szkoleniowych - głównie Palestyńczyków i mudżahedinów z Afganistanu zaprawionych w walce z Sowietami - Youssef nie cierpiał w życiu zbyt wiele. Miał łatwe dzieciństwo i takąż młodość. Dorastał w zamożnej rodzinie, której wpływy skutecznie chroniły go przed złem świata rozciągającego się za murami przytulnej willi. Z czasem zrodziło się w nim poczucie winy z powodu tego bogactwa i wygodnego życia - zwłaszcza gdy zaczął się uczyć i wyjechał za granicę, gdzie przekonał się na własne oczy, jak żyje reszta świata. Jako wykształcony w Anglii Saudyjczyk i dziedzic fortuny, stał się łatwym celem i cennym nabytkiem dla werbowników Al-Bashiry. Początkowo wspierał organizację finansowo, później dał się namówić towarzyszącom poznanym w meczecie na wspólne „studiowanie”. Wreszcie pojawiła się propozycja szkolenia.

Skorzystał z niej, podekscytowany perspektywą działania i w naiwnym przekonaniu, że będzie jednym z wielu żołnierzy walczących w słusznej sprawie. Lecz imamowie i dowódcy organizacji mieli względem niego inne plany.

Był przecież Jedynym.

W DRODZE NA FARMĘ „oo” W DECATUR, ILLINOIS

Wnętrze wyczarterowanego samolotu turbośmigłowego wydawało się Charleyowi Payne'owi ciasne - przywykł do podróżowania dużymi cywilnymi maszynami pasażerskimi i wojskowymi transportowcami. Ryk silników był stanowczo zbyt głośny, a samotna stewardesa z trudem przeciskała się wąskim przejściem między fotelami, częstując pasażerów kawą i orzeszkami. Dwa rzędy przed Charleyem Dale Miller spał mocnym snem, zwinięty w kłębek na wąskim siedzeniu. Po przeciwnej stronie kabiny pasażerskiej posadzono pielęgniarza wynajętego do opieki nad Rhamanem Udayem, który siedział obok niego, przy oknie, od startu z Minneapolis wbijając wzrok w pejzaż przesuwający się za iluminatorem. Za nim było już tylko dwadzieścia jeden pustych foteli.

Podczas podróży lotniczej czas zawsze płynął Charleyowi zbyt wolno. Nie lubił tego uczucia, być może dlatego, że spędził zbyt wiele godzin w zbyt wielu samolotach. Żałował, że nie jedzie samochodem z Fordem, Harrisonem i nowymi członkami wzmocnionej ekipy. Dale wołał jednak zatrzymać Udaya w Minneapolis do czasu, aż zespół dotrze na farmę w Illinois i rozpozna teren. Dopiero wtedy zdecydował się na szybkie przerzucenie podopiecznego wycarterowanym samolotem do nowej kryjówki.

Charley pierwszy raz zapuszczał się w te strony. Pagórki i jeziora Minnesoty zostały daleko w tyle, teraz mieli pod sobą prawdziwą prerię środka kraju. Rozległe, płaskie pola o fantastycznie regularnych kształtach, naznaczone konstrukcjami wielkich spryskiwaczy pośrodku każdego kwadratu, maszerowały równymi szeregami od strony horyzontu. Dale wspominał, że uprawiano tu głównie kukurydzę i soję. Tysiące akrów kukurydzy i soi, a między nimi od czasu do czasu miasteczko z przetwórnią i bazą spedycyjną. Samolot leciał wystarczająco nisko, by można było dostrzec samochody na wąskich dwupasmówkach przecinających pola.

Charley wychylił się w stronę przejścia i pochwycił spojrzenie stewardesy. Uniósł pustą szklankę i gestem poprosił o dolewkę. Kobieta uśmiechnęła się i przyniosła mu puszkę coli.

- Podać coś jeszcze? - spytała.

- Większy fotel i szybszy samolot, jeśli macie taki pod ręką - odparł z uśmiechem. Roześmiała się.

- Jest pan wysoki, nic dziwnego, że jest panu niewygodnie. Ale lot już nie potrwa długo. Jesteśmy prawie na miejscu.

- Często lata pani tą trasą?

- Wychowałam się w tych stronach. W Kankakee, nad którym będziemy przelatywali za parę minut. A w college'u miałam przyjaciółkę z Decatur.

- Jakie to miasto?

- Spore, mniej więcej sto tysięcy mieszkańców. Głównie robotnicze, bo w okolicy właściwie tylko przetwórnice... Dawniej była też fabryka koncernu Firestone. W zasadzie nie dzieje się tu nic ciekawego.

- Nocne życie raczej w zaniku?

- Można tak powiedzieć - odpowiedziała stewardesa ze śmiechem i przeczesła palcami krótkie, czarne włosy.

- Zostajecie w mieście do jutra?

- Niestety nie. Zostawiamy was i zaraz wracamy do bazy.

- Często ma pani takie wycieczki?

- Tak, wozimy głównie chorych - odparła. - Zazwyczaj do Rochester w Minnesocie, do kliniki Mayo, czasem też do Johna Hopkinsa w Baltimore i w kilka innych miejsc. To łatwa praca, niepodobna do męczarni w samolotach rejsowych, gdzie trzeba zadowolić całą horde pasażerów.

- Miałem nadzieję, że skoczmy razem na drinka - powiedział Charley.

- Nie tym razem, kowboju - odrzekła stewardesa. Samolot zakołysał się gwałtownie i chwyciła się jedną ręką oparcia fotela, by odzyskać równowagę. - Muszę wracać do pracy.

Wróciła na dziób samolotu, zastukała dwukrotnie do drzwi kabiny pilotów i po chwili zniknęła w kokpicie. Charley poruszył nogami, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję, ale bez skutku - po prostu nie mieścił się w fotelu. Spojrzał na Dale'a z zazdrością. Jak wszyscy operatorzy, Miller potrafił zasnąć w każdej spokojnej chwili, zwłaszcza wtedy, gdy istniało ryzyko, że w najbliższym czasie raczej nie zazna snu. Charley też umiał, lecz przy jego wzroście znalezienie wygodnej pozycji było znacznie trudniejsze.

- Jesteśmy bardzo wysoko - odezwał się niespodziewanie Uday.

- Rzeczywiście - odpowiedział siedzący przy nim pielęgniarz.

Był to niski, chudy mężczyzna. Ostre rysy i proste, czarne włosy sprawiały, że wyglądał na wynędzniałego.

- Ale jeszcze nie dość wysoko - dodał pacjent.

- Moim zdaniem wystarczająco. To dobra wysokość - odparł pielęgniarz.

Charley przyglądał się Udayowi z zainteresowaniem. Irakijczyk był wyraźnie ożywiony: spoglądał przez okno z zaciekawieniem i mamrotał coś pod nosem.

- Czy to dobra wysokość dla Jedynego, Rhamanie? - spytał Payne.

- Dla Jedynego za wysoko - odrzekł Uday. Rozejrzał się po kabinie i skierował smętne spojrzenie na Charleya. - On wolałby być w środku, nie na zewnątrz.

Rozproszenie nie byłoby odpowiednie.

- Jakie rozproszenie?

- Rozproszenie cząsteczek zależy od wilgotności - odpowiedział Uday obojętnym tonem. - Na tym polegał problem ze smutnymi wakacjami. Bardzo wiele produktów i zbyt mało konsumentów. Testy trwały długo.

Charley zerknął w stronę fotela, na którym spał Dale.

- O czym on mówi? - zainteresował się pielęgniarz.

- Ciii - uciszył go Charley. - Jakie testy, Rhamanie? Testy podczas smutnych wakacji?

- Saddam chciał smutnych wakacji - odparł Uday. - Wtedy wszyscy ich chcieliśmy. Świętowaliśmy, kiedy testy dobiegły końca. To było miłe przyjęcie. Bardzo czyste. Wszyscy chcieli się wykapać po testach.

- Co takiego chcieli z siebie zmyć, Rhamanie? Co to były za testy?

Uday odwrócił się i wyjrzał przez iluminator.

- Testy. I wiele łez podczas testów. W środku mieliśmy smutne przyjęcie. W środku było bardzo czyste. Nosiliśmy czepki i maski, udawaliśmy lekarzy. Ale lekarze leczą. My nie leczylimy. Niektórzy próbowali, ale byli zgubieni. Ja też zostałem zgubiony.

Charley wychylił się nad wąskim przejściem między fotelami i spytał cicho:

- Co testowali lekarze, Rhamanie? Co testowali?

- Ospę - odpowiedział Uday. - Tylko że bąble już nie były takie małe. Nie dla Jedynego.

Przeładka na lotnisku w Decatur odbyła się z istic wojskową sprawnością. Gdy turbośmigłowa maszyna kołowała w kierunku publicznego terminalu, na płytę wyjechały dwa chevrolety suburban z ciemnymi szybami. Odprowadziły samolot aż do

stanowiska, a gdy się zatrzymały, wyskoczyli z nich ochroniarze, by zabezpieczyć przednie drzwi. Gdy tylko stewardesa opuściła składane schodki, dwaj z nich weszli na pokład. Dale wyszedł im na powitanie.

Greg Ford zjawił się jako pierwszy.

- Cześć, Dale - powiedział. - Gotowi do wyjścia?

- Możemy zaczynać - odparł Miller, zarzucając torbę na ramię.

Pasażerowie zeszli po schodkach na płytę lotniska. Natychmiast otoczył ich krąg rosyjskich agentów, którzy sprawnie oddzielili od grupy pielęgniarza i odprowadzili go do samochodu stojącego dalej. Do bliższego suburbana wsiedli Charley, Dale i Uday, a wraz z nimi dwaj ochroniarze - barczyści i milczący, ubrani w luźne kamizelki skutecznie maskujące broń. Ruszyli i szybko zjechali z asfaltowego placu. Tuż za nimi pomknął drugi wóz wiozący resztę ochrony i zabiedzonego pielęgniarza. Już po chwili oba pojazdy nabierały prędkości na szosie biegnącej równoległe do głównego pasa startowego lotniska w Decatur.

Pola kukurydzy i soi ciągnęły się po obu stronach drogi, którą oddalali się od miasta. Spoglądając przez okno, Charley pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział tak płaskiej okolicy, gdzie prostej linii horyzontu nie zakłócało absolutnie nic, poza nielicznymi silosami i domami farmerów. Milczał, podobnie jak pozostali, przez całą półgodzinną podróż szosą wśród pól. Wreszcie skręcili na szutrową drogę przecinającą ocean kukurydzy i przez blisko dwa kilometry pędzili w tumanie kurzu, nim dotarli do prostopadłej alejki wiodącej wprost do wiejskiego domu otoczonego zabudowaniami gospodarczymi.

Gdy podjechali bliżej, Charley zaczął dostrzegać interesujące szczegóły. Wał usypany przez buldożer zamykał strzelnicę ułożoną przed domem, w miejscu, gdzie zazwyczaj znajduje się trawnik. Na dwudziestopięciometrowym torze do strzelania z broni krótkiej i stumetrowym dla miłośników karabinów widać było bogatą kolekcję tarcz.

- Oto uroki życia na wsi - odezwał się Charley. - Człowiek wychodzi na ganek i na dzień dobry może odstrzelić parę tekturowych łbów.

Greg Ford i jego partner zaśmiali się głośno. Dale uśmiechnął się.

- To jest to - dorzucił Charley.

Samochody minęły wolno budynki gospodarcze i zatrzymały się w tumanie kurzu przed drzwiami domu mieszkalnego z zacienionym gankiem. Stał na nim wysoki i potężnie zbudowany mężczyzna, ubrany w ogrodniczkę, koszulkę koloru khaki i wojskowe buty.

- To on? - spytał Charley.

- Tak - odparł Dale. Otworzył drzwi, wysiadł z samochodu i zawołał: - Hej, Rhino, co powiesz?

Wielkolud wyszczerzył zęby i podszedł bliżej, wyciągając rękę.

- Sie masz, Dale - powiedział.

Miller odwrócił się do Charleya, który szedł za nim w stronę schodków wiodących na ganek.

- Charley Payne, poznaj Johna Onofreya, przyjaciołom i wrogom bardziej znanego jako Rhino.

Uścisnęli sobie ręce, dłoń Charleya zniknęła na moment w wielkim jak szufla łapsku gospodarza.

- Miło cię poznać, Rhino - powiedział.

- Nawzajem, Charley - odparł dryblas. - Witaj na farmie Zero Zero.

- Zdaje się, że masz tu wszelkie wygody: własną strzelnicę, święty spokój... - zauważył Charley. - Tylko gdzie ukryłeś ślicznotki w bikini i gorzałę?

Rhino roześmiał się hałaśliwie.

- Jestem skromnym farmerem-kawalerem - odparł. - W mieście jest parę dziewczyn, ale zdaje się, że nie będziecie mieli dla nich wiele czasu.

- Pomarzyć można - mruknął Charley.

- Chodźcie, rozgoście się - zaprosił Rhino.

Poprowadził Millera i Payne'a do ich pokoju - tuż obok świetnie wyposażonego centrum operacyjnego, w którym znajdowało się stanowisko łączności oraz monitory pokazujące obrazy z kamer rozstawionych wokół domu. Następnie pokazał im strzelnicę i budynki gospodarcze zamienione w sypialnie, by wreszcie przedstawić ich nowo zatrudnionym członkom zespołu. Teraz ekipa ochrony liczyła dwanaście osób, wliczając w to kierowców oraz Charleya i Dale'a. Siebie Rhino nie liczył, jego zadaniem bowiem było, jak sam twierdził, „pilnowanie pilnujących”.

- Często zdarzają ci się takie fuchy? - spytał Payne.

- Gościłem tu już parę osób - przytaknął Rhino. - Ci, którzy przyjeżdżają na szkolenie, też miewają niekiedy specjalne wymagania, jeśli chodzi o bezpieczeństwo i dyskrecję. Dzięki takim zleceniom stać mnie na sprzęt... Mam emeryturę, mam fuchy, nie jem za wiele - większość forsy inwestuję w farmę. W zeszłym roku zbudowałem tę strzelnicę. Powiedziałem wykonawcy, że muszę mieć miejsce, żeby bawić się bronią z kolekcji. Illinois zdecydowanie nie jest stanem przyjaznym dla miłośników strzelectwa, ale tu, na wsi, rządzi szeryf, a ja dobrze go znam. Nie wchodzimy sobie w drogę. Tu obowiązują dawne zasady.

- Więc i sąsiedzi w porządku? - spytał Charley.

- Tak jest - odparł Rhino. - To ostatni bastion uprzejmości w nieuprzejmym świecie. Ludzie zajmują się swoimi sprawami, pomagają sobie nawzajem, gdy potrzebują pomocy, i nie narzucają się, póki człowiek nie pragnie towarzystwa.

- Zazdroszczę ci - wyznał Charley. - Dobrze jest żyć w takim miejscu.

- Ano tak - mruknął Rhino. - Zostawię was samych i sprawdzę, jak się miewa nasz gość specjalny. Chcecie, żeby został z nim ten pielęgniarz? Dwaj nowi w waszej ekipie byli medykami w Siłach Specjalnych, na pewno potrafią działać tyle, co ten wasz.

- Uday już się do niego przyzwyczaił, zresztą z wzajemnością - odrzekł Dale. - Niech zostanie, Rhino.

- Dobra. Będę później na ganku. Wczesny wieczór to najlepsza pora na parę łyków whisky, jeśli tylko będziecie mieli ochotę.

Dale i Charley odprowadzili go wzrokiem do drzwi, a kiedy zniknął w domu, przyciągnęli dwa krzesła i usiedli na ganku, spoglądając na jednego z nowych ochroniarzy, który przechadzał się po strzelnicy i po chwili znikł za węglem domu.

- Chcesz puścić patrolę po całym terenie? - spytał Charley.

- Mamy podgląd na monitorach - odparł Dale - i drużynę w pełnej gotowości. Wystarczy lekki patrol nocą i dostawienie kamer działających w podczerwieni, Ford i Harrison przywieźli je ze sobą.

- Nowocześniej być nie może - mruknął Charley. - A co myślisz o tym, co Uday mówił mi w samolocie?

- O ospie? Dość przerażająca myśl. Uday współpracował z Kamelem, a Kamei kierował programem budowy broni chemicznej i biologicznej. Jeśli dodamy do tego fakt, że Irak zdobył próbki ospy w Związku Radzieckim, z organizacji Biopreparat...

- Zdawało mi się, że ospa to już przeszłość.

- Jako zagrożenie dla świata - tak. Była pierwszą chorobą, którą Światowa Organizacja Zdrowia uznała za wyeliminowaną dzięki intensywnym szczepieniom i ścisłej obserwacji. Zostały podobno tylko dwie próbki - jedna w rosyjskim Biopreparacie, a druga w naszym Centrum Kontroli Chorób. I właśnie dlatego ospa jest dziś tak groźna - od lat siedemdziesiątych nikt nie szczepił się przeciwko niej. Jest bardzo zaraźliwa. Wystarczy zbliżyć się na dwa, trzy metry do zainfekowanej osoby, żeby zarazić się drogą kropelkową. Śmiertelność sięga trzydziestu procent, oczywiście przy standardowej wersji wirusa, a tak naprawdę nikt nie wie, jak można zmodyfikować go genetycznie, by był jeszcze skuteczniejszy.

- Nie podoba mi się to.

- Mnie też. Powiem o tym Callanowi, na pewno go to zainteresuje. Szkoda, że Uday nie jest zbyt rozmowny, kiedy zdarzają mu się jaśniejsze chwile. Ale próbuj, może uda ci się coś z niego wyciągnąć.

- Jasne, stary. Zrobię, co się da. Może zacznę z nim jadać i tak dalej.

- Dobry pomysł, Charley.

Payne kiwnął głową i oparł nogi o balustradę, podszwami wojskowych butów dotykając cieniutkiej siatki, która powstrzymywała owady, a w najmniejszym stopniu nie przesłaniała widoku bezkresnych pól kukurydzy.

- Co chcesz zrobić z Bliźniaczkami? - spytał.

- Właśnie się nad tym zastanawiam - odparł Dale. - Ciekaw jestem, czy myślisz o tym samym co ja.

- Dwa razy mieliśmy z nimi do czynienia. Raz poszło po ich myśli, raz po naszej. Są zdecydowanie za dobre na to, żebyśmy tu siedzieli na tyłkach i czekali, aż same do nas przyjdą.

- Tutaj sytuacja jest inna niż w ośrodku rehabilitacji - stwierdził Dale. - Mamy całkowicie szczelny obieg informacji. Nie ma przecieków ani kontaktu z cywilami, nie ma też szans na to, że przeciwnik w ogóle znajdzie tę farmę. A nawet jeśli, to jest nas tylu, że możemy się skutecznie bronić przed kompanią piechoty. Mamy naprawdę dobrą załogę.

- Tylko że puszczenie tych panienek wolno z paroma siniakami jest jakoś sprzeczne z moją naturą - powiedział Charley.

- Co ty kombinujesz? - spytał Dale.

- Kombinuję, że mamy światowej klasy zespół na farmie przypominającej twierdzę... Myślę, że Uday będzie tu bezpieczny. A ty powinienesz namówić Callana, żeby sprowadził tutaj medyków na dłużej, ale sprawdzonych, tak jak nasi ochroniarze.

Niech próbują wyciągnąć coś z pacjenta. Ja rozumiem, że trzeba się z nim cackać i w ogóle, ale mam przecucie, że Uday siedział w czymś naprawdę poważnym, w czymś... operacyjnym. I tak sobie myślę, że ty i ja powinniśmy złożyć Bliźniaczkom wizytę i wybić im z głowy dalsze próby.

- Chcesz je sprzątnąć?

- Może nie, nie biorę sobie aż tak do serca tego, co robią - odparł Charley. -

Chociaż z drugiej strony, nie miałbym wielkich wyrzutów sumienia. Chodzi mi jednak przede wszystkim o to, żeby dopaść je na ich terenie, dać sygnał, że nie są bezpieczne i że powinny trzymać się od nas z daleka. Są profesjonalistkami, wiedzą już, że zmarnowały swoją szansę.

- Nie szkoda czasu na odstraszenie?

- Cóż, jeśli mocodawcy Callana mają dość głębokie kieszenie, możemy po prostu zapłacić Bliźniaczkom za informację o tym, komu tak bardzo zależy na zabiciu Udaya, że nie żałuje forsę na najlepsze specjalistki.

- Nie sądzę, żeby na to poszły... Wiedzą, że ich praca jest obserwowana, i na pewno nie chciałyby, żeby w świat poszła wiadomość o tym, jak to sprzedały klienta Amerykanom za gotówkę.

- Dlaczego nie? Takie numery wciąż się zdarzają. Zresztą nasze milczenie mogłoby być bonusem w tym układzie.

Miller w zamyśleniu pokiwał głową. Pomysł był ciekawy, zwłaszcza że pozwalał na ucieczkę od monotonii i pasywności wpisanej w rolę ochroniarza. Dale nie chciał siedzieć w nieskończoność pośród pól kukurydzy, czekając, aż kłopoty zwałą mu się na głowę. Wolał przenieść pole walki na terytorium przeciwnika. Wiedział, z kim ma do czynienia. Nadzieję dawało to, że bazą wypadową dwóch śmiertelnie niebezpiecznych zabójczyń było miasto znane społeczności tajnych agentów służb specjalnych całego świata, a podobnie jak one, Dale i Charley byli profesjonalistami.

I być może to właśnie było kluczem do całej sprawy.

FAIRFAX, WIRGINIA

Ray Dalton stał na polu golfowym klubu Sunnyside, wsparty na torbie z kijami, z telefonem komórkowym przy uchu. Proces automatycznego szyfrowania połączenia

sprawił, że głos Mike'a Callana był nieco zniekształcony, ale jednocześnie zapewniał rozmawiającym pełną dyskrecję.

- Co ty na to, Ray? - spytał Callan. - Trochę prawdziwej akcji? Czy właśnie do tego próbowałeś namówić Dale'a?

Ray milczał przez chwilę, a potem zaśmiał się z cicha i spojrzał na pole golfowe, wypatrując dołka, do którego zmierzał.

- Powiem tak: nie będę zawiedziony, jeśli ktoś da Bliźniaczkom nauczkę, a nawet usunie je na dobre.

- Więc co robimy, władco czeków? Pora zaostrzyć grę i poluzować smycz naszym psom wojny?

- Tak - odparł Dalton. - Myślę, że już pora.

- Mam wrażenie, że zagrałeś ze mną nieczysto, Ray. Nie podoba mi się to.

- Nie grałem nieczysto.

- Sprawa wygląda zupełnie inaczej teraz, kiedy dałeś Dale'owi licencję łowiecką.

W gruncie rzeczy wystawiasz go jako wykonawcę, którego zawsze możesz się wyprzeć. Co to ma wspólnego z kontraktem na ochronę osobistą?

- Dale sobie poradzi.

- Dale i Charley Payne.

- Payne też był dobry.

- Będziesz musiał się ujawnić, Ray. Dale i Charley będą potrzebowali wsparcia, którego nie zapewni im żadna firma ochroniarska, nawet moja.

- Dostałeś wszelkie potrzebne informacje, sprzęt i środki na to, żeby to było możliwe... Prawda?

Callan milczał. Z głośnika słuchawki dobiegał jedynie cichy szum.

- Prawda - odezwał się w końcu Mike. - Chyba tak.

- W takim razie do roboty - odparł Ray Dalton.

ATENY, GRECJA

Nocą Akropol z rzęsiście oświetlonymi kolumnami Partenonu przypomina latarnię morską górującą nad miastem. Przyjemnie jest spędzić parę chwil,

przypatrując się blaskowi starożytnej świątyni na tle morza światła u podnóża skały. Tej nocy powietrze było wreszcie dość czyste, by można było dostrzec z właściwą ostrością zarysy kolumn nadgryzionych zębem czasu, a wyłuskanych z mroku przez zestaw potężnych reflektorów. W pokoju na wysokim piętrze hotelu opodal Plaki mężczyzna wstał, wyjrzał przez okno i pomyślał o starym angielskim wierszu o Ozymandiasie, a ściślej o słowach „Jak potężni upadają”.

Wkrótce słowa te miały się ziścić w odniesieniu do Amerykanów.

Dominującym elementem jego pociągłej i posepnej twarzy był nos, wielki i haczykowany, nadający rysom ptasi, a zarazem drapieżny charakter. Stojąc przy oknie mężczyzna splótł dłonie za plecami, zapatrzony w mrowie świetlistych punktów. Przypomniła mu się pierwsza podróż do Stanów Zjednoczonych, do Nowego Jorku. Leciał tam z lękiem, jakby kazano mu wejść w trzewia gigantycznej bestii. W Ameryce znalazł jednak mnóstwo rzeczy godnych podziwu, choć nacechowanych zgniłą kulturą Zachodu w szczytowej formie. Podobały mu się zwłaszcza publiczne biblioteki zawierające ogromne bogactwo książek na każdy temat. Ten, kto miał kartę nowojorskiej biblioteki publicznej i potrafił czytać, mógł o własnych siłach zdobyć wykształcenie.

Ateny były niegdyś podobne - jaśniały mocnym blaskiem pośród bezmiaru ciemności i niewiedzy. Lata jednak mijały i dawna perła świata stała się brudną stolicą trzeciorzędnego kraju, istniejącego głównie dzięki powolnej konsumpcji resztek dawnej chwały. Władze Grecji, choć nie zdradzały sympatii dla sprawy, którą reprezentował przystojny mężczyzna o haczykowanym nosie, przymykały oko na cel jego częstych podróży. Tak długo, jak długo nie działał na greckiej ziemi przeciwko greckim obywatelom, nikogo nie interesowała jego terrorystyczna organizacja i jej podobne, które pojawiały się i znikwały bez śladu. Właśnie dlatego Ateny były dla Ahmada bin Faisala doskonałym miejscem do prowadzenia biznesu.

Biznesu, którym był terror.

Według zachodniej nomenklatury Ahmad bin Faisal był wiceprezesem organizacji terrorystycznej o nazwie Al-Bashira. Miał tylko jedno zadanie, które powierzyła mu „rada nadzorcza” złożona z muzułmańskich duchownych: przybył tu na spotkanie z agentem. Po przylocie z rodzinnego Damaszku i zameldowaniu się w ulubionym ateńskim hotelu z przyjemnością spacerował po Place, a potem wrócił do swego pokoju, by zaczekać na gościa.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, odwrócił się plecami do okna i wyszedł na korytarz, by powitać przybysza.

- Witaj, Youssefie - powiedział. Objął i uścisnął młodego mężczyznę, który w pierwszej chwili stał sztywno, a potem odwzajemnił uścisk. - Zdrowy jesteś?

- Zdrowy, dziękuję - odparł Youssef.

Bin Faisal zamknął drzwi i wprowadził gościa do pokoju, wskazując mu miejsce przy stoliku, tuż obok wielkiego okna.

- Siadaj, przyjacielu - powiedział. - Jadłeś już?

- Tak, dziękuję - odrzekł Youssef. - Czy mógłbym dostać soku?

- Naturalnie. - Faisal wyjął z barku buteleczkę, otworzył ją i napełnił szklanekę. - Proszę.

- Dziękuję.

Bin Faisal w milczeniu przyglądał się młodzieńcowi pijącemu sok pomarańczowy. Youssef unikał jego wzroku, rozglądał się po pokoju i podziwiał nocną panoramę Aten.

- Coś cię trapi, Youssefie? - spytał Faisal. - Wyglądasz na zmartwionego.

Gość wzruszył ramionami.

Trudno znieść samotność.

- Rzeczywiście, nie jest to łatwe. Tylko najlepsi potrafiliby wykonać zadanie, które ty wykonujesz.

- Na pewno znalazłoby się paru - odparł Youssef.

W jego głosie pobrzmiwało coś, co dziwnie przypominało nadzieję.

- Nie, przyjacielu. Nie ma nikogo innego. Ty jesteś Jedynym.

Ahmad bin Faisal martwił się o samotnego agenta Youssefa bin Hassana. Youssef był młody i niedoświadczony, choć z drugiej strony jego przeszłość oraz zapał, który wykazywał podczas szkolenia, zdecydowały o tym, że wybrano go do tej najtrudniejszej misji. Samotność i oddalenie od domu stwarzały pewne zagrożenie, ale już w obozach przygotowawczych nauczano sposobów rozwiązania tego problemu. Głęboko zakamuflowani agenci, którzy docierali do Ameryki, często leczyli się z osamotnienia w związkach z kobietami, korzystając z tego, iż małżeństwo dawało im prawo legalnego pobytu. Tym razem jednak takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę.

Bin Faisal spieszył się podczas odprawy na ateńskim lotnisku, lecz nie spuszczał wyćwiczonych oczu ze strażników, szukając choćby najdrobniejszych oznak niepożądanego zainteresowania z ich strony. Nikt jednak nie próbował mu przeszkodzić i spokojnie minął żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe. Leciał pierwszą klasą prosto do Damaszku. Siedząc w wygodnym fotelu, pochylił się nad zaszyfrowanymi notatkami, które sporządził podczas spotkania z agentem.

Wykorzystanie Jedynego jako pośrednika w sprawie eliminacji Udaya było ryzykowne. Prawdą jednak było i to, że kontakty z najemnymi zabójczyniami z jednej strony, a bin Faisalem z drugiej, nie były specjalnie trudnym zadaniem, a mogły pomóc Youssefowi w rozwinięciu skrzydeł, nabraniu wprawy w poruszaniu się po obcych krajach. Wszystko to miało ułatwić mu misję w Stanach Zjednoczonych. Już teraz widać było, że dobrze się spisuje - choćby w tym, że wymyśla nowe sposoby rozsiewania genetycznie zmodyfikowanego wirusa ospy. Posłużenie się kocami, z których korzystali bezdomni, było genialnym posunięciem. Długi okres inkubacji nowego wirusa, w połączeniu z trybem życia amerykańskich bezdomnych, był gwarancją naprawdę szerokiego rozprzestrzenienia się choroby i wystąpienia jej ognisk w wielu odległych od siebie miejscach.

Zbliżał się czas dostarczenia Youssefowi prawdziwego wirusa.

AMSTERDAM, HOLANDIA

Ścieżką nad krętym kanałem, nad brzegami którego stały szeregi domów o błyszczących w słońcu oknach, spacerowały Marie Garvais i Isabelle Andouille z

córeczką. Ilse dreptała niepewnie między matkami, rączkami trzymając je za palce. Dziewczynka miała na sobie niebieską spódniczkę, białą bluzkę, czarny berecik, białe skarpetki i lśniące, czarne lakiery. Minawszy sklep tytoniowy i maleńki warsztat naprawy sprzętu gospodarstwa domowego, dotarły do włoskiej lodziarni - ulubionego lokalu całej rodziny.

- Lody? - spytała Isabelle.

- Właśnie tego mi trzeba - odparła Marie.

Bez pośpiechu wybrały ulubione smaki. Sędziwy sprzedawca uśmiechał się łagodnie zza lady, nakładając małą brzoskwiniową gałkę gelato dla Ilse, która musiała trzymać wafelek dwiema rączkami, czekoladową dla Marie i brzoskwiniową dla Isabelle. Zabrały zimny przysmak nad kanał i usiadły na ławce z widokiem na drugi brzeg, oddzielone od lustra wody grubym łańcuchem wiszącym na masywnych słupkach. Liżąc lody, obserwowały ludzi spacerujących po drugiej stronie.

- Ostrożnie, Ilse - odezwała się Isabelle, wycierając podbródek córki chusteczką wyjętą z kieszeni. - Chyba nie chcesz pobrudzić takiej ślicznej bluzeczki?

- Zastanawiałaś się, co dalej z tym kontraktem? - spytała Marie.

Isabelle odgarnęła włosy z twarzyczki dziecka i wsunęła je pod берет.

- Tak będzie lepiej - powiedziała. - Nie będą ci przeszkadzały. - Teraz przegarnęła palcami własne włosy i musnęła lody czubkiem języka. - Nie. Jeszcze się nie zastanawiałam.

- Nie ma nowych danych wywiadowczych - zauważyła Marie. - Cel zniknął bez śladu... Został usunięty z ośrodka, a nasi informatorzy nie mają pojęcia, kiedy, w jaki sposób i dokąd go zabrano. Trop się urwał, a nasza umowa z Saudyjczykami jest wciąż otwarta.

- Zapracowałyśmy na zaliczkę - odparła Isabelle. - Resztę mogą sobie zatrzymać.

- Ale oni chcą, żebyśmy go dopadły.

- Wiem, Marie. - Isabelle polizała lody. - I żałuję, ale nic się nie da zrobić.

- Powiedziałam łącznikowi, że nic nie zdziałamy bez lepszych informacji i że nie zamierzamy wydawać własnych pieniędzy na przygotowanie akcji. Tego nie było w naszej umowie i oni dobrze o tym wiedzą. Zdaje się, że pieniądze nie są dla nich przeszkodą.

- Jakoś nie mogę się pozbyć złych przeczuć - przyznała Isabelle. - Wykonałyśmy dwie dość spektakularne operacje i po ostatniej wiemy już, że ten, kto chroni cel, jest naprawdę dobry. Na tyle dobry, że zaczynam podejrzewać udział amerykańskiego wywiadu, a przecież nie chcemy działać przeciwko nim. Mają zbyt długą pamięć i zbyt głębokie kieszenie.

- Ale przydałyby się pieniądze... Ostatnio sporo straciłyśmy, inwestując.

- Wiem, że przydałyby się pieniądze, Marie - odparła cierpliwie Isabelle. - Ale nawet z fortuny nie będziemy miały pożytku, jeśli nie będzie nas na tym świecie. Poza tym Ilse nas potrzebuje. Kiedy powiesz sobie „dość”?

- Jeszcze nie teraz - odrzekła Marie. Skrzyżowała nogi w kostkach; by po chwili wyprostować je i wygładzić nogawki. - Musimy jeszcze popracować.

- W takim razie rozejrzyjmy się za robotą bliżej domu. Moim zdaniem nie musimy już ciągnąć tego kontraktu. Ta sprawa jest poważniejsza, niż nam się wydaje,

a mamy za mało danych, żeby ogarnąć całość. Narażamy się i nic z tego nie wynika. Z takimi informacjami, jakimi dziś dysponujemy, nie mamy co marzyć o kolejnym ataku na cel.

- Powiedziałam o tym łącznikowi. Porozmawia ze swoim przełożonym i zobaczy, czy da się zdobyć jeszcze trochę informacji. Jeśli będą wystarczająco szczegółowe, trzeba będzie zdecydować, czy dokończymy ten kontrakt.

Isabelle wyciągnęła rękę i pogłaskała dziecko po plecach. Milczała przez długą chwilę.

- Zrobię wszystko, co trzeba, ale naprawdę nie sądzę, żebyśmy musiały kończyć kontrakt. Dotrzyśmy umowy, zrobiłyśmy wszystko, co było w naszej mocy. To oni dali nam niekompletne dane z rozpoznania i dlatego nie udała się akcja w Minneapolis. Nie rozumiem, dlaczego nalegają, żebyśmy wykonały zlecenie - wzięłyśmy tylko zaliczkę i zrobiłyśmy tyle, ile się dało na podstawie niepełnych informacji. Jest w tym wszystkim jakiś haczyk, o którym nie wiemy. Obawiam się, że próbują nas wrobić i zwalić na nas całą winę za niepowodzenie. Wiem, że zwykle jestem nieufna, ale tym razem naprawdę powinniśmy uważać.

- Jasne, że musimy uważać - zgodziła się Marie. - I przykro mi, że właśnie ja muszę to powiedzieć, ale... potrzebujemy tej roboty. Nie szykuje nam się nic nowego.

- Więc może powinniśmy się rozejrzeć?

- Kiedy jest robota, to jest - odparła Marie. - A jak nie ma, to nie ma. Nie mamy czego szukać, po prostu tak już jest.

- Fakt - przyznała Isabelle. Objęła się ramionami, jakby nagle poczuła chłód, choć ławka, na której siedziały, była skąpana w słońcu. - Zostawmy to, dobrze? Później wrócimy do tej rozmowy. Zaniedbujemy Ilse.

- Ty też tak uważasz, Ilse? - spytała Marie, gładząc policzek dziewczynki. Mała najpierw się uśmiechnęła, a potem roześmiała, rozciągając umazane brzoskwiniową słodyczą usta. - Nie wygląda na zaniebana.

Isabelle wstała i serwetką wytarła buzię dziecka. Następnie wyłuskała rozmoczone resztki wafelka z jego rączki i po kolei oczyściła paluszki nawilżoną chusteczką, którą wyjęła z torebki.

- Chodźmy - powiedziała.

Wzięła Ilse za rękę i razem zaczęły iść, zostawiając Marie na ławce.

- Isabelle? Isabelle! - zawołała Marie. - Nie zachowuj się tak.

- Chodź z nami, Marie - odkrzyknęła przez ramię Isabelle. - Marnujemy taki piękny dzień.

Marie wstała i wolno ruszyła za kochanką i córką.

Charley i Dale siedzieli na otoczonym moskitierą ganku przestronnego, wiejskiego domu, obserwując słońce, które opadało niespiesznie za zachodni horyzont, pogrążając przesłoniętą wałem strzelnicę w coraz dłuższej smudze cienia.

- Wiesz, że można usłyszeć, jak kukurydza rośnie? - odezwał się Dale. - W nocy słysząc na polu trzaski.

- Dorastałeś w tych stronach, prawda? - spytał Charley.

- Dokładnie tu, w rejonie Decatur - potwierdził Dale. - A potem poszedłem do armii.

- No to jesteś stuprocentowy wieśniak, co?

- Dzięki Bogu - odparł ze śmiechem Dale.

- A ja miastowy.

- A dokładnie?

- Mieszkalem w San Francisco, potem w San Jose.

- Ładne okolice.

- Fakt. I miasto urokliwe. Czasem mi go brakuje, na szczęście dość często odwiedzam rodzinę. Tylko, cholera, za drogo tam, żeby zamieszkać na stałe.

- Też o tym słyszałem.

Charley pokiwał głową i pociągnął łyk z małej szklanki whisky z lodem, którą trzymał w dłoni.

- I co ci powiedział Callan o polowaniu na Bliźniaczki?

- Dostaniemy licencję łowiecką - odparł Dale.

- Naprawdę? - zdziwił się Charley. - Na wytropienie czy na odstrzał?

- Jeszcze nie wiem. Co o tym myślisz?

- To profesjonalistki, Dale. Wiedzą, jakie ryzyko podejmują, ale jednocześnie mają potężnych przyjaciół, zapewne wysoko postawionych. Sądzę, że odstraszenie wystarczy, skoro ostatnim razem skutecznie je powstrzymaliśmy. Nie wiedziały, kto chroni Udaya. Nadal nie wiedzą, że mają do czynienia z najlepszymi. Dlatego jeszcze jedno wyraźne ostrzeżenie powinno wystarczyć.

- Tylko jaką wiadomość przekażesz im w taki sposób? Że mogą podnieść na nas rękę i ujdzie im to na sucho?

- Widzę, że marzy ci się rozlew krwi - stwierdził Charley. - One najwyraźniej nie wiedziały, z kim walczą, w przeciwnym razie zaatakowałyby większymi siłami. Zdawało im się, że mają przeciwko sobie gliny do wynajęcia, może z wyższej półki. A teraz wycofały się i nie sądzę, żebyśmy je jeszcze zobaczyli.

- Dla mnie liczy się też to, że działały na naszym terenie.

- Nie pracujemy dla rządu, Dale. Chronimy klienta, który nam za to płaci, choć nie wprost, tylko za pośrednictwem Callana.

- Pracujemy dla rządu i dobrze o tym wiesz - odparł Miller. - Od samego początku. Callan to jedynie pośrednik i nigdy nie było inaczej.

- Ooo - jęknął Charley, rozpierając się na krześle i przewracając oczami w udawanym zdumieniu. - Naprawdę?

- Nurtuje mnie jedno, jeśli chodzi o Udaya - wciągnął Dale. - Te słowa o ospie... Callan nie wspominał, że przekaże sprawę właściwym ludziom. Choć z drugiej strony, wcale nie musi nas o tym informować.

- Wtykasz nos w nie swoje sprawy, Dale - orzekł Charley. - Dostajemy forszę od Callana i tylko tyle powinno nas interesować. Tylko tyle, nie zapominaj. A jeśli chodzi o danie nauzki Bliźniaczkom, to bardzo chętnie odwiedzę burdele Amsterdamu. Tylko że nie będzie łatwo sprzątnąć je na ich terenie, a w dodatku nie przepadam za zabijaniem kobiet. Dlatego opowiadam się jedynie za solidną nauzką.

Dale zmienił pozycję.

- Tak dla ostrzeżenia?

- Właśnie tak. Jeśli posuniemy się dalej, będą kłopoty. To już ostra akcja, a nie za to nam płacą.

Dale wstał i przeciągnął się, unosząc ręce wysoko nad głowę, palcami ku krawędzi dachu.

- Pogadam z Callanem jeszcze dziś - powiedział. - Ale już czuję, że czeka nas wycieczka do Amsterdamu. Wybierzemy się we dwóch. Tylu wystarczy, żeby dać im nauzkę.

- Ooo - zdziwił się Charley. - Czy to oznacza, że zostałem wysłuchany?

- Właśnie tak - odparł Dale.

- Nareszcie robisz postępy. Dojrzały wiek i mądrość zawsze pokonają młodzieńczy entuzjazm.

- Odpieprz się. - Dale roześmiał się i poklepał Charleya po ramieniu. - I rusz tę swoją starą i zmęczoną dupę. Zobaczmy, co słyhać u naszych żołnierzy.

Charley wyjął gumę do żucia z kieszeni koszuli i odpakował ją niespiesznie, a paperek wsunął na powrót do kieszeni. Jednym haustem dopił resztę whisky i zaraz włożył do ust gumę.

- Nadużywam - mruknął. - No to chodźmy, nieustraszony przywódco.

Zakończywszy patrol i zajrzawszy do ochroniarzy dyżurujących przy monitorach w centrum operacyjnym, Dale i Charley wrócili na ganek. John Onofrey stanął we frontowych drzwiach i powiedział:

- Niedługo kolacja.

- Dobrze wiedzieć, Rhino - odrzekł Dale.

- Tak się tu urządził i w dodatku potrafi gotować? - zdumiał się Charley.

- Jeszcze jak - odparł z uśmiechem Rhino. - Będzie cały gar gulaszu z sarniny.

Prawdziwa uczta. Chcecie jeszcze whisky?

- Może później - odparł Dale.

- Tak, później - dodał niechętnie Charley.

Rhino roześmiał się.

- Nie zabrzmiało to zbyt pewnie, Charley.

- Nie, naprawdę - odpowiedział szybko Payne. - Lepiej po kolacji.

Rhino zniknął w domu, trzasnąwszy drzwiami z siatką.

- Porządny gość - stwierdził Charley.

- Najlepszy - przytaknął Dale.

- Nie brakuje ci czasem takiego życia?

- Co masz na myśli?

- Dawnego życia - sprecyzował Charley, ruchem ręki wskazując na strzelnicę i zabudowania. - Biegania ze spluwą.

Dale wzruszył ramionami i rozejrzał się w zapadającym zmroku. Na czystym niebie, z dala od świateł miasta, widać już było pierwsze gwiazdy.

- Wiesz, wypadłeś z gry na dłuższy czas. Tak jak ja. Cieszysz się z powrotu? - drażył Charley.

Dale odchylił się z krzeselkiem i oparł stopy na balustradzie otaczającej ganek.

- Mam kobietę w Minneapolis. Jest detektywem w miejskiej policji, prawdziwym operatorem. Powiedziała mi coś, kiedy dowiedziała się o tej robocie: że potrzebuję zaangażowania, akcji.

Charley zaśmiał się lekko.

- Może chodziło jej o to, żebyś się z nią ożenił?

- Nie. Mówiła, że prawdziwa misja dałaby mi coś, czego nie da mi szkolenie gliniarzy. Coś z ikrą.

- I sprawdziło się?

- Tak - przyznał Dale. - Chyba brakowało mi tego uczucia. Wcześniej naprawdę miałem dość tego, co robiłem. Nie chciałem mieć już do czynienia z Firmą i z tej perspektywy patrzyłem na świat. Przez jakiś czas nawet nie nosiłem broni.

- Ciężki przypadek.

- A ty? Czy rola fotografa daje ci wszystko, czego oczekujesz od życia? Chyba nie, skoro jesteś tu ze mną.

Charley zacisnął usta i na jego twarzy uwydatniły się długie, głębokie bruzdy przecinające policzki.

- Mamy ze sobą wiele wspólnego, bracie. Ja też miałem dość Firmy, więc rzuciłem to w diabły i odszedłem. Na szczęście miałem fotografowanie, miałem czym wypełnić tę dziurę w życiu. Bo kiedy zostawia się coś tak, jak my to zrobiliśmy, zawsze zostaje pustka. Dziura, którą trzeba załatać, bo jeśli tego nie zrobimy, stare sprawy będą nas wzywać bez końca. Moim uszczelniaczem jest fotografia. A twoim?

- Nina - odparł Dale bez wahania. - Moja kobieta. Ona wypełniła mi tę pustkę.

- Niebezpiecznie jest powierzać tę rolę kobiecie. Powinieneś mieć coś własnego, a kobieta przecież nie jest twoją własnością, przynajmniej nie taka, z którą warto się wiązać.

- A ty kogoś masz?

Charley roześmiał się głośno i tupnął o deski.

- Ech, kobiety to jedyna rzecz, której mi nie brakuje. Mam ich więcej, niż potrzebuję. Ale czy naprawdę nie wydaje ci się, że warto pragnąć czegoś więcej, by życie miało sens? Bez względu na to, czy twoja kobieta o tym wie czy też nie, składasz na jej barki wielki ciężar odpowiedzialności.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

- Posłuchaj starego wygi, Dale. Byłem kiedyś w tym miejscu, w którym ty się dziś znajdujesz. Nie twierdzą, że powinieneś znowu zaprząć się do roboty dla rządu. Ale ludzie tacy jak my muszą coś robić w swoim fachu, więc jeśli szkolenie glin z jednostki antyterrorystycznej nie daje ci wystarczającego kopa, powinieneś się rozejrzeć za czymś mocniejszym. Za czymś własnym.

- Takim jak to, co teraz robimy?
- Sam nie wiem. Liczy się to, czego ty chcesz. Gdybyś miał robić to, czego najbardziej pragniesz, nie przejmując się forszą, co by to było? W którą stronę byś kombinował?
Dale ze zdziwieniem uniósł brwi i znowu zakołysał się na krześle.
- Dobre pytanie.
- I właśnie to decyduje o jakości naszego życia, chłopie. Jakość pytań, które sobie zadajemy.
- Zaskakujesz mnie.
- Nie wiedziałeś, że taki ze mnie filozof? Zdawało ci się, że masz do czynienia z szeregowym agentem na emeryturze?
- Coś w tym guście.
- Więc odpowiedz: co by to było?
Dale zabębnił palcami o podłokietnik, zastanawiając się przez długą chwilę.
- Chyba chciałbym być instruktorem operacyjnym, doradcą czy kimś takim.
Uczyć dzieciaki życia pod namiotem, łażenia z plecakiem, spędzać mnóstwo czasu na świeżym powietrzu.
- No proszę, tego bym się po tobie nie spodziewał. Powiedziałbym raczej, że zostałbyś gliną, może agentem FBI albo kimś takim.
- O, nie - zaproponował Dale. - Nie byłbym dobrym gliną. Za bardzo chciałbym rozwalać złych ludzi.
Roześmiali się jednocześnie, a ich głosy poniosły się daleko w czystym wieczornym powietrzu.

KWATERA GŁÓWNA JEDNOSTKI DOMINANCE RAIN, FAIRFAX, WIRGINIA

Mike Callan rozwalił się w miękkim fotelu, w którym Ray Dalton sadzał swoich gości. Zaplótł palce wokół kubka drogiej, jamajskiej kawy Blue Mountain, która parowała intensywnie, oddając ciepło jego dłoniom. Za wielkim biurkiem Ray kołysał się w przód i w tył na swym ortopedycznym dyrektorskim krześle obrotowym krytym skórą.

- Jak daleko mają się posuwać?- spytał Callan. - Dajesz im pełną licencję?

- A co mówi Dale?

Callan upił łyk kawy, zanim odpowiedział.

- Mówi, że trzeba je odstraszyć. Jego zdaniem Bliźniaczki nie wiedziały, z kim zadzierają. Zdawało im się, że napotkają najwyżej prywatnych ochroniarzy wynajętych przez rodzinę. Jego zdaniem wycofają się, gdy tylko się dowiedzą, że siły rządowe są zaangażowane w sprawę Udaya. Są profesjonalistkami, nie będą z nami zadzierać.

- Ma rację, cholera.

Callan zmrużył oczy i przez chwilę intensywnie przyglądał się Daltonowi.

- Dlaczego chciałbyś ich śmierci?

Ray przestał się kołysać na krześle.

- Zlikwidowały naszą wtyczkę w Wenezueli. Prowadziliśmy do spółki z DEA akcję przeciwko kartelowi narkotykowemu, który prał pieniądze na wielką skalę. Ktoś zdemaskował naszego człowieka i dał zlecenie Bliźniaczkom. Załatwiły go w swój ulubiony sposób, na świeżym powietrzu. Jedna pokazała mu kawałek ciała, a druga z zaskoczenia wpakowała mu kulę w łeb, na chodniku, tuż pod jego domem. Na oczach żony i dzieci, którym nie spadł włos z głowy

- Bliźniaczki nie likwidują krewnych. Uważają, że to brak profesjonalizmu.

- Niewielka to pociecha dla wdowy z dziećmiakami.

- Wiedziały, że facet pracował dla rządu Stanów?

- O ile nam wiadomo - nie.

- W takim razie bądź rozsądny, Ray. Angażujesz się w tę sprawę osobiście, nie zawodowo. A Bliźniaczki już dla nas pracowały. Trzymają się z daleka od naszych ludzi. Najprawdopodobniej uważały, że facet działa dla wywiadu wenezuelskiego albo dla miejscowych służb antynarkotykowych.

- Tak było.

- Więc teraz pozwól działać swoim ludziom, Ray. Dale wie, co robi, a Payne w niczym mu nie ustępuje. Sam pewnie nie zmontowałbyś lepszego zespołu. Zawsze truć nam o tym, że na czas akcji trzeba wyłączyć osobiste uczucia. Kim był dla ciebie tamten agent?

- Poznałem go... Młody, poczciwy facet, bardzo się narażał za niewielkie pieniądze... Naprawdę nie uważasz, że byłoby lepiej wyeliminować Bliźniaczki na zawsze?

- Nie uważam. Bliźniaczki znają się na rzeczy. Możliwe, że w przyszłości jeszcze skorzystamy z ich usług. Odlóż na bok uczucia, Ray. Niech Dale i Charley trochę je nastraszą. Dale sądzi, że uda się skłonić je do wydania mocodawcy, kiedy się dowiedzą, że działały przeciwko Stanom Zjednoczonym i nikt nie raczył ich o tym poinformować. Będą wkurzone i za odpowiednią opłatą wskażą tego, kto wystawił kontrakt na Udaya. Tym sposobem dowiemy się czegoś więcej o naszym podopiecznym, a przecież zależy nam na tym.

- Zwłaszcza że sprawa staje się coraz bardziej śmierzcząca, nieprawdaż?

- Trudno o gorszą rzecz niż wizja epidemii ospy. Bo jeśli złożą się do kupy szczątkowe wiadomości, które udało się wycisnąć z Udaya, to wiele wskazuje na niebezpieczeństwo ataku biologicznego. Mógłbyś sprowadzić do Decatur swoich medyków, niech popracują nad Udayem. Ja wiem - długotrwała kuracja, prawa jednostki i tak dalej,.. Sam zadecyduj, jakie to ma znaczenie w obliczu takiego zagrożenia. Na miejscu gość ma świetną ochronę, przepływ informacji jest szczelny, więc śmiało możemy wysłać Dale'a i Charleya, żeby spróbowali dowiedzieć się czegoś od Bliźniaczek. Daj im grubą książeczkę czekową i trochę aktywów z banku przysług, a jestem pewien, że Dale dotrzyma słowa i nie wróci z pustymi rękami.

- Niedobrze mi się robi na myśl o tym, że tym sukcom znowu się upiecze - wycedził Ray.

- A ja ci radzę, żebyś poczekał do następnej okazji - odparł Callan. - Na pewno zdarzy się niejedna.

- Niech i tak będzie - zgodził się Ray. Po chwili milczenia strzelił zaskakującymi słowami i dodał: - Pora na łowy.

AMSTERDAM, HOLANDIA

Górny pokład przebudowanej barki, którą Bliźniaczki nazywały swoim domem, był podzielony na dwa pokoje: większy służył jako sypialnia i gabinet Marie i Isabelle, mniejszy zaś, pełen pluszowych zabawek, książek i gier ułożonych schludnie na białych półkach, należał do Ilse.

Isabelle krzątała się właśnie po sypialni, poprawiając i tak nienagannie ułożoną pościel oraz strzepując z niej nie istniejące kłaczki kurzu. Po chwili przeszła do pokoju Ilse, by wyprostować wzorowo równe rzędy książek i zabawek. Słyszała dobiegające z niższego pokładu śmiechy córki i głos Marie, która próbowała czytać małej bajki po holendersku. W domu rozmawiano się i w tym języku, i po angielsku, lecz ostatnio holenderski był w użyciu częściej, jako że Ilse miała wkrótce pójść do przedszkola.

Isabelle wróciła do gabinetu i laptopa rozłożonego na biurku. Usiadła i raz jeszcze spojrzała na treść wiadomości, którą dostała pocztą elektroniczną od łącznika koordynującego kontrakt w Minnesocie. Prosił o kolejne spotkanie. Isabelle postanowiła, że zostawi Marie z Ilse i pójdzie sama. Chciała stanąć z nim twarzą w twarz i dobrze go wysondować, cała ta sprawa bowiem coraz mniej jej się podobała. Wyczuwała wielowarstwowy podstęp, a także niejasne, dobrze ukryte machinacje wielkiego manipulatora prowadzącego grę, w której Bliźniaczki były ledwie pionkami. To nie była prosta egzekucja grupy irackich dysydentów, rzecz musiała mieć drugie dno. Cel wydawał się nieproporcjonalnie błahy w stosunku do intensywności łowów, jakby zleceniodawca niewłaściwie ocenił jego wartość.

I dlatego Isabelle zamierzała dopilnować tego na własną rękę.

Ubrała się starannie: w czarne pończochy, krótką czarną spódniczkę, białą bluzkę, luźną skórzaną kurtkę i praktyczne ciężkie buty; dzięki którym mogła rozbroić dorodnego mężczyznę jednym kopniakiem. Jak zawsze gdy wybierała się do pracy, związała długie włosy w koński ogon. Zrezygnowała z makijażu. Z małego, płaskiego futerału, który trzymała w zamkniętej szafce, wyjęła amerykański składany nóż bojowy Emersona model CQC-7. Wsunęła go za pończochę po wewnętrznej stronie uda, tuż obok klamerki łączącej ją z pasem. Zrobiła kilka kroków, by się upewnić, że rękojeść nie obciera zbyt mocno, a potem zeszła na dół do kuchni, gdzie Marie i Ilse przygotowywały lunch.

- Będziesz coś jadła? - spytała Marie.

- Zostawcie mi trochę - odrzekła Isabelle. - Myślę, że niedługo wrócę.

Siedząc w lokalu naprzeciwko schroniska młodzieżowego, w którym zatrzymał się cel, Isabelle niespiesznie piła kawę. Wkrótce go zobaczyła: wyszedł na ulicę z torbą przewieszoną przez ramię i rozejrzał się uważnie. Po chwili ruszył w stronę miejsca, w

którym mieli się spotkać - odległej o kilka przecznic „kawiarni” serwującej marihuanę. Isabelle podążyła za nim, powoli i rozważnie, wypatrując, czy nikt go nie śledzi. Nie zauważyła ani samochodów z dodatkowymi lusterkami i zbyt licznymi antenami, ani par stojących zbyt długo przed sklepowymi wystawami, ani pojedynczych osób nagle zmieniających kierunek marszu, by ruszyć w ślad za młodym Arabem. Przekonawszy się, że tylko ona go śledzi, przeszła na drugą stronę ulicy i skróciła dystans, by obserwować poczynania chłopaka. Zatrzymywał się kilkakrotnie, udając, że ogląda witryny, a w rzeczywistości sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Zerkał też na drugą stronę ulicy, by upewnić się, czy nikt nie posuwa się uporczywie równoległym kursem. Na światłach przebiegał w ostatniej chwili, bacząc, czy nikt nie rzuca się do biegu w tym samym momencie. Wstąpił do jednego ze sklepów, aby kupić butelkę wody, wyszedł na chodnik i przystanął, by ugasić pragnienie, a przy okazji wyłuskać z tłumu ewentualnych obserwatorów. Isabelle przeszła obok, nie patrząc w jego stronę. Obrzucił ją taksującym spojrzeniem, jak robiła to większość mężczyzn, ale nie zareagowała. Wiedziała, dokąd zmierza Hassan - i na tym polegała jej przewaga.

Isabelle wstąpiła do sklepu i tak długo przyglądała się butom stojącym na półkach, aż zobaczyła, że Arab mija wystawę. Wtedy ponownie ruszyła jego śladem. Drażnił ją ciężar noża za pończochą. Raz po raz muskała palcami spódnice, by upewnić się, czy nie jest widoczny. Wbijając spojrzenie w kark Youssefa i chwilami kusilo ją, by zatopić masywne ostrze w jego kręgosłupie. Złościł ją ten dziwny kontrakt, a zwłaszcza postawa zleceniodawcy, który przed ostatnią akcją nie postarał się o właściwe rozpoznanie przeciwnika. Czowała, że zgładzenie łącznika przyniosłoby jej - być może krótkotrwałą - ulgę.

Wypatrywała też charakterystycznych oznak napięcia mięśniowego w jego ciele. Dawno temu uczyła się masażu, a przy okazji i anatomii, zyskując wiedzę, która w karierze zabójczym okazała się niezwykle cenna. Łącznik był nerwowy, spięty, dostrzegała to w jego ramionach i plecach. A przecież w Amsterdamie nie brakowało świetnych masażystek, nie mówiąc o paniach oferujących jeszcze przyjemniejsze sposoby rozładowywania napięcia... dlaczego więc nie korzystał z ich usług? Oczywiście, był muzułmaninem, ale także młodym mężczyzną, a trudy tajnej misji wymagają odpowiedniej rekompensaty. Gdyby Hassan należał do jej ekipy, Isabelle wysłałaby go na masaż albo do domu publicznego.

Zatrzymał się tuż przed drzwiami kawiarni, przy okienku kiosku, i zaczął przyglądać się czasopismom ułożonym na stojakach, a potem stosom pudełek papierosów i cygar, piętrzącym się za plecami sprzedawcy. Isabelle przystanąła obok i powiedziała:

- Witaj, Joe ze Stanów.

Arab drgnął i na jego twarzy przez krótką chwilę odmalowywały się zaskoczenie i strach, lecz opanował się szybko i odwrócił ku młodej kobiecie.

- Jesteś przyjaciółką Marty, prawda? - powiedział. - Przyszłyście we dwójkę?

- Nie tym razem, Joe - odparła Isabelle, biorąc go pod rękę i zaciskając obie dłonie na jego ramieniu. Poczowała, że Hassan zeszywniał, i zapamiętała to sobie.

- Spokojnie - szepnęła uspokajająco. - Nikt nas nie śledzi, mamy piękny dzień i kilka spraw do omówienia - dodała, ciągnąc go łagodnie z powrotem na chodnik, gdzie włączyli się w strumień przechodniów. - Lubisz kawę, Joe?

- Lubię - odparł Youssef.

- Zatem wejdźmy do tej kawiarni i usiądźmy wygodnie. Napijemy się kawy i popatrzymy na ludzi. Ja to lubię, a ty?

- Ja też - odrzekł Arab po krótkim wahaniu.

Isabelle kierowała nim subtelnie, przyciskając jego ramię do swej kształtnej piersi. Doskonale wiedziała, że jest świadom tego manewru, i dyskretnie podsycala jego zażenowanie, raz po raz ocierając się o niego biodrem i mocno przytulając rękę.

Zajęli miejsce z dala od innych stolików, na tyle blisko gwaru ulicy, by nikt nie słyszał ich cichej rozmowy.

Milczeli jednak, póki kelnerka nie postawiła przed nimi filiżanek.

- Powiedz, Joe - zagaiła Isabelle - jak ci się podoba Amsterdam?

Youssef ochoczo pociągnął łyk kawy.

- Piękne miasto.

- To prawda - zgodziła się Isabelle. - Naprawdę piękne. I pełne dobrych ludzi, nie sądzisz?

Youssef odstawił filiżankę i nieznacznie przesunął ją palcem.

- Tak.

Umilkli na kilka minut, obserwując przechodniów spieszących dokądś w pełnym blasku letniego popołudnia.

- Joe - odezwała się wreszcie Isabelle. - Powiedz, jak to będzie z naszymi interesami?

- Zastanawiamy się, czy jesteście w stanie wykonać zlecenie.

- Nie.

- Powiniennem raczej powiedzieć: zastanawiamy się, czy jesteście w stanie wykonać zlecenie, dysponując dodatkowymi informacjami.

Isabelle westchnęła.

- Nawet gdybyśmy miały dokładne informacje o miejscu akcji, a także lepsze dane z rozpoznania, to cel stał się znacznie trudniejszy do zlikwidowania. Nasi ludzie nie są w stanie ustalić miejsca pobytu celu, a ochrona - i tak znacznie lepsza niż informowaliście - z pewnością jest teraz jeszcze bardziej szczelna. Naszym zdaniem robota jest nie do wykonania.

Po twarzy Youssefa przemknął grymas niepokoju.

- Powiedziano nam, że jesteście najlepsze. Skoro twierdzisz, że nie można tego zrobić...

- My nie możemy. Działaliśmy zbyt otwarcie. Zresztą wciąż nie ma precyzyjnych informacji. - Isabelle umilkła na moment. - Jeżeli nie chcesz przekazać złej wiadomości swoim ludziom, chętnie sama z nimi porozmawiam. Wyjaśnię wszystko. Rozumiem, jak ci ciężko... Pozwolisz, że pomogę?

Uważnie obserwowała grę uczuć, która odzwierciedlała się w twarzy i oczach młodego mężczyzny. I jak zawsze podążała za intuicją, która nie zawiodła jej jeszcze nigdy.

- Wyobrażam sobie, jakie to trudne - Ciągnęła. - Jesteś sam w mieście, w którym nikogo nie znasz. I zlecono ci niełatwe zadanie. Jako że i tak kończymy współpracę, nie wydaje mi się, żeby twoi ludzie mieli coś przeciwko. Spotkaniu ze mną. A ja mogę im pomóc w podjęciu decyzji o zleceniu tej roboty komuś innemu, - Wpatrując się w Youssefa intensywnie, poprawiła koński ogon, po czym złożyła dłonie przed sobą na blacie stolika.

- Jesteś głodny, Joe? - spytała. - Może zjemy coś razem?

- Tak - odrzekł Youssef. - Świetny pomysł.

Podczas lunchu rozmawiali o nieistotnych sprawach. Youssef opowiadał o swojej rodzinie, przyjaciółach poznanych w obozach szkoleniowych i o samotności. Przelewał całą prawdę wprost do ucha współczującej kobiety, która kazała się nazywać Isabelle.

- A twój przełożony? - spytała Isabelle. - Nie przyjeżdża tutaj od czasu do czasu, żeby pomóc ci w misji?

Youssef wzruszył ramionami.

- Jest bardzo zajęty. Wielu chciałoby, żeby poświęcił im swój czas... Robi, co w jego mocy.

- Kiedy macie się znowu spotkać?

- Przyjedzie tu za kilka dni. Da mi znać, kiedy będę mógł nawiązać kontakt.

- To się doskonale dla nas składa - oświadczyła Isabelle, akcentując słowa „dla nas”. - Kiedy przyjedzie, możemy spotkać się z nim razem. Porozmawiamy o tym, dlaczego nie widzę możliwości wykonania kontraktu. Sama przekażę mu złe wiadomości prosto w oczy. Widzisz? Już nie musisz się o to martwić.

Ulga i niepokój rita przemian malowały się na twarzy młodego Araba.

- Trochę to niezgodne z regułami sztuki. Szef będzie niezadowolony. ..

- Reguły sztuki nie obowiązują między przyjaciółmi, a nasz kontrakt i tak już wygasł. Jesteśmy tylko grupą ludzi dyskutujących o dawnych interesach, a w tym mieście jesteśmy zupełnie bezpieczni. Pozwól, przyjacielu, że ja będę się przejmować niezadowolaniem twojego szefa. Dobrze?

- Bardzo dobrze - przyznał Youssef. - Gdybyś naprawdę mogła pomóc...

- Naturalnie - zapewniła go ciepło Isabelle. - Od czego się ma przyjaciół?

Położyła dłoń na udzie, na ukrytej rękojeści składanego noża, z uśmiechem wpatrując się w szyję Youssefa bin Hassana.

KWATERA GŁÓWNA JEDNOSTKI DOMINANCE RAIN, FAIRFAX, WIRGINIA

Ray Dalton siedział za biurkiem, a gwarancją spokoju i odosobnienia były dlań zamknięte na klucz drzwi oraz polecenie, które wydał sekretarce: nie wpuszczać nikogo i nie łączyć żadnych rozmów telefonicznych.

Miał wiele do przemyślenia.

Leżał przed nim plik najświeższych raportów. Otrzymywał je natychmiast po zakończeniu każdej sesji terapeutycznej wprost od lekarza zajmującego się Rhamanem Udayem. Fragmenty przerażającej układanki powoli zaczynały tworzyć spójną całość. Obok leżał raport z NSA - Agencji Bezpieczeństwa Narodowego - zawierający kompilację przechwyconych wiadomości i starego protokołu zeznań uciekiniera z Iraku. Wynikało z niego, że w Iraku istotnie prowadzono niegdyś prace nad genetycznym zmodyfikowaniem wirusa ospy. Dwoma najważniejszymi celami eksperymentów były wydłużenie okresu inkubacji wirusa oraz ułatwienie jego przenoszenia. Istotne było również zwiększenie śmiertelności wśród ofiar choroby, standardowo nie przekraczała ona trzydziestu procent. Jak wszystkie irackie programy badawcze z dziedziny broni biologicznej, i ten okryty był ścisłą tajemnicą, lecz z zeznań uciekiniera wynikało, że prace zakończyły się sukcesem. Wirusa przetestowano na więźniach w jednym z tajnych ośrodków badawczych. Saddam Husajn tak bardzo interesował się wynikami eksperymentu, że osobiście odwiedził tę jednostkę i postarał się, by cała śmietanka jego administracji była świadkiem działania nowego wirusa. Jednym z tych ludzi był Rhaman Uday.

Projekt zaś opatrzone kryptonimem Smutne Wakacje.

W DRODZE DO AMSTERDAMU/AMSTERDAM, HOLANDIA

Podczas trzyipółgodzinnej jazdy samochodem na lotnisko O'Hare w Chicago Charley i Dale omawiali plan działania.

- Co z bronią? - spytał Payne. - Nie zamierzam rzucać się bliźniaczki bez odpowiedniego arsenału.

- Spotkamy się z kimś po odprawie celnej - odparł Dale. - Nasz łącznik zatroszczy się o sprzęt. Dla ciebie zamówiłem glocka.

- Nie cierpię pracować bez wsparcia.

- Będzie i wsparcie. Łącznik zapewni nam transport i pomoc ekipy nasłuchowo-obszewacyjnej.

- Oszczędziłoby to nam mnóstwo czasu, pod warunkiem że ekipa jest dobra.

- Callan twierdzi, że jest.

- Rozumiem, że obaj realizujemy ten sam plan?

Dale skinął głową, nie odrywając dłoni od kierownicy wynajętego jeepa cherokee.

- Zdecydowanie tak. Miałeś rację, zabicie Bliźniaczek nie byłoby najlepszym wyjściem. Mają zbyt wielu potężnych przyjaciół i wykonały zbyt wiele zleceń dla różnych rządów, nie wyłączając naszego. Dziwi cię to?

- Nie - odparł Dale. - Straciłem zdolność dziwienia się czemukolwiek w tego rodzaju sprawach.

- Podobnie jak ja, bracie - przytaknął Charley. - A nie wydaje ci się, że Callan działa wyjątkowo szybko?

- Działa szybko, bo ktoś go popycha.

- Tak sądzisz?

- Wiem. Znamy się z Callanem jeszcze z czasów Delt. On był sierżantem, a ja najmłodszym żołnierzem w jednostce. To prawdziwy mistrz wielosłowa, kiedy tylko chce coś przekazać, a nie może mówić wprost.

- Wielosłowa? Uwielbiam, kiedy tak gadasz.

- Tak czy inaczej, kieruje nami w czymś imieniu.

- To już ustalone. Myślisz, że w imieniu Agencji?

- Albo Agencji, albo mojej ostatniej jednostki.

- W takim razie rzeczywiście sprawy potoczą się szybko - stwierdził Charley. - Nie wiedzieliśmy wiele o waszych robótkach, ale słyszeliśmy to i owo. To zbyt mała społeczność, żeby nie było w niej przecieków. I chyba masz rację - sprawa ma nieco inny wymiar niż zwykłe akcje Agencji. O ile istnieje coś takiego jak zwykłe akcje Agencji.

- Callan wyraził się jasno - odezwał się Dale po chwili. - Naszym zadaniem jest odstraszyć Bliźniaczki. Dać im do zrozumienia, że ktoś nastawił je przeciwko nam, nie wyjaśniając całego obrazu sytuacji, a być może nawet planował sprzątnąć je gdzieś po drodze. Zobaczymy, jak to przyjmą. Może skierują złość w pożądanym kierunku i powiedzą nam, kto dał zlecenie na Udaya. Jeśli tak, to pójdziemy tym tropem aż do źródła.

- Myślisz, że Uday jest teraz w dobrych rękach? Może coś powie i to rozjaśni nam obraz sytuacji.

- Właśnie na tym polega nasze zadanie: rozjaśnić obraz sytuacji - odparł Dale.

Zostawili samochód na strzeżonym parkingu i osobno udali się po bilety. Nie zamieniwszy ani słowa, przeszli przez kontrolę i wsiedli do samolotu. Zajęli miejsca z dala od siebie i przez całą długą drogę do Amsterdamu zachowywali się tak, jakby się nie znali. Na lotnisku Schiopol również osobno przeszli długi korytarz, odprawili bagaż i ruszyli dalej. Nikt ich nie zatrzymywał i nikt nie zaglądał do toreb, które mieli przy sobie. W holu zobaczyli mężczyznę z tabliczką, na której widniał napis MILLER.

Dale podszedł do niego, skinął głową i razem ruszyli dalej. Charley został w tyle, by upewnić się, czy nie są obserwowani. Nie zauważył niczego podejrzanego, więc po chwili przyspieszył kroku i dogonił pozostałych. Człowiek, który powitał ich na lotnisku, był niskim i grubym Holendrem o rumianych policzkach i intensywnie niebieskich oczach.

- Jestem Hans - przedstawił się, nie zwalniając kroku.

Poprowadził gości do przestronnego granatowego mercedesa i wrzucił ich torby do bagażnika. Kiedy wsiedli, uruchomił silnik i ostrożnie włączył się w strumień pojazdów odjeżdżających spod gmachu terminalu. Wkrótce skręcili na szosę i pomknęli w kierunku Amsterdamu.

- Zastanawiałem się, czy nie przyjechać pociągiem - odezwał się Hans - ale doszedłem do wniosku, że w samochodzie będzie wam wygodniej. Macie

zarezerwowane pokoje na swoje nazwiska w hotelu Artos, niedaleko Dworca Głównego. To najdogodniejsze miejsce, jakie mogłem znaleźć - wyjaśnił, wyciągając spod siedzenia wielką szarą kopertę i podając ją Dale'owi. - Tu znajdziecie informacje, które na pewno się przydadzą. Jeśli sobie zażycycie, obsługa hotelu dostarczy odtwarzacz wideo. Przyda się do tego - dodał, podając Dale'owi kasetę.

- Masz dla nas narzędzia? - spytał Charley.

- Tak, w bagażniku. Dostaniecie je, gdy dojedziemy do hotelu - odparł Hans. - Dwa Glocki dziewiętnaście i po jednym zapasowym magazynku do każdego, z amunicją Winchester Silvertip. Kabur nie zamawialiście.

- Zgadza się - przytaknął Charley.

Nie chcieli kabur, bo gdyby zaszła konieczność szybkiego porzucenia broni, lepiej było nie mieć przy sobie oporządzenia, którego trudniej się pozbyć.

Ruch na drodze był spory, toteż nieprędko dotarli do centrum miasta.

- Nie muszę wam chyba mówić, jak bardzo te kobiety są niebezpieczne - powiedział Hans. - Naprawdę nie chcę was obrazić, ale nie lekceważcie ich tylko dlatego, że są piękne. Zabiły wielu ludzi i są doskonale wyszkolone, zwłaszcza w wykorzystywaniu swej urody przeciwko nam.

- Miałeś już z nimi do czynienia? - spytał Charley.

- Widziałem na własne oczy skutki ich roboty - odparł Hans. - To profesjonalistki pełną gębą. Zabijają bez mrugnięcia okiem, zwłaszcza wtedy, gdy wyczuwają zagrożenie. Chciałbym kiedyś zamienić z nimi parą słów. Trudno ich nie podziwiać.

Charley roześmiał się na te słowa.

- Jesteś dzielniejszy niż ja, Hans. Wolałbym raczej zastrzelić je ze stu metrów z karabinu snajperskiego, bo mieliśmy okazję zobaczyć, do czego są zdolne w walce na krótki dystans.

- Naprawdę? - zdziwił się Hans. - Chętnie posłucham.

- Może innym razem - odezwał się Dale. - Teraz zajmijmy się tym, po co przyjechaliśmy.

- Jasne - mruknął Hans.

Zatrzymał wóz na zapchanym parkingu przy Dworcu Głównym i wskazał palcem na drugą stronę kanału, gdzie wznosił się wysoki gmach hotelu.

- Tam będziecie nocować - powiedział. - Gdybyście czegoś potrzebowali, dzwońcie do mnie na komórkę o dowolnej porze. Postaram się, żeby numer był cały czas dostępny.

Pulchny Holender zaciągnął ręczny hamulec, wysiadł i otworzył bagażnik mercedesa. Podał gościom torby podróżne, a następnie wyjął aluminiową walizeczkę od kamery.

- W środku znajdziecie to, o czym rozmawialiśmy - powiedział. - Całą resztę potrzebnych rzeczy upchnąłem w koperce. Informacje są jak najbardziej aktualne, a moja ekipa obserwacyjna przez cały czas pracuje. Jak będziecie gotowi, mogę was zaprowadzić do moich ludzi i sami sobie popatrzycie.

- W porządku - odparł Dale. - Dzięki za wszystko, Hans. Będziemy w kontakcie.

- Jak najbardziej - przytaknął Holender. - I pamiętajcie, że chętnie posłucham opowieści.

Z tymi słowy wsiadł do samochodu i odjechał, pomachawszy przybyszom przez uchyloną szybę.

- Miły gość - ocenił Charley.

- Pamiętaj: wiedzieć tyle, ile trzeba - przypomniał mu Dale.

- Pewnie i tak wie więcej niż my o robocie, którą mamy tu wykonać. W końcu jest miejscowy i działa po naszej stronie.

- Chodźmy do hotelu.

Dale zameldował się pierwszy. Kiedy dostał klucz, zamienił słowo z Charleyem, który zaraz zażyczył sobie pokoju na tym samym piętrze. Zamieszkali naprzeciwko siebie.

Gdy tylko Charley pojawił się w pokoju Dale'a, wyjął z barku i otworzył dużą butelkę heinekena.

- W Stanach nie ma takiego dobrego - powiedział. - Ten jest mocniejszy i bardziej aromatyczny.

Dale pokiwał głową, zbierając ze stołu menu hotelowej restauracji i liczne broszury zachwalające uroki Amsterdamu. Otworzył wielką kopertę i starannie rozłożył na blacie jej zawartość. Były tam pliki fotografii - w tym także lotniczych -szczegółowe plany niektórych okolic miasta z odręcznymi notatkami, foliowe nakładki na mapy i zdjęcia, a także dziennik obserwacji. Dale wziął do ręki fotografię dwóch kobiet z małą dziewczynką.

- Nie wiedziałem, że mają dziecko - mruknął.

- To ich? - spytał Charley.

- Na to wygląda. - Dale przyjrzał się arkuszowi papieru zadrukowanemu drobną czcionką. - Mieszkają na przebudowanej barce.

- Daleko stąd?

- Pójdziemy pieszo.

Pochylili się nad dokumentami - na początek nad fotografiami wykonanymi z powietrza, na których widać było barkę i jej sąsiedztwo. Badali teren z uwagą, jaką lekarze poświęcają zdjęciu rentgenowskiemu pacjenta w stanie krytycznym. Chcieli poznać każdy cal ziemi, na której wkrótce miało dojść do konfrontacji. Bliźniaczki musiały się pilnować. Zapewne nie rzucały się w oczy, integrowały się z lokalną społecznością i bez wątpienia sfabrykowały na użytek sąsiadów odpowiednią przykrywkę dla swej prawdziwej profesji.

Dossier przygotowane przez obserwatorów Hansa potwierdziło te podejrzenia. Bliźniaczki starały się uchodzić za stewardesy KLM - do tego stopnia, że gdy wyruszały na akcję, opuszczały swój pływający dom w autentycznych kostiumach pracownic tej linii. Ich córka, Ilse, bawiła się na co dzień z dziećmi z sąsiedztwa, a pod nieobecność zabójczyń zajmowała się nią matka Marie Garvais. Bliźniaczki utrzymywały bliższe kontakty jedynie z rodzicami innych dzieci w wieku Ilse, a ich lesbijski związek nie wzbudzał w tolerancyjnym Amsterdamie niczyjego zainteresowania.

Dale i Charley studiowali fotografie z wielką uwagą.

- Zauważyłeś, że Isabelle uśmiecha się tylko przy dziecku? - spytał Charley.
Jeszcze raz przejrzał plik świeżych zdjęć. - Na każdym albo marszczy brwi, albo ma zupełnie obojętną minę. - Za to Marie wygląda na wesolutką, ciągle się uśmiecha.

- O czym to świadczy?

- Pojęcia nie mam - odparł Charley. - Ale zapamiętałem jej twarz, kiedy mierzyła do mnie ze skorpioną. Była zimna i niewzruszona jak gład.

- Obie takie były - zauważył Dale.

Ponownie pochyłili się nad planem miasta, analizując drogi prowadzące do barki Bliźniaczek. Zamówili w recepcji odtwarzacz wideo, a kiedy go dostali, w skupieniu obejrzel nagranie wykonane przez ludzi Hansa, a ukazujące codzienne życie pary zabójczyń na pokładzie pływającego domu.

- Potrafią zachowywać pozory - przyznał Dale. - Dziesięć lat pod jednym adresem.

- To cud, że nikt ich jeszcze nie wytropił.

- Jeżeli komuś się to udało, zapewne nie przeżył spotkania. Są bardzo ostrożne i profesjonalnie podchodzą do interesów. Nie spotykają się z klientami w domu i nigdy nie wykonują zleceń w Amsterdamie.

- Pełen profesjonalizm - stwierdził Charley z autentycznym podziwem. - Na każdym kroku, od początku do końca.

- To, że są kobietami, daje im niemałą przewagę - zauważył Dale. - Większość operatorów przestaje dostrzegać zagrożenie w chwili, gdy zobaczy kawałek takiej nogi. A one wykorzystują to regularnie... Większość facetów zawaha się, zanim zastrzeli kobietę. A one rozwalą cię bez mrugnięcia okiem.

Charley pokiwał głową.

- Przemyslimy jeszcze, jak się do nich zabrać?

- Działamy zgodnie z planem. Spotkamy się z nimi twarzą w twarz przed ich domem albo w najbliższym sąsiedztwie. Powiemy jasno, kim jesteśmy i dla kogo pracujemy, a także wyjaśnimy, że nieświadomie dały się wykorzystać, występując przeciwko nam. A potem zobaczymy. Stawiam na to, że kiedy usłyszą prawdę, bez wielkich ceregieli wydadzą nam zleceniodawcę.

- Jak zobaczę, to uwierzę - mruknął Charley.

- Zobaczysz, i to już niedługo - zapewnił go Dale. - Przejdziemy się?

- Jak sądzisz, zapamiętały nas w Minneapolis?

- Wątpię. Mignęliśmy im gdzieś w tle, w dodatku się ostrzeliwując.

- W takim razie idziemy.

DAMASZEK, SYRIA

Ahmad bin Faisal odwrócił się od komputera na biurku i wstał. Przechadzając się wolno po pokoju, rozważał prośbę Youssefa o spotkanie w Amsterdamie. Gdyby na nią przystał, wynikłyby z tego co najmniej dwie korzyści: mógłby ocenić stopień przygotowania Youssefa do misji, przy okazji przekazując mu fiołki z genetycznie zmodyfikowanym wirusem ospy, a jednocześnie spotkać się twarzą w twarz z Bliźniaczkami i dokończyć sprawę nie wykonanego zlecenia. Był spokojny, choć wyczuwał w wiadomości od młodego operatora słabo zakamuflowaną prośbę o pomoc w sporze z Bliźniaczkami. Youssef był tylko łącznikiem w tej sprawie i nie należało oczekiwać, że sam podejmie decyzję. W gruncie rzeczy argumenty zabójczyń dotyczące wygaśnięcia kontraktu były słuszne. Siatka Al-Bashiry, choć dysponowała niemałymi środkami, nie umiała zlokalizować ani Rhamana Udaya, ani jego żony od czasu nieudanego ataku na Ośrodek Rehabilitacji Ofiar Tortur. Udało się jedynie ustalić, że oba cele zniknęły i że żonę ukryto wcześniej niż męża. Uday zaś przepadł w sposób tak świetnie zorganizowany, iż należało przypuszczać, że za jego nagłą ewakuacją stoją agencje rządu Stanów Zjednoczonych.

Fakt ten nastroczał pewne problemy, ale Ahmad nie mógł nic na to poradzić. Istniało niebezpieczeństwo, iż Uday zdradzi Amerykanom pewne szczegóły programu broni biologicznej, lecz przywódcy Al-Bashiry wierzyli, że jego problemy psychiczne pozwolą ukryć całą prawdę na czas wystarczająco długi, by można było przeprowadzić poważną akcję przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Bardzo na to liczyli.

Podobnie jak na Jedynego.

Bin Faisal zacisnął zęby, rozmyślając o tym, jak kruchy jest człowiek, od którego zależy powodzenie operacji. Starszy, bardziej doświadczony operator być może lepiej nadawałby się do tej roli, lecz znakomita, niemal bezbłędna angielszczyzna Youssefa, jego znajomość zachodniego świata oraz rozmaitych stylów życia, wynikająca z wychowania w zamożnej rodzinie, czyniły zeń agenta, któremu nie dorównałby żaden zaprawiony w bojach mudzahedin. Co więcej, podczas szkolenia w sudańskich obozach młodzieniec wykazywał wyjątkowy talent do działania operacyjnego. Przekonująco wypadły też jego poczynania w Amsterdamie. Nawet nieudana próba skłonienia Bliźniaczek do dotrzymania umowy wyglądała całkiem niezłe.

I dlatego delikatność natury Youssefa bin Hassana nie mogła przeważać nad jego mocnymi stronami.

Bin Faisal sięgnął po słuchawkę telefonu i polecił osobistemu sekretarzowi zarezerwować bilet na lot do Amsterdamu.

- Nadeszła pora na ostatnie spotkanie z Youssefem.

AMSTERDAM, HOLANDIA

Isabelle i Marie siedziały na pokładzie swej barki, leniwie wygrzewając się w słońcu. Dla Ilse był to czas południowej drzemki.

- To tylko zwykły, bardzo samotny chłopak - powiedziała Isabelle. - Mam wrażenie, że zupełnie nie nadaje się do tej roboty.

- Kiedy ma przyjechać jego przełożony? - spytała Marie.

- Wkrótce. Będę zaglądać do skrzynki e-mailowej.

Isabelle oparła nogi na relingu i ułożyła się wygodniej na składanym ogrodowym leżaku. W zamyśleniu upiła łyk kawy, po czym znowu spojrzała na kochankę.

- Jeśli będą naciskać, chyba zabiję ich obu - rzuciła swobodnie.

Marie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego miałybyś to zrobić? Nie widzę sensu.

- Żeby wysłać czytelny sygnał: nie wolno nas do niczego zmuszać.

- Lepiej daj im spokój. I tak nie mają na nas haka, przecież zrezygnowaliśmy z reszty honorarium.

- Nie pozwolę, żeby nas naciskali.

- Isabelle, Isabelle - odpowiedziała łagodnie Marie, ujmując ją za rękę. Poglądziła jej dłoń i delikatnie rozchyliła palce zaciśnięte w pięść. - Nikt nas nie naciska.

Dopilnowałaś, żeby tak było. Nikt nam tu nie zagraża. Spotkamy się z chłopaczkiem i jego szefem i to wystarczy. Powiemy „nie” i koniec.

- Wciąż mam podejrzenia - nie ustępowała Isabelle. - Mówię ci, pod tą sprawą kryje się coś więcej. Oni celowo nie powiedzieli nam o wszystkim, co powinnyśmy wiedzieć, i nie mówię tu wyłącznie o celu ataku. Ktokolwiek strzegł Udaya, znał się na robocie i dlatego mam wrażenie, że zadarłyśmy z rządem, a tego nasza umowa nie przewidywała.

- Nie przewidywała - zgodziła się Marie. - Ale wyszłyśmy z tego z paroma siniakami i niemałą zaliczką na koncie. Najchętniej posłałabym Amerykanom w worku łby tego młodzika i jego przełożonego.

Marie roześmiała się.

- Ależ z ciebie krwiożercza bestia! Chodź - dodała, wstając i podając rękę Isabelle.
- Pora odwiedzić sypialnię...

W kawiarni opodal Damu Youssef bin Hassan zamknął laptopa i wsunął go do torby, którą zaraz zarzucił na ramię. Dokończył kawę, rzucił na stolik kilka drobnych monet i wyszedł na ulicę. Włączył się w nurt mieszkańców miasta i turystów zmierzających w stronę Dworca Głównego. Z najnowszych wiadomości wynikało, że Ahmad bin Faisal dołączy do niego w Amsterdamie dopiero za dwa dni.

Youssef miał więc czas, by jeszcze potrenować.

Szedł chodnikiem, jedną rękę trzymając w kieszeni, a w drugiej ściskając poręczny atomizer. Za każdym razem, gdy kogoś mijał, spryskiwał wodą nogawkę, kieszeń, czasem dłoń: Spryskiwanie dłoni było najlepsze - gdyby spray był prawdziwy, wirus miałby największe szanse dotarcia do twarzy i wrażliwych błon śluzowych.

Spryskiwanie twarzy byłoby jednak zbyt jawne. Można było ryzykować, spryskując tył głowy czy szyję, ale ofiara mogłaby coś wyczuć i odwrócić się, szukając źródła wilgoci.

Na dworcu Youssef długo przyglądał się tłumowi podróżnych. Zbiegł schodami do tunelu i wyszedł na jeden z peronów. Naciskając atomizer, spryskał poręcz, której każdego dnia dotykało tak wielu przechodniów. Wreszcie zatrzymał się obok jednego z szybów wentylacyjnych i pracującego w nim potężnego wirnika. Sięgnął do torby i wyjął metalowe pudełeczko o wymiarach dwa i pół na pięć centymetrów, wyposażone w magnes. Rozejrzał się i szybko wsunął dłoń pod osłonę szybu, tuż obok wirujących płatów. Umocował pudełko, pstryknął włącznikiem w jego bocznej ścianie i cofnął rękę. Oddalił się o kilka kroków i jeszcze raz spojrzął na wentylator. Pudełeczko ukryte pod osłoną było praktycznie niewidoczne, chyba że ktoś podszedłby bardzo blisko i popatrzył prosto na nie. Youssef zerknął na zegarek i niespiesznie podjął przerwana wędrówkę po stacji kolejowej. Wreszcie dotarł do stojaka z rowerami do wynajęcia. Wybrał jeden z nich i ruszył na kilkugodzinną przejażdżkę. Nie? wiedząc o tym, raz przejechał nawet obok barki Bliźniaczek, podziwiając schludny pokład pomalowany na niebiesko i żółto.

W drodze powrotnej zaszedł do internetowej kafejki, by raz jeszcze sprawdzić skrzynkę pocztową. Gdy odstawił rower, zajrzał ponownie do szybu wentylacyjnego. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdy wsuwał rękę pod osłonę i wyciągał metalowe pudełeczko, które w ciągu trzech godzin zdążyło się pokryć grubą warstwą kurzu i sadzy, naniesioną przez silny strumień powietrza. Włożył je do kieszeni i udał się do publicznej toalety. Zamknąwszy się w kabinie, wyjął pudełeczko i za pomocą długopisu otworzył pokrywkę. Przyjrzał się uważnie ukrytej wewnątrz fiolce i maleńkiemu atomizerowi, który zajmował resztę miejsca. Fiolka była pusta. Jej zawartość, zamieniona w drobniutką mgiełkę, została wessana do systemu wentylacyjnego i rozproszona po całym dworcu.

Znakomicie.

Sprzęt, który mu powierzono, sprawdzał się doskonale w warunkach polowych. Youssef wytarł pudełeczko i schował do torby. Później, w ciasnym pokoju schroniska młodzieżowego, zamierzał przeczyścić jeszcze mechanizm atomizera.

Wyszedł na świeże powietrze. Był naprawdę piękny dzień. Słońce lśniło nad Amsterdamem, a powietrze było przyjemnie ciepłe. Lekki popołudniowy wiatr łopotał krótkimi rękawami białej koszuli i nogawkami niebieskich dżinsów Youssefa. Chłopak pomyślał o kobiecie, z którą jadł lunch. Czuł, że albo się jej podobał, albo szczerze współczuła mu samotności w obcym mieście. Może go pragnęła, a może nie. Kobiety Zachodu zdumiewały go nieustannie, zresztą wszystkie sprawiały, że czuł się dość niepewnie. Miał zbyt mało doświadczenia, by znaleźć punkt odniesienia do ostatnich spostrzeżeń i wrażeń. Czasy studenckie pamiętał jako burzę hormonów przeżywaną nader rzadkimi sukcesami w podbojach. Później, w obozach, kobiet nie było wcale.

I dlatego Youasef nie bardzo rozumiał intencje Isabelle. Miał nadzieję, że rozszyfruje je przy następnym spotkaniu. Zatrzymał się przed domem Anny Frank i spojrzął na kolejkę oczekujących. Nie zwiedzał jeszcze tego miejsca. Przez chwilę przyglądał się tłumowi turystów i zastanawiał, czy warto poświęcić i tutaj, ale doszedł do wniosku, że ma już dość.

Pomyślał o zdjęciach, które mu pokazywano. Zobaczył na nich skutki choroby, którą miał rozsiać, a na którą był odporny dzięki szczepieniu. Plan operacyjny był nadzwyczaj prosty, a prostota zwykle służy realizacji planów. Upewniwszy się, że wszelkie mechanizmy rozpylania działają prawidłowo i nabrawszy wprawę w technikach rozsiewania wirusa, miał otrzymać fiołki ze śmiertcionośną zawartością. Wtedy jego celem miała stać się Ameryka. Postanowił już, że dotrze tam przez Kanadę, by wykorzystać względną łagodność służb granicznych. Właściwa operacja miała się rozpocząć dopiero na terenie Stanów Zjednoczonych.

Od zakażenia do pierwszych wykwitów musiały minąć dwa tygodnie - z dokładnością do kilku dni. Intensywnie czerwona wysypka, potem krosty pokrywające całe ciało. Przez ten czas ofiara, która do tej pory podejrzewała zwykle przeziębienie, już od siedmiu dni zaraża innych śmiertelnie niebezpiecznym wirusem. Siedem dni na inkubację, siedem dni łagodnych symptomów i największej zaraźliwości, a potem pełny rozwój choroby. I wreszcie trzy do siedmiu dni umierania lub - znacznie rzadziej - walki o życie, a potem boleśnie powolny powrót do zdrowia.

Jako turysta Youssef miał przed sobą nader ciekawą marszrutę: Waszyngton, Nowy Jork, Miami, Filadelfia, Boston, Chicago, St. Louis, Atlanta, San Francisco, Los Angeles, Las Vegas.

Namierzał korzystać z różnych środków transportu: autobusów, samolotów, wynajętych samochodów. Miał mnóstwo czasu na dotarcie do wszystkich celów, choć była to długa i męcząca podróż jak dla jednego człowieka.

Dla Jedynego.

AMSTERDAM, HOLANDIA

Zespół obserwacyjno-nasłuchowy Hansa czuwał opodal barki Bliźniaczek przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Naprawdę dopisało im szczęście - zdołali wynająć na tydzień mieszkanie dokładnie naprzeciwko. Miniaturowe kamery z drogimi, długimi teleobiektywami nieustannie monitorowały okolicę nabrzeża. Mikrofon paraboliczny ustawiono tak, by rejestrował rozmowy prowadzone na ulicy. Nie podjęto tylko próby zainstalowania sprzętu inwigilacyjnego na samej barce. Hans uważał, że nie należy kusić losu, kiedy ma się do czynienia z zawodowcami tego kalibru co Bliźniaczki.

Ulicznicy, jak nazywano operatorów śledzących każdy krok zabójczyń, zachowywali nadzwyczajną ostrożność. I choć było to trudne i kosztowne, wymieniano ich bardzo często, tak by te same osoby nie pojawiały się wielokrotnie na pobliskich ulicach. Ulicznicy nie mieli problemu z utrzymaniem stosownego dystansu wobec czujnych Bliźniaczek. Hans nie omieszkał opowiedzieć swoim ludziom o krwawej przeszłości pary młodych i atrakcyjnych kobiet. Na szczęście dla operatorów, obserwowane były najwyraźniej domatorkami. Jeżeli wychodziły z domu, to nigdy daleko - zwykle na zakupy w pobliskich sklepach albo na krótki spacer z dzieckiem.

Hans, Charley i Dale siedzieli w wynajętym mieszkaniu, za plecami operatora, który wpatrywał się w obraz z kamery skierowanej na barcę.

- Moi ludzie zdążyli polubić Bliźniaczki - stwierdził Hans. - Troszczą się o dziecko i są miłe dla sąsiadów. Trudno uwierzyć, że są inne, niż wyglądają na pierwszy rzut oka. Stworzyły naprawdę świetną przykrywkę.

- Zamierzasz przekazać zebrane materiały Holendrom? - spytał Dale.

- Na pewno chcieliby je dostać, gdyby tylko wiedzieli, że tu jesteśmy - odparł Hans, puszczając oko w mało dyskretny sposób.

Roześmiali się wszyscy. Operator sprzętu, szczupły mężczyzna w czarnej koszulce, czarnych dżinsach i wojskowych butach, z kolczykami w obu uszach, wyszczerzył zęby w uśmiechu i powiedział:

- Wychodzą.

Pokręcił niewielką gałką w panelu sterowniczym i kamera obróciła się tak, by lepiej uchwycić Marie i Isabelle, które właśnie schodziły z pokładu barki, trzymając za rękę małą Ilse.

- Jaka miła rodzinka - zauważył operator.

- Dokąd się wybierają? - spytał Charley.

Hans sięgnął po słuchawki z mikrofonem.

- Zero, tu Zero-alfa. Paczka w drodze.

- Tu Zero, przyjąłem: paczka w drodze. Bez odbioru.

- Mamy ludzi w dwóch punktach na ulicy - wyjaśnił Hans. - Bez względu na to, w którą stronę pójda, będą miały ogon. Chcecie popracować na ulicy czy zostanieie tutaj?

- Zostaniemy, chyba że macie dla nas samochód - odparł Dale.

- Mamy, ale one nie pójda na tyle daleko, by warto było jechać. Lubią spacerować i często to robią. Naprawdę nie potrzebujemy tu wozu. Bliźniaczki mają stare audi, ale trzymają je w garażu. Przyprawdzają je tylko wtedy, gdy wybierają się za miasto.

- W tym mieście można tak żyć - zauważył Charley. - I to mi się Amsterdamie podoba. Nie trzeba jeździć, bo do większości miejsc można dotrzeć pieszo...
Cywilizowana okolica.

- Cieszę się, że masz takie zdanie o moim rodzinnym mieście - odrzekł Hans. - Może będzie jeszcze okazja, to pokażę wam prawdziwy Amsterdam.

- Piszę się na to - odparł Charley.

W głośniku rozległy się pierwsze meldunki uliczników.

- Zero, tu Jeden, widzę paczkę.

- Jeden, tu Zero, jest twoja.

Charley i Dale obserwowali na monitorze, jak śladem kobiet i dziecka rusza bez pośpiechu jeden z operatorów. Przed nimi spacerowym krokiem szła pod rękę para, kobieta i mężczyzna.

- Dobra obstawa - pochwalił Miller. - Twoi ludzie znają się na rzeczy.

- Dziękuję - odparł Hans. - Moim zdaniem są najlepsi.

- To fakt - przytaknął operator w czerni, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Jak chcecie to zrobić? - spytał Hans.

- Myślę, że podczas jednego z ich spacerów - odrzekł Dale. - Jedynym problemem jest dziecko.

- Niewykluczone, że dzięki niemu unikniemy konfrontacji - odparł Charley. - Możemy rozmawiać w jego obecności, unikając pewnych słów.

- Nie podoba mi się to.

- Innym rozwiązaniem byłyby wizyta na barce, ale moim zdaniem to zbyt niebezpieczne - powiedział Charley - Lepiej będzie spotkać się z nimi w miejscu publicznym, zostawić im pole manewru... A sobie drogę odwrotu pod osłoną ludzi Hansa.

Dale przygryzł policzek, wpatrując się intensywnie w ekran monitora. Teleobiektyw skierowany był na drzwi sklepu spożywczego, do którego weszły Bliźniaczki.

- Zauważyliście, żeby wychodziły kiedyś same, zostawiając dziecko z opiekunką? - spytał Hansa.

- Nie zatrudniają z opiekunek - odparł Holender. - Wychodzą czasem pojedynczo, żeby spotkać się z przyjaciółmi, ale naprawdę rzadko. Większość dnia spędzają z dzieckiem. Wczoraj na przykład Isabelle zjadła lunch ze znajomym.

- Wiemy co to za jeden? - spytał Dale.

- Nie - odparł Hans. - Zrobiliśmy dobre zdjęcia, ale nie udało się odnaleźć tej twarzy w bazie znanych operatorów. Wyglądał raczej niewinnie. Marie z kolei wyskoczyła na kawę z sąsiadami. Ludzie je lubią, Dale, bo choć obie dość rzadko udzielają się towarzysko, to w kontaktach z sąsiadami są miłe i uprzejme.

- Jest jeszcze jedna możliwość - wtrącił Charley. - Możemy po prostu pójść na tę barkę i zaprosić panie na kawę.

- To się nie uda - odparł Dale.

- Moim zdaniem będziecie musieli spotkać się z nimi na ulicy - powiedział Hans. Dale zabębnił palcami po blacie stołu, na którym stały monitory i laptopy.

- O co chodzi, stary? - ^ spytał Charley.

- Nie podoba mi się, że są z dzieckiem - wyjaśnił Dale.

Charley skinął głową.

- Nikomu się to nie podoba. Ale z drugiej strony, Bliźniaczki nie rzucą się na nas przy córce. Nie zrobią absolutnie nic, bo mogłoby stworzyć zagrożenie dla małej. Będą słuchać. To także będzie dla nich lekcja. Nieprzyjemna, ale zasłużona. Nie zapominaj, że to profesjonalistki, a nie tylko kobiety, matki z dzieckiem. Pamiętasz Minneapolis? Lepiej, żebyś pamiętał.

- Pamiętam - odparł Dale. - Po prostu dziecko stwarza dodatkowy problem, ale nic na to nie poradzimy. Nie widzę innego wyjścia.

- Trzeba spróbować - orzekł Charley. - Zabierzmy się do roboty.

AMSTERDAM, HOLANDIA, KILKA DNI PÓŹNIEJ

Popołudniowe słońce wlewało się do kabiny przez bulaje, rzucając plamę światła na łóżko, na którym leżały Marie i Isabelle splecione w uścisku. Wygrzewały się w ciepłym blasku jak kotki, spoglądając na wentylator, który wirował w wolnym tempie pod sufitem, chłodząc ich spocone ciała delikatnymi podmuchami.

- Jest piękne, prawda? - szepnęła Marie. - Mówię o życiu, które sobie stworzyliśmy.

- Tak - zgodziła się Isabelle.

Z drugiej strony korytarza dobiegł szmer, a potem bosa stopki zatupotały o deski. Po chwili rozległo się niepewne pukanie do drzwi.

- Mamusie? Mamusie, mogę wejść? - zawołała Ilse.

- Oczywiście, kochanie - odpowiedziała Isabelle. - Jak miło, że zapukałaś.

Drzwi uchyliły się i do sypialni weszła bosa dziewczynka w luźnej bluzie wymiętej po południowej drzemce. Podbiegła do łóżka i szybko wcisnęła się między nagie kobiety, by przytulić najpierw jedną, a potem drugą. Marie i Isabelle otoczyły córkę ramionami i zamknęły w ciepłym, przytulnym gnieździe z ciał.

- Co będziemy dzisiaj robić? - spytała Marie. - Leżeć w łóżku cały dzień i słuchać plusku wody? Zdaje się, że właśnie to Ilse lubi najbardziej.

- Nie, mamó - zaproponowała dziewczynka. - Ilse najbardziej lubi lody brzoskwińowe!

- Lody brzoskwińowe? To brzmi nieźle - przyznała Isabelle. - Co ty na to, mamó Marie? Chłodny deser na ciepłe popołudnie?

- Ja wolałabym smak mango - odparła Marie. - Ty też spróbujesz, Ilse?

- Nie, mamó! Wolą brzoskwińowe! - odpowiedziała ze śmiechem Ilse.

- Więc postanowione - zakończyła Isabelle. - Ubieramy się i idziemy na lody.

Ubrały najpierw siebie, a potem dziecko. Wyszły na główny pokład barki i trzymając się za ręce, pokonały krótki trap łączący burtę z nabrzeżem. Bujając Ilse i zanosząc się śmiechem, dwie z grona najbardziej niebezpiecznych zabójców świata ruszyły w kierunku pobliskiej lodziarni.

- Teraz macie szansę - powiedział Hans. - Wyszły razem i rozmawiają o lodziarni odległej o dwie przecznice. Często zabierają tam Ilse w ciepłe popołudnia.

Payne i Miller spojrzeli po sobie. Charley odezwał się pierwszy.

- Decyzja należy do ciebie, Dale. Robimy to teraz czy nie?

Dale spojrzął na monitor i przycisnął łokciem glocka wetkniętego za pasek, a ukrytego pod koszulą.

- Robimy - odparł. - Miejmy to już za sobą.

Dale i Charley wkroczyli do akcji jak dwaj rasowi myśliwi. Ekipa uliczników Hansa utworzyła luźny kordon wokół ruchomego celu - bliźniaczek i dziecka. Kiedy byli gotowi, Charley i Dale weszli do środka kordonu i podążyli za niczego nie podejrzewającą trójką, trzymając dystans jednej przecznicy. Ulicznicy znajdowali się ze wszystkich stron celu. Był to pokaz siły, na który Hans musiał skrzyknąć wszystkich

ludzi, których miał do dyspozycji. Bliźniaczki jednak jeszcze go nie zauważyły, skupione na dogadaniu dziecku.

Na ich widok Charley poczuł znajomy dreszcz: gwałtowny skok poziomu adrenaliny. Bliźniaczki zatrzymały się na chwilę przed włoską lodziarnią, a potem weszły do środka. Obaj z Dale'em zwolnili nieco, by nie zbliżyć się do nich zbyt wcześnie. Spacerowym krokiem przeszli przed witryną i zobaczyli dwie kobiety z córką stojące przy ladzie. Zatrzymali się przed sklepem tytoniowym, dyskretnie obserwując drzwi lodziarni. Bliźniaczki zjawily się po chwili, skupione na córce i gelato w wafelkach. Na krótko zatrzymały się przed wejściem, po czym ruszyły z powrotem w stronę barki.

- Dobra - rzucił Dale. - Idziemy za nimi i przechwytujemy w chwili, kiedy przejdą przez ulicę za ostatnią przecznicą.

- Dobra - odpowiedział Charley. - Kiedy przejdą przez ulicę.

Isabelle pierwsza zorientowała się, że są śledzone. Gdy tylko wyszły z lodziarni, zobaczyła po przeciwnej stronie kanału mężczyznę i kobietę, których widziała już wcześniej podczas spaceru. Stali przed sklepem z ubraniami, zamkniętym z powodu inwentaryzacji, i spoglądali na witrynę. Dla niezorientowanego przechodnia wyglądało to zupełnie naturalnie, jednak zdaniem Isabelle zdecydowanie zbyt intensywnie wpatrywali się w pustą wystawę, szyba zaś znakomicie pełniła funkcję zwierciadła, w którym mogli obserwować lodziarnię, stojąc plecami do niej.

Szczegółem, który rozwiał ostatnie wątpliwości Isabelle, był fakt, że gdy ruszyła z Marie i Ilse z powrotem w stronę barki, para podążyła spacerowym krokiem w tym samym kierunku. Zaraz potem mężczyzna w stroju do joggingu pospieszenie zbliżył się od tyłu do tajemniczej pary, która niemal natychmiast zwolniła kroku i skręciła w boczną ulicę, ustępując mu miejsca. Kobieta obejrzała się przez ramię tylko raz i nie zatrzymując się, wsunęła rękę pod ramię towarzysza.

Wyglądało to na szybką zmianę śledzących. Wewnętrzny system wczesnego ostrzegania Isabelle pracował teraz na wysokich obrotach. Nie przeżyłyby z Marie tylu lat w swojej branży, gdyby nie doskonałe wycucie sytuacji, wzbogacone naturalną kobiecą intuicją i konsekwentnym szkoleniem. Rozejrzała się na pozór obojętnie i z tyłu, w odległości mniej więcej pół przecznicy, dostrzegła dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn, którzy maszerowali razem, ale nie rozmawiali ze sobą. Nieco bliżej, po tej samej stronie ulicy, szła kobieta - przyglądała się wystawom sklepowym, ale nie zatrzymywała się, utrzymując takie tempo, by zachować stały dystans do zabójczyń i ich córki. Z przodu Isabelle zauważyła jeszcze jedną parę. Kobieta i mężczyzna trzymali się za ręce i zatrzymywali się przed witrynami sklepów, ale tylko przed tymi, w których mogli dostrzec odbicie tego, co działo się na chodniku za nimi.

Były otoczone.

Isabelle zapanowała nad strachem, który na krótką chwilę ścisnął jej żołądek, i szybko przeanalizowała możliwości. Skoro były z Marie dyskretnie obserwowane, a wszystko na to wskazywało, nie należało się spodziewać aktów przemocy, póki nie pojawią się wyraźniejsze sygnały zagrożenia. Ważne było teraz to, by nie dać

śledzącym do zrozumienia, że zostali zdemaskowani. Gdyby tak się stało, następnym razem znacznie trudniej byłoby ich namierzyć.

O ile w ogóle będzie następny raz, pomyślała Isabelle.

Zaraz potem zaświtało jej w głowie pytanie: kto? Kto mógł zorganizować akcję obserwacyjną na taką skalę? Czyżby rewanż za którąś z poprzednich operacji? Najprawdopodobniej. Isabelle pomyślała też o młodym Arabie i jego przełożonym, którego miała wkrótce poznać. Gniew wyparł resztki strachu, gdy wyobraziła sobie, co zrobi z Youssefem, jeśli okaże się, że to jego sprawka. Uważnym spojrzeniem ogarnęła fragment ulicy, który dzielił je od barki. Była tam ławka, na której często siadywały popołudniami. Mogły wziąć Ilse między siebie i popatrzeć na przechodniów przez jakiś czas, siedząc plecami do kanału.

Dobry punkt obserwacyjny.

- Zauważyłeś, jak Isabelle się rozgląda? - spytał Charley.

- Tak. Sądzisz, że się zorientowała? - odparł Dale.

- Sam nie wiem. Przed chwilą ludzie Hansa po drugiej stronie kanału zrobili dość niezgrabną zmianę. Możliwe, że ich zauważyła.

- Niech to szlag.

- Jeśli tak, to trzeba przyznać, że rozgrywa to na zimno. Popatrz tylko. Obserwuje cały teren, trzysta sześćdziesiąt stopni, a wszystko to w perfekcyjnie naturalny sposób. Profesjonalistka pełną gębą - nie po raz pierwszy stwierdził z podziwem Charley.

- Jak myślisz, co teraz zrobią? - spytał Dale.

- Założę się, że zaraz się zatrzymają, żeby Isabelle mogła się upewnić, czy któryś z uliczników zrobi to samo. Wtedy nie będzie miała wątpliwości. Świetnie się maskuje... Udaje, że nic nie widzi, ale spójrz na jej barki: jest coraz bardziej wkurzona.

- W takim razie tam do nich dołączymy.

- Isabelle? - odezwała się Marie. - Co się dzieje?

Ilse spojrzała najpierw na Marie, a potem na Isabelle, która się pochyliła, pogłaskała ją po policzku i powiedziała:

- Dokończ lody, kochanie, zanim się roztopią.

Wyprostowała się, spojrzała w oczy Marie i dodała spokojnie:

- Jesteśmy otoczone. Troje z tyłu, jeden po drugiej stronie kanału, dwoje przed nami.

Marie zatrzymała się.

- Dokąd idziemy?

- Zatrzymamy się tutaj - odparła Isabelle.

Łagodnie wzięły córkę między siebie i podeszły do spłowiałej od słońca i deszczu ławki.

- To dobre miejsce, prawda, Ilse?

- Tak, mam - odparła Ilse.

Z pomocą matek usiadła na ławce między nimi. Jej lakierki błyskały rytmicznie, gdy bez troski majtała nogami.

Isabelle spojrzała na dwóch mężczyzn, którzy szli za nimi. Trudno było nie rozpoznać, kim są - zdradzało ich wszystko: atletyczna budowa, krótko - ale nie zbyt

krótko - ostrzyżone włosy, luźne ubrania i koszule wyjęte na wierzch, by ukryć broń. Jednak tym, co najbardziej rzucało się w oczy, było ich skupienie. Teraz Isabelle musiała odgadnąć ich zamiary. Były z Marie nieuzbrojone. Owszem, na wszelki wypadek przechowywały trochę broni na pokładzie barki, ale nie brały jej ze sobą, gdy wychodziły do miasta. Czując w ramionach narastające napięcie, wzięła głęboki wdech, by się uspokoić.

- Jeżeli coś się stanie, bierz ją i uciekaj - powiedziała cicho.

- Bierz kogo, mamusi? - spytała Ilse.

- Nikogo, skarbie. Mama tylko tak mówi - odrzekła Isabelle.

Marie skinęła głową i ułożyła nogi tak, by w każdej chwili mogła poderwać się z ławki.

Dwaj mężczyźni byli coraz bliżej i nie było już wątpliwości, na kogo patrzą.

- Już wiedzą, na sto procent - stwierdził Charley.

- Gramy spokojnie - odparł Dale.

- Mam nadzieję, że ona to zauważy. Sądysz, że jest uzbrojona?

- Raczej nie.

Dale rozluźnił się i odetchnął głęboko, pozwalając, by ramiona nieco opadły, a cała sylwetka prezentowała się mniej groźnie. Starał się też trzymać ręce niezbyt blisko ciała i nie zamykać dłoni. Charley zachowywał się podobnie. Dale uśmiechnął się i przystanął dobrych siedem metrów przed ławką, z której w napięciu obserwowały go dwie kobiety, jakby zdziwione tym, że nie podszedł bliżej.

- Witaj, Marie. Witaj, Isabelle. Dzień dobry, Ilse - powiedział Dale.

- Dzień dobry - odpowiedziała Ilse. - Kim są ci panowie?

Isabelle wstała, unosząc się lekko na palcach, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków.

- To starzy przyjaciele mamy, kochanie. Marie, zabierz Ilse do domu, a ja z nimi porozmawiam.

- Nie ma potrzeby, by Marie nas zostawiała, Isabelle. Nie zabierzemy wam wiele tego pięknego popołudnia - odparł Dale. - Chcemy tylko pogawędzić o Minneapolis.

- Obawiam się, że nie rozumiem - odpowiedziała Isabelle, krzyżując ręce na piersiach i muskając palcami jednej kącik ust.

Marie położyła dłoń na ramieniu Ilse.

- Macie śliczną córeczkę - odezwał się Charley. - Ale jakże mogłoby być inaczej, skoro ma tak piękne matki?

- Dziękuję - odrzekła grzecznie Ilse.

Marie zacisnęła wargi. Ilse spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Mamo, co się stało? - spytała.

Isabelle przesunęła się nieco, stając przed Marie i córką.

- To nie jest dobra pora na rozmowę. Spędzam czas z rodziną.

- Jak powiedziałem, Isabelle, nie zajmujemy wam wiele czasu. Chcemy tylko pogadać. Na dziś nie przewidujemy nic więcej - odparł Dale.

- O czym chcecie pogadać?

- O waszym ostatnim projekcie. Skierowano was przeciwko ludziom, którym na pewno nie chciałybyście sprawiać kłopotów. A my reprezentujemy tych ludzi - wyjaśnił Dale.

Isabelle milczała przez chwilę, nie zmieniając ułożenia rąk, gotowa do podjęcia walki wręcz, choć mógł to zauważyć tylko zawodowiec.

- I? - spytała prowokująco.

- I nie mamy złych zamiarów - dodał Dale. - Ale chcielibyśmy, żebyście porzuciły ten projekt. To wszystko.

Isabelle nie poruszyła się. Mięsień jej uda zadrżał nieznacznie i znieruchomiał. Spojrzała na Marie, a potem znowu na Dale'a i Charleya, którzy wciąż zachowywali dystans i nie ukrywali otwartych dłoni.

- Wasi przyjaciele - odezwała się wreszcie - też są Amerykanami?

- Tak - odparł Dale.

- Rozumiem. Nie wiedzieliśmy o tym, przystępując do pracy. Właściwie powiedziano nam, że jest inaczej.

- Wiemy o tym - odrzekł Dale, który jeszcze przed sekundą nie miał o tym pojęcia.

- Ludzie, którzy dali wam zlecenie, nie działali całkiem uczciwie. Nie powiedzieli wam wszystkiego, o czym sami wiedzieli.

- Teraz to rozumiem - przyznała Isabelle. - A co z wydatkami, które poniosłyśmy do tej pory? Ludzie, których reprezentujecie, na pewno znają naturę tej branży.

- Zostaliśmy upoważnieni do rozmów na temat rekompensaty za wasze pełne zrozumienie naszych racji i za wydatki, które poniosłyście do tej pory. I masz rację: znamy naturę tej branży - zgodził się Dale.

Isabelle rozejrzała się, notując w pamięci pozycje operatorów, którzy otaczali rozmawiających luźnym kordonem.

- W porządku - odezwała się pogodnie. - Może więc Marie i Ilse pójdą już do domu, a my dokończymy rozmowę?

- Nie widzę przeszkód - odparł Dale. - Miło było znowu cię zobaczyć, Marie. I poznać ciebie, Ilse.

- Do widzenia, Ilse - dodał Charley.

Uśmiechnął się i pomachał dziewczynce.

- Niedługo przyjdę, Marie - powiedziała Isabelle. - Pogawędka z przyjaciółmi nie potrwa przecież długo... Zabierz Ilse do domu.

- Oczywiście - odrzekła Marie.

Jej głos był spokojny, ale widać było, że strach przeradza się w niej z wolna w furję. Wzięła Ilse za rękę i oddaliły się szybko. Obecność uliczników, którzy pozostali na miejscu, nie uszła jej uwagi. Nikt jednak nie próbował jej zatrzymać - w pośpiechu poprowadziła Ilse w stronę barki.

Isabelle spojrzała za odchodzącymi i spytała:

- Jak właściwie mam się do was zwracać?

- Nie potrzebujemy imion, Isabelle - odparł Dale. - Mam nadzieję, że nie będziemy musieli spotykać się ponownie.

- Ja również - odparła gładko.

- Ile chcesz za wycofanie się z projektu?

- Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich. Gotówką.

- To spora kwota - odparł Dale.

- Włożyliśmy w ten kontrakt sporo pracy. Poza tym dla rządu Stanów Zjednoczonych to zapewne drobne, nieprawdaż?

Charley uśmiechnął się szeroko. Podobała mu się ta kobieta.

- Zdajesz sobie sprawę z zamiarów ludzi, dla których pracowaliście? - spytał Dale.

- Spodziewali się, że zginiecie w akcji. W ten sposób zaoszczędziliby na waszym honorarium.

- Przeszło mi to przez myśl - odrzekła Isabelle.

- Interesują nas ci ludzie - ciągnął Dale. - Gdybyś zechciała skontaktować nas z nimi, mógłbym zdobyć te sto pięćdziesiąt kawałków.

- To nie wchodzi w rachubę - odparła stanowczo Isabelle. - Wydawanie zleceńodawców jest niezgodne z zasadami rzemiosła... bez względu na to, jak bardzo byli nierozsądni.

- Jeśli nie dostaniemy czegoś na osłodę, trudno będzie zdobyć dla was taką kwotę - nie ustępował Dale.

- A nam trudno będzie pracować - między innymi dla ludzi, którzy was tu przysłali - jeżeli rozejdzie się wieść, że nie zachowałyśmy dyskrecji. Bez względu na to, ile za to zapłacicie.

Dale przez cały czas obserwował twarz kobiety. Nie zdradzała żadnych uczuć. Isabelle przyglądała mu się w skupieniu, jakby szukała słabego punktu.

- Może jeszcze się zastanowisz? - zaproponował. - Powiedzmy do jutra. Nie chcemy przecież, żeby Marie i Ilse czekały zbyt długo. Może Marie pomoże ci zmienić zdanie?

- Tak właśnie zrobię - odrzekła Isabelle. Wyprostowała ramiona i zdecydowanym ruchem wsunęła dłonie w głębokie kieszenie spodni. - Jutro, w tym samym miejscu, o tej samej porze?

- Tak - odparł Dale. - W tym samym miejscu, o tej samej porze.

- Powinniście spróbować gelato - rzuciła na pożegnanie Isabelle. - Są świetne.

- Nie mamy wyboru, Isabelle - powiedziała Marie, próbując uspokoić rozwścieczoną kochankę. - Wydaj im Araba i niech to się wreszcie skończy.

Isabelle przechadzała się nerwowo po wąskim salonie. Ilse bawiła się cicho w swoim pokoju; tylko od czasu do czasu jej głos przebijał się przez nieustający szum i chlupot wody bijącej o burtę barki.

- Przyszli do naszego domu - wycodziła Isabelle przez zaciśnięte zęby. Z trudem panowała nad sobą, nie chciała podnosić głosu, by nie płoszyć Ilse. - Do domu! Mogą nas mieć na widelcu w dowolnym momencie. A wszystko przez tego Araba i jego szefa. Mówiłam ci, że coś się za tym wszystkim kryje.

Wzięła głęboki wdech i jeszcze raz spróbowała stłumić emocje. Spojrzała na Marie, zwiniętą w kłębek, obejmującą ramionami podkulone nogi, wciśniętą w kąt kanapy, i poczuła ukłucie bólu.

- Jak się czujesz? Wszystko w porządku? - spytała.

Marie wzruszyła ramionami.

- A jak mam się czuć? Martwię się o Ilse. Ona wie, że coś jest nie tak.

- Musimy chronić ją przed tym wszystkim.

- Najlepiej jak się da - przytaknęła Marie. - Potrzebna nam izolacja.

- Powinnam po prostu wydać im Araba - powiedziała Isabelle. - Zaproponowali sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To niewiele... Powiedziałam, że wystarczy na pokrycie wydatków, które poniosłyśmy w związku z robotą w Minneapolis.

- Całkiem sensownie - pochwaliła Marie. - Ale tak naprawdę potrzeba nam jednego: szybkiego zakończenia tej sprawy. I niech Amerykanie zabiorą się stąd jak najprędzej.

- Przecież musimy jakoś pracować - sprzeciwiła się Isabelle. - Jeżeli wydamy Araba, mogą nas wykopać z interesu. Mogą puścić w obieg informację, że sprzedajemy klientów.

- A my możemy jej zaprzeczyć. Zresztą wcale nie wiemy, czy to zrobią. Im też zależy na zakończeniu sprawy. Ostrzegli nas, chociaż mogli zabić. A gdyby to zrobili... co by się stało z Ilse?

- Amerykanie nie zrobiliby jej krzywdy.

- Ale co by się z nią stało bez nas, Isabelle? Zostałaby z moją matką? Musimy o tym myśleć. Mamy okazję wycofać się z kontraktu, przy okazji zarabiając trochę forsy.

Marie umilkła i objęła się ramionami jeszcze mocniej, jakby poczuła chłód.

- Wkrótce Arab odezwie się do nas, żeby zaaranżować spotkanie ze swoim przełożonym - powiedziała. - Może zrobimy tak: zamiast wydawać klientów, możemy pozwolić, żeby Amerykanie poszli za nami na spotkanie, a dalej niech robią, co chcą. Pewnie obserwują nas na okrągło i na pewno nie spuszczą z nas oka. Tym sposobem oni będą mieli swojego Araba, a nikt nie będzie podejrzewać, że to nasza robota.

Isabelle pogładziła się po brodzie i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- To by mogło wypalić. Nie będę używać komputera w domu. Pójdę do kafejki, żeby odebrać pocztę. I postaram się, żeby poszli za mną.

Isabelle podeszła do Marie i przysiadła obok niej. Łagodnie rozplotła jej zaciśnięte wokół kolan ramiona i przyciągnęła ją ku sobie.

- Będzie dobrze, kochanie - powiedziała cicho. - Już niedługo wszystko ułoży się jak dawniej.

AMSTERDAM, HOLANDIA

W przeciwieństwie do Youssefa Ahmad bin Faisal lubił odwiedzać Amsterdam. Szczególnie chętnie korzystał z usług pewnego domu publicznego słynącego z dyskrecji i dlatego często odwiedzanego przez polityków i słynne osobistości. Pewnego razu spotkał w poczekalni znanego senatora ze Stanów Zjednoczonych oraz starzejącego się gwiazdora rocka. Obaj byli zajęci damami, dla których tam przyszli. Chcąc zaznać nieco ziemskich rozkoszy, Faisal celowo przybył do Holandii na dwa dni przed spotkaniem z Youssefem. Nie musiał się spieszyć, korzystając z przywilejów należnych mu z racji zajmowanej pozycji. Bez skrupułów wykorzystał wolny czas. Kiedy nie poświęcał go bardziej ekscytującym zajęciom, spacerował wąskimi uliczkami, cieszył się słońcem, delektował kawą i lekturą świeżo kupionej książki, by wreszcie, po kolejnej kawie, udać się do kafejki internetowej i za opłatą skorzystać z komputera. Napisał do Youssefa, informując go o czasie i miejscu spotkania. Pogoda była świetna, więc postanowił, że umówią się pod gołym niebem - przy centrum informacji turystycznej, tuż obok Dworca Głównego. Stamtąd mogli się udać na przyjemny i względnie bezpieczny spacer, jako że na placu i w jego sąsiedztwie łatwo było wykryć ewentualnych obserwatorów. Wysłał wiadomość, wrócił na słońce i szybko znalazł zaciszne miejsce, w którym mógł podjąć przerwana lekturę.

Youssef bin Hassan i Ahmad bin Faisal, towarzysze broni w walce z Wielkim Szatanem, wędrowali ścieżką wzdłuż kanału biegnącego najbliżej gmachu stacji kolejowej. Przez pewien czas milczeli, delektując się ciszą i własnym towarzystwem, a potem starszy z nich zapytał:

- Jak spędzasz dnie, przyjacielu?

Youssef wzruszył ramionami i nie odpowiedział od razu.

- Wypełniam je modlitwą i próbami - odezwał się w końcu. - Dużo spaceruję i piję sporo kawy. Niekiedy czytam. To mi wystarcza.

- Jesteś młody - zauważył Faisal. - Powinieneś znajdować czas na zabawę.

Youssef ponownie wzruszył ramionami i Faisal pomyślał, jak bardzo dziecinnie wygląda jego podwładny w luźnych džinsach i T-shircie z logo amerykańskiej grupy Dave Mathews Band, z kurierską torbą przewieszoną przez wąskie ramię. Uderzyło go, że tak niewinnie i bezradnie może prezentować się najbardziej niebezpieczny z ludzi.

Nadszedł czas powierzenia mu prawdziwej misji.

- Skontaktowałeś się z Bliźniaczkami? - spytał bin Faisal.

- Tak - odparł Youssef. - Sprawdziłem skrzynkę e-mailową, zanim tu przyszedłem. Chcą się spotkać natychmiast.

- Dlaczego tak im się spieszy?

- Zdaje się, że chcą zakończyć ten kontrakt i jak najszybciej zabrać się do innych zleceń.

- Jak oceniasz ich stanowisko?

Youssef podrapał się po szczęce porośniętej jednodniowym zarostem.

- Myślę, że racja jest po ich stronie. Próbowaliśmy wykonać zadanie, lecz okazało się ono zbyt trudne. Nie dostarczyliśmy im wystarczająco szczegółowych informacji, akcja była przygotowana w zbyt dużym pośpiechu. Cel został ukryty w innym miejscu. Możliwe, że nasi ludzie kiedyś ustalą gdzie, ale w tej chwili działamy po omacku. Minie sporo czasu, zanim to się zmieni. Powiedziałbym: dajmy Bliźniaczkom odejść, a jeśli okoliczności na to pozwolą, wrócimy do nich lub skierujemy się do innego wykonawcy. Z pewnością nie brakuje podobnie zdolnych?

Bin Faisal z uznaniem pokiwał głową. Młodzieniec dobrze przemyślał sprawę.

- Czy zatem nasze spotkanie z nimi jest konieczne? - spytał.

- Bardzo chcę cię poznać. Sądzę, że pragną się upewnić, iż zostały dobrze zrozumiane.

- Zatem gdzie nas umówisz?

Youssef dostrzegł ukryty komplement w tym pytaniu. Przełożony powierzał mu samodzielne dopilnowanie operacyjnych detali.

- Proponuję wspólny spacer nad jednym z kanałów, to powinno utrudnić ewentualną obserwację... choć z drugiej strony, nie dostrzegłem dotąd żadnych niepokojących sygnałów i sądzą, że jesteśmy bezpieczni. Mimo to nigdy za wiele ostrożności.

- W jaki sposób skontaktujesz się z Bliźniaczkami?

- Będą sprawdzały skrzynkę co pół godziny. Wyślę im wiadomość, że spotkamy się jeszcze dziś.

- Tak będzie najlepiej - odparł bin Faisal.

Pomyślał o kobiecie, z którą w wielce zajmujący sposób spędził poprzedni wieczór. Zastanawiał się, czy wystarczy mu czasu na jeszcze jedno równie interesujące spotkanie.

Isabelle bardzo starannie przygotowała się na spotkanie z Arabami. Na boso stopy włożyła trepy, a do tego krótką czarną spódniczkę i wypuszczoną na wierzch białą bluzkę, na którą narzuciła czarną kamizelkę. Wszystko to służyło głównie ukryciu superlekkiego, aluminiowego pistoletu Sig-Sauer P-230 kalibru .380 z tłumikiem AWC. Tłumik podwajał długość broni, czyniąc ją mniej wyważoną, ale dobrze leżał w wąskiej pochwie umocowanej na plecach, skierowany pionowo w dół, wzdłuż kręgosłupa, i sięgający niemal do pośladków. Do gumki majtek przypięła co-pilota marki Spyderco, składany nóż o pięciocentymetrowej ostrej jak brzytwa klindze.

Isabelle przyjrzała się sobie w łazienkowym lustrze, polizała palec i usunęła z policzka rzęsę. Włosy miała związane w koński ogon, co dodawało jej powagi. Jak zawsze nie miała makijażu, ale po krótkim namyśle sięgnęła po tusz i dopieściła nim długie rzęsy, a potem dodała subtelny kolor pełnym wargom.

Teraz była gotowa.

Weszła do salonu. Długie cienie późnego popołudnia pochłonęły już kanał, przynosząc chłód obu brzegom, zabudowanym ciągami wysokich kamienic. Marie i Ilse siedziały przy stole, bawiąc się imbrykiem i filiżankami.

- Dokąd idziesz, mamó? - spytała dziewczynka.

- Niedługo wrócę, kochanie - odparła Isabelle. - Chciałabyś, żebym coś ci przyniosła?

- Coś słodkiego? - Głosik Ilse był pełen nadziei.

Matki roześmiały się jednocześnie.

- Nie wiem, po co w ogóle pytamy - powiedziała Marie. - Zawsze odpowiadasz tak samo.

- Bo najbardziej lubię słodycze - wykrzyknęła Ilse.

- Jasne - odparła Isabelle. - Niech będą słodycze.

Marie wstała i podeszła do kochanki. Objęła ją i przesunęła dłońmi po jej plecach, wyczuwając ukrytą broń.

- Naprawdę jest ci potrzebna? - spytała.

- Może...

- Proszę cię, Isabelle. Nie rób tego. Niech zajmą się nimi Amerykanie. Jeżeli teraz użyjemy przemocy, dokąd nas to zaprowadzi? Nie mamy wyboru.

Uparta Isabelle wzruszyła ramionami.

- Nie lubię, kiedy ktoś nie pozostawia mi wyboru - odrzekła. - I tak naprawdę nie wiem, co się stanie. Ale na pewno nie ja pierwsza użyję broni.

- Obiecuj mi, że będziesz ostrożna, Isabelle. Pamiętaj, po co żyjemy.

- Pamiętam, skarbie - odparła Isabelle i delikatnie pocałowała Marie w usta. - Niedługo wrócę.

- Isabelle wychodzi - zameldował operator kamery.

Dale, Charley i Hans siedzieli przy kuchennym stole zasypanym okruchami chleba i wędlin.

Głośnik krótkofalówki zatrzeszczał.

- Zero, tu Cztery. Mam oko na Isabelle.

- Cztery, tu Zero, przyjąłem.

Ulicznicy ruszyli, sprawnie formując luźny kordon wokół Isabelle, która oddalała się od barki, stopniowo wtapiając się w tłum powracających z pracy.

- Marie i Ilse zostały na pokładzie? - spytał Charley.

- Tak - odparł kamerzysta. - Mamy w zapasie paru ludzi na wypadek, gdyby chciały się dokądś wybrać.

- Ciekawe, dokąd idzie - mruknął Dale. - Przecież wie, że jest obserwowana.

- Mam wrażenie, że nawet nie próbuje wypatrzeć naszych ludzi. Powiedziałbym, że celowo zwalnia, żeby za nią nadążyli.

- Co ona kombinuje?

- Może po prostu idzie na zakupy - zasugerował Charley.

- Zwykle wszystko robią razem - odparł Hans. - Czy idą na spacer czy do sklepów, cokolwiek... Zawsze razem. Rozstają się tylko wtedy, gdy któraś ma się z kimś spotkać.

- Nasi ludzie idą za nią - odparł Charley. - Chodź, Dale. Dołączymy do nich, popracujemy trochę. Tutaj można zgłupieć z nudów.

- Dwaj z mojej ekipy mają kamery z nadajnikami radiowymi, równie dobrze możecie popatrzeć stąd - zaproponował Hans.

- Intryguje mnie to, że chociaż Isabelle wie o naszej obecności, wcale nie daje nam tego do zrozumienia. Idziemy -zarządził Dale. - Masz rację: trzeba popracować.

Idąc ulicą, Isabelle rozmyślała o Ilse. To ona ją urodziła, choć Marie w równym stopniu uważała się za matkę dziewczynki. Obie chciały dla niej tak wiele... jak wszyscy rodzice dla swoich dzieci. Pieniądze, które zarabiała, w większości zasilaly fundusz założony dla Ilse. Były polisą ubezpieczeniową na takie okazje jak ta, gdy trudno było przewidzieć, co się wydarzy. Osobne kwoty zasilaly fundusz edukacyjny. Resztę pieniędzy Bliźniaczki przeznaczały dla siebie - wystarczało na dobre życie. Były świetne w swoim fachu, a wypracowywana przez lata reputacja pomagała im przeżyć w trudnych chwilach.

Zatrzymała się na chwilę przed sklepem tytoniowym, po namyśle weszła do środka i kupiła paczkę amerykańskich marlboro. Minęło ładnych parę lat, odkąd po raz ostatni miała w ustach papierosa, ale teraz poczuła nagłą chęć zapalenia. Poza tym zyskała chwilę, by przyjrzeć się kordonowi śledzących. Niewątpliwie była to dobra ekipa. Isabelle była przekonana, że wyłuskała z tłumu co najmniej czterech, ale z pewnością było ich więcej. Miała nadzieję, że są tak dobrzy, jak się wydawało, Arab bowiem mógł, a nawet powinien, mieć się na baczności. Poprosiła mężczyznę za kontuarem o zapalniczkę, a potem wyszła na ulicę, zapaliła papierosa i zaciągnęła się z przyjemnością. Wydmuchnęła ku górze obłok dymu i objęła się jedną ręką. Wypaliła połowę, po czym rzuciła papierosa na bruk i zdusiła trepem. Wsunęła paczkę do kieszeni kamizelki i ruszyła przed siebie.

Była to ta piękna pora, gdy na niebie panuje równowaga między dniem a nocą, a powietrze zachowuje jeszcze światło słonecznego dnia. Isabelle uwielbiała zmierzch. Szła równym krokiem, tupiąc trepami na płytach chodnika i doskonale wyczuwając na plecach i pośladkach twardość pistoletu z tłumikiem.

- Hans, przesuń do przodu strzelców - poprosił Dale.

Miał na myśli uzbrojonych uliczników, których zadaniem była obrona zespołu w przypadku zdemaskowania. Ci dwaj, którzy pracowali dla Hansa, byli szczupli, twardzi, a także kompetentni i dobrze wyposażeni. Sprawnie wkroczyli do środka obszernego kordonu, w którym znajdowali się już Charley i Dale.

- Zauważyłeś coś? - Głos Hansa brzmiał wątko w małej słuchawce wciśniętej do ucha Dale'a.

- Jeszcze nic - odparł Miller. - Ale to jej zachowanie... Ona nas prowadzi.

Youssef bin Hassan i Ahmad bin Faisal siedzieli przy stoliku w ogródku należącym do kawiarni, opodal mostu nad kanałem. Z tego miejsca mogli spokojnie obserwować zarówno ulicę w obu kierunkach, jak i alejkę biegnącą dołem wzdłuż kanału.

Youssef pierwszy dostrzegł Isabelle. Mówiąc ściślej, rozpoznał jej charakterystycznie niefrasośliwe kroki, osobliwą kombinację marszu i ślizgu, gdy zbliżała się do kawiarni.

- To ona - zwrócił się do bin Faisala. - Ta w spódnicy i kamizelce. Idzie w naszą stronę.

- Kończ kawę - odparł przełożony i przechylił własną filiżankę, dopijając ostatnie krople niezłej espresso.

Isabelle także ich dostrzegła i w duchu pochwaliła wybór stolika z dobrym widokiem na wszystkie strony. Youssef był ubrany podobnie jak ostatnim razem: w T-shirt i dżinsy, miał też przy sobie nieodłączną torbę kurierską. Przed wieczornym chłodem chroniła go wełniana kamizelka. Isabelle przystanęła, wyjęła papierosa i zapaliła bez pośpiechu, nim ruszyła dalej. Nie zatrzymała się obok ich stolika, a jedynie nieznacznie zwolniła, by nawiązać kontakt wzrokowy z Youssefem, który nie okazał w żaden sposób, że ją rozpoznaje. Po chwili była już na schodach wiodących ku alejce nad kanałem.

Dwaj Arabowie wstali niespiesznie i zostawiwszy na stoliku kilka banknotów, ruszyli za Isabelle betonowymi schodami w dół.

- Czekaj - odezwał się Dale, pochylając się w stronę Charleya. - Widzisz tych dwóch, którzy wychodzą z kafejki?

- Tak - odparł Charley.

- Zostawmy im trochę miejsca. Schodzą na dół, a my nie potrzebujemy tam tłoku. Przejmujemy obserwację - zameldował do mikrofonu.

Isabelle szła jeszcze przez chwilę, aż wreszcie obejrzała się przez ramię i zobaczyła Youssefa z mężczyzną, który zapewne był jego szefem. Podeszła do ławki, przy której byli umówieni, i usiadła, wciąż paląc. Dwaj Arabowie zbliżyli się i przystanęli.

- Jesteś przyjaciółką Marty, prawda? - odezwał się Youssef.

- Tak, Joe - odrzekła. - Czyżbyś już mnie zapomniał?

- Obiektywny na tych dwóch - zarządził Dale. - Chcę mieć jak najlepszy obraz. Dacie radę ustawić na nich mikrofon?

- Możemy spróbować - odparł Hans. - Może będzie lepiej, jeśli się wycofacie?

- Nie - powiedział Dale. - Przejdziemy obok nich i wrócimy na górę. Chcę przyjrzeć się im z bliska.

- Kim jest twój towarzysz, Joe? - spytała Isabelle, wydmuchując idealne kółko.

- To mój przyjaciel, Arnold - odparł Youssef.

- A ty jesteś...? - rzucił pytająco bin Faisal.

- Zapewne już wiesz. Jestem Isabelle.

- Spodziewałem się, że poznam również twoją partnerkę.

- Jest zajęta innymi sprawami.

- Rozumiem.

- Przejdziemy się? - zaproponował Youssef.

- Chętnie - odparła Isabelle.

Wstała i zgasiła papierosa. Musnęła palcem usta, by strącić drobinę tytoniu. Ruszyli wzdłuż kanału we troje - Isabelle w środku.

- A to ciekawostka - szepnął Dale.

Mikrokamery filmowały każdy ruch Arabów i Isabelle. W centrum dowodzenia świeże zdjęcia podejrzanych wprowadzono do komputera połączonego z ośrodkiem obróbki danych w Stanach Zjednoczonych, w którym prowadzono bazę wszystkich osób pozostających w kręgu zainteresowania służb specjalnych.

- Pozwólmy im trochę odejść - rzucił Charley.

- Chcę na nich popatrzeć - nie ustępował Dale.

- Mamy dobre zdjęcia i wideo - odparł Charley. - Jeśli nie będziemy się spieszyć, dłużej będziemy im towarzyszyć.

- Wyjaśniłam już Joemu nasze stanowisko - powiedziała Isabelle. - Nie możemy kontynuować tego kontraktu z powodu braku wiarygodnych informacji. Akcja w Minneapolis omal nie skończyła się dla nas tragicznie. Nie powiadomiono nas, że cel jest strzeżony przez tak liczną i kompetentną ekipę. Właśnie to było jedynym powodem porażki. W tej chwili nie dysponujecie żadnymi informacjami na temat miejsca pobytu celu i nie zanoszą na to, by stan ten miał ulec zmianie. Podjęliśmy próbę w dobrej wierze, z pełnym zaangażowaniem, i naraziłyśmy się bardziej, niż sobie tego życzyłyśmy. Zlecenie jest niewykonalne. Możecie zatrzymać pozostałą część honorarium, potraktujemy to jako stratę w normalnej działalności biznesowej. Tak czy inaczej, nie będziemy kontynuować operacji.

- Rozumiem wasze stanowisko - oświadczył bin Faisal. - I jestem świadom niesprzyjających okoliczności. Czy jeśli w najbliższej przyszłości zdobędziemy lepsze dane wywiadowcze, rozważycie dokończenie misji?

Isabelle milczała przez dłuższą chwilę, nim odpowiedziała.

- Oczywiście, jesteśmy otwarte na wszelkie propozycje, ale w tej chwili skłaniałabym się raczej ku odmowie. Podjęliśmy poważne ryzyko, a ochrona, którą zapewniono celowi, zniechęca nas do kolejnej próby.

- Rozumiem - odparł bin Faisal.

- Bombowa wiadomość - rozległ się w słuchawce Dale'a głos Hansa. - Ten starszy Arab to Ahmad bin Faisal... jedna z ważniejszych figur w organizacji Al-Bashira. Jest planistą i organizatorem, zwykle nie angażuje się w działalność operacyjną.

- W czym się specjalizuje? - spytał szeptem Dale.

Mikrofon ukryty pod koszulą bezbłędnie wychwytywał każde słowo.

- Jak mówiłem, wiemy tyle, że zajmuje się planowaniem akcji... a jeśli chodzi ci o jego osiągnięcia, to lepiej nie mogliśmy trafić. - W głosie Hansa pobrzmiwało zadowolenie i zacięcie myśliwego, który trafił na trop zwierzyny. - Atak na koszary Dhofar w Arabii Saudyjskiej. Zastrzelenie doradcy w Jemenie... Wszystko wskazuje na to, że to jego robota.

- Załaduj te dane, później przejrzymy - zdecydował Dale. - Spróbujemy się dowiedzieć, czego tu szuka. Hans, będziesz mógł wysłać za nim któregoś ze swoich ludzi?

- Tak - odparł Holender. - A co robimy z tym młodym?

- Mamy coś na niego?

- Nic. Ani w teczkach, ani w bazie danych. Wpisaliśmy go w tej chwili jako współpracownika bin Faisala i podejrzanego terrorystę.

- Wyślij kogoś i za nim - postanowił Dale. - Skoro wpadliśmy na ślad dwóch, przyjrzyjmy się im jak najdokładniej.

- Przyjąłem - odparł krótko Hans.

- Jakość rozpoznania rzeczywiście nie była najwyższa - przyznał bin Faisal. - Ale być może w przyszłości zdołamy to naprawić.

- Nawet jeśli, to i tak, jak już mówiłam, będziemy raczej skłaniać się ku odmowie. Ochrona celu miała okazję poznać nasz profil i ponowny atak byłby naprawdę trudny - odparła Isabelle z nutką zniecierpliwienia w głosie. - Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, i na tym trzeba będzie poprzestać.

- W takim razie nie mamy już o czym dyskutować - rzekł uprzejmie bin Faisal. Wyciągnął rękę do Isabelle, która zawahała się na moment, nim ją uścisnęła. - Dziękuję za podjęty wysiłek. Czy wolno nam będzie kontaktować się z wami w przyszłości, w sprawach innych niż to niefortunne zlecenie?

- Naturalnie - odpowiedziała Isabelle. - Z przyjemnością będziemy z wami współpracować przy nowych projektach.

Wstała i rozejrzała się uważnie.

- To wszystko, zatem do zobaczenia. Mam nadzieję, że miło spędzicie czas w Amsterdamie - powiedziała, ściskając rękę Youssefa. - Do widzenia, Joe.

- Do widzenia, Isabelle - odparł młody Arab.

- Faceci odchodzą - zameldował Dale.

- Mamy oko na obydwu - zapewnił go Hans. - Trzymajcie się teraz z daleka, pozwólcie moim ludziom pracować.

- Chcę zobaczyć ich twarze - powtórzył Dale po raz trzeci. - Przejdziemy obok nich, a potem się oddalimy.

- Zaczekajcie, aż Isabelle zniknie im z oczu.

- Pójdziemy górą, ulicą, i sprawdzimy, do których schodów się skierują - odparł Dale.

- Będzie lepiej, jeśli zachowacie dystans - nalegał Hans. - Nie chcemy, żeby kogokolwiek zapamiętali. Mamy dość materiału wideo, żebyście mogli obejrzeć ich sobie ze wszystkich stron.

- On ma rację - przyznał Charley. - Trzymajmy się z daleka, niech ulicznicy robią swoje.

Grymas zniecierpliwienia i frustracji wykrzywił na moment twarz Dale'a.

- W porządku - odezwał się wreszcie. - Trzymamy się z daleka.

Isabelle przyglądała się plecom Arabów oddalających się alejką wzdłuż kanału. Bardziej wyczuwała, niż dostrzegała, jak rozrywa się kordon śledzących ją operatorów. Niektórzy z nich ruszyli za nowymi celami i teraz już tylko od ich znajomości rzeczy zależało, czy zostaną zauważeni. Isabelle nie wątpiła, że w drodze powrotnej Youssef i jego przełożony będą wypatrywali wszelkich śladów podejrzanej aktywności, ale miała powody sądzić, że ekipa obserwatorów jest na tyle sprawna, by uniknąć wykrycia.

Wyjęła kolejnego papierosa, zapaliła i zaciągnęła się łapczywie. Smakował jej, a co ważniejsze, rozluźnił ściśnięty żołądek. Co właściwie czuła? Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że sprawiedliwości stało się zadość. Możliwe, że wydała wyrok śmierci na tych dwóch Arabów. Odwróciła się na pięcie, wspięła po schodach na poziom ulicy i ruszyła w stronę domu. Pamiętała, że po drodze musi zajrzeć do sklepu ze słodyczami i wybrać coś dla Ilse.

- Isabelle ruszyła... i wciąż nie sprawdza, czy jest obserwowana. Co zamierzacie? - spytał przez radio Hans.

- Wracamy do ciebie - odparł Dale. - Mamy wiele do omówienia.

Wcisnął głębiej miniaturową słuchawkę i przyspieszył kroku, idąc alejką nad kanałem.

- Jak myślisz, czego byliśmy świadkami? - spytał Charley.

- To był kontakt, którego szukaliśmy - odparł Dale. - Al-Bashira jest zdominowana przez Saudyjczyków i Sudańczyków...

- Chodzi mi o Isabelle - przerwał mu Charley. - Jedna z najlepszych profesjonalistek jak gdyby nigdy nic idzie sobie na spotkanie z głównym planistą Al-Bashiry? Nawet się nie obejrzała przez ramię! Miała gdzieś to, czy ją obserwujemy.

- Wiemy, że Bliźniaczki rzadko załatwiają interesy w Amsterdamie...

- Daj spokój, Dale. Ona wie, że ją śledzimy. I wie, że jesteśmy Amerykanami, a to sugeruje długą i ciężką rękę Agencji. Mimo to wcale nie próbuje nas zgubić. Moim zdaniem to prosta i czytelna wiadomość, odpowiedź na nasze żądania. Isabelle dała nam to, czego chcieliśmy, tylko w inny sposób niż oczekiwaliśmy.

Dale trawił przez chwilę jego słowa.

- Zgadza się - rzekł wreszcie. - I co z nią teraz zrobimy?

- Jestem za tym, żeby dać jej forszę - odparł Charley. - Zrobiła to, na czym nam zależało, i dobrze o tym wie. Wie też, że teraz i my o tym wiemy. Damy jej jutro na spotkaniu paczkę z forszą, podziękujemy grzecznie i dodamy, że mamy nadzieję nigdy więcej jej nie spotkać.

- A gdybyśmy nie odpuścili tak łatwo?

- Dale, naprawdę sądzisz, że ona działała nieświadomie? Zrobiła to celowo i o to właśnie chodziło w dzisiejszej pokazówce. Wydała nam ludzi, którzy stoją za zleceniem na Udaya. Teraz naszą sprawą jest to, co zrobimy z tą informacją. Tyle Bliźniaczki mogły dla nas zrobić i nie spodziewam się, by próbowały utrudniać nam życie. Widziałeś, jak się zachowywały na ulicy, z dzieckiem? Nie pozwolą sobie na żadną sytuację, która mogłaby zagrozić ich córce, zwłaszcza na własnym terenie. Bystra dziewczyna z tej Isabelle. Znalazła furtkę - może z prawie czystym sumieniem

powiedzieć, że nie wydały nam Araba, tylko sami go znaleźliśmy dzięki obserwacji. Nikt się nie dowie o naszej małej transakcji. - Charley potarł dłonią jednodniowy zarost. - Tak przynajmniej sędzę.

- Możliwe, że masz rację - przyznał Dale. - Sprawdźmy, jak dobrzy są ludzie Hansa w śledzeniu tych Arabów.

Dwaj mężczyźni przyspieszyli kroku. Po chwili byli już na schodach, a zaraz potem na ulicy.

KWATERA GŁÓWNA JEDNOSTKI DOMINANCE RAIN, FAIRFAX, WIRGINIA

Callan i Dalton jedli razem wczesne śniadanie w stołówce siedziby Raya. Siedząc z dala od innych zajętych stolików, dyskutowali o ostatnich wydarzeniach w Amsterdamie.

- To Al-Bashira - mówił właśnie Callan. - Mam tu nagranie wideo - dodał, stukając palcem w pudełko z płytą kompaktową leżące na blacie. - W tej chwili śledzimy obu jej agentów. Jednym z nich jest Ahmad bin Faisal. Drugiego, młodego, jeszcze nie zidentyfikowaliśmy.

- Bliźniaczki ich wydały? - spytał zaskoczony Dalton.

- Niezupełnie - odparł Callan. - Isabelle doprowadziła naszą ekipę wprost na spotkanie z przedstawicielami Al-Bashiry. I tym sposobem masz już tych swoich zleceniodawców.

- Skąd wiemy, że to właśnie oni?

- Stąd, że w pewien sposób zostali wskazani przez Isabelle. Nie widzę innego powodu, dla którego specjalistka z najwyższej półki miałaby działać tak nieprofesjonalnie. Zrobiła to po rozmowie z Dale'em i Charleyem. W ten sposób wydała nam Arabów, nie kapitulując przed nami.

- Czego oczekuje w zamian?

- Stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, co moim zdaniem jest okazijną ceną.

- Zapłać, masz moją zgodę - odparł Dalton. - Myślę, że już czas, żebym sam wkroczył do akcji.

- Dlaczego miałbyś teraz wkurzać Dale'a? - spytał spokojnie Callan. - Przecież świetnie sobie radzi. Nie musisz wkraczać. Dostajesz informacje na bieżąco.

- Prędzej czy później będę musiał jakoś dogadać się z Dale'em.

- Skoncentruj się na szerszym obrazie sytuacji, Ray. Naprawianiem starych spraw możesz się zająć przy innej okazji. W tej chwili twoje stosunki z Dale'em nie są najważniejsze.

Ray uśmiechnął się zimno.

- To prawda - przyznał. Wyjął z kieszeni pióro i obracał je w palcach. - Ahmad bin Faisal... byłby świetną zdobyczą.

- Nie da się ukryć - zgodził się Callan. - Tylko że warto najpierw sprawdzić, dokąd nas zaprowadzi. Na wszelki wypadek przyda się ekipa gotowa zgarnąć go w dowolnym momencie.

- Moi ludzie mogą tam być za osiem godzin.
- Więc niech będą i na razie trzymają się z daleka. Nie ma powodu, żeby dublowali tych, którzy już pracują.
- Al-Bashira - powiedział z namysłem Dalton. - Sądzisz, że chcą sprzątnąć Udaya na zlecenie z Iraku czy tylko wyświadczają komuś przysługę?
- To się dopiero okaże. Dobrze byłoby przycisnąć bin Faisala.
- To prawda. Zrobił się ważny - zaśmiał się Dalton. - Poza tym mógłby rozjaśnić nieco sprawę Smutnych Wakacji.
- Jeżeli zgarniemy go za bombę podłożoną w Dhofar i za zabójstwo w Jemenie albo za jakąkolwiek inną operację, której autorstwo przypisujemy właśnie jemu, trzeba będzie użerać się z prawnikami - zauważył Callan. - A jeśli pozwolimy mu działać, obserwując go dyskretnie, może sam dostarczy nam wszystkich odpowiedzi. Zgarniesz go wtedy i jedyne, co będziesz musiał zrobić, to odczytać mu jego prawa.
- Podoba mi się twój sposób myślenia, Mike - stwierdził zadowolony Dalton. - Na pewno nie chcesz u mnie pracować?
- Mam pracę, Ray, a w dodatku zarabiam więcej niż ty.
- Ale czy równie dobrze się bawisz?
- Na pewno rzadziej boli mnie głowa.
- Rozumiem. W porządku, niech bin Faisal działa. Puść za nim najlepszych ludzi.
- Już są na tropie, Ray. Już są na tropie.

AMSTERDAM, HOLANDIA OKOLICE BARKI BLIŹNIACZEK

Charley i Dale stali przed wejściem do włoskiej lodziarni. Trzymając wafel w dwóch palcach, Charley zlizywał właśnie w pośpiechu topniejącą czekoladową słodycz, gdy zobaczył Isabelle. Szła samotnie z rękami założonymi za plecami.

- Idzie - powiedział, po czym odgryzł ostatki kęs gelato, a resztę wrzucił do kosza.

Teraz obaj przyglądali się Isabelle, która zbliżała się do nich chodnikiem.

- Widzę, że się skusiłeś - powiedziała, stając przed nimi. - I co, smakowało?
- Smakowało - odparł Charley. - Tylko strasznie brudzi.
- Wy, Amerykanie - westchnęła Isabelle. - To, co najlepsze, czasem bywa kłopotliwe.
- Zgadza się - przytaknął Dale.
- Zastanowiliście się nad sprawą? - spytała.
- Tak. - Dale zsunął z ramienia nylonową torbę i podał ją Isabelle. - To kwota, o której rozmawialiśmy. Możesz ją uważać za zwrot poniesionych kosztów i podziękowanie za zrozumienie.
- Isabelle zważyła torbę w rękę, po czym zarzuciła ją sobie na ramię.
- Dziękuję - powiedziała. - Mamy coś jeszcze do omówienia?
- Nie. To już wszystko - odparł Dale.

- W takim razie życzę miłego pobytu w Amsterdamie -powiedziała i obdarzywszy mężczyzn lekkim uśmiechem, odwróciła się i odeszła w stronę domu, do swej kochanki i dziecka.

Ilsa spała w swoim pokoju, gdy Isabelle rozwijała rolki amerykańskich studolarówek na łóżku przed zwinięta w kłębek kochanką. Maria rozwinęła jedną i pobieżnie przejrzała banknoty.

- Łatwo będzie policzyć - zauważyła.

Isabelle nie odpowiedziała. Wyprostowała się i spojrzała na pieniądze, kalkulując coś w myśli

- O co chodzi?- spytała Marie. - Przecież dobrze się spisałaś. Co cię gryzie?

Isabelle przysiadła na łóżku.

- Wciąż mam złe przeczucia. Cała ta sprawa... nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wciąż dzieje coś, o czym nie mamy pojęcia.

- Daj spokój, Isabelle - jęknęła błagalnie Marie. - Spójrz tylko, co mamy!

Wyszliśmy z tej sprawy zwycięsko na wszystkich frontach. Naprawdę nie ma powodu, żeby się jeszcze nad czymś zastanawiać.

- Wiem, gdzie zatrzymał się ten chłopak - powiedziała cicho Isabelle.

- Mówiłaś, że nie jest operatorem. Że wydaje wie, jak by tu nic pasował.

- I chyba stąd te przeczucia. Powinnam mieć go na oku.

- Isabelle...

- Coś w nim jest, Marie! Przecież wiesz, że instynkt mnie nie zawodzi w takich sprawach.

Marie westchnęła i rzuciła na stos zwitek banknotów, który ścisnęła w dłoni.

- Powinnam wiedzieć, że nie mu sensu kłócić się z tobą. I tak zrobisz to, co uważasz za stosowne. Poczekaj, ubiorę się i razem odprowadzimy Ilse do mojej matki.

- Nie - odparła Isabelle. Ilse potrzebuje jednej z nas. Pójdę sama.

- Isabelle...

- Nie, kochanie - ucięła Isabelle, tym razem nieco łagodniej. - Dokończę tę sprawę. Muszę mieć pewność, że jesteśmy bezpieczne.

AMSTERDAM, HOLANDIA POKÓJ HOTELOWY AHMADA BIN FAISALA

Youssef bin Hassan i Ahmad bin Faisal stali razem przy oknie, spoglądając na światła Amsterdamu.

- Piękny widok, nieprawdaż? - powiedział starszy mężczyzna.

- Tak - odparł młody Arab. - Bardzo piękny.

- Już czas porozmawiać o następnej fazie naszej operacji.

- Jestem gotowy.

- Nie wątpię - odparł z przekonaniem bin Faisal. - Zrobiłeś ogromne postępy w przygotowaniach. Pewno techniki, które wypracowałeś, zostaną wdrożone do nowych programów szkoleniowych.

- Czy to oznacza, że będą inni tacy jak ja?

- Niewielu, To szczególna misja i wymaga wyjątkowych ludzi, takich jak ty.
Niewykluczone jednak, że będą do wykonania i inne zadania specjalne...

- Nie będzie ich, jeśli właściwie wykonam misję. A taki mam zamiar.

- Oczywiście, Youssefie. Oczywiście.

Bin Faisal wyjął z szafy sztywną walizkę murki Delaey i otworzył zamki. Uchylił wieko i wydobyl małą, wodoszczelną walizeczkę Pelican, również zabezpieczoną zamkiem. Wybrał kluczyk z pęku podobnych, które nosił na łańcuszku, i otworzył ją. W środku, na odpowiednio ukształtowanej podkładce z pianki, spoczywało pięć niedużych fiolek nie dłuższych niż mały palec. Bin Faisal z wielką ostrożnością ułożył walizeczkę na stole i wydobyl z niej jeszcze dwa małe dwa plastikowe pudełka oraz atomizer nie różniący nie wielkością od flakonika perfum.

- Urządzenia, które masz przy sobie, posłużą jako zapasowe - powiedział. - Te, które tu widzisz, są nowe i zostały już przetestowane. Oczywiście nie wątpię, że będziesz chciał sprawdzić je osobiście.

Youssef stanął obok stołu, jakby nieśmiało wyciągnął rękę w stronę walizeczki i wskazał na pięć leżących w niej fiolek.

- To jest to? - spytał cicho.

- Tak - odparł Faisal. - To Smutne Wakacje.

Nieco później Youssef samotnie zanurzył się w mroku miasta. Walizeczka i nowy sprzęt tylko nieznacznie wybrzuszyły jego kurierską torbę. Noc była ciepła, więc na ulicach Amsterdamu panował spory ruch. W zaułkach i nad brzegami kanałów pełno było zakochanych par. Youssef przyglądał im się z zainteresowaniem i niemалą zazdrością. Pomyślał o dwóch kobietach, z którymi spał w całym swoim życiu. W zasadzie nie było o czym mówić. Zastanawiał się, czy one kiedykolwiek myślały o nim. Wydawało mu się to raczej nieprawdopodobne.

Zastanawiał się też, czy powinien czuć się z tego powodu smutny czy też nie. Nie wiedział.

Wmieszał się w tłum i dał mu się ponieść. Czuł się tak, jakby był zamknięty w niewidzialnej kapsule - płynął z prądem ludzkiej rzeki, ale nie był jej częścią. Wydawało mu się, że nikt go nie dostrzega, a jednocześnie sam mógł obserwować innych i robił to z zapalem podglądacza. Było na co popatrzeć: dwie dziewczyny złączone w uścisku i pocałunku, chłopak z dziewczyną trzymający się za ręce i dzielący się skrętem, smukła prostytutka w krótkiej skórzanej spódnicy i długim skórzonym płaszczu, maszerująca tak pewnie, jakby cała ulica należała do niej...

Youssef czuł się dziwnie włączony w ten nurt i niezależny zarazem. Niewielki ładunek śmiertelnie niebezpiecznego wirusa, który niósł w torbie, nie do końca pozwalał mu odciąć się od niepewności, uporczywego wrażenia, że coś jest nie tak. Zwalczył to uczucie dopiero wtedy, gdy pomyślał o obozowym szkoleniu. Opanował się i poczuł, że powinien się pomodlić: Allachu, spraw, żebym zrobił to, co słuszne.

Przyszło mu do głowy, że to dość dziwna myśl.

- Witaj, Youssefie! - rozległ się nagle kobiecy głos.

Podskoczył ze strachu, niespodziewanie wyrwany z rozmyślań, i zobaczył jasnowłosą kobietę, którą poznał w przytułku dla bezdomnych.

- Pamiętasz mnie? - spytała. - To ja, Britta.
- Pamiętam... Cześć - odparł zmieszany.
- Wyglądasz na zagubionego. Zabłądziłeś?

Uśmiechnął się niepewnie.

- Raczej nie.
- Wyglądasz też na zasmuconego... i pewnie znowu jesteś sam, zgadłam?
- Tak - przyznał. - Znowu sam.
- Chciałbyś się napić kawy? - spytała.
- O, tak - odrzekł Youssef. - Nawet bardzo.

Była niska, pulchna i jasnowłosa, a jej krótkie włosy opadały rzadkimi kosmykami na czoło upstrzone lekkim trądzikiem, ale Youssefowi bin Hassanowi wydawała się piękna.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - spytała Britta. - Pewnie dawno nie piłeś kawy z dziewczyną, co?

- Racja - odparł Youssef, wspominając lunch z Isabelle. - Zbyt dawno. I przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny.

- Jesteś Palestyńczykiem?
- Nie, przyjechałem z Arabii Saudyjskiej.
- Długo jesteś w Amsterdamie?
- Nie, ledwie parę tygodni...

- I wciąż samotny? Zaczynam podejrzewać, że podoba ci się ten stan. A może jesteś pisarzem? Widzę, że ciągle nosisz przy sobie laptopa. Tak, na pewno jesteś pisarzem. Rozglądasz się uważnie, ale nie próbujesz być częścią tego, co się wokół dzieje... Tylko obserwujesz. Mam przyjaciółkę pisarkę, jest taka sama jak ty. - Britta upiła łyk kawy, wyraźnie rozbawiona konsternacją Youssefa. - Nie odpowiedziałeś mi.

Youssef uśmiechnął się, by ukryć zmieszanie. Zdecydowanie wyszedł z wprawy w prowadzeniu banalnych konwersacji.

- Kiedyś pisałem wiersze, ale to było dawno temu.
- Myślę, że byłeś w tym dobry.
- Jesteś bardzo miła. Długo pracujesz w schronisku?
- Kilka lat. Lubię tę robotę. Dobrze jest pomagać innym.

- Tak - odparł Youssef. - Na pewno. Ale czy nie trafiają się czasem trudni podopieczni? Tacy, którzy chcą tylko brać, nie ofiarowując nic w zamian?

- Czasem - przyznała Britta. - Ale i takim muszę pomagać. To, jak ich potraktuję, jest kwestią wyboru. Sama decyduję o tym, jaka będę dla innych. Wolny wybór to podstawa, nie sądzisz? Możliwość wyboru czyni nas prawdziwymi ludźmi. Decydujemy, czy chcemy coś zrobić czy nie. Możemy wybrać dobro albo zło. Zgodzisz się ze mną?

Arab drżącą ręką uniósł filizankę z kawą.

- Youssefie? Wyglądasz nieswojo. Czyżby kawa była za mocna?

- Nie - odparł. - Po prostu mówisz o tak ciekawych sprawach... o prawie wyboru. Myślisz, że mogłabyś kiedyś znaleźć się w sytuacji, w której należałoby zrobić coś złego, ponieważ zachodzi taka konieczność? Na przykład odprawić kogoś nieuprzejmego, ukarać go jakoś za niewłaściwe zachowanie.

- Nie - odrzekła Britta. - Nie wydaje mi się, żeby moja praca polegała na ocenianiu innych. Świat jest pełen sędziów. Tylko że w większości przypadków zbyt mało wiemy o bliźnich, by mieć prawo oceniać ich czyny. Jeżeli muszę, osądzam ludzi tylko na tej podstawie, czy są szkodliwi czy nie. Czy krzywdzą innych czy tylko siebie. Prosta zasada, prawda?

- Może nawet zbyt prosta - odpowiedział Youssef. - Nawet jeśli ktoś czyni zło, krzywdzi innych... Czy złem jest przeciwdziałanie? Czy wolno użyć siły, by powstrzymać zło?

Britta zastanawiała się przez chwilę, wodząc palcem po brzegu filiżanki.

- Nie jest złem powstrzymywanie zła... ale ja nie użyłabym przemocy. Wolałabym raczej przekonać kogoś, że błędzi, przemówić mu do rozumu. Wiele problemów można rozwiązać, rozmawiając, tylko że większość z nas nie umie się na to zdobyć - nie umiemy przekraczać własnych ograniczeń.

- Własnych ograniczeń?

- Stereotypów, uprzedzeń i tak dalej - wyjaśniła Britta, bawiąc się filiżanką. - Ograniczeń naszych umysłów, które tworzymy, osądzając ludzi bez głębszego zrozumienia. Wszystkim nam się to zdarza... tobie nie?

Młody Arab milczał przez długą chwilę.

- Youssefie? Co ci jest? Obraziłam cię?

- Nie - odparł. - Nie obraziłaś, tylko skłoniłaś do myślenia o wszystkim, co robiłem i robię... O ograniczeniach.

- A widzisz? - odrzekła, rozpromieniona. - To pierwszy krok. Dostrzec, co naprawdę robimy, i wziąć za to odpowiedzialność.

Youssef odsunął filiżankę z kawą.

- Przejdziemy się? Mam ochotę na spacer.

- Jasne - odparła Britta. - Chodźmy.

Gdy zagłębili się w labirynt wąskich uliczek, wsunęła rękę pod jego ramię. Zesztywniał w pierwszej chwili, ale szybko się rozluźnił. Idąc w milczeniu, poddawał się jej woli, posłusznie podążając w kierunku, który wybrała. Miał wrażenie, że unosi się na powierzchni morza ludzkich głów, a Britta jest jego kamizelką ratunkową. Za każdym razem, gdy wyczuwał nacisk jej dłoni, przyciskał ramię, by mieć ją jeszcze bliżej. Wreszcie dotarli do dzielnicy domów mieszkalnych. Przechodniów było tu znacznie mniej.

- Tutaj mieszkam - powiedziała Britta. - Zajdziesz?

- Tak - odparł Youssef. - Bardzo chętnie.

Poprowadziła go na górę, do ciasnego mieszkanka na poddaszu, z wielkim oknem i widokiem na ulicę.

- Ładny widok, prawda? - powiedziała. - Czuję, że przez to okno mogę wpuścić do domu cały świat, a potem, jeśli zechcę, bez trudu zamknę się przed nim. Wedle uznania.

Youssef stanął przy oknie i wyjrzał na zewnątrz. Widział przede wszystkim kamienicę po drugiej stronie ulicy, ale także panoramę dachów i kawałek jednego z kanałów po lewej stronie. Doskonale widoczne były też chodniki w dole i niewielka kafejka na rogu ulicy.

- Bardzo ładny - powiedział.

- Wiem, że nie pijesz - dodała Britta - ale może masz ochotę na herbatę albo sok owocowy?

- Poproszę o sok.

Przyniosła mu szklankę jabłkowego. Wypił łączywie. Wzięła od niego puste naczynie i odstawiła, a potem stanęła przed Youssefem i po raz pierwszy tego wieczoru zawahała się. Wyczuł to i odwrócił się ku niej. Postawił torbę ze śmiercionośnym ładunkiem na podłodze obok ławy i wziął Brittę w ramiona.

W dole, na ulicy, Isabelle czekała cierpliwie, aż światła w oknach zgasną, nim odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

AMSTERDAM, HOLANDIA STANOWISKO OBSERWACYJNE HANSA

Dale przechadzał się w tę i z powrotem po zatłoczonym pokoju. Starał się omijać obsługujących sprzęt, ale oni i tak przyglądali mu się podejrzliwie, Hans i Charley zaś, siedzący na składanych krzesłach, raz po raz wymieniali niespokojne spojrzenia.

- Jak to się stało, że go zgubili? - spytał Dale, spoglądając spode łba na Hansa.

- Puściliśmy za nim tylko trzech ludzi - bronił się Holender. - Przecież wiesz, jak łatwo stracić kogoś z oczu w tłumie. Przeszedł przez całą dzielnicę, wypatrując ogonów. Dla trzech śledzących to zdecydowanie za wiele. Próbowali go jeszcze odnaleźć, ale bez rezultatu.

- To się zdarza najlepszym ekipom, Dale - wtrącił Charley.

- A co z bin Faisalem? - spytał Miller.

- Jest w hotelu, niedługo będzie się wymeldowywał. W południe ma lot do Damaszku - odparł Hans.

- Jesteśmy na to przygotowani?

- Tak. Ekipa jest gotowa do wyjazdu, a w Damaszku będzie czekał komitet powitalny.

- Nie wiem, Dale, czy cię to pocieszy - powiedział Charley - ale to na bin Faisalu naprawdę nam zależy. Ten dzieciak jest tylko łącznikiem. Mamy go już w systemie. A bin Faisal trzęsie całym tym interesem. Teraz wraca do domu, mamy go na oku, więc przestań się martwić.

- Ten „dzieciak” jest dość ważny, żeby znać szczegóły bardzo delikatnej operacji - odparował Dale.

- Nic więcej nie zrobimy - orzekł Charley. - Jest w systemie i to wystarczy.

- Bin Faisal jest w holu - odezwał się jeden z operatorów. - Idzie do stanowiska biura podróży.

- Co on kombinuje? - mruknął Dale.
- Daj nam chwilę - odparł zirytowany Hans. - Domagasz się cudów i natychmiastowych rezultatów.
- Dale uniósł otwartą dłoń.
- Wiem, że robisz, co możesz, Hans, ale... Wiesz, jakie to ważne.
- Przez chwilę słuchali radiowej wymiany zdań między agentami śledzącymi poczynania bin Faisala w hotelu.
- Zmienia rezerwację - zaskrzeczał w końcu głośnik. - Nie leci dziś do Damaszku, tylko jutro do Aten. Bilet pierwszej klasy, odlot o dziewiątej, linie KLM.
- Do Aten? - powtórzył Charley. - Mam dobre kontakty w Atenach.
- Dlaczego akurat do Aten, a nie do domu?
- Hans wzruszył ramionami.
- Ateny to gniazdo Al-Bashiry i punkt tranzytowy dla agentów uczestniczących w długotrwałych akcjach. Mają tam wiele melin, a do tego ściśle współdziałają z organizacją Siedemnasty Listopada.
- Siedemnasty Listopada? - powtórzył Dale. - Nieciekawa banda.
- Zwłaszcza dla Amerykanów - przytaknął Hans.
- Organizacja Siedemnasty Listopada była jedną z najbardziej brutalnych i najskuteczniejszych grup terrorystycznych świata. Jej dziełem były udane zamachy na przedstawicieli DEA i CIA przy ambasadzie Stanów Zjednoczonych. Głównym celem tej małej, dobrze zorganizowanej i zdyscyplinowanej grupy było torpedowanie szeroko pojętych interesów amerykańskich w Grecji. Jej członkowie zabijali w charakterystyczny sposób: z marszu, strzelając z bliska z pistoletu automatycznego kalibru .45. Nie tak dawno, z pomocą Al-Bashiry, zainteresowali się też samochodami-pułapkami, wciąż jednak atakując te same amerykańskie cele - ponownie ambasadę oraz biuro American Express. Starali się nie krzywdzić Greków, interesowali ich wyłącznie amerykańscy oficjele i biznesmeni.
- Możliwe, że leci na spotkanie z nimi. A ty co tam robiłeś? - spytał Dale.
- Pracowałem dla Sztabu Akcji Specjalnych w grupie operacyjnej, która miała rozpracować Siedemnasty Listopada.
- Udało się?
- Nie. Tej grupy nie da się zinfiltrować. Jest ciaśniejsza od żółwiowej cipy, można powiedzieć, że wodoszczelna. Mała, zwarta i - co do tego nie mieliśmy żadnych wątpliwości - ma solidne zaplecze polityczne.
- Trzeba będzie pogadać z Callanem, przyda nam się wsparcie - zasugerował Dale.
- Ja się tym zajmę - odparł Hans. - Wiele razy pracowaliśmy w Atenach. Mogę wysłać ekipę już dziś, niech czekają na bin Faisala. Wy też chcielibyście pojechać?
- Tak - odparł Dale, spoglądając na Charleya, który pokiwał głową. - My też.

Hans wysłał do Aten specjalną grupę operacyjną. Jej zadaniem było objęcie bin Faisala ścisłą obserwacją już na lotnisku: kilku ludzi miało wmieszać się w tłum przed salą odpraw, pozostali zaś mieli czekać w samochodach na zewnątrz. Ekipa, która pilnowała go w Amsterdamie, pracowała jak szwajcarski zegarek: zarejestrowała nawet wizytę drogiej prostytutki w pokoju hotelowym oraz to, że bin Faisal gustował

w seksie oralnym i był niezwykle wytrzymały jak na mężczyznę w tym wieku. Dziwka wyszła tuż przed dwudziestą drugą. Zaraz potem zażyczył sobie zjeść w pokoju mały stek z dużą sałatką. Zamówił też butelkę schłodzonej wody mineralnej. Kiedy skończył, spakował się i poszedł spać.

Rankiem bez pośpiechu zjadł śniadanie w hotelowej restauracji, zabrał torbę podróżną i podręczny bagaż, wyszedł na podjazd i złapał taksówkę. Był zupełnie spokojny. Ruszając w drogę na lotnisko Schiopol, bez specjalnego zaangażowania rozglądał się, czy nikt go nie śledzi. Hans i jego ludzie zdążyli się wycofać, zostawiając tylko jednego operatora w holu. Pozostali obstawili wyjścia z hotelu, zmotoryzowana ekipa zaś czekała na sygnał, gotowa podążyć za taksówką. Na lotnisku czekał już kolejny zespół, którego zadaniem było przejęcie obserwacji bin Faisala.

Charley i Dale siedzieli na tylnej kanapie w taksówce stojącej przed hotelem, nieco na uboczu. Kierowcą był jeden z ludzi Hansa.

- Cieszę się, że Hans będzie z nami w Atenach - odezwał się Charley. - Taki spec to skarb.

- Zna się na rzeczy - przyznał Dale. - Chociaż wolałbym, żeby jego ludzie nie zgubili tego drugiego Araba.

- Wciąż go szukają - odparł Charley. - Poza tym mamy go w systemie, a to najważniejsze.

- Czułbym się lepiej, gdybyśmy mieli go na oku.

- Pewnie już zwinął manatki i jest w drodze do domu, gdziekolwiek to jest.

- To tylko jedno z pytań, na które nie znamy odpowiedzi.

- Odsuść już, Dale. I tak nie zrobimy nic ponad to, co robią ludzie Hansa.

Kierowca zerknął w lusterko wsteczne na twarze pasażerów, po czym odwrócił głowę w stronę wejścia głównego.

- Obiekt w ruchu - zameldował. - Wsiadł do taksówki. Odjeżdżają.

Chwilę później wóz Dale'a i Charleya ruszył za bin Faisalem. Dwa inne samochody prowadzone przez ludzi Hansa pojawiały się co pewien czas, by oddzielić śledzących od śledzonego. Trzeci jechał na czele najkrótszą drogą na lotnisko. Dotarłszy na miejsce, bin Faisal wysiadł. To samo zrobił jeden z operatorów jadących za nim. Natychmiast ruszył za podejrzanym, by odprowadzić go wprost do luźnego kordonu agentów, którzy obstawili główne wejście do terminalu. Dyskretnie podążyli za bin Faisalem aż do kontuaru linii KLM, przy którym Arab przystanął na chwilę i zostawił bagaże, by swobodnym krokiem przejść do poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy.

Dale i Charley uczynili to samo, z tym że mieli podróżować klasą biznes, pozostawiając bezpośrednią opiekę nad bin Faisalem jednemu z ludzi Hansa lecącemu pierwszą klasą.

- Chcesz pójść do poczekalni? - spytał Dale.

- To nie jest dobry pomysł - odparł Charley. - Łatwo rozpoznać Amerykanina. Bin Faisal może cię zapamiętać. Pamiętaj, że mamy go tylko obserwować, nie atakować.

- Chcę mu się przyjrzeć.

- Twoja sprawa - rzucił z irytacją Charley. - Ale uważam, że nie powinieneś mu się pokazywać. Możliwe, że czeka nas dłuższa akcja. Jeśli musisz, popatrz sobie na niego w samolocie. Nie dawaj mu powodu, żeby cię zapamiętał.

- Spotkamy się przy bramce - oświadczył Dale. - Teraz idę przyjrzeć się z bliska panu bin Faisalowi.

- Jak sobie chcesz - odparł rozeźlony Charley, po czym odwrócił się i odszedł.

Dale wszedł do poczekalni pierwszej klasy i pokazał bilet kobiecie stojącej za kontuarem.

- Zapraszam pana - powiedziała uprzejmie. - Godziny odlotów są wyświetlane na monitorze. Jeśli pan woli, zawołam, kiedy nadejdzie czas.

- Nie trzeba, wystarczy mi monitor - odrzekł Dale. - Dziękuję.

Ruszył w głąb sali. Wyglądał na podróżującego klasą biznes - miał na sobie spodnie koloru khaki, koszulę z kołnierzykiem, bez krawata, i niebieski blezer pasujący do pantofli z miękkiej skóry. Nikt nie podniósł głowy, gdy stanął w drzwiach. Bin Faisal siedział w fotelu w kącie sali i czytał „International Herald Tribune”. Dale wziął ze stojaka numer „Newsweeka” i usiadł na krześle w miejscu, z którego kątem oka mógł obserwować Araba. Bin Faisal wydawał się pochłonięty lekturą i tylko od czasu do czasu sięgał po filiżankę parującej kawy stojącą na ławie. Dale przejrzał czasopismo, nie zagłębiając się w jego treść, po czym podszedł do barku po wodę mineralną, a kiedy wrócił na miejsce, zaczął czytać główny artykuł poświęcony „nowemu obliczu terroryzmu”.

Saudyjczyk był przystojnym mężczyzną o twarzy zaokrąglonej dobrym, łatwym życiem. Miał na sobie nienagannie skrojony garnitur, wyglądał, jakby wybierał się na spotkanie w interesach. Z jego mankietów pobłyskiwały kosztowne, brylantowe spinki, a na jedwabnym krawacie można było dostrzec motyw przypominający powtarzający się symetrycznie monogram. Dale zastanawiał się, skąd pochodzi bin Faisal. Wiedział, co zawierają bazy danych Agencji: potomek zamożnej rodziny, który dzięki odziedziczonej fortunie spędził większą część dorosłego życia, nie męcząc się pracą zawodową. Miał wiele czasu na antyamerykańską działalność polityczną, która w subtelnej formie przejawiała się też w posunięciach władz Arabii Saudyjskiej. Doświadczenie w dziedzinie finansów zdobył w najlepszych szkołach biznesu, sprawność w zarządzaniu rodzinnym majątkiem zaś uczyniła zeń idealny cel dla werbowników Al-Bashiry.

Dale uważał bin Faisala za jednego z dobrze ustawionych biurokratów terrorystycznego świata. Tacy jak on cieszyli się bogactwem i władzą, podczas gdy zwykli wywiadowcy i zamachowcy narażali życie, biorąc udział w akcjach zaplanowanych właśnie przez tych z góry. I choć Miller szczerze nienawidził terroryzmu i terrorystów, niekiedy czuł coś w rodzaju szacunku dla szeregowych członków tego typu grup, sam bowiem wykonywał pod wieloma względami podobne zadania. Pracowali na tych samych ulicach i doświadczali identycznych stresów. Amerykanie i ich sojusznicy byli lepiej wyszkoleni i wyposażeni. Terroryci, którzy stawali do walki z nimi, byli za to bardzo umotywowani i - w miarę skromnych zazwyczaj środków - nadzwyczaj niebezpieczni.

W dodatku, podobnie jak Dale, żywili zapewne tę samą niechęć do biurokratów z góry, którzy wysyłali ich w śmiertelnie niebezpieczne misje.

Poczuł, że emocje uzewnętrzniają się na jego twarzy, i czym prędzej odetchnął głęboko, by się opanować. Charley miał rację - za wcześnie było na to, by pokazywać się bin Faisalowi. Operacja w Atenach mogła przecież wymagać działań na krótki dystans. Dale zbeształ się w duchu za niecierpliwość i usiadł nieco głębiej na krześle, próbując stać się na moment szarym człowiekiem, częścią otoczenia, jak meble czy schludnie ubrane stewardesy. To była najtrudniejsza część roboty operatora. Miasto nie przypominało dżungli, niedostępnych gór czy pustyni i w tym środowisku należało się maskować, stojąc niekiedy twarzą w twarz z przeciwnikiem i jego współnikami. Kamuflażem mogły być strój, postawa, zachowanie, dobór miejsc, w których można lub nie można było się pojawić.

Dale usiadł więc spokojnie, czekając, aż na ekranie wyświetli się informacja o odlocie.

KWATERA GŁÓWNA JEDNOSTKI DOMINANCE RAIN, FAIRFAX, WIRGINIA

- Wystarczy, że wskażą go palcem - powiedział Ray Dalton. - Mam ekipę we Włoszech, cały czas w pełnej gotowości. Mogą być na miejscu w ciągu paru godzin. Kiedy facet będzie namierzony, chłopcy zwiną go i przywiozą tutaj. Czeką nas długa rozmowa z panem Ahmadem bin Faisalem.

Callan uśmiechnął się, widząc drapieżny zapal Daltona.

- Niewątpliwie.

- Tylko że nie możemy sobie pozwolić na pochopne kroki - dodał Dalton, wierząc się w fotelu. - Najpierw zobaczymy, z kim kontaktuje się bin Faisal... Byłoby świetnie, gdyby doprowadził nas do Siedemnastego Listopada. Jesteśmy coś winni tym sukinsynom.

- Pozostaje jeszcze sprawa Smutnych Wakacji - przypomniał Callan.

- Bin Faisal jest ogniwem, którego szukaliśmy. To Al-Bashira wyłożyła pieniądze na wyeliminowanie Udaya.

Callan w zamyśleniu skinął głową.

- Mamy na celowniku głównego zleceniodawcę - ciągnął Dalton. - Dopóki nie stracimy z oczu bin Faisala, nie będzie żadnych Smutnych Wakacji. A w tej chwili kręci się on po Europie na bardzo krótkiej smyczy, najwyraźniej odwiedzając operatorów i nadzorując strukturę pomocniczą.

- Bin Faisal zajmuje się finansami Al-Bashiry. Do tej pory nie był kojarzony z planowaniem operacyjnym. To nie bojownik, tylko księgowy. Tak przynajmniej było w sprawie koszar Dhofar i w Jemenie.

- Wydaje się jednak, że to nie wszystko. Pojawił się w terenie, żeby osobiście spotkać się Bliźniaczkami, a chyba nie ma bardziej operacyjnych operatorów, że się tak wyrażę. Poza tym spotkał się z łącznikiem w Amsterdamie, a teraz leci do Aten, zamiast wracać do Syrii.

- Więc coś się za tym wszystkim kryje - orzekł Callan z westchnieniem zawodowca obciążonego bagażem niewesołych doświadczeń. - I coś mi się zdaje, że sprawa nie kończy się na bin Faisalu.

- Co masz na myśli?

- Obaj mamy za mało danych, by sensownie spekulować - odparł spokojnie Callan. - Al-Bashira ma nas na oku, tak jak my ją. Jeżeli Irak dostarczył jej broń biologiczną, możemy się spodziewać, że jej użyje.

- Jak dotąd nie zaliczaliśmy Al-Bashiry do organizacji aktywnie poszukujących BCB.

- Co nie oznacza, że taki pomysł nie mógł przyjść do głowy jej szefom, Ray. Zresztą sam wiesz. Bardzo byś chciał zgarnąć faceta, ale nie pozwól, żeby ta myśl przesłoniła ci obraz całości. Wciąż nie dowiedzieliśmy się niczego nowego o Smutnych Wakacjach, poza tym że bin Faisal ma związek ze sprawą. Historia jest pełna dziur, które musimy załatać.

- Załatamy je, kiedy bin Faisal będzie w naszych rękach - odparł Dalton. - Wyciągniemy z niego wszystko, czego będziemy potrzebowali.

AMSTERDAM, HOLANDIA MIESZKANIE BRITTY

- Czy mógłbym tu zostać przez parę dni? - spytał Youssef.

Mocno przytulona Britta gładziła jego gładką, bezwłosą pierś.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Możesz zostać tak długo, jak tylko zechcesz.

- Tylko parę dni - zapewnił. - Później muszę ruszać w drogę.

- Napijesz się kawy? - spytała Britta, zsuwając się z niego.

- Tak.

- Zaraz zaparzę.

Zeskoczyła z łóżka i nago przeszła przez pokój do ciasnej kuchni, by nastawić czajnik. Youssef z przyjemnością obserwował jej masywne biodra, którymi nieświadomie kołysała, a które wydawały mu się niezmiernie seksowne. Wyjęła z zamrażalnika małej lodówki pojemnik z kawą, wysypała porcję do stożka z filtrem Melitta i umieściła go w dzbanku. Po chwili w mieszkaniu rozszedł się mocny zapach kawy. Britta napełniła dwa kubki i powiedziała:

- Przypomnij mi, jaką lubisz?

- Z cukrem i mlekiem proszę. Dużo jednego i drugiego.

- Słodki chłopak z ciebie.

Wyjęła z lodówki karton mleka, szczerze dołała do kawy i wysypała dwie czubate łyżeczki cukru. Wróciwszy do pokoju, podała gościowi oba kubki, a sama wśliznęła się pod kołdrę i zaraz sięgnęła po swój.

- O tak - mruknęła z zadowoleniem. - Tak lepiej.

Youssef pił kawę w milczeniu. Nie była to krepująca cisza, raczej delektowanie się nawzajem swoim towarzystwem, bez potrzeby wymiany myśli. Jakąś częścią umysłu nie przestawał się dziwić, że bliskość tej kobiety daje mu takie poczucie swobody i

bezpieczeństwa. Była przecież dopiero trzecią w jego życiu. Britta emanowała ciepłem i opiekuńczością, sprawiając, że otwierał się przy niej jak kwiat odwracający się ku słońcu. Przez moment zastanawiał się nawet, czyjej nie powiedzieć... czy nie zrzucić z siebie ciężaru misji. Chwilowe szaleństwo minęło jednak szybko i Youssef starał się już tylko przeciągnąć jak najdłużej błogostan, w który popadł.

- Bardzo dobre - powiedział.

- O, tak. Wszystko, prawda? - podchwyciła Britta. - Ty, ja, kawa... Cudowna chwila.

- Jak to możliwe, że cały czas jesteś taka szczęśliwa? - spytał szczerze zdziwiony Youssef. - Czy w ogóle bywasz smutna, niepewna?

- Jasne - odparła i roześmiała się. - Każdy bywa czasem smutny i niepewny. Sztuka polega na tym, żeby nie pograżać się w tym stanie. Żeby nauczyć się odpuszczać.

- Tak. - Youssef pokiwał głową. - Chyba masz rację.

- Ważne, żeby zwracać uwagę na to, co dzieje się tu i teraz, nie za tydzień - ciągnęła Britta. - I dlatego mówię: możesz zostać. Za tydzień odejdziesz, ale ja nie zamierzam o tym myśleć, bo mam cię tu i teraz.

Youssef rozejrzał się po mieszkaniu. Nie było duże, ale widać było, że Britta dba, by wyglądało przytulnie. Zobaczył kolorową narzutę na fotelu, oprawione suszone kwiaty na ścianach, prosty regał na książki pełen tanich powieści, w tym wielu wydanych po angielsku, a także stos poduszek, na co dzień ułożonych na łóżku, a teraz z fantazją rozrzuconych na zakrytej dywanem podłodze.

- Nie masz chłopaka? - spytał.

- W tej chwili nie - odrzekła Britta. Trąciła go biodrem, wywołując niebezpieczny sztorm w kubku z kawą. - A chciałbyś nim być? Przez najbliższy tydzień... Zanim wyjedziesz.

- Tak - odparł z powagą Youssef. - Bardzo bym chciał.

Wkrótce potem Britta wyszła do pracy, a Youssef został w jej mieszkaniu. Padał rześisty deszcz i nagły półmrok w samym środku lata zupełnie go zaskoczył. Jak to zwykle bywa w Amsterdamie, niebo przetańczyło się jednak dość szybko i znowu nabrało błękitnej barwy. Youssef postawił fotel tuż przy oknie i usiadł w nim półnagi, wystawiając na słońce swe kruche ciało. Dziwnie potoczyły się wydarzenia - wciąż miał plan, którego musiał się trzymać, a jednak z jakiegoś powodu nie czuł się już tak, jakby cokolwiek planował, ale raczej tak, jakby był częścią czyjegoś planu. Sięgnął po torbę kurierską i otworzył ją. Pomiędzy ubraniami zobaczył, zarys walizeczki Pelikan, w której spoczywały fiołki z wirusem, oraz płócienne etui, w którym przechowywał trzy urządzenia rozpylające i dwa aerozole. Wyjął walizeczkę, uchylił wieko i ujął w dwa palce jedną z fiołek, ustawiając ją pod światło. Wyglądała tak niewinnie, a przecież kłębiły się w niej wirusy zdolne unicestwić populację całego miasta.

Poczuł w żołądku dziwny ucisk, jakby jechał kolejką górską, która lada chwila miała runąć w dół po stromym torze. Miał misję do wykonania. Spoczywała na nim wielka odpowiedzialność. Czekał go ogromny zaszczyt zadania wrogowi śmiertelnego ciosu. Muszę o tym pamiętać, upomniał się w duchu. To, co stało się wczoraj

wieczorem i dziś, było tylko zbiegiem okoliczności, który należało wykorzystać operacyjnie.

Youssef wołał jednak nie myśleć o wykorzystywaniu Britty operacyjnie.

Odłożył fiolkę na miejsce, a walizeczkę starannie upchnął głęboko w torbie, wraz z urządzeniami pomocniczymi, na wierzchu zostawiając skromny zapas ubrań i przybory do golenia. Torba była teraz wypchana, ale wciąż na tyle niewielka, by mógł wygodnie nosić ją na ramieniu. Po namyśle wyjął jeszcze świeżą bieliznę, po czym zamknął torbę, poszedł do łazienki i przez długi, długi czas stał pod prysznicem w wannie z plastikową zasłonką. Następnie ogolił się starannie, ubrał i wyszedł na ulicę. Pamiętał, że wieczorem mijali księgarnię W. H. Smitha. Zajrzał do niej teraz i skierował się wprost ku działowi wydawnictw turystycznych. Kupił przewodnik, po Waszyngtonie i okolicach. Był do niego dołączony bardzo szczegółowy plan centrum miasta.

Youssef zaszedł do kawiarni i zamówił małą espresso. Wsypał do kawy dwie łyżeczki cukru i wypił ją wolno i z przyjemnością, przeglądając przewodnik.

W Waszyngtonie nie brakowało miejsc, które warto odwiedzić.

ATENY, GRECJA

Samoloty podchodzą do lądowania na ateńskim lotnisku od strony morza, toteż siedząc wygodnie w fotelu, Dale Miller spoglądał przez iluminator na błękit Morza Śródziemnego, póki jego wody nie ustąpiły miejsca piaskom plaż i wreszcie szarej połaci asfaltowego pasa startowego. Koła boeinga 747 dotknęły nawierzchni raz, potem drugi, i chwilę później maszyna zaczęła hamować, kołując w stronę terminalu. Zatrzymała się w sporej odległości od niego przy kilku pasażerskich busach. Dale zerknął na Charleya, który pólleżał w fotelu, miękki, niemal bezkostny, jak wielki kocur. Ten odwzajemnił spojrzenie i mrugnął prawie niezauważalnie. Dale skinął lekko głową i rozejrzał się po kabinie klasy biznes. Nikt nie zauważył tej wymiany sygnałów. Potem wychylił się w stronę przejścia, by zlustrować wzrokiem kabinę pierwszej klasy, ale nie dostrzegł w niej Ahmada bin Faisala.

Wkrótce ruszył za pozostałymi pasażerami w stronę wyjścia i dalej, po schodkach w dół, w blasku gorącego słońca Grecji. Wsiadł do busa, skinął głową żołnierzowi pilnującemu bezpieczeństwa podróżnych i zajął miejsce. Po krótkiej jeździe po zaskakująco nierównej płycie lotniska znaleźli się w budynku terminalu, gdzie pasażerów z większym bagażem skierowano do stanowisk celnych. Mając przy sobie jedynie niewielkie torby, Dale i Charley przeszli odprawę jako pierwsi. Znudzony urzędnik spojrzał na nich bez emocji i mechanicznie ostemplował paszporty. Teraz już nie musieli się spieszyć. Zaczekali, aż bin Faisal ich minie i ruszy w stronę niewielkiej grupki osób oczekujących na pasażerów, by zaraz potem wyjść z budynku i wybrać pierwszą z długiego rzędu taksówek. Zdażyli jeszcze zobaczyć, jak odjeżdża, nim zbliżył się do nich szczupły mężczyzna o ciemnej karnacji.

- Przyjaciele Hansa, prawda?

- Tak - odparł Dale.

- Samochód czeka - powiedział mężczyzna. - Mam na imię Peter.

- Witaj, Peter - odezwał się Charley. - Hans jest już na miejscu?

- Tak. - Mężczyzna poprowadził przybyszów na parking przylegający do budynku terminalu, gdzie stał dość poobijany sedan marki Fiat. - Pojechał z pierwszą drużyną, która śledzi bin Faisala.

Peter wrzucił torby podróżne do bagażnika i wyjął z kieszeni krótkofalówkę Motoroli ze słuchawką. Wcisnął słuchawkę do ucha, pstryknął włącznikiem i zasiadł za kierownicą wozu, gestem zapraszając Charleya i Dale'a do środka.

- Tu Peter - powiedział do mikrofonu. - Jesteśmy gotowi do odjazdu.

Przez kilka minut słuchał uważnie odpowiedzi, po czym skinął głową i uruchomił silnik.

- Bin Faisal melduje się w Hiltonie - oznajmił. - To przemiły i nader kosztowny hotel. Pracowaliśmy już tam, bo ambasada amerykańska zwykle właśnie tam lokuje swoich oficjalnych gości. Nasi ludzie są już na miejscu i gdy tylko podejrzany dostanie pokój, postaramy się po cichu założyć podgląd i podsłuch.

Fiat ruszył z miejsca tak ostro, że przyspieszenie wgniotło Charleya i Dale'a w kanapę. Był znacznie szybszy, niż na to wyglądał.

- Zdążyłem zapomnieć, jak się jeździ w Grecji - powiedział Charley.

- Byłeś tu już? - upewnił się z uśmiechem Peter.

- Tak - odparł Charley. - Wiele lat temu. Bardzo mi się podobało.

- Gdzie się zatrzymamy? - spytał Dale.

- Mamy metę w dzielnicy, w której znajduje się Hilton - odparł Peter. - Będzie ciasno, ale to dobre miejsce. Zmieścimy się - Hans, ja, dwaj operatorzy sprzętu i wy.

- Dzięki - mruknął Dale i zajął się podziwianiem widoków miasta przemykających za szybami samochodu, którym Peter przeciskał się przez zatłoczoną główną ulicę prowadzącą do centrum.

Próbował wypatrzeć w oddali zarys Akropolu, który pamiętał z dawnych czasów, gdy w przerwie między misjami zwiedzał Ateny. Spotkał się wtedy z przyjacielem, szeryfem federalnym, i razem bawili się w turystów. Zastanawiał się, co Marcos porabia ostatnimi czasy, bo od tamtych chwil, które spędzili w Grecji, minęło wiele lat.

- Będziemy urzędować w spacerowej odległości od Plaki?- spytał Charley. - Próbuję zorientować się w terenie.

- Powiedzmy, że w zasięgu długiego spaceru - odparł Peter. - Będziemy w pobliżu ambasady amerykańskiej. Pamiętasz jeszcze, gdzie to jest?

- Jasne.

Dale dotknął łokciem biodra i spytał:

- Hans znajdzie dla nas jakąś broń?

- Tak. Apelujemy tylko o rozwagę i dyskrecję. Mamy ekipę strzelców, ale rozumiemy, że będziecie się czuli swobodniej, mając własne pistolety. Zadbamy o was.

- I bardzo dobrze - orzekł Charley. - Spluwy mogą się przydać, skoro możemy mieć do czynienia z ludźmi z Siedemnastego Listopada.

Peter spojrzął na niego w lusterku wstecznym.

- To prawda - powiedział.

Ahmad bin Faisal był zadowolony z pokoju, który dostał. Z okna rozciągał się wspaniały widok na miasto, wewnątrz zaś było elegancko urządzone i wygodne. Arab rozpakował się dość szybko i powiesił płaszcz w łazience, by rozprostować zagniecenia. Przez chwilę przyglądał się zawartości barku, nim postanowił, że lepiej będzie zejść na lekki lunch do baru na parterze.

Hol był pełen ludzi, jako że Hilton od zawsze służył jako miejsce spotkań nie tylko biznesmenom z zagranicy, ale i najbogatszym mieszkańcom Aten. Bin Faisal z zadowoleniem stwierdził, że nikt nie przygląda mu się ze zbytnim zainteresowaniem, a zwłaszcza policjanci w cywilnych ubraniach wałęsający się po ogólnodostępnych pomieszczeniach i strzegący spokoju turystów. W hotelowej restauracji serwowano doskonale obiady, ale on miał ochotę na coś lżejszego. Zamówił w barze sałatkę cesarską i chleb. Usiadł w wygodnym fotelu przy stoliku i zapalił tureckiego papierosa. Z wielką satysfakcją zaciągając się dymem z bogatej mieszanki tytoniowej, cierpliwie czekał na posiłek. Z miejsca, które wybrał, mógł obserwować cały bar i sporą część holu.

Ahmad bin Faisal uważał, że należy znać własne słabości. Dlatego też otwarcie przyznawał się do tej, którą uważał za swą największą: był marnym operatorem. Jego domeną były finanse i planowanie. Pracował koncepcyjnie i nigdy nie musiał brać udziału w akcjach, których scenariusze kreował do spółki z pozostałymi przywódcami Al-Bashiry. Znał się na zdobywaniu i alokacji kapitału, umiał przygotowywać działania od strony finansowej. Ostatnie podróże o operacyjnym charakterze miały na celu tylko jedno: podtrzymanie morale Jedynego i utrzymanie jego misji w tajemnicy do czasu, aż dograne zostaną inne plany.

Owszem, stosował techniki operacyjne, które zdołał zapamiętać, ale przede wszystkim polegał na jakości fałszywych paszportów, którymi się posługiwał, i kart kredytowych, którymi płacił. Sam pilnował tej sprawy, zawsze dostawał najlepiej sfabrykowane dokumenty. Dzięki temu mógł stać się jednym z wielu biznesmenów podróżujących po kontynencie w trosce o interesy firmy. Woził ze sobą papier firmowy i walizeczkę pełną dokumentów, które wskazywały na to, iż pracuje w dziale finansów pewnej kompanii naftowej. Były na tyle dobre, że nigdy nie wzbudzały niczyich podejrzeń.

Z drugiej jednak strony nie pożyłby długo na tym brutalnym świecie, gdyby nie był ostrożny. Nawet w Atenach, gdzie większość członków Al-Bashiry czuła się całkiem swobodnie, Ahmad bin Faisal wolał mieć się na baczności. Ze szkolenia operacyjnego najlepiej pamiętał jedną radę instruktora: zawsze polegaj na intuicji. I rzeczywiście, musiał przyznać, że intuicja nigdy go nie zawiodła.

A teraz właśnie dawała mu jakiś sygnał.

W Amsterdamie nie dostrzegł niczego niepokojącego i był pewien, że równie bezpiecznie czuł się tam Youssef. Chłopak został upoważniony do samodzielnego wybrania drogi, którą chciał dotrzeć do Stanów Zjednoczonych. Dotarłszy na miejsce, miał kontaktować się z organizacją w sposób jednostronny, tylko za pomocą

szyfrowanych wiadomości wysyłanych na adres wybranych stron internetowych. Ich treść nakazano mu wplatać w kod plików graficznych, zdjęć. Po ściągnięciu tak spreparowanego obrazka ze strony internetowej wydobyć zakodowanego przekazu było fraszką. Była to genialnie prosta i pewna metoda.

Nie, pomyślał bin Faisal. Youssef jest zupełnie bezpieczny.

Pozostało mu więc martwić się o siebie. Odkąd przybył do hotelu, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest obserwowany. Wcześniej nieprzyjemne odczucia składał na karb podróży samolotem - nie lubił latać, bo nieustanne wibracje przyprawiały go o ból głowy, a zatyczki drażniły uszy. Ale teraz siedział wygodnie w barze, przyglądając się wchodzącym i z reguły dość szybko wychodzącym gościom. Być może ponosiła go wyobraźnia, ale miał wrażenie, że niektórzy przyglądają mu się uważnie, zbyt uważnie jak na zwyczajnych bywalców hotelowego baru.

Gdy przyniesiono mu posiłek, pochylił się nad talerzem. Poprosił o gazetę, a gdy kelnerka wróciła z najnowszym numerem „International Herald Tribune”, zaczął czytać, trzymając pismo jedną ręką, a jedząc drugą. Skończył szybko i uznał, że nie ma ochoty na drinka. Dzień zapowiadał się znakomicie, w sam raz na spacer. Bin Faisal liczył, że przy okazji będzie mógł ustalić, czy gnębi go paranoja czy może uzasadnione podejrzenia.

Wyszedłszy na zewnątrz, przystanął na moment, przyglądając się masztom z flagami wielu państw, ustawionym wzdłuż łuku podjazdu. Zapalił kolejnego papierosa i zaciągnął się nerwowo, po czym wolnym krokiem zaczął się oddalać od hotelu. Podczas zajęć, w których uczestniczył z taką niechęcią, instruktorzy powtarzali bez końca, że w żadnym razie nie należy zdradzić śledzącym, iż zostali zauważeni. W takiej sytuacji ze zdwojonym wysiłkiem starają się maskować swoje poczynania i stają się naprawdę trudni do wykrycia. Znacznie lepiej podtrzymywać w nich beztronską pewność co do tego, że obiekt jest całkowicie nieświadomy nadzoru. Bin Faisal nie rozglądał się więc prawie wcale, tylko starał się wyglądać na zrelaksowanego, a jednocześnie koncentrował uwagę na widzeniu peryferyjnym. Wypatrywał też gładkich powierzchni, które mogły posłużyć za zwierciadła, by zorientować się, czy ktoś podąża za nim zbyt konsekwentnie: szyb i lusterek samochodowych, witryn sklepowych, lustrzanych okularów... Sam także założył okulary przeciwsłoneczne, bardziej jednak po to, by ukryć ruchy oczu, niż by chronić je przed blaskiem.

Główny bulwar przed hotelem był nader ruchliwym miejscem. Bin Faisal skręcił w znacznie spokojniejszą przecznicę, by dotrzeć do równoległej ulicy z ciągami sklepów po obu stronach. Przeszedł przez jezdnię, by zbliżające się pojazdy mieć naprzeciwko siebie, po czym zwolnił i zaczął zatrzymywać się raz po raz przed wystawami, szukając w odbitych obrazach nagle zatrzymujących się osób oraz twarzy zwracających się w jego stronę. Wszedł do sklepu z odzieżą i przez dłuższą chwilę oglądał garnitury, a następnie odwiedził sklep spożywczy i kupił małą butelkę wody mineralnej. Stojąc na chodniku, łapczywie gasił pragnienie. Ruszył dalej, by zatrzymać się zaraz przed witryną dilerów bmw i przyjrzeć najnowszym sedanom. Wkrótce potem minął Holiday Inn oraz ciąg barów i klubów. Tuż przed skrzyżowaniem znalazł powód, by zwolnić na moment, a potem ruszył na drugą

stronę dokładnie w chwili, gdy zielone światło zaczęło migać. W biegu obejrzał się za siebie, aby sprawdzić, czy ktoś powtórzył jego manewr.

Wciąż nie opuszczało go nieprzyjemne wrażenie. Kilka osób, które wbiegły na ulicę tuż za nim, rozeszło się szybko. Nikt nie podążył jego śladem. Samochodów było na ulicy tak wiele, że nie nadążał z ich zapamiętywaniem, ale wydawało mu się, że żaden nie podjechał bliżej i nie zwolnił, żaden też nie powracał uparcie w nieustających korkach ateńskiego centrum.

Zatem to tylko wyobrażenia, pomyślał. Nie zrobił przecież niczego, co mogłoby przyciągnąć uwagę greckich władz, Izraelczycy i Amerykanie zaś nie zdołaliby przecież zmontować poważnej akcji obserwacyjnej w tak krótkim czasie. Byli i inni przeciwnicy, jak choćby grecki wywiad, którzy mogli interesować się jego sprawami, ale tych nie musiał się obawiać, jako „biznesmen” bowiem posługiwał się najlepiej podrobionymi papierami. Nie, pomyślał. W taki dzień nie mogą mnie śledzić. Uspokojony, ruszył w stronę celu wycieczki: małej, rodzinnej restauracji, w której serwowano najlepszą jagnięcinę z rusztu w całych Atenach. Zbliżała się pora obiadu.

- Zauważył kogoś? - spytał Dale.

- Nie sędzę - odparł Hans. - Ale po raz pierwszy zrobił coś więcej niż absolutne minimum kontrynwigilacji. Teraz naprawdę musimy uważać.

Charley pokiwał głową.

- Facet nie jest specem, ale jednak co nieco potrafi. A twoi chłopcy są dobrzy, Hans.

- Dziękuję.

- Trzymajmy się blisko - odezwał się Dale. - Nie byłoby dobrze, gdyby teraz zniknął.

- Bez obaw - odparł Hans. - Teraz my jesteśmy przy pilce.

AMSTERDAM, HOLANDIA MIESZKANIE BRITTY

Youssef bin Hassan w skupieniu studiował plan Waszyngtonu. Szczególną uwagę poświęcał trasom i przystankom stołecznego metra, które obsługiwało nie tylko centrum, ale także, przez sieć połączeń naziemnych, sąsiednie miejscowości w Wirginii i Marylandzie. Pamiętał z odpraw, że wiele stacji znajduje się pod ziemią. Błyskawiczne przejazdy pociągów między przystankami sprzyjałyby rozprzestrzenianiu zarazy po dużym i gęsto zamieszkanym obszarze. Youssef wiedział, że jeśli umieści urządzenie rozpraszające na podziemnym peronie, by pracowało w godzinach szczytu, osiągnie maksymalną skuteczność zarażania, ogniska choroby zaś pojawią się w całym regionie, a nie tylko w centrum stolicy.

Musnął czubkiem ołówka punkt na planie oznaczający przystanek przy Smithsonian - znanym na całym świecie muzeum, które przez okrągły rok cieszyło się ogromnym powodzeniem wśród turystów. Zamierzał umieścić próbki wirusa na klamkach i poręczach w całym gmachu, a przy okazji poszukać odpowiedniego

miejsca dla urzędnika rozpraszającego. Najbardziej liczył na skuteczność akcji w metrze, ale planował też, że wybierze się na wycieczkę do Białego Domu i sprawdzi, czy uda się tam zadziałać. Jeśli wierzyć meldunkom, przestrzega się tam dość rygorystycznych zasad bezpieczeństwa, ale z pewnością można będzie wnieść niewielki atomizer, zakamuflowany na przykład jako odświeżacz do ust. W murach siedziby prezydenta musiałby oczywiście zachować nadzwyczajną ostrożność, jako że kamery śledzą każdy krok zwiedzających. Kolejnym miejscem wartym odwiedzenia był bez wątpienia gmach Federalnego Biura Śledczego, również udostępniany turystom i zazwyczaj dość zatłoczony.

Youssef miał dużo czasu. Zgodnie z planem miał przemieszczać się szybko między głównymi metropoliami Stanów Zjednoczonych, ale pierwszym i najważniejszym celem był Waszyngton. Następny na liście był Nowy Jork, a po nim jeszcze szereg wielkich miast. Od zakażenia do pierwszych zachorowań w Waszyngtonie musiały minąć dwa tygodnie, a po takim czasie Youssef zamierzał kończyć już swoje tournee po Stanach Zjednoczonych. Liczył na to, że reszty dokona naturalna mobilność Amerykanów, nieustannie podróżujących po kraju środkami masowej komunikacji.

Tak oto jego misja dobiegłaby końca.

Planował zakończyć wyprawę na północnym krańcu Zachodniego Wybrzeża, w Seattle, skąd promem mógł dostać się do Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej. Z Kanady wróciłby samolotem do Europy i dalej, do Syrii, gdzie w kwaterze głównej Al-Bashiry złożyłby długi meldunek z misji i przyjął gorące gratulacje zwierzchników. Zupełnie bezpieczny, mógłby obserwować rozwój epidemii w Stanach Zjednoczonych. Organizacja zatroszczyła się nawet o to, by szczepionki przeciwko śmiertelnościemu wirusowi nie zabrakło dla jej członków, a nawet dla tych mieszkańców Syrii, którzy złapaliby chorobę od przybyszów z zagranicy.

Youssef nie chciał myśleć o tym, co by się stało z Brittą, gdyby epidemia ospy dotarła ze Stanów do Holandii. Amsterdam był przecież jednym z głównych przystanków na trasach samolotów wielkich amerykańskich linii... Zastanawiał się nad tym przez moment, po czym stosując technikę wyuczoną w obozie szkoleniowym, wyparł nieprzyjemną wizję z umysłu. Zabębnił palcami po zafoliowanej mapie Waszyngtonu i wyobraził sobie pełny sukces misji. Pierwszą jego oznaką po długim okresie inkubacji wirusów byłyby masowe zachorowania na coś, co początkowo wydawałoby się zwykłą gripą. Potem musiał nastąpić rozkwit epidemii - wypryski na skórze pozwoliłyby lekarzom zidentyfikować zagrożenie. Zapanowałaby panika, gdy tylko ktoś powiedziałby głośno „ospa”. Minęły przecież dekady, odkąd oficjalnie uznano tę straszną chorobę za wyeliminowaną i zaprzestano szczepień.

A ludzie zaczęliby umierać, najpierw dziesiątkami, potem setkami, wreszcie tysiącami.

Naturalny wirus ospy zabija trzech na dziesięciu zarażonych. Zmutowana wersja zabijała siedmiu na dziesięciu. Przetestowano ją starannie na kurdyjskich więźniach w tajnym podziemnym laboratorium na przedmieściach Bagdadu. Przy okazji dokładnie obserwowano i opisano przebieg choroby. Instruktorzy mówili Youssefowi, że podczas badań w laboratorium pojawiali się goście ze sfer rządzących, głównie współpracownicy Husajna Kamela. Niektórzy brali udział w skromnym przyjęciu z

naukowcami, którzy stworzyli nową broń. Powodem do świętowania było nie tylko ukończenie badań, ale także wynalezienie skutecznej szczepionki przeciwko zmodyfikowanemu wirusowi.

Szczepionka taka krążyła już w żyłach Youssefa. Nie pozwolono mu na zaszczytną śmierć podczas misji, ponieważ był jej jedynym wykonawcą. Dyskutowano nad możliwością rozesłania po świecie całej ekipy samobójców, ale odrzucono ten plan, gdyż zbyt łatwo byłoby trafić na ślad kogoś z nich i dotrzeć do źródła. Dlatego postanowiono powierzyć zadanie świetnie wyszkolonemu i wysoce umotywowanemu ochotnikowi, którego zaszczepiono przeciwko nowej ospie. Wykonawca musiał pozostać zdrowy do samego końca misji.

Był Jedynym.

Ta myśl napełniała Youssefa ogromną satysfakcją, skażoną odrobiną lęku. Wielka odpowiedzialność spoczywała na jego wątłych barkach, a samotność dokuczała mu niemiłosiernie. Trudno było działać w pełnej izolacji, wykonując tak ważną misję. Mimo niezliczonych wykładów i rozmów na ten temat z instruktorami Youssef nie umiał poradzić sobie z samotnością. Dlatego na własny użytek tłumaczył związek z Brittą względami operacyjnymi - wszak dobrze było zmienić miejsce pobytu, zwłaszcza że prywatne mieszkanie było bardziej bezpiecznym schronieniem niż hotel, para zaś przyciągała znacznie mniejszą uwagę niż samotny mężczyzna.

Youssef rozmyślał o tym wszystkim, machinalnie ugniatając brzegi nowej mapy. W samym sercu Waszyngtonu znajdowało się duże schronisko młodzieżowe, w którym panował ciągły ruch. A gdyby tak zabrać Brittę ze sobą? Młody Arab odrzucił tę myśl niemal natychmiast. Dziewczyna byłaby narażona na kontakt z wirusem, wtedy jej los byłby przesądzony. Nie, Britta musi pozostać tu, w Amsterdamie.

Jedyny podróżuje samotnie.

ATENY, GRECJA

Ahmad bin Faisal nie spieszył się z jedzeniem. Zamówił sałatkę wiejską z wielkimi kawałkami ogórka, sera feta i pomidorów skropionymi obficie oliwą z oliwek i octem, a do tego chrupkie pieczywo oraz porcję jagnięciny z rusztu, pachnącej czosnkiem, winem i oliwą. Popijał wyłącznie sokiem pomarańczowym. Wciąż dokuczało mu przykre uczucie, że jest obserwowany, a wielu z jego współników patrzyłoby nań wielce podejrzliwie, gdyby ktoś taki jak on raczył się przy obiedzie czerwonym winem Demestika.

Gdy najadł się do syta, odsunął talerz i zamówił kawę oraz deser - kawałek ciasta bakława. Otrzymawszy rachunek, ponownie przywołał kelnera.

- Czy Christou jeszcze tu pracuje?

Kelner roześmiał się.

- On tu nie pracuje, jest właścicielem.

- Zastąłem go?

- Tak, zaraz go zawołam.

Kelner zniknął na tyłach tawerny, by powrócić po paru chwilach w towarzystwie mężczyzny niskiego i tak tłustego, że przypominał wielką piłkę poruszającą się na dwóch nogach. Proste włosy grubasa zaczesane były na bok, by choć trochę zakryć dużą łysinę.

- Czołem, Christou - powiedział bin Faisal.

- Witam serdecznie starego przyjaciela - odparł Christou.

Jego głos był zaskakująco głęboki i melodyjny, wydawało się, że stworzony do śpiewu.

- Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio interesy pozwoliły nam na spotkanie.

- Dlaczego nie dałeś mi znać, że tu jesteś? - spytał Christou. - Dajże mi ten rachunek.

Odebrał karteczkę z rąk bin Faisala i włożył do kieszeni.

- Dziś twoje pieniądze są nic nie warte, przyjacielu. Napijemy się razem retsiny?

- Na to nie pozwala mi religia, ale na pewno skuszę się na jeszcze jedną kawę.

- Niech więc będzie kawa.

Grubas machnął ręką, dając znak kelnerowi, że ma przynieść jeszcze jedną kawę. Sam nalał sobie kieliszek mocnej retsiny i usiadł przy stoliku bin Faisala.

- Podróżujesz dla przyjemności czy w interesach? A może łączysz jedno z drugim? - spytał.

- Próbuję znaleźć odrobinę przyjemności w trakcie robienia interesów, przyjacielu. Ale biznes jest oczywiście ważniejszy. A skoro o tym mowa, mam pewien problem, w którym mógłbyś mi pomóc.

- Nie wiem tylko, co mógłby dla ciebie zrobić taki skromny restaurator jak ja - odparł Christou.

- Może mogliby mi pomóc przyjaciele skromnego restauratora - zasugerował bin Faisal.

- Taka możliwość zawsze istnieje.

- Może więc twoi przyjaciele otoczyliby mnie opieką na krótki czas... Muszę być pewien, że nikt mnie nie śledzi.

Rysy Christou stwardniały w jednej chwili.

- Podejrzewasz, że ktoś cię obserwuje, a mimo to przychodzisz tutaj?

- Zachowałem ostrożność - wyjaśnił szybko bin Faisal, głosem nie tak spokojnym jak zazwyczaj. - A w tej chwili jesteśmy tylko znajomymi gawędzącymi przy kawie i winie.

- Tak - przyznał Christou.

Rozejrzał się po ciasnym lokalu, lustrując wzrokiem nielicznych gości. Wszystko wyglądało normalnie. Popatrzył znowu na bin Faisala, tym razem mrużąc oczy, tak że ukryte pomiędzy fałdami tłuszczu na jego twarzy wyglądały jak wyloty pistoletowych luf.

- Miejmy nadzieję, że zachowałeś należytą ostrożność. Bo ja na pewno zachowam... Ale takie zadanie wiąże się z wydatkami. Niektórzy z moich przyjaciół nie mogą sobie pozwolić na pracę za darmo.

- Nie śmiałybym ich o to prosić - zapewnił go bin Faisal. - To oczywiste, że liczyłem się ze zwrotem kosztów i opłaceniem honorarium dla twoich przyjaciół, jakiegokolwiek by ono było. Zdaję sobie sprawę z tego, że poniosą wydatki.

Grubas z zapalem pokiwał głową.

- Tak, tak - powiedział. - Żyje się coraz trudniej, bo władze nie przestają naciskać.

- Wydaje się jednak, że nie zbliżają się ani na jotę. Dopisuje ci szczęście w doborze przyjaciół.

- Sukces zawdzięczamy ostrożności wszystkich zainteresowanych. Dobrze by było, gdybyś o tym pamiętał, mój druhu.

- Będę pamiętał. Ile czasu minie, zanim twoi przyjaciele będą gotowi?

- A kiedy chciałbyś zapłacić?

- Mogę zrobić przelew albo już teraz dać ci gotówkę.

- Ufam ci, przyjacielu - odparł Grek. - Posiedź jeszcze, smakując naszą kawę.

Kiedy stąd wyjdiesz, będziesz pod dobrą opieką. Daj nam trochę czasu, powiedzmy godzinę. Nie musisz się spieszyć do pustego pokoju hotelowego, prawda?

- Dziękuję, Christou - powiedział bin Faisal. - Spotkanie z tobą to prawdziwa przyjemność.

- Zatem pozwól, że opuszczę cię na chwilę - rzekł grubas. Podniósł się z krzesła, wsunął je pod stół i dodał: - Zadzwońię do paru osób i zaraz do ciebie wrócę.

Bin Faisal odprowadził go wzrokiem i raz jeszcze uważnie rozejrzał się po sali. Zobaczył samych Greków, jeśli nie liczyć czworga Amerykanów - trzech kobiet i mężczyzny - którzy siedzieli razem przy stoliku. Z ich głośnej rozmowy wynikało, że są personelem pokładowym samolotu jednej z amerykańskich linii lotniczych. Nie mieli w sobie tego, czego szukał. Nie zwracali też na niego najmniejszej uwagi, zajęci rozmową, toteż szybko wykluczył ich z kręgu podejrzanych.

Wiedział jednak, że sytuacja się zmieni, gdy tylko przekroczy próg tawerny. Wciąż nie był pewien, ale kiedy to zrobi, towarzyszyć mu będą najlepsi strzelcy, jakich mogła dostarczyć organizacja Siedemnasty Listopada.

Wokół małej restauracji uwijali się ludzie Hansa. Byli w komplecie: ulicznicy, zmotoryzowani, kamerzyści i strzelcy, a do tego zapasowa ekipa z pojazdami, ukryta w rozsądnej odległości i gotowa wkroczyć do akcji w dowolnym momencie. Wszyscy obserwowali gości wchodzących i wychodzących z tawerny. Bin Faisal wciąż był w środku. Obserwowali też tylne wyjście, w sąsiednim zaułku, ale nie pojawił się tam nikt poza kucharzem, który wyszedł na moment za potrzebą.

- Na pewno tam jest? - spytał Dale.

- Tak - odparł Hans.

- Poślesz kogoś do środka?

- To bardzo mały lokal. Jeżeli któryś z naszych tam wejdzie, nie będę mógł go wysłać na ulicę, bo bin Faisal na pewno zapamięta twarz.

Charley kiwnął głową.

- Hans ma rację, Dale. Pozwólmy jego ludziom działać... Nic nie zyskamy, jeśli teraz spaprzymy robotę.

- Fakt - przyznał Dale. - Miejmy tylko nadzieję, że nie ma w tej knajpie trzeciego wyjścia.

Ekipa kontrinteligencyjna pełni bardzo konkretną funkcję: jej zadaniem jest identyfikowanie ludzi śledzących daną osobę i - w zależności od profilu misji - neutralizowanie ich lub tylko obserwowanie ich poczynąń. Jest to jedna z najtrudniejszych sztuk w rzemiośle operatora. Wymaga co najmniej takich umiejętności, jakimi dysponuje przeciwnik, a do tego talentu czytania w cudzych myślach i przewidywania ruchów. Pod wieloma względami przypomina trójwymiarową partię szachów rozgrywaną w czasie rzeczywistym. Do organizacji Siedemnasty Listopada należeli doskonali fachowcy w dziedzinie obserwacji. Zamachów - zawsze doskonale zorganizowanych i efektownych - dokonywali po długiej i żmudnej operacji przygotowawczej. To dzięki zebranych informacjom mogli wybrać najlepsze miejsce i najodpowiedniejszą chwilę zabójstwa. Trzej mężczyźni i dwie kobiety, którzy pojawili się w pobliżu tawerny, byli najlepszym zespołem, jaki organizacja mogła wysłać do akcji.

Umieli dostrzec to, co niezauważalne dla zwykłych ludzi.

Na przykład samochody zaparkowane opodal, a w każdym z nich po dwóch mężczyzn, którzy nie rozmawiali ze sobą. Ludzi stojących samotnie na ulicy, jakby na kogoś czekali. A także to, że przy każdej uliczce w rejonie tawerny znajdowały się takie pojazdy i tacy ludzie, których nie powinno tam być.

To wystarczyło, by wiedzieli. Spotkali się i pospiesznie wymienili kilka słów. Postanowili obstawić drogę, którą zainteresowany miał podążyć dalej. Utworzyli szereg statycznych posterunków, z których bez trudu mogli zauważyć śledzących, gdyby ruszyli śladem bin Faisala. Zauważyć, zidentyfikować i zapamiętać.

Wtedy nadszedłby czas działania.

- Mam dla ciebie złe wieści, przyjacielu - powiedział Christou. - Byłeś śledzony. - Rozejrzał się po niemal pustej restauracji. Tylko przy jednym dość odległym stoliku, przy samym wejściu, siedziała para gości zajętych rozmową. - Czekają na ciebie na zewnątrz.

- Kto taki?

- Jeszcze nie wiemy - odparł Grek. - Są bardzo dobrzy. Mogę ci wybaczyć, że ich nie zauważyłeś.

- Przykro mi, że przywlokłem kłopoty aż do twego progu.

- Nie ma sprawy - rzekł wielkodusznie Christou. - Jak powiedziałeś, jesteśmy tylko przyjaciółmi, którzy spotkali się przy kawie i winie. To się jednak zmieni, gdy opuścisz ten lokal. Pójdiesz w dół wzgórza do głównej ulicy, skręcisz w lewo i dalej prosto do hotelu. Nie rozglądaj się, nie szukaj śledzących, po prostu idź. Zapal sobie po drodze i nie spiesz się. Nasi ludzie będą mieli na oku i ciebie, i tamtych.

- Rozumiem. I dziękuję, stary przyjacielu.

- Teraz i nas interesuje ta sprawa - odparł Christou. -Możliwe, że będzie sposobność przeprowadzenia akcji, ale decyzja nie należy do mnie. A ty masz dziś rolę do odegrania. Zrób to dobrze.

Bin Faisal otarł serwetką usta i czoło.

- Zrobię co w mojej mocy - powiedział.

- W takim razie zbieraj się już.

Christou odprowadził Araba do wyjścia, poufale klepiąc go po ramieniu na pożegnanie. Przez chwilę stali razem w otwartych drzwiach.

- Dzięki, że nas odwiedziłeś - powiedział melodyjnym głosem. - Proszę, rób to częściej.

Bin Faisal uśmiechnął się i odparł:

- Z przyjemnością. Dziękuję za doskonały obiad.

Christou wrócił do środka, a bin Faisal został sam na chodniku. Wyjął papierosa, pstryknął srebrną zapalniczką i przez długą chwilę delektował się dymem. Był bardzo zdenerwowany; zwykle nie robił tego, co czekało go teraz. Zauważył drżenie ręki oraz ślad potu na błyszczącej zapalniczce. Siłą woli zapanował na odruchem rozejrzenia się po okolicy. Czuł się jak zwierzyzna łowna. Wreszcie wyprostował ramiona, odetchnął głęboko i ruszył nierównym chodnikiem ku głównej ulicy.

- Obiekt w ruchu - rozległ się zniekształcony głos w słuchawkach ludzi z grupy Hansa.

Dale poruszył się na niewygodnym siedzisku w samochodzie dostawczym, który zaparkował przy najbliższej przecznicy. Wyciągnął szyję, by spojrzeć ponad ramieniem operatora kamery ukrytej w obudowie wentylatora na dachu pojazdu.

- Gdzie on jest? - spytał.

- Tutaj - odparł operator. Nieznacznie poruszył pokrętle, by lepiej ukazać na małym monitorze obraz Ahmada bin Faisala. - Będziemy widzieli, jak się zbliża i jak odchodzi.

Wokół bin Faisala zaczął się ledwie dostrzegalny ruch. Samochody odbijały od krawężników i włączały się do ruchu - niektóre tuż obok niego, inne na równoległych ulicach, a wszystkie prowadzone komendami rozlegającymi się raz po raz w słuchawkach.

- Bardzo profesjonalna ekipa - oceniła jedna, z terrorystek, zwracając się do swego towarzysza, z którym całowała się w bramie. - I bardzo liczna... Naliczyłam co najmniej dwa samochody z dwuosobową załogą każdy, a do tego czterech uliczników. To wszystko na jednej ulicy, a na pewno mają co nieco w odwodzie.

- Ciekawe, czy to Amerykanie - odparł mężczyzna. - Jeśli tak, to stanowisko dowodzenia mają gdzieś dalej. Chodź, popatrzymy, jak pracują.

Odsunął partnerkę i wziął ją za rękę. Wyszli z bramy i ruszyli za bin Faisalem w odległości półtorej przecznicy, niczym nie różniąc się od tysięcy par zmierzających w letni wieczór do klubu czy dyskoteki.

Ludzie z ekipy Hansa koncentrowali się na obiekcie. Dyskretna obserwacja jest tak trudna, że wymaga zaangażowania wszystkich środków i całej uwagi tylko po to, by utrzymać tempo, w jakim porusza się cel. Właśnie dlatego trudno jest wygospodarować energię na pilnowanie własnych tyłów. Dlatego też potrzebni są

strzelcy pilnujący bezpieczeństwa. Lecz jeśli mają oni dotrzymać kroku śledzonemu i śledzącym, nie mogą pozostawać zbyt daleko w tyle.

Dwaj operatorzy stanowiący ariergardę ruchomego kordonu, w którym zamknięty był bin Faisal, nie poświęcili zbyt wiele uwagi parze Greków, która podążyła za nimi, uznając ją za niegroźną.

Bin Faisal czuł się tak, jakby ktoś bardzo duży i ciężki stał na jego klatce piersiowej. Zmuszał się do zachowania spokoju, oddychał głęboko i raz zakrztusił się papierosowym dymem. W jednej ręce trzymał papierosa, zaciągając się chciwie, drugą wcisnął głęboko do kieszeni. Czuł ucisk w żołądku. Przez chwilę był zły, że popsuto mu tak znakomity posiłek. Zaraz jednak przypomniał sobie, że to bodaj najmniejsze z jego zmartwień, i szybko skupił się na tym, co się działo... Choć w tym momencie w zasadzie nie działo się nic. Gdy schodził w stronę głównej ulicy, minęło go kilka samochodów. Otaczali go ludzie, ale i w tym nie było nic dziwnego, bo o tej porze w Atenach zawsze panował ruch, zarówno na chodnikach, jak i na jezdniach.

Nie dostrzegał niczego podejrzanego i z coraz większym trudem powstrzymywał się, by nie rozejrzeć się dokoła w poszukiwaniu obserwatorów, którzy na pewno byli w pobliżu. Czuł, jak włoski na karku jeżą mu się w atawistycznej reakcji na zagrożenie. Przez krótką chwilę administrator terrorystycznej organizacji czuł się tak, jak na co dzień czuli się ludzie, których wysyłał na samotne akcje. Dla Ahmada bin Faisala strach taki jak ten był nowym doznaniem. Do tej pory, z perspektywy komfortowo urządzonych sal, w których spotykali się szefowie organizacji, wydawał się czymś nieskończenie odległym. Był to strach znany wykonawcom. W bolesnym przebiegu samoświadomości bin Faisal pojął, że nigdy w życiu nie mógłby parać się tym rzemiosłem, jego organizm nie zniósłby takiego napięcia.

Wystarczającym wysiłkiem było teraz utrzymywanie się na nogach. Dotarłszy do podnóża pagórka, Arab zatrzymał się i zdeptał niedopałek. Wyjął kolejnego papierosa i z zadowoleniem zauważył, że drżenie ręki ustąpiło. Może dlatego, że dotarł do rzeźnicy oświetlonej, bardziej ruchliwej ulicy? Ruszył przed siebie, pogrążony w myślach i tylko z pozoru samotny.

- Stary trzęsie się jak pies srający pestkami brzoskwini - orzekł Charley. - Spójrzcie na niego... zorientował się, że jest śledzony.
- Denerwuje się - potwierdził Hans. - Ale to nie oznacza, że nas zauważył
- A niby z jakiego innego powodu miałby się denerwować? - spytał Dale.
- Nie jest operatorem - odparł Holender. - I nie zauważył nas. A nawet jeśli tak mu się zdaje, to się myli. Po prostu nie jest przyzwyczajony do pilnowania się na ulicy.
- Miejmy nadzieję, że tylko o to chodzi - powiedział Dale. - Popatrzmy, jak sobie radzi...

- Stawiam na to, że stanowisko dowodzenia mają w tej furgonetce - powiedziała kobieta, odwracając się ku partnerowi i uśmiechając tak szeroko, jakby jego towarzystwo wprawiało ją w ekstazę.

- Tak... No to mamy cztery wozy, z furgonetką włącznie, a do tego siedmiu ludzi.

- Ci dwaj ostatni w szyku to pewnie strzelcy.
- Albo rezerwowi ulicznicy.

Mężczyzna stojący pod latarnią po drugiej stronie ulicy czytał kolumnę sportową w popołudniówce. W pewnej chwili zaklął głośno, zgniótł gazetę i cisnął do śmietnika przy drzwiach zamkniętego sklepu, przed którym stał. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, zapalił ostatniego i wyrzucił opakowanie do kubła, po czym ruszył przed siebie, najwyraźniej zainteresowany wyłącznie tytoniowym dymem. Szybko zbliżył się do dwóch młodych i muskularnych typów w ciemnych, skórzanych kurtkach, którzy zamykali kordon.

- Hej, wy! - zawołał po grecku. - Która godzina?
- Mężczyźni obejrzeli się, ale nie odpowiedzieli.
- Hej! - powtórzył facet. - Nie słyszeliście? Która godzina?
- Jeden z mężczyzn wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

Pałący odezwał się tym razem po angielsku z wyraźnym akcentem:

- Przepraszam, nie wiecie która godzina?
- Drugi mężczyzna zerknął na swój wielki zegarek i podsunął go Grekowi pod nos.
- Dzięki - mruknął tamten, spoglądając na cyferblat. - Amerykanie?
 - Tak - odparł młodszy z mężczyzn.
 - Witajcie w moim kraju! - uradował się Grek.
 - Dzięki. I dobrej nocy.
 - Dokąd tak się spieszycie? - spytał Grek.
 - Na spotkanie - odparł starszy mężczyzna.

Zaraz potem obaj oddalili się pośpiesznie, zostawiając Greka. Obserwował ich przez chwilę, idąc znacznie wolniej. Pod ich skórzanymi kurtkami, tuż za prawymi biodrami, dostrzegł charakterystyczne wybrzuszenia.

Byli strzelcami i mieli przy sobie pistolety.

Grek potrafił rozpoznać takich ludzi - w końcu sam był jednym z nich. Co więcej, zdarzało mu się już zabijać Amerykanów.

- Nie pilnuje się ani trochę - stwierdził Hans. - Wygląda na zdenerwowanego, ale nie podejmuje żadnych działań. Dlaczego?

- Dobre pytanie - odparł Charley. - Gdyby podejrzewał, że jest śledzony, próbowałby nas namierzyć. Może po prostu zgrywa twardziela, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie?

- Coś mi się w tym wszystkim nie podoba - odezwał się Dale. - On nie jest operatorem, ale najpierw wykonywał pewne ruchy, a teraz przestał. Czyżby wiedział o czymś, o czym my nie wiemy?

- Możliwe, że przekonał samego siebie, że nie jest śledzony. A może denerwuje się czymś, co w ogóle nie ma związku ze sprawą? Może mu obiad zaszkodził, może ma kłopoty... Nie wiadomo. Najważniejsze, że w tej chwili mamy go na celowniku, i to musi nam wystarczyć. Więc skończmy z tymi domysłami i cieszymy się, że jest pod nadzorem.

- Hans ma rację - dorzucił Charley. - Spoko, Dale.
- Chcę go dopaść - odparł Dale. - Chcę go przycisnąć, aż mu się mózg zagotuje.
- Jak my wszyscy - odrzekł spokojnie Charley. - Ćwicz cierpliwość.

Ahmad bin Faisal był coraz spokojniejszy. Pocięszał go fakt, iż nie widział wokół siebie śledzących, a jednocześnie wiedział, że na ulicy działa druga ekipa. Idąc coraz dłuższym krokiem, znowu zapalił papierosa. Po pewnym czasie zatrzymał się, by dać czas wszystkim, którzy zdążali jego śladem. Zaczął nawet pozdrawiać nieznacnym skinieniem głowy przechodniów spieszących do lokali, w których rozpoczynały się wieczorne imprezy, główny cel życia Greków. Przez moment zastanawiał się, czy nie wstąpić do któregoś z klubów, ale instrukcje Christou były jasne: wracaj prosto do hotelu, zostań tam na noc i czekaj na kontakt z moimi ludźmi.

I dlatego bin Faisal szedł ulicą, nie oglądając się za siebie, coraz bardziej spokojny.

- Chyba się opanował - powiedziała kobieta, pochylając się ku partnerowi.
- Ale to nie jest jego specjalność.
- A właściwie skąd on jest?
- Z Al-Bashiry.
- I mówisz, że to nie jego specjalność?
- On siedzi znacznie wyżej. Finanse i logistyka.
- Ach tak. To ma sens. Teraz rozumiem, dlaczego tak dobrze płacą.
- To nie jedyny prezent od niego - odparł mężczyzna. Szli pod rękę spacerowym krokiem, jak wiele innych par przechadzających się w świetle latarni. - Mamy okazję zaatakować.
- Może. Costas zaczepił przed chwilą dwóch strzelców. Możliwe, że to Amerykanie, CIA. Jeśli tak, to rzeczywiście niezła okazja.
- Są bardzo dobrzy. Trzeba będzie uważać.
- Rozejrzeli się i beztręsko wybuchnęli śmiechem.
- Jest prawie w hotelu - powiedział Dale. - Nikogo nie potrafił po drodze, nie nawiązał kontaktu, nie próbował się rozglądać... Czysty jak ła.
- Tak - mruknął Hans. - Ale to w sumie logiczne. Nie jest ulicznym operatorem. Jeżeli z kimś się spotka, dostanie wcześniej instrukcje co do miejsca i trasy. I na pewno zostanie mu przydzielona ochrona. Rozsądek podpowiada, że ktoś skontaktuje się z nim w hotelu, żeby przekazać polecenia.
- Ekipa już tam jest, prawda? - upewnił się Charley.
- Oczywiście - odparł Hans. - Dostaliśmy pokój tuż obok jego. Mamy już obraz i dźwięk. Najtrudniej jest prowadzić obserwację w holu, od tej ich policji turystycznej aż się roi...
- Nie masz kontaktów w miejscowej policji? - spytał Charley.
- Mam, ale z uwagi na naturę tej sprawy trzymam się od nich z daleka.
- Całkiem słusznie - przyznał Charley.

Para podążała niespiesznie za kordonem, przyglądając się, jak bin Faisal wchodzi do hotelu głównym wejściem. Po chwili terroryści powtórzyli manewr Araba i skierowali się wprost do baru, gdzie przysiedli przy samym końcu kontuaru i zamówili aperitif. Kobieta założyła nogę na nogę i kiwając prowokacyjnie stopą,

bawiła się szklaneczką. Miała dobry widok na cały hol. Dwaj policjanci, w skórzanych kurtkach pilotów, bluzach dresowych, lewisach i wojskowych butach, rozglądali się po przestronnym pomieszczeniu. Kobieta posłała im tylko przelotne spojrzenie, a potem zainteresowała się gośćmi baru oraz kilkoma osobami, które zasiadły w holu w wygodnych fotelach i na kanapach.

- Smakuje ci? - spytała partnera.

- Tak,

- Widziałam dwóch w holu - powiedziała.

- Ja też.

- Na pewno jest ich więcej. Skoro jest dwóch, musi być więcej.

- Wiemy już dość, możemy zaczynać. Dokończ drinka.

Kobieta wypila, odstawiła pustą szklanekę i wstała.

- Idziemy? - spytała z uśmiechem.

Jej partner dopił trunek, odstawił szklanekę na gładką taflę baru i ruchem ręki poprosił o rachunek. Zapłacił banknotem wyjętym z rolki, którą wydobył z kieszeni. Dołożył kilka monet i podawszy ramię kobiecie, poprowadził ją w stronę wyjścia. Chwilę później opuścili hol głównym wejściem i odjechali taksówką z hotelowego postoju. Mężczyzna instruuował kierowcę na bieżąco i po krótkiej, szybkiej jeździe polecił mu zatrzymać samochód ledwie o kilka przecznic od hotelu.

- Tu będzie dobrze - powiedział.

Taksówkarz posłusznie zatrzymał wóz.

- A to za fatygę - dodał mężczyzna, dorzucając kilka banknotów do należności za kurs.

- Dziękuję - rzucił taksówkarz i odjechał.

Para przystanęła pod latarnią, rozglądając się uważnie. Nikt ich nie śledził. Prawdę mówiąc, byłiby zdumieni, gdyby było inaczej. Dobrze wykonali swoje zadanie i byli absolutnie pewni, że ekipa obserwująca bin Faisala nie nabrała żadnych podejrzeń. Przeszli do najbliższej przecznicy i zbliżyli się do samochodu, który stał przy krawężniku na jałowym biegu. Gdy przechodzili obok, kobieta zapukała w bagażnik i głowy trojga pasażerów obróciły się ku nim jak na komendę. Para operatorów wcisnęła się na tylną kanapę, obok siedzącej tam kobiety.

- Policzyliście ich? - spytał kierowca.

- Tak.

- To Amerykanie?

- Nie mogliśmy ustalić - odpowiedziała kobieta, która już wcześniej siedziała w wozie.

- Ale ja to zrobiłem - odezwał się starszy Grek imieniem Costas. - To z całą pewnością Amerykanie. Bardzo profesjonalni operatorzy, na pewno lepsi niż ci z lokalnej placówki CIA, choć i tym nic nie brakuje. Prowadzą akcję przeciwko temu księgowemu Al-Bashiry. Śledzili go przez cały wieczór.

- Czy mamy dość danych, żeby złożyć meldunek? - spytał kierowca.

- O, tak - zapewnił go Costas. - I moim zdaniem mamy zbyt dobrą sposobność do ataku, by ją zmarnować.

- Kazali mu iść do łóżka - powiedział Hans. - Jest w pokoju i szykuje się do snu. Nigdzie się nie wybiera. Mamy w pogotowiu samochód i ekipę ulicznych. Zostaną pod hotelem na wszelki wypadek... Tak czy inaczej, system wczesnego ostrzegania już działa. Możemy się przespać.

- Ja zmrużę oko, dobrze mi to robi - oznajmił Charley.

- A ja jestem za bardzo nakręcony, żeby spać - odrzekł Dale.

- Powinieneś spróbować odpocząć - zasugerował Hans. - Jesteś bardzo spięty.

- Bo wiele się dzieje, Hans.

- Wiem - odparł Holender. - Ale musisz nam zaufać, Dale. Uważasz, że zdążyliśmy już coś spać?

- Nie - przyznał Miller. - Niczego takiego nie sugerowałem. Po prostu jestem przyzwyczajony do pracy w pojedynkę.

- Nigdy nie byłeś całkiem sam - zauważył rozsądnie Hans. - Poza tym nawet ty musisz czasem się przespać, zjeść coś albo pójść do kibla. Zaufaj nam. Pozwól nam robić to, na czym się znamy.

- Przepraszam - odpowiedział Dale.

- Nic się nie wydarzy - odezwał się Charley. - Naprawdę możemy odpocząć.

AMSTERDAM, HOLANDIA MIESZKANIE BRITTY

Leżeli na wąskim łóżku Britty, spleceni w gorącym uścisku. Jej oddech był wolny i głęboki; Youssef czuł go na piersi równie wyraźnie jak ciężar głowy śpiącej dziewczyny. Napięcie minęło, lecz - o dziwo - sen nie nadchodził. Było tak, jakby spodziewał się usłyszeć własne myśli, na granicy jawy i snu. Wielkie okno filtrowało światła ulicy, wpuszczając je do pokoju ukośnymi smugami. Gdzieś w oddali rozległ się stłumiony głos i zaraz ucichł. Było późno.

Youssef zmienił pozycję, ostrożnie, by nie obudzić Britty. Rozprostował zdrtwiałe nogi i ułożył się swobodniej. Dziewczyna drgnęła nieznacznie i na powrót zapadła w głęboki sen. Youssef zaś z wolna powrócił do stanu rozmarzenia, który poprzedza zaśnięcie, i wreszcie usnął jak dziecko.

Śnił wyrazistymi obrazami: był wysoki jak żyrafa i przechadzał się dostojnym krokiem, bez pośpiechu znajdując drogę na zatłoczonych ulicach i lekko przestępując ponad samochodami. Wszędzie dokoła widział chorych, umierających ludzi o twarzach pokrytych ospowymi pęcherzykami i strupami. Nikogo nie mógł rozpoznać, tak bardzo były zmienione chorobą ich oblicza. Na niebie jaśniała osobliwa poświata, której źródłem nie było słońce. Szedł ku niej, ignorując ludzkie wraki. Miał na sobie tradycyjną saudyjską szatę i nakrycie głowy, na nogach zaś lekkie, skórzane sandały. Przy każdym kroku słyszał głośny szelest ubrania. Dostrzegł matkę z chorym dzieckiem, ale odwrócił głowę na ich błagania. Nie rozumiał dźwięków, które wydawali, lecz jego umysł jakoś przetwarzał je na słowa prośby pomocy, o wodę, o litość. Zaraz potem zobaczył młodego mężczyznę i dziewczynę, skulonych razem w

bezkostnej miękkości śmierci; chłopak tulił ją w ramionach, jakby wciąż jeszcze chciał ją przed czymś chronić.

Śmierć, śmierć, wszędzie śmierć.

Youssef miał przed sobą stożek światła pod ciemniejącym niebem, na którym chmury kotłowały się niespokojnie niczym zimne mleko w gorącej herbacie. Zrobił jeszcze krok i stanął w plamie światła, jedynym miejscu wolnym od ciał i porzuconych samochodów. Na miękkim płótnie tradycyjnego stroju poczuł słoneczne ciepło. Odrzucił głowę do tyłu i pozwolił, by blask ogrzał jego dziwnie zimną twarz, mięśnie wokół oczu stężały od usilnego niedostrzegania horroru, który rozgrywał się dokoła. Nagle poczuł w plamie światła czyjąś obecność. Odwrócił się i zobaczył Britte, równie wielką jak on sam, górującą nad ulicą. Lecz w przeciwieństwie do niego dziewczyna nie spoglądała w światło, tylko w dół, na umierających. Wyciągała do nich ręce, ale krąg światła nie pozwalał jej dotknąć, był jak szklana kurtyna. Britta spojrzała na Youssefa i jej usta się poruszyły, lecz nie usłyszał żadnego słowa. Sięgnął ku niej, ale i między nimi pojawiła się niewidzialna bariera. Patrzył, jak skóra dziewczyny zaczyna różowieć, potem pojawiają się na niej wypryski i wreszcie rozkwitają pęcherzyki. Przyglądała się sobie oczami szeroko otwartymi z przerażenia, przyciskając dłonie do twarzy. Youssef usiłował odwrócić głowę, ale nie mógł. Nie mógł przestać patrzeć w jej błękitne oczy, nawet kiedy gasły i płwiała. Wyciągnął do niej rękę, gdy padała...

...I obudził się z przerażeniem.

- Britta! - krzyknął, gwałtownie odrzucając jej ramiona, by zaczerpnąć tchu.

- Youssef, co się stało? - spytała natychmiast Britta, budząc się w jednej chwili jak ktoś, kto przywykł do awaryjnych sytuacji.

- To sen - odpowiedział. - Straszny sen.

Przytuliła go do miękkich piersi jak małe dziecko.

- No już, już - szepnęła uspokajająco. - To tylko sen... zły sen...

ATENY, GRECJA KRYJÓWKA ORGANIZACJI SIEDEMNASTY LISTOPADA

Miasto było pogrążone we śnie, gdy ekipa obserwacyjna organizacji Siedemnasty Listopada zasiadła wokół stołu w domu na przedmieściach Aten. Terrorysty pochylali się nad planem miasta, a ściślej okolic Hiltona. Szkicowali plany operacji i wieszali je na ścianach, popijając kawę i paląc papierosy. Niespodziewane pojawienie się zespołu amerykańskich służb wywiadowczych na ich terenie było doskonałą okazją do uderzenia w odwiecznego wroga. Atak miał być nie tylko bolesny, ale także publicznie upokarzający dla amerykańskich agentów.

- Ruszymy, kiedy będą statyczni czy w ruchu? - spytała kobieta imieniem Anna. To ona kilka godzin wcześniej była w parze, która poszła do Hiltona śladem Ahmada bin Faisala.

- Raczej statyczni - odparł doświadczony operator Costas. - Gdyby byli w ruchu, łatwiej by nam było uciec, ale mobilność działałaby też na ich korzyść. I dlatego uderzymy, kiedy będą siedzieli na tyłkach i pilnowali naszego przyjaciela.

Mężczyzna, który wspólnie z Anną śledził bin Faisala, miał na imię Stavrous.

- Czy policja zareaguje tak, jak chcemy? - spytał.

- Tak - odparł Costas. - Turystyczni już tam są i musimy na nich uważać. Nasz człowiek w policyjnej centrali będzie monitorował wezwania i postara się przybyć na miejsce jako pierwszy, zanim Amerykanie zdążą posprzątać, zabrać sprzęt i trupy.

- A co z ich strzelcami? - spytał jeden z terrorystów.

- Nie martw się o nich, Anton - uspokoił go Costas. - Mam pewien plan. Na ulicy jest ich tylko dwóch i tych sprzątniemy na początek.

- To mi się podoba - powiedziała Anna. - Sądysz, że dobrze będzie stuknąć ich z marszu? Może lepiej przygotujemy zasadzkę, wyciągniemy ich w lepsze miejsce? Nie musimy ryzykować.

- Trudno by było przygotować coś w tak krótkim czasie - odparł Costas. Trzeba nam czegoś innego: skoordynowanego ataku mobilnych grup na nieruchome cele. Nie musimy nawet zabijać ich wszystkich. W gruncie rzeczy lepiej byłoby tego uniknąć, przynajmniej przez wzgląd na policję. Tamci będą biegać w panice, próbując ratować swoich i znaleźć nas. Skończy się na strzelaninie, a potem przymknie ich policja. Wtedy nasi przyjaciele z mediów postarają się, żeby sprawa trafiła na pierwsze strony gazet. „Agenci CIA urządzają strzelaninę na ulicach Aten”. Amerykański prezydent poczyta sobie o tym przy porannej kawie.

Roześmiali się wszyscy.

- A potem my będziemy pili kawę - dodał Costas - a on będzie robił w gacie.

- Spróbujmy teraz złapać trochę snu - odezwał się Stavrous. - Przed nami ciężki dzień.

- Tak - zgodził się Costas. - Pora odpocząć.

ATENY, GRECJA META ZESPOŁU OBSERWACYJNEGO HANSA

Dale, Charley i Hans siedzieli na składanych krzesłach wokół stołu w zaimprovizowanym centrum operacyjnym. Charley był spokojny, splecione dłonie trzymał na kolanach. Hans popijał wodę mineralną z butelki. Dale wstał nerwowo, by po chwili znowu zająć miejsce przy stole.

- Co on robi? - spytał.

- Śpi - odparł Hans. - A my powinniśmy wziąć z niego przykład. Cała okolica jest obstawiona, moi ludzie siedzą też w pokoju obok. On się donikąd nie wybiera, Dale. Nikt też nie złoży mu wizyty bez naszej wiedzy.

- Co ci mówił Callan? - spytał Charley.

- Że ekipa, która ma go zwinąć, jest już w kraju - odparł Dale. - My mamy go pilnować, a oni się zjawią i go zdejmą.

- Kiedy?

- Niedługo.

- To znaczy? - indagował Charley.

- Jutro. Sześciu ludzi w furgonetce i samochód obstawy, do tego my wszyscy jako zespół wsparcia, obserwacji i osłony.

- Spore przedsięwzięcie jak na jednego gościa bez obstawy - zauważył Charley. - I dosyć widoczne.

- Jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, to moim zdaniem raczej skromne - odparł Dale.

- Fakt - dorzucił Hans. - Widywałem już większe akcje.

- Cóż, najwyraźniej przywykłem do pracy na piwnym budżecie. - Charley wzruszył ramionami. - U was widocznie standardem jest szampan.

- Cel jest wartościowy - powiedział Dale, bawiąc się pudełkiem papierosów. - Nasi przycisną go, żeby dowiedzieć się czegoś konkretnego o sprawach Udaya. Dowiemy się, czy te całe Smutne Wakacje to realne zagrożenie czy tylko chore rojenia planistów.

- Nie wiem jak wy, ale ja muszę pokimać - stwierdził Charley. - Tak to jest ze starymi psami. Kto jeszcze chętny?

- Ja - odparł Hans. - Czeka nas pracowity dzień.

AMSTERDAM, HOLANDIA MIESZKANIE BRITTY

- Bardzo niespokojnie śpisz - stwierdziła Britta, mrużąc oczy w świetle poranka. Leżeli razem w łóżku, przykryci cienką kołdrą aż po piersi, z kubkami gorącej kawy w dłoniach. - Co ci się śniło?

Youssef z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

- Zawsze śnią mi się koszmary - odparł. - Od dzieciństwa.

Britta pogładziła go po dłoniach.

- Już dobrze - szepnęła.

Youssef odsunął ręce i wziął solidny łyk kawy.

- Co się dzieje? - zdziwiła się Britta. - Youssefie? Stało się coś?

- Muszę dzisiaj wyjść - odrzekł. - Potrzebuję świeżego powietrza, ruchu.

Spojrzała na niego, zaciskając dłonie na kubku.

- Jasne, nie ma problemu. Możemy się gdzieś wybrać... Zapowiada się piękny dzień. Możemy przejść przez Jordaan, zobaczysz, jaka to piękna okolica. Wstąpimy do kawiarni, może coś zjemy...

- Przez jakiś czas muszę być sam.

Britta odsunęła się, by popatrzeć na niego z boku.

- Naturalnie. Możesz być sam - powiedziała, marszcząc brwi, - Ale nie wydaje mi się, żebyś tego chciał. Po prostu przyzwyczyłeś się do samotności i nie wiesz, jak to jest być z kimś, kiedy coś cię trapi. Tak długo byłeś sam, że zapomniałeś, jaka to ulga móc zrzucić z siebie ciężar, podzielić się kłopotami z kimś, kto cię wysłucha. Tak jak ja cię słucham, Youssefie. Bo ja chcę cię słuchać.

Przyglądała się grze uczuć malującej się na delikatnej twarzy młodego Araba. Widziała jego tęsknotę, zdziwienie, złość i wreszcie maskę obojętności.

- O czym myślisz? - spytała z łagodnym naciskiem. - O czym nie możesz mi powiedzieć? Na pewno jest coś takiego, przecież widzę. Powiedz.

- Miałem przyjaciela - odrzekł po chwili Youssef. - Palestyńczyka. Byliśmy naprawdę dobrymi kumplami, razem poszliśmy na uniwersytet. Ale gdy skończyliśmy studia, on wrócił na Zachodni Brzeg, żeby z bronią w ręku walczyć przeciwko Żydom. Został złapany. Torturowali go. Był świetnym muzykiem, grał na fortepianie. Kazali mu włożyć rękę do szuflady i jeden z izraelskich żołnierzy zamknął ją kopniakiem. Mój przyjaciel już nigdy nie zagrał na fortepianie... Umarł w niewoli, jak wielu innych. Nigdy się nie dowie, czym jest słoneczny dzień w Amsterdamie, nie napije się kawy i nie zje czegoś lekkiego w porze lunchu. Nie zostało po nim nic oprócz wspomnień przyjaciół oraz czynów, których możemy dokonać w jego imieniu.

- Och, Youssefie - westchnęła Britta. - Więc gnębią cię sprawy polityczne, tak?

- Jeżeli polityka oznacza pragnienie czynu, to tak, interesuje mnie polityka.

- Ale jakich czynów może dokonać pojedynczy człowiek? Jesteś tak bardzo samotny, że wydaje się, jakby została ci tylko nienawiść. Pierwszy raz dostrzegłam ją w tobie, Youssefie. A przecież jest w tobie tyle dobrego! Zapomnij o gniewie. Masz rację, twój przyjaciel nie pozna już uroków życia, ale może ty mógłbyś ich zaznać za niego? Dlaczego miałbyś odmawiać sobie godziwego życia? Przez wzgląd na smutną przeszłość? Twój przyjaciel nie żyje... Więc pójdźmy gdzieś razem i wypijmy za pamięć o nim. Poczuj coś dobrego, znajdź radość, którą znajdują inni, Youssefie. Może wtedy opuści cię gniew.

Youssef wpatrywał się uparcie w nogi łóżka, nie reagując na błagalne spojrzenie Britty.

- Łatwo ci mówić - odpowiedział wreszcie. - Twoje życie jest takie proste, takie otwarte... Byłoby inaczej, gdybyś straciła kogoś bliskiego z winy Amerykanów czy Żydów. Całkiem możliwe, że nie byłabyś taka beztraska i szczęśliwa.

- Zaczynasz mnie denerwować - odparła Britta. - Bardzo niewiele o mnie wiesz, Youssefie, a tak chętnie mnie osądzasz. Może ja też straciłam bliskich? Może nie w taki sam sposób, ale straciłam. Jednak to, co czujemy w takich sytuacjach, jest kwestią wyboru. Możemy doszukiwać się w tym wyłącznie złych stron, ale możemy też poszukać dobra i spróbować żyć dalej. Ja zawsze wybieram tę drugą ścieżkę. Zawsze szukam dobra i znajduję je. Wystarczy, że damy się poprowadzić ku niemu. Włączyłeś się samotnie po mieście i jakoś trafiłeś na mnie. Wierzę, że prowadziło cię dobro. Może powinieneś uznać to za znak, że świat ma dla ciebie nie tylko gorycz, ale i słodycz? Nie było ci dobrze? - spytała, wskazując na łóżko, pokój i otwarte okno. - Nie było? - powtórzyła. - Wiem, że tak. Ja czułam to samo. Wpuść trochę światła, Youssefie. Ciesz się życiem. Twój przyjaciel na pewno by tego chciał.

Youssef odrzucił koldrę gwałtownym ruchem, wylewając odrobinę kawy z kubka, który ścisnął w dłoni. Odstawił go na podłogę i wstał nieco przygarbiony, unosząc ręce tak, jakby się przed czymś bronił.

- Nie masz pojęcia, co muszę zrobić - powiedział. - Przede wszystkim potrzebuję dziś być sam, rozumiesz?

- Więc bądź! - warknęła Britta.

Wyskoczyła z łóżka, chwyciła jedwabną podomkę i zarzuciła ją na ramiona, po czym pomaszerowała do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Youssef popatrzył za nią, czując coś w rodzaju ulgi. Jej gniew pomógł mu poczuć się usprawiedliwionym. Podniósł z podłogi i włożył bieliznę, a potem spodnie i koszulę. Rozejrzał się, szukając butów. Kiedy miał już na nogach pantofle na cienkich podszwach, sięgnął po torbę i zarzucił ją na ramię. Po cichu otworzył i zamknął za sobą drzwi mieszkania. Ruszył schodami w dół. Zacisnął zęby, wypierając z pamięci smutne wspomnienie - stłumiony szloch, który jeszcze przed chwilą dobiegał z łazienki. Zaczął iść ulicą, z początku zupełnie bez celu. Przystanął na mostku nad kanałem i spojrzał w mętną toń. Po chwili ruszył dalej, zupełnie nie myśląc o tym, dokąd niosą go nogi. Minął plac Dam i nagle zdał sobie sprawę, że znalazł się w pobliżu Dworca Głównego.

Wiedział, że w zamkniętym dla ruchu kołowego zaułku, równoległym do głównej ulicy łączącej się z placem, mają siedzibę liczne biura podróży. Ich specjalnością była sprzedaż tanich biletów lotniczych. Youssef szedł niespiesznie, przyglądając się cenom. Wreszcie przystanął przed ogłoszeniem agencji reklamującej niedrogie połączenie lotnicze na trasie Amsterdam-Toronto. Zastanawiał się przez chwilę nad tą ofertą, układając w myśli dalszy plan podróży. Mógł polecieć do Toronto i przedostać się przez niezbyt pilnie strzeżoną granicę ze Stanami Zjednoczonymi, korzystając z podrobionego amerykańskiego paszportu. A potem już tylko lot lub podróż autobusem do Waszyngtonu, do zatłoczonego latem schroniska młodzieżowego w centrum stolicy. Tam byłby tylko jednym z ogromnej rzeszy turystów podziwiających widoki i cieszących się urokami nocnego życia. Anonimową postacią w tłumie.

Nie dostał jeszcze sygnału do rozpoczęcia akcji, ale też mógł go odebrać w dowolnym miejscu na świecie - byle miał dostęp do Internetu.

Nawet w Waszyngtonie.

ATENY, GRECJA META ZESPOŁU OBSERWACYJNEGO HANSA

Charley trącił Dale'a w ramię i podał mu kubek gorącej kawy.

- Masz - powiedział. - Trzeba przyznać miejscowym, że umieją parzyć kawę.

Dostrzegają subtelności.

- Dzięki - odrzekł Dale, przyjmując poczęstunek.

- *Hoka hey* - powiedział Charley.

- Co to znaczy? - spytał Hans.

Siedział na kanapie, obserwując Dale'a i Charleya, którzy pochylali się nad monitorami i komputerami ustawionymi na odrapanym, składanym stoliku.

- To znaczy „dobry dzień na śmierć” - odparł Payne.

Hans roześmiał się.

- Masz mroczne poczucie humoru, Charley.

- Uważasz, że nie mam racji? Dla mnie to jasne, że dzień zapowiada się rewelacyjnie. Słońce świeci, dziewczyny chodzą w krótkich spódnickach albo skąpych

sukienkach, zastawiliśmy idealną pułapkę na wspaniałą zdobycz, a w dodatku świetna ekipa jest już w drodze, by zwinąć i wywieźć drania. A po wszystkim będziemy jeszcze imprezować! Cholera, to po prostu wymarzony dzień.

Hans zaśmiał się znowu. Zawtórował mu chudy jak szczapa, cały w czerni, blady Holender obsługujący sprzęt nasłuchowy.

- Potrafisz cieszyć się życiem, przyjacielu - stwierdził Hans.

- To sprawa priorytetów - odparł Charley. - Dawno temu poznałem różnicę między traktowaniem poważnie tego, co robię, a traktowaniem poważnie samego siebie w robocie. To pierwsze jest niezbędne, drugie jest katastrofą.

- Mądrze gadasz - pochwalił Hans.

- To dlatego, że jestem starym, szczwanym lisem. Osiągnąłem wiek mądrości - odparł Charley. - Prawda, Dale?

Dale wymamrotał coś, pochylając się nad ramieniem operatora sprzętu, i pociągnął łyk kawy.

- A to - dodał Charley tak cicho, by usłyszał go jedynie Hans - jest stanowczo zbyt poważny facet.

Holender przygryzł wargę, by się nie uśmiechnąć, i mrugnął porozumiewawczo.

- Hans, poproszę o raport - odezwał się Dale.

- Jasne, przyjacielu - odrzekł Hans. - Mamy czterech ludzi w sąsiednim pokoju, dwóch operatorów sprzętu i dwóch uliczników, jeden jest uzbrojony. W holu czuwa kolejnych czterech operatorów, a w rezerwie, dwie minuty od hotelu, czekają trzy samochody. Mam kontakt radiowy ze wszystkimi. Bin Faisal obudził się i wziął prysznic. Dostał dzbanek kawy, bułki i gazetę. Czyta, je i popija kawę, najwyraźniej nie spieszy mu się. Jak dotąd nie wychodził z pokoju, czego zresztą należało się spodziewać. Callan już wylądował, jest w drodze do nas. Będzie koordynował pracę zespołu, który zwinie bin Faisala, gdy tylko ten wyjdzie na ulicę.

- Gdzie ten zespół? - spytał Dale.

- Sami wybrali metę. Callan jak dotąd nie informował o szczegółach. Kiedy tu dotrze, pojawi się też łącznik z zespołu. Będziemy współpracowali.

- A co właściwie mamy robić? - spytał Charley.

- Założyłem, że chcielibyście być na ulicy w chwili, gdy dojdzie do przechwycenia celu - odparł Hans.

- Właśnie tak - przytaknął Charley. - Nie po to jechałem taki kawał drogi, żeby przegapić ten moment. Dale?

- Taa - mruknął Dale. Odstawił kubek, wstał i przeciągnął się. - Ja też nie odpuszczę. Zasłużyliśmy sobie na udział.

- W drogę, panie Ahmad bin Faisal - rzekł Charley. - Jesteśmy gotowi złapać cię za tę twoją terrorystyczną dupę.

*ATENY, GRECJA ZESPÓŁ UDERZENIOWY ORGANIZACJI SIEDEMNASTY
LISTOPADA, OKOLICE HOTELU HILTON*

Costas, dowódca zespołu uderzeniowego, siedział w fiacie z kradzionymi tablicami rejestracyjnymi w uliczce opodal Hiltona. Widział w pobliżu jeden z wozów Hansa - zdradziły go małe, zdejmowane lusterka umieszczone na zwykłych bocznych. Dzięki nim siedzący w pojeździe mogli dyskretnie obserwować teren pod kątem 360°. Posługując się telefonem komórkowym na kartę, Costas utrzymywał łączność z zabójcami, którzy z wolna zacieśniali kordon wokół amerykańskiej ekipy obserwacyjnej pilnującej Hiltona.

Pager zapiszczał cicho i Grek spojrział na wyświetlacz, na którym widniał rząd cyfr. Ta sekwencja oznaczała, że zidentyfikowano już operatorów pracujących w holu, czyli tych, którzy najprawdopodobniej jako pierwsi mieli zareagować na ruch Ahmada bin Faisala. Trudno było to stwierdzić z całą pewnością, ale Costas przypuszczał, że ekipa tak liczna i dobrze zorganizowana musi wynajmować pokoje w Hiltonie i zapewne zdołała założyć podsłuch w pokoju Araba. Gdy kontaktował się z bin Faisalem po raz ostatni, polecił mu pozostać w pokoju do południa, a następnie - jeśli nic się nie wydarzy - spokojnie zająć się swoimi sprawami i czekać na kontakt.

Costas wprowadził sekwencję cyfr oznaczającą „wiadomość odebrana” i rozesłał ją swoim ludziom w hotelowym holu. Ich pagery były nastawione na wibrację, a umówione wcześniej kody nic nie mówiły postronnym obserwatorom, toteż był to doskonały sposób na utrzymanie dyskretnej łączności w czasie rzeczywistym. Wszechobecnych na ateńskich ulicach telefonów komórkowych terroryści używali tylko w pilnych, awaryjnych sytuacjach.

Anna, która na czas akcji upięła długie włosy w ciasny kok na czubku głowy, poruszyła się niespokojnie na sąsiednim fotelu. Pod gazetą trzymała izraelski pistolet maszynowy miniuzi, bez składanej kolby. Była to broń praktycznie bezużyteczna w walce na odległość większą niż dystans skutecznego ostrzału pistoletowego, ale z bliska - powiedzmy z odległości mijających się samochodów; nie większej niż parę metrów - była nader skutecznym narzędziem do wpakowania w ludzkie ciało ośmiuset pocisków kalibru 9 milimetrów w ciągu minuty. Do dobrze przygotowanych egzekucji nadawała się więc znakomicie, a Anna była świetnie wyszkolona w posługiwaniu się tą bronią. Costas, jeden z głównych egzekutorów Siedemnastego Listopada, był uzbrojony w pistolet automatyczny Colt .45 model 1911, skradziony z amerykańskich zapasów zgromadzonych w Grecji w latach pięćdziesiątych, gdy kraj ten był bazą wypadową do działań w komunistycznej Jugosławii. Potężna czterdziestka piątka posłużyła mu już w niejednym zamachu na dyplomatów i personel wojskowy placówek Stanów Zjednoczonych.

Oboje zamierzali tego dnia dopisać nowe ofiary do długiej listy swych dokonań, choć ich głównym zadaniem było dowodzenie akcją. W sumie mieli pod sobą pięć zespołów po dwóch strzelców w każdym. Wszystkie były już na miejscu, w pobliżu Amerykanów otaczających hotel luźnym kordonem. Operatorzy starali się wtopić w pejzaż. Mieli zamiar przekazać intruzom śledzącym bin Faisala, że ten teren należy do nich. Planowali zabić tylu amerykańskich agentów, ilu tylko zdołają. Ich ciała, wraz z

bronią i całym szpiegowskim osprzętem, a także zeznania paru celowo pozostawionych przy życiu, miały wywołać jak największe zamieszanie - o nagłośnienie sprawy mieli zadbać przekupieni policjanci i dziennikarze, oburzeni „amerykańską krwawą akcją wywiadowczą na greckiej ziemi”.

Miał to być potężny cios wymierzony w Stany Zjednoczone, a zarazem czytelna wiadomość: nie chcemy was na naszej ziemi. Taka porażka musiała też poważnie zaszkodzić wizerunkowi amerykańskiego prezydenta i jego kampanii antyterrorystycznej, a także stosunkom amerykańsko-greckim. Tymczasem członkowie Siedemnastego Listopada jak zawsze usunęliby się w cień, zostawiając po sobie jedynie charakterystyczne dla ich akcji kule kalibru .45 oraz informację w prasie, że zamach był ich dziełem.

Anna i Costas odczuwali niemal seksualne podniecenie na myśl o zbliżającej się akcji. Ostatniej nocy kochali się trzykrotnie; starzejący się mężczyzna czuł się przy swej podwładnej jak młody ogier. Teraz jednak koncentrowali się przede wszystkim na misji - oboje ochłonęli już i przystępowali do dzieła z chłodnym profesjonalizmem. Zbliżała się godzina łowów.

ATENY, GRECJA META ZESPOŁU OBSERWACYJNEGO HANSA

Mike Callan jechał w pozbawionej okien furgonetce, wyposażonej w szerokie, rozsuwane drzwi po bokach. Towarzyszyło mu sześciu ludzi z jednostki Dominance Rain, ubranych w skórzane kurtki, buty robocze, dżinsy i kominiarki zwinięte tak, by wyglądały jak zwyczajne czapki. Tuż za furgonetką jechał chevrolet suburban z ciemnymi szybami, wiozący kolejnych sześciu dobrze uzbrojonych ludzi z osłony.

- Wypuść mnie na rogu - polecił Callan kierowcy, przeciskając się między podwładnymi, by zająć miejsce w fotelu pasażera.

Wóz zwolnił i zatrzymał się po chwili, a Callan wysiadł bez słowa, dociskając palcem słuchawkę, by nie wypadła mu z ucha. Minął kilka domów mieszkalnych i wbiegł po schodkach do drzwi budynku, w którym urzędowała ekipa Hansa. Nacisnął przycisk obok wejścia i czekał, aż odezwie się sygnał oznaczający otwarcie zamka. Wspiął się na piętro, gdzie powitał go jeden ze strzelców Holendra, ukrywający dłoń z pistoletem pod luźną kurtką.

- Gdzie Hans? - spytał Callan.

- Tutaj - odezwał się Holender zza pleców strażnika. - Jesteśmy w środku.

Callan wszedł do ciasnego pomieszczenia operacyjnego i przyjrzał się stolikom zawalonym laptopami, monitorami, zapasowymi kamerami i sprzętem radiowym. Dale i Charley wstali, by go powitać.

- W samą porę - powiedział Miller.

- Moja definicja „w samą porę” brzmi: dziesięć minut przed czasem - odparł Callan. - Gotowi do pracy?

- My tu cały czas pracujemy, mistrzu - odrzekł Charley. - I to dość ciężko.

Callan uśmiechnął się i podszedł do stolika w rogu pokoju, by nalać sobie kawy.

- Wiem o tym. I muszę powiedzieć, że robicie to dobrze. Dzięki wam lada chwila facet będzie nasz.

- Będziesz koordynował pracę swojego zespołu? - upewnił się Dale.

- Tak. Zamierzam obserwować stąd całą akcję. Zostaniecie ze mną czy chcecie iść na ulicę?

- Na ulicę - odparł Dale. - Chcę zobaczyć, jak twój błąd zgniewa faceta.

- Ja też - dołączył Charley.

- Dobrze, że chociaż Hans dotrzyma mi towarzystwa - stwierdził Callan. - Minęło sporo czasu, odkąd gadaliśmy po raz ostatni, co, Hans?

- Może opowiesz nam, jaki macie plan, Mike? - zasugerował Dale.

- Jasne. Plan jest prosty i logiczny, czyli taki, jak lubię. Moi ludzie siedzą teraz w furgonetce dwie przecznice od hotelu, z wozem obstawy w rezerwie. Kiedy spec Hansa postarają się, żeby bin Faisal trafił na ulicę, zamkną go w kordonie, dzięki czemu będziemy wiedzieli, dokąd się wybiera. Znaleźliśmy dogodnie miejsca do akcji przy wszystkich ulicach, którymi może się poruszać. W odpowiednim momencie moi podjadą w jedno z nich, otworzą drzwi, wyskoczą, złapią faceta i wrzucą do furgonetki. Dostanie kaptur na łeb i zastrzyk uspokajający, podczas gdy oba wozy ewakuują się z miejsca zdarzenia. W pustym magazynie, parę kilometrów stąd, zrobimy przesiadkę i damy bin Faisalowi jeszcze trochę prochów. Następnie trafi na lotnisko, do wojskowego transportowca, w charakterze bagażu dyplomatycznego. Obudzi się w dobrze strzeżonym miejscu w północnej Wirginii, gdzie wkrótce potem czeka go dokładne pranie mózgu.

- Brzmi to całkiem sensownie - ocenił Charley.

- Czy twój ludzie robili już coś takiego? - spytał Dale.

- To ci sami, którzy porwali w Belgradzie byłego naczelnika serbskiego więzienia i narkotykowego bossa - w samym centrum Bogoty, przed nosa armii ochroniarzy - odparł Callan. - Nie bójcie się, wiedzą, co robią.

Z- Nie wygląda mi to na typową dla ciebie akcję w sektorze prywatnym - zauważył cierpko Dale.

- Już dawno minęliśmy tę fazę i dobrze o tym wiesz - odciął się Callan.

- Wolę pozostać w tej fazie, w której byłem - mruknął Dale.

- Bin Faisal dokądś się wybiera - zameldował operator sprzętu. - Szykuje się do wyjścia z pokoju.

- Chodźmy na ulicę - powiedział Dale.

ATENY, GRECJA HOTEL HILTON

W holu pełnym gości załatwiających swe sprawy przy kontuarze recepcji i odwiedzających hotelową restaurację ludzie Hansa szykowali się do akcji. Nie ogolony młodzieniec w wymiętej koszulce polo i spodniach koloru khaki wstał z miękkiego, głębokiego fotela ustawionego dokładnie naprzeciwko biurka portiera. Minął wysokie, szklane drzwi i wyszedł na zewnątrz, by przystanąć na postoju taksówek, tuż przed wejściem do hotelu. Jego trzech partnerzy zostali w holu, rozstawieni tak, by mieć na oku wejście, wyjście oraz windę. Ich niespiesznym ruchom nie przyglądał się nikt prócz dwóch Greków w średnim wieku, siedzących w kącie w fotelach i udających, że czytają gazety. Jeden z nich wyjął z kieszeni pager i wstukał krótką wiadomość.

Costas, wsparty leniwie na kierownicy wozu, spojrział na wyświetlacz pagera.
Cele w ruchu.

- Do pracy - powiedział, spoglądając na Annę, która czule gładziła papierową torbę skrywającą broń.

Tymczasem w Hiltonie Ahmad bin Faisal wyszedł z windy i wkroczył do głównego holu. Był spokojny i dobrze się prezentował w błękitnej, jedwabnej koszuli z krótkim rękawem oraz lnianych spodniach. Zatrzymał się na moment i rozejrzał, jakby spodziewał się kogoś znajomego, po czym wyjął papierosa ze srebrnej papierośnicy i zapalił go złotą zapalniczką. Po chwili zostawił za sobą obłok aromatycznego dymu i wyszedł z holu wprost na postój.

- Wezwać dla pana taksówkę? - spytał portier.

Bin Faisal spojrział na niego przeciągle, nim odpowiedział:

- Nie. Taki piękny dzień, że chyba pójdę pieszo.

Odwrócił się bokiem do portiera i spojrział na kolorowe flagi, a potem na wylot uliczki dojazdowej i dalej, na zapchany samochodami bulwar Vasileosa Konstantinou. Flagi łopotały, targane poranną bryzą. Bin Faisal zaciągnął się mocno dymem tureckiego papierosa i wolno wypuścił go z płuc. Ruszył w stronę skrzyżowania, przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w Vasilissis Sofias, cichą boczną uliczkę. Postanowił przespacerować się w stronę Plaki, zrobić drobne zakupy i zjeść późny lunch w hotelu Bretagna przy placu Syntagma. Zgodnie z poleceniem nawet nie próbował sprawdzać, czy jest śledzony. Z zapalem wcielał się w rolę turysty. Z drugiej jednak strony wciąż czuł, że ktoś go obserwuje; chwilami emocje jeżyły mu włosy na karku.

Tymczasem wokół niego rozpoczęła się dyskretna krzątanina.

Dwaj ulicznicy Hansa opuścili hotel tuż za bin Faisalem i ruszyli jego śladem. Kobieta w beżowym o numer za ciasnym spodniem minęła go w pośpiechu. Mężczyzna sprawiający wrażenie mocno zmęczonego przeszedł na drugą stronę ulicy, by ruszyć w tym samym kierunku i w tym samym tempie co Arab. Pięćdziesiąt metrów za nim dwaj inni członkowie ekipy Hansa wysiedli z wiekowego fiata i podążyli za celem.

Bin Faisal był w kordonie operatorów Hansa.

A operatorzy Hansa byli w kordonie ludzi Costasa.

Za plecami zamykających pochód Holendrów ustawili się dwaj strzelcy - dobrze zbudowani Grecy w średnim wieku. Wyglądali na rzeźników czy sklepikarzy. Obaj byli uzbrojeni w pistolety maszynowe Skorpion, idealne do ataku z małej odległości. Gdy samochody Hansa zaczęły zajmować pozycje na trasie marszu bin Faisala, w ekipie Costasa również wszczął się ruch. Zgodnie z planem terroryści zamierzali wykorzystać skupienie przeciwnika na celu - śledzący rzadko kiedy zauważa, że jest śledzony. Wiedzieli już, które samochody należą do zespołu Hansa, ale poczekać, aż ustawią się na kursie równoległym do marszrut bin Faisala. Teraz mieli już pewność, która równała się wyrokowi śmierci na kierowców i pasażerów.

Costas wychylił głowę przez otwarte okno, rozejrzał się i po chwili włączyli się do ruchu. Cel - stare audi w błotnistobrazowym kolorze - znajdował się o sześć samochodów przed nimi.

- Wyślij sygnał - polecił Annie.

Odczepiła pager od jego pasa, wprowadziła wiadomość o treści „666” i posłała ją w eter do wszystkich członków grupy.

Był to rozkaz ataku.

Każdy, kto go odebrał, mógł już bez dalszych instrukcji zlikwidować zidentyfikowany cel przy najbliższej okazji. Po wykonaniu zadania piesi strzelcy mieli biec w umówione miejsce, gdzie czekały już samochody - gwarancja ucieczki przed pojawieniem się policji. Najbliższym posterunkiem był ten w Hiltonie, w którym służyli „turystyczni” - było ich niewielu, a w dodatku przede wszystkim mieli obowiązek strzec bezpieczeństwa gości hotelowych.

Nastał czas zabijania.

W dostawczym wozie, który parkował dwie przecznice od hotelu, agenci Dominance Rain po raz ostatni sprawdzali sprzęt. Jeden z nich szykował już specjalną strzykawkę, która miała posłużyć do błyskawicznego wprowadzenia mocnego środka uspokajającego do krwiobiegu bin Faisala natychmiast po zetknięciu ze skórą. Inny wsuwał za pas plastikowe kajdanki, już przygotowane do zaciśnięcia na rękach i nogach ofiary. Kiedy skończył, rzucił partnerowi czarny kaptur.

W słuchawkach rozległ się głos Hansa:

- Cel w ruchu. Zero do wszystkich: Brawo-Dwa ma na niego oko.

- Zero, tu Brawo-Dwa. Potwierdzam: mam oko - padła odpowiedź jednego z uliczników.

Operator Dominance Rain, potężny typ o kanciastej twarzy boksera i policzku wypchanym prymką tytoniu do zucia, splunął głośno do uciętej puszki po coli.

- Mamy być gotowi?

Dowódca drużyny, siedzący tuż za kierowcą, spojrzął na niego z ukosa.

- Wszyscy mają być gotowi.

Kierowca kiwnął głową i wyprowadził furgonetkę na jezdnię. Po chwili skręcił w zjazd ku Vasilissis Sofias. Zerknął w lusterko, by się upewnić, czy suburban z ciemnymi szybami trzyma się tuż za nim. Wykorzystując przerwę w strumieniu samochodów, przejechał na drugą stronę ruchliwej ulicy - prosto w zaułek, którym z papierosem w ręku spacerował Ahmad bin Faisal.

- Tu Charley-Jeden - odezwał się kierowca. Mikrofon umocowany do osłony przeciwsłonecznej wychwycił jego słowa. - Jesteśmy na Trasie Niebieskiej, gotowi.

- Charley-Jeden, tu Zero. - Głos Hansa był spokojny. -Przyjąłem: na Niebieskiej, gotowi.

Sekundę później zgłosił się kierowca suburbański:

- Zero, tu Charley-Dwa. Na Niebieskiej, gotowi.

- Przyjąłem, Charley-Dwa - odpowiedział Hans.

Charley-Jeden i Dwa mieli przed sobą metalicznie błękitne volvo stojące przy krawężniku na jałowym biegu. Siedzieli w nim kierowca i obserwator, czyli zespół o kryptonimie Brawo-Dwa. Samochód ruszył nagle i zaczął jechać za bin Faisalem, który nie spiesząc się zbyt, zaglądał przez kraty do sklepów, nieczynnych o tak wczesnej porze. Czterej ulicznicy - dwaj z przodu i dwaj z tyłu - zaczęli z wolna zbliżać się do Araba; ci pierwsi zwolnili, drudzy zaś przyspieszyli kroku. Kierowca volvo zauważył w lusterku nadjeżdżającą furgonetkę. Kiwnął głową i rzucił do mikrofonu:

- Widzę cię, Charley-Jeden.

Kierowca furgonetki spojrział na dowódcę drużyny, a ten skinął głową.

- Charley-Jeden ma oko, Charley-Jeden rozgrywa piłkę -powiedział, mocniej zaciskając dłonie na kierownicy. - Wszystkie zespoły: gotowość, gotowość, gotowość.

Operatorzy zajęli miejsca w furgonetce: przykucnęli w dwóch rzędach tuż za rozsuwanymi drzwiami. Mieli wolne ręce; tylko jeden zacisnął palce na uchwycie drzwi, a jego partner przyczaił się naprzeciwko z pistoletem maszynowym MP5SD marki H&K, wyposażonym w tłumik, gotów w razie potrzeby otworzyć ogień.

Kierowca również wyciągnął broń i położył ją sobie na kolanach; był to H&K MP5K z czterocalową lufą. Niczym rekin podpływający do swej zdobyczy, wóz potoczył się w stronę chodnika na jałowym biegu, ledwie pół przecznicy za plecami Ahmada bin Faisala.

- No, dalej, dalej - mruknął jeden z członków Dominance Rain, zapierając się jedną ręką o dach.

- Przygotować się - powiedział kierowca.

Dale Charley stali na rogu po przeciwnej stronie ulicy, którą nadchodził bin Faisal. Z wyczekiwaniem przyglądali się furgonetce, która zaczęła zwalniać bezgłośnie za plecami niczego nie podejrzewającego terrorysty.

- Widziałeś kiedy taką akcję? - spytał Charley.

- Nie z tej perspektywy - odparł Dale. - Parę razy brałem udział w takich działaniach.

- Ja nie.

- Będzie po wszystkim, zanim ktokolwiek się połapie, co jest grane. Czterej faceci złapią go za ręce i nogi, wrzucą do furgonetki, zatrzasną drzwi i odjadą. Spędzą na ulicy najwyżej kilka sekund. A potem worek na łeb, zastrzyk uspokajający i jazda do punktu zbornego. Wóz wsparcia zablokuje ewentualny pościg. Czysta robota.

Charley rozejrzył się uważnie.

Paru pieszych, mało samochodów... Powinno być dobrze.

Dale przycisnął łokciem pistolet ukryty pod wiatrówką.

- Zróbmy to wreszcie - powiedział i przygryzł wargę. - Jesteśmy gotowi.

Dwaj zabójcy z organizacji Siedemnasty Listopada, którzy podążali krok w krok za ulicznikami Hansa, rozdzielili się. Jeden z nich przebiegł przez ulicę, zwinnie lawirując między samochodami. Drugi kontynuował marsz, nie zmieniając tempa. Po chwili wymienili szybkie spojrzenia i nagle przyspieszyli kroku, zbliżając się do wybranych celów. Wyjęli spod luźnych kurtek skorpiony z matowo-srebrzystymi tłumikami.

Strzelili dokładnie w chwili, gdy operatorzy Hansa obejrzel się przez ramię.

Jedynym odgłosem był klekot zamków i brzęk łusek spadających na chodnik. Siedemset pięćdziesiąt strzałów na minutę, z krótkiego dystansu, wprost w ciała operatorów. Obaj natychmiast upadli, podziurawieni jak sita, brocząc krwią z niezliczonych ran. Terrorysta, który szedł za nimi, dla pewności posłał jeszcze po serii w głowy leżących, a potem przebiegł na drugą stronę ulicy do swego partnera. Razem puścili się sprintem w tym samym kierunku, w którym podążał Ahmed bin Faisal.

W pewnej odległości za nimi samochód Costasa i Anny zrównał się z jadącym wolno czterodrzwiowym fiatem. W chwili, gdy kierowca spojrzął w lewo, Anna wychyliła się przez okno z miniuzi w rękę i oddała długą serię w jego głowę i barki. Fiat skręcił gwałtownie w prawo i uderzył w stojące przy krawężniku audi. Costas ostro zahamował, a Anna wyskoczyła z wozu, w biegu zmieniając magazynek. Obserwator siedzący na fotelu pasażera wyrzucił przed siebie ramiona, jakby chciał gołymi rękami powstrzymać kule wpadające przez przednią szybę. Anna wystrzeliła z najkrótszego dystansu, niemal dotykając szyby. Kule zmieniły czaszkę operatora w krwawą miazgę. Kobieta odwróciła się i spokojnie przeładowała broń, a potem podbiegła do samochodu i usiadła obok Costasa, który na wszelki wypadek zaciskał dłoń na kolbie czterdziestki piątki.

- Gotowi - zameldowała.

Costas spojrzął na ulicę. Kierowcy zwalniali, by przyjrzeć się temu, co się stało. W lusterku wstecznym dostrzegł dwóch swoich ludzi oddalających się od miejsca zamachu.

- Widzę Stavrousa i Dimitriego - powiedział.

Dwaj mężczyźni dobiegli do wozu i z pistoletami w dłoniach wskoczyli do środka.

- Jedź! Jedź! - wrzasnął pierwszy z nich.

- Uspokój się - odparł zimno Costas, skręcając ostro i ruszając w dobrym tempie.

- Miniemy Araba i zobaczymy, czy został nam ktoś jeszcze.

Szerokim łukiem wyprzedził suburbana o ciemnych szybach i wolno jadący wóz dostawczy.

Operator Dominance Rain kierujący furgonetką widział wszystko, co się wydarzyło.

- Kto to, kurwa, był?! Rozwalili kogoś za nami!

Odchylił głowę i rzucił w stronę mikrofonu:

- Charley-Dwa, tu Charley-Jeden, nieznani sprawcy otworzyli ogień do celów na ulicy. Zero, jak mnie słyszysz?

Stojąc o przecznicę dalej, na wzniesieniu, Charley i Dale dobrze widzieli strzelaninę. Dale pochylił się lekko, przeniósł ciężar ciała na palce i sięgnął pod kurtkę.

- Zbliżają się - powiedział. - Niech wóz obstawy ich przyblokuje, weźmiemy się do nich na ulicy.

Charley wyciągnął rękę i złapał go za ramię.

- Nie idź tam!

Dale strząsnął z ramienia dłoń partnera, wyjął broń i zasłaniając ją połą kurtki, wybiegł na ulicę, klucząc między samochodami niczym napastnik omijający obrońców.

- Szlag! - warknął Charley.

Wyciągnął pistolet i ruszył za Dale'em.

- Gdzie cel? - spytał dowódca drużyny Dominance Rain. Panował nad sobą, chociaż w jego głosie słyhać było napięcie.

- Zatrzymał się na chodniku - odparł kierowca.

- Bierzemy go teraz - zdecydował dowódca.

Kierowca skinął głową i rzucił do mikrofonu:

- Przygotować się!

Chwilę później zahamował gwałtownie i furgonetka zatrzymała się. Siedzący przy bocznych drzwiach szarpnął za uchwyt i jego czterej towarzysze wyskoczyli prosto na maskę samochodu stojącego przy krawężniku. Sparalizowany strachem Ahmad bin Faisal ledwie zdążył odwrócić głowę, gdy czyjeś przedramię uderzyło w splot nerwowy z boku jego szyi, a mocne dłonie pochwyciły go za ręce i nogi.

- Złapali go! - zawołała Anna, zapierając się rękami o deskę rozdzielczą wozu.

Costas skręcił ostro w prawo i zajechał drogę furgonetce, pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

- Na nich! - rozkazał.

Tylne drzwi otworzyły się z trzaskiem i dwaj strzelcy wyskoczyli na ulicę. Anna podążyła za nimi. Costas wcisnął hamulec i wyjął pistolet, drugą rękę trzymając na kierownicy.

Kierowca furgonetki zdążył jedynie unieść broń, nim Anna wpakowała mu długą serię prosto w twarz. Wóz został unieruchomiony - przynajmniej na jakiś czas. Obeszła go z przodu, podczas gdy jej partnerzy ruszyli w przeciwnym kierunku. Zobaczyła na chodniku czterech mężczyzn siłujących się z bin Faisalem. Podbiegła bliżej z bronią gotową do strzału, maksymalnie skracając dystans, aby nie ranić swych towarzyszy nadchodzących z przeciwka. Jeden z operatorów dostrzegł ją w ostatniej chwili, puścił nogę Araba i chwycił dłonie Anny zaciśnięte na kolbie, kierując lufę pistoletu ku górze. Krótka seria pomknęła w niebo, nim kobieta szarpnęła miniuzi z całej siły, jednocześnie wbijając kolano w krocze przeciwnika. Wyrwała jedną rękę z żelaznego uścisku i próbowała wbić palce w oczy operatora, raz po raz ponawiając kopnięcia kolanem. Przeciwnik był jednak silny i pomału wydierał jej broń z ręki. Anna nie poddawała się jednak: zaatakowała ze zdwojoną energią, a kiedy uścisk na

jej dłoni zelżał nieznacznie, zdołała opuścić broń na wysokość piersi mężczyzny i nacisnąć spust. Pięć kul trafiło w cel i śmiertelnie ranny Amerykanin cofnął się o krok, zachwiał i przykleknął na jedno kolano. Anna przyłożyła lufę do jego skroni i znowu strzeliła krótką serią.

Operator ubezpieczający kolegów z Dominance Rain wyskoczył z furgonetki z MP5SD w dłoni. Przycisnął lufę do pleców terrorysty ubranego w luźną kurtkę i nacisnął spust. Trafiony mężczyzna zatoczył się na swego partnera, a ten skoczył naprzód, chwycił lewą ręką za lufę MP5SD i odepchnął ją w bok, jednocześnie unosząc w górę Skorpiona. Krótką serią otworzył czaszkę operatora, który ze skrzyżowanymi nogami runął do rynsztoka.

Trzej pozostali Amerykanie wciąż zmagali się z bin Faisalem, któremu strach dodał sił. Jeden z terrorystów, Dimitri, opróżnił magazynek, posyłając ostatnie kule w plecy operatora stojącego najbliżej. Anna stanęła przed nim z przeładowanym już uzi w wyciągniętych rękach, mierząc w dwóch pozostałych przy życiu agentów Dominance Rain. Zanim jednak nacisnęła spust, jej twarz zakwitła czerwienią niczym przerażający kwiat. Kobieta zachwiała się i runęła na plecy, brocząc krwią. Wystrzał z M-4, który ją powalił, oddany z tylnego siedzenia suburbaństwa, omal nie ogłuszył operatora siedzącego z przodu, na fotelu pasażera.

Dale pędził ile sił w nogach, tupiąc wojskowymi butami o płyty chodnika. Widział, co się dzieje, i słyszał strzały. Widział też gadających ludzi. Glock, którego ścisnął w dłoni, zdążył już ogrzać się od ciała. Dale czuł, że musi jeszcze skrócić dystans, by być pewnym strzału. Nie miał innego wyjścia wobec chaosu walki wręcz, która rozgrywała się na jego oczach. Zmusił się do regularnego oddychania: głęboki wdech - potrzymanie powietrza - wydech. Zaraz też poczuł, że ustępuje pulsowanie w czaszce, które uniemożliwiłoby skuteczne działanie. Zobaczył terrorystkę padającą na ziemię i usłyszał świst blisko przelatującej kuli, ale nie wiedział nawet, czy strzelał przyjaciel czy wróg. Jedyne napastnik, który pozostał przy życiu, próbował w panice przeładować broń, gdy nagle jakaś siła szarpnęła nim jak marionetką - strzelec z suburbaństwa wypalił ponownie, tym razem pakując w cel trzy kule z M-4. Dale skoncentrował się na tej scenie. Do samego końca trzymał na muszce padającego bandytę... i dlatego nie zauważył ruchu na przednim siedzeniu samochodu, który blokował drogę furgonetce. Biegący za nim Charley dostrzegł cień mężczyzny, który zniknął nagle za deską rozdzielczą wozu.

Widząc upadek Anny, Costas poczuł, że ogarnia go bojowy szal. Pochylił się nisko za kierownicą, otworzył drzwi i wysliznął się na ulicę, poruszając się z szybkością zadziwiającą jak na swój wiek. Mocno zacisnął palce na starej czterdziestce piątce. Zobaczył biegnącego chodnikiem mężczyznę, który zatrzymał się nagle i wymierzył w cel ukryty za furgonetką. Costas nie zamierzał przegapić okazji: ominął otwarte drzwi, przywarł do lewego błotnika, oparł ręce na masce i wymierzył.

- Dale! - krzyknął Charley. - Za samochodem!

Słowa przepadły w huku wystrzałów. Nie zatrzymując się, Charley uniósł broń i wypalił w stronę niemłodego mężczyzny wspartego na masce wozu. Terrorysta zareagował błyskawicznie - odwrócił się i wystrzelił dwukrotnie w jego kierunku.

Dale dostrzegł kątem oka ruch za maską samochodu i błysk wystrzałów. Odwrócił głowę i zobaczył starszego mężczyznę, który mierzył do kogoś, kto musiał znajdować się za jego, Dale'a, plecami. Obejrzał się przez ramię i ujrzał Charleya, który pochylił się nagle, jakby dosięgła go kula.

- Hej! - krzyknął Dale, aby ściągnąć na siebie uwagę terrorysty. - Tu jestem!

Strzelił dwukrotnie, ale kule odbiły się rykoszetem od maski samochodu, pozostawiając szare smugi, które pojawiły się nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Stary z pistoletem obrócił się płynnie, niczym wieża czołgu, i Dale zobaczył jakby w zwolnionym tempie wylot lufy kolta kalibru .45, który uniósł się nagle nad maską wozu i błysnął oślepiająco. Poczul potężne uderzenie w pierś i cofnął się o krok, wciąż usiłując namierzyć cel. W tym momencie usłyszał trzask we własnej czaszce i na ułamek sekundy oślepiło go jaskrawe światło. Resztką świadomości zarejestrował jeszcze spotkanie z betonem, który nagle stał się miękki niczym koc rozścielony na łóżku.

Charley zobaczył, że głowa jego partnera odskoczyła nagle w prawo i chlusnęła krwią. Zanim jeszcze Dale upadł na chodnik, Charley miał już terrorystę na celowniku. Ruszył w jego stronę, strzelając przy każdym kroku. Kule rozerwały twarz Costasa, ale Amerykanin wolał nie ryzykować - podbiegł bliżej i kopnął jak najdalej pistolet, który wysunął się z bezwładnej dłoni. Rozejrzał się szybko. Obstawa z suburbańska była już na chodniku - jedni ładowali do wozu zabitych i rannych, inni osłaniali ich z bronią w rękę. Jeden z operatorów zastąpił zabitego kolegę za kierownicą furgonetki.

Charley podbiegł do Dale'a i przyklęknął obok niego.

- Pomocy! Hej, pomóżcie mi tu!

Dale oddychał, ale rany w górnej części klatki piersiowej i w czaszce mocno krwawiły. Charley przycisnął do nich otwarte dłonie. Dwaj operatorzy odepchnęli go bez ceregieli, chwycili Dale'a za ręce i nogi i ponieśli w stronę wozu.

- Wsiadaj! - krzyknął do Charleya jeden z nich. - Zabieramy się stąd!

Charley pobiegł w stronę zamykających się bocznych drzwi furgonetki. Czyjaś ręka chwyciła go za kurtkę i wciągnęła do środka, ktoś inny zatrzasnął drzwi. Podłoga w wozie była mokra od krwi. Charley przysiadł na jeszcze ciepłym ciele jednego z zabitych agentów - innego miejsca nie było. Wciśnięty w kącie Ahmed bin Faisal, z rękami spletanymi na plecach i w czarnym kapturze na głowie, skomlał ze strachu.

- Skurwysyn... skurwysyn... - mamrotał operator z jednostki Dominance Rain, starając się opatrzyć rany Dale'a.

- Odjazd! - krzyknął kierowca.

Wszyscy, którzy mogli chwycili się czegoś, nim wóz szarpnął gwałtownie i odjechał. Chevrolet suburban z obstawą pomknął za nim. Na chodniku zostały jedynie ciała zabitych oraz podziurawiony kulami samochód terrorystów z organizacji Siedemnastego Li stopada.

ATENY, GRECJA META ZESPOŁU OBSERWACYJNEGO HANSA

Holender ścisnął krawędź stołu tak mocno, jakby się bał, że mebel odfrunie. Ze wszystkich głośników ustawionych dokoła dobiegały spanikowane głosy i terkot wystrzałów.

- Zero, tu Brawo-Cztery, jesteśmy pod ostrzałem... - meldował ktoś pospiesznie

- Zero, tu Alfa-Dwa, mamy rannego, potrzebna pomoc medyczna i transport... - prosił inny operator.

Hans spoglądał na głośniki, nic nie rozumiejąc.

- Co tam się, kurwa, dzieje? Co jest grane?

Mike Callan bez ceregieli odsunął go na bok i wyjął mikrofon z jego bezwładnej dłoni.

- Charley-Jeden, Charley-Dwa, tu Charley-Właściwy. Przerwać misję.

Powtarzam: przerwać misję. Zabierajcie się stamtąd w cholerę, chłopaki...

Odpowiedział mu głos pełen napięcia.

- Właściwy, tu Charley-Dwa. Mamy paczkę i wszystkich naszych ludzi. Potrzebna pomoc medyczna i natychmiastowa ewakuacja. Mamy ciężko rannego.

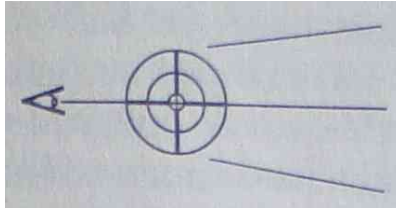
Callan huknął pięścią w stół, aż zatrzęsły się monitory i głośniki.

- Charley-Dwa, tu Właściwy. Spotkanie w punkcie zbornym. Pomoc medyczna na miejscu. Wasz lekarz poradzi sobie z szokiem pourazowym? - spytał, zwracając się do Hansa.

Holender wpatrywał się bez słowa w monitory. Kamery zainstalowane w samochodach wciąż przekazywały obraz rzezi, która rozegrała się na ulicy.

- Moi ludzie - wyszeptał. - Moi ludzie.

CZEŚĆ TRZECIA



KWATERA GŁÓWNA JEDNOSTKI DOMINANCE RAIN, FAIRFAX, WIRGINIA

Siedząc samotnie w swoim gabinecie, Ray Dalton pochylał się nisko nad biurkiem i mocno przyciskał do ucha słuchawką. W skupieniu słuchał poważnego, zmienionego przez kodację, głosu Mike'a Callana.

- Straciłem czterech twoich ludzi, Ray. Dale Miller jest w stanie krytycznym... Ma kulę z czterdziestki piątki w głowie. Lekarz robi, co może, ale niewiele da się zrobić, póki Dale nie trafi do szpitala... Staramy się, Ray. Hans ma ośmiu zabitych i trzech rannych. Wszyscy zostali zwinieci. Policja i grecki wywiad działają już pełną parą. Strzelcy Hansa byli uzbrojeni, pozostali mieli sprzęt radiowy i tak dalej... Poważna wsypa, Ray.

- Co z bin Faisalem?

- Mamy go w zapasowej kryjówce. Nie możemy wysłać do kraju ani jego, ani naszych ludzi. Ogłoszono alarm antyterrorystyczny. Grecy są wściekli jak cholera. Ray potarł zmęczone oczy.

- Grecki premier dzwonił już do naszego prezydenta. Amerykański ambasador spędził cały dzień na dywaniku. Operatorzy Hansa byli czyści, ale jeśli chodzi o rannych... Trzeba będzie dopilnować sprawy. - Dalton z wysiłkiem uniósł głowę i wyprostował się, by zapaść w dyrektorski fotel. Skoro nie możemy sprowadzić bin Faisala... niech góra przyjdzie do Mahometa. Przyślę wam speców od przesłuchań.

- Charley Payne już zaczął zmiękczać Araba.

- Każ mu zostawić go w spokoju. Najdalej za sześć godzin ekipa wyleci z Frankfurtu, jutro będzie na miejscu dodatkowy zespół ze Stanów. Może do tego czasu wymyślimy, jak ich wszystkich ściągnąć do kraju.

- Z Payne'em nie da się gadać. Zdążył się zaprzyjaźnić z Dale'em. Poza tym tylko on zna sprawę bin Faisala od początku.

- Zrób wszystko, żeby trzymał się z daleka. Arab ma być w formie dla moich śledczych.

- Spróbuję. Mamy tu dość napiętą atmosferę... Przez jakiś czas nasi ludzie muszą mieć spokój.

- Nie ma czasu - odparł Ray. - Muszą być gotowi do wspólnego działania, kiedy będziemy ich wyciągać.

- Ludzie Hansa zostaną sami, póki czegoś nie wymyślisz. Zabiorę ze sobą to, co zostało z jego ekipy. Mamy tu wojskowy transportowiec, który moglibyśmy wyposażyc w sprzęt medyczny dla Dale'a. Tylko co z Payne'em? Chcesz, żebym go odesłał do domu razem z twoimi ludźmi?

- Nadal jest twoim pracownikiem.

- W takim razie zajmę się nim. Jezu, Ray... strasznie mi przykro, że tak to wyszło.

Ray zacisnął usta i skinął głową.

- Nie wiedzieliśmy, że jesteśmy na celowniku Siedemnastego Listopada. Nie wiedzieliśmy też, że bin Faisal ma z nimi kontakt. Ale teraz już wiemy. I jesteśmy winni tym bandytom rewanż. Zapiszemy to po stronie zobowiązań. Moi chłopcy już niedługo złożą im wizytę.

- Piszę się na udział w tej wycieczce - zapowiedział Callan.

- Najpierw doprowadź sprawę do końca, Mike.

- Słusznie. To wszystko.

Ray odłożył słuchawkę, oparł łokcie na blacie i splótł palce. Leżał przed nim mocno wytarty kalendarz w skórzanej oprawie, otwarty na stronie z aktualną datą. Wśród notatek wyróżniało się nazwisko Dale'a Millera w czerwonym kółku. Ray Dalton zakrył je palcem. Po chwili przewrócił kartkę i zaczął pisać.

ATENY, GRECJA ZAPASOWA KRYJÓWKA OPERATORÓW DOMINANCE RAIN

Charley siedział na krześle w jedynym kącie pokoju, który nie był zajęty sprzętem medycznym. Przyglądał się lekarzowi i pielęgniarzowi, którzy pochylali się nad bladym i nieruchomym ciałem Dale'a Millera. W ramię nieprzytomnego były wbite liczne igły kroplówek, jego nagą pierś znaczyły ślady krwi i środków dezynfekujących wokół grubej warstwy bandażu. Równie starannie opatrzone ranę postrzałową głowy.

- Co jeszcze możecie zrobić? - spytał Charley.

- To już wszystko - odparł lekarz, dobrze zbudowany mężczyzna o świeżo ogolonej twarzy nastolatka. - Możemy go jedynie ustabilizować. Kula nie tkwi głęboko, ale nie chcę jej ruszać bez pomocy neurochirurga. Pacjent jest w śpiączce i powinien natychmiast trafić do szpitala.

Charley zmienił pozycję na krześle, a potem skinął głową i powiedział:

- W samolocie, którym będziemy się ewakuowali, przygotowano już salę operacyjną z dobrym, wojskowym sprzętem. Neurochirurg też się znajdzie.

- Potrzebujemy zdjąć rany... - zaczął lekarz.

- Możemy dostać tylko tyle, ile możemy - przerwał mu Payne.

- Tak. To prawda.

- Może pójdziecie coś zjeść, napić się? - zasugerował Charley. - Ja go popilnuję. Potrzebujemy was w pełni sił.

Lekarz otarł chusteczką lśniące od potu gładkie czoło.

- Dobry pomysł - przyznał.

Gdy wyszedł z pokoju, pielęgniarz ujął nadgarstek Dale'a i i zegarkiem w rękę sprawdził puls.

- Ma mocne serce - powiedział.

- Żebyś wiedział - przytaknął Charley. - Chcesz sobie odpocząć? Ja z nim posiedzę.

- Muszę się odlać.

- No to idź.

- Dzięki.

Pielęgniarz wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Charley przestawił krzesło bliżej łóżka.

- O, bracie - westchnął ciężko. - Ale cię urządzili. Te czterdziestki piątki potrafią człowieka rozpieprzyć, co?

Przez chwilę przyglądał się miarowo unoszącej się piersi rannego i delikatnemu pulsowaniu tętnicy szyjnej.

- Ale ty się z tego wyłizesz. Wytrzymaj tylko jeszcze trochę, pomoc jest już w drodze. Będziesz miał po tym cholerny ból głowy, ale przeżyłeś już pewnie gorsze stany. A ja zajmę się sprawą, spokojna głowa. Zajmę się wszystkim z naszym dobrym znajomym, panem Ahmadem bin Faisalem. Nie będzie Smutnych Wakacji na twojej wachcie, bracie. Tyle mogę ci obiecać.

Charley podniósł głowę, gdy w drzwiach stanął pielęgniarz.

- Wszystko w porządku?

- Jak nigdy - odparł Charley. - Będziesz tu siedział?

- Tak.

- To dobrze. Ja muszę się czymś zająć.

Charley wstał i wyszedł z pokoju. Zatrzymał się na moment przy drzwiach sąsiedniego pomieszczenia, zamienionego w tymczasową kostnicę. Nieruchome postacie spowite w plastikowe worki ułożono schludnie jedną obok drugiej. Charley zastanawiał się przez chwilę, czyja przenikliwość zadecydowała o zgromadzeniu w tajnej kryjówce zapasu worków na zwłoki. Ktokolwiek o tym pomyślał, dobrze zrobił.

W salonie zastał ludzi z Dominance Rain - niektórzy siedzieli na składanych krzesłach, inni leżeli na podłodze. Nikt się nie odzywał. Większość gapiała się tępo w przestrzeń, niektórzy beznamiętnie bawili się bronią. Jeden skinął głową Charleyowi, po czym znowu zgarbił się i zapatrzył w podłogę. Payne postąpił przez chwilę w milczeniu, a potem ruszył dalej, lawirując ostrożnie, by nikogo nie trącić i nie nadepnąć. Wreszcie dotarł do ostatniego pokoju. Przed zamkniętymi drzwiami na skrzypiącym drewnianym krześle siedział jeden z operatorów.

- Jest przytomny? - spytał Charley.

- Był - odparł strażnik.

- Teraz moja kolej zamącić mu we łbie.

- Postaraj się.

Operator odsunął się z krzesłem, by Charley mógł wejść do środka. Ostrożnie i po cichu Payne otworzył drzwi i wszedł do ciemnego, ciasnego pomieszczenia bez okien. Nie było tu żadnych sprzętów poza dwoma krzesłami stojącymi naprzeciwko siebie pośrodku sfatygowanej, drewnianej podłogi. Na jednym z nich siedział Ahmad bin

Faisal, w czarnym kapturze na głowie, z rękami spętanymi na plecach i z solidnymi więzami z taśmy izolacyjnej na kostkach i torsie. Charley powstał przez moment nieruchomo, obserwując siedzącego. Widział, jak zakapturzona głowa pochyla się nieznacznie na dźwięk uchylania i domykania drzwi. Po chwili zbliżył się do wolnego krzesła i usiadł.

Przyglądał się uważnie jeńcowi, szukając w jego zachowaniu znaków, które zdradzałyby ukryte myśli. Arab milczał. O czasu do czasu masywne mięśnie na jego udach i barkach przebiegał dreszcz. Był śmiertelnie przerażony, czego można się było spodziewać. Bin Faisal był kawałkiem delikatnego mięsa w szponach drapieźników, których nawet nie mógł zobaczyć; drapieźników, które przechadzały się spokojnie dokoła niego, czekając. Charley podejrzewał, że zostały mu trzy, może cztery godziny do przybycia ekipy śledczej, która odbierze mu zdobycz, nie pozwalając zakończyć ciągu wydarzeń tego dramatycznego dnia.

Ale on nie zamierzał na to pozwolić.

Musiał coś wymyślić, w jakiś sposób zrobić postępy w śledztwie.

Ahmad bin Faisal nie zajmował się na co dzień działalnością operacyjną - tyle ustalili już w początkowej fazie tej sprawy. Nigdy nie szkolił się w obozach; takie poświęcenie było rzadkością w wyższych sferach terrorystycznego świata. Tacy jak on woleli zasłaniać się pieniędzmi i wiedzą w kwestiach finansowych, by nie mieszano ich w sprawy brudne i niebezpieczne. Dlatego też bin Faisal raczej nie mógł mieć doświadczenia w opieraniu się przesłuchaniom. Skąd miałby je mieć? Ludziom jego pokroju nie śniło się nawet, że mogą zostać złapani i być przesłuchani. Charley wiedział, że zadając ból, prędzej czy później zdobędzie informacje, ale jeszcze lepszym narzędziem w tej sytuacji wydawała mu się sama groźba użycia siły. Doświadczony terrorysta przygotowałby na taką okazję kilka warstw informacji, na przemian prawdziwych i fałszywych, by w trakcie śledztwa powoli przekazywać je przeciwnikowi. Ale ktoś taki jak bin Faisal z pewnością zamierzał ukrywać wszystko - nie znając lepszej metody - a gdyby pękł, zdradziłby wszystko od razu. Oczywiście pod warunkiem, że przesłuchujący poprowadziłby go we właściwy sposób.

Charley musiał więc wykorzystać strach jeńca i pobudzić jego wyobraźnię, by ukazała mu to, co mogło go czekać.

- Nie wiesz za wiele o tej stronie swojego fachu, co? - zagaił konwersacyjnym tonem. - Nie jesteś z tych, co to lubią brudzić sobie ręce. Za takie usługi płacisz innym. Widzisz, ja dobrze znam takich jak ty. Są w każdej organizacji. Jesteś facetem od podpisywania czeków i wydawania rozkazów, a czas spędzasz miło w zadbanym biurze albo drogim pokoju hotelowym. Krwią płacą ci, którzy znaleźli się na drugim, ostrym końcu tego kija. Ale dziś i ty pobrudziłeś sobie ręce. Muszę przyznać, że wrobiliście nas doskonale.

Charley przysunął się z krzesłem nieco bliżej, tak że kolanami niemal zetknął się z bin Faisalem. Piers jeńca unosiła się i opadała w szybkim rytmie, jak po forsownym biegu.

- Jak się nazywasz? - spytał Charley.

Arab odpowiedział piskliwym i drżącym głosem:

- Czego ode mnie chcecie? Kim jesteście? Chodzi o pieniądze?

Tym razem w tonie Charleya zabrzmiała groźna nuta. Najwyraźniej zamierzał podjąć walkę.

- Nie traktuj mnie jak głupca. Dobrze wiesz, czego chcemy i kim jesteśmy. I że nie chodzi o pieniądze. Chciałbyś, żeby tak było... Chciałbyś uchodzić za grzecznego arabskiego biznesmena z Syrii. Ciekawy pomysł, tylko trochę głupi. Nie sądzisz?

Uderzył bin Faisala w ucho otwartą dłonią. Z czarnego kaptura uniosła się chmura kurzu.

- Teraz lepiej słyszysz? - spytał, nie podnosząc głosu. - Chciałbym, żebyś pomyślał, zanim coś powiesz. Nie jestem głupcem. I nie zamierzam tolerować twojej głupoty. Jesteś inteligentnym człowiekiem. Rozumiesz, co się stało. Nie wywiniesz się. Twoi towarzysze nie wyważą tych drzwi i nie uwolnią cię. Być może zrobią coś efektownego i będą domagać się, żebyśmy cię wypuścili, ale zanim to nastąpi, minie wiele czasu. Nie powinienes, zaprzętać sobie tym głowy. Rozumiesz?

Ramiona mężczyzny w kapturze opadły nieznacznie, a głowa się pochyliła na bok. Na płótnie pojawiły się ciemne plamy wilgoci - potu albo łez.

- Tak - odpowiedział Arab. - Rozumiem.

- To dobrze. Jak się nazywasz?

Arab poruszył się niespokojnie na krześle. Jego lniane spodnie, ubrudzone i rozdarte podczas walki na ulicy, gdy wciągali go do furgonetki, przypominały teraz pumpy, podwiązane ciasno taśmą, którą przytwierdzono go do krzesła. Czarne płótno unosiło się i opadało na wysokości szeroko otwartych ust, gdy próbował głęboko oddychać.

- Nazywam się...

- Tak?

- Nazywam się Ahmad bin Faisal...

Charley skinął głową i wyciągnął z kieszeni koszuli miniaturowy magnetofon. Sprawdził, czy taśma jest na miejscu, i nacisnął przycisk nagrywania.

- Jakie stanowisko zajmujesz w organizacji terrorystycznej Al-Bashira?

Umysł wysłał do ciała jednoznaczne sygnały, a ono reaguje - nieświadome zmiany pozycji i napięcia mięśniowego stanowią czytelny dla wprawnego oka język ciała. Charley wiedział więc od razu, że nagła sztywność ramion bin Faisala oznacza początek oporu.

- Nie wiem, o czym mówisz... - zaczął bin Faisal.

Charley chwycił jego zakapturzoną głowę w obie ręce. Arab zaczął szarpać się w więzach, próbując się wyrwać z żelaznego uścisku. Charley trzymał go jednak mocno, jak w imadle. Po chwili przesunął kciuki niżej, omijając oczy Araba, do miejsca między nozdrzami a górną wargą, by mocno nacisnąć na splot nerwowy, który tam się znajduje. Bin Faisal cofnął się gwałtownie, rozciągając do maksimum grube pętle taśmy izolacyjnej. Krzycząc z bólu, szarpał głowę na wszystkie strony. Charley puścił go i usiadł z powrotem na krześle, przyglądając się, jak Arab przyjmuje pozycję oznaczającą podporządkowanie. Terrorysta odsunął się najdalej jak mógł, skulił ramiona i pochylił głowę.

- Boli, prawda? - spytał Charley całkiem swobodnym tonem. - I nie będzie śladu. To dość prymitywny sposób, jeśli porównać go z wieloma innymi naszymi metodami.

A ty, Ahmadzie, nie zostałeś przeszkolony do tego, by im się opierać. Nie jesteś operatorem.

Arab zaczął bezgłośnie płakać. Jego ramiona drgały, a płótno pociemniało jeszcze bardziej na wysokości oczu.

- Nie masz się czego wstydzic - ciągnął Charley. - Nie oprzesz się nam w żaden sposób. Mamy różne metody: ból, brak snu, chemikalia... Ale ty możesz tego unikać, współpracując ze mną. Jesteś inteligentny i cenisz sobie własny umysł. Widziałeś kiedyś człowieka, którego poddano torturom? Gość, który raz został złamany, nigdy nie będzie sobą. Pomyśl o tym, Ahmadzie bin Faisal.

Charley odsunął krzesło i wstał. Zaczął iść powoli, starannie odmierzając kroki, aż wreszcie stanął za plecami jeńca, który w obronnym odruchu uniósł i naprężył barki. Charley położył na nich dłonie i poczuł, że napięte mięśnie Araba drżą jak struny gitary.

Cel był już bliski.

- Możemy cię ochronić - powiedział Charley. - Twoi koledzy z Al-Bashiry nie chcą, żebyś mówił. Wiemy o tym. Ale oni są daleko i tak już zostanie. Jesteś tylko ty, Ahmadzie. Ty i my. Możemy cię uszczęśliwić... o ile nam pomożesz. Podaj mi informację. Coś, co zadowoli ludzi, dla których pracuję. Co będzie dowodem dobrej woli i chęci współpracy z twojej strony.

- Czego chcesz? - spytał bin Faisal drżącym głosem.

- Powiedz mi, kto jest twoim łącznikiem z organizacją Siedemnasty Listopada. Powiedz mi, z kim się kontaktowałeś żeby zorganizować ten atak.

Usta Araba poruszyły się bezgłośnie pod czarnym płótnem kaptura. A potem padła odpowiedź:

- Jedyнным łącznikiem jest niejaki Christou. Wiedziałem, że w razie konieczności mogę tam pójść, zjeść obiad i poprosić o rozmowę z nim. Jemu mogłem powiedzieć, czego potrzebuję.

- Pójść dokąd, Ahmadzie?

- Do jego restauracji, która nazywa się „U Christou”.

- Znam ją. Doskonale, Ahmadzie. Byłeś tam wczoraj wieczorem?

- Tak.

- I co mu powiedziałaś?

Całe ciało Araba drgnęło konwulsyjnie. Charley położył dłoń na jego piersi i poczuł szaleńcze bicie serca.

- Spokojnie, Ahmadzie - powiedział. - Odetchnij głęboko. O, tak... Teraz zatrzymaj powietrze. I wypuść powoli... Świetnie. Jeszcze raz. Dobrze. A teraz mów, co powiedziałaś Christou.

- Że chyba ktoś mnie śledzi. I że chętnie zapłacę za ochronę.

- Kazałeś mu zabić tych, którzy cię śledzili?

- Nie! Nie zrobiłem tego - zapewnił bin Faisal. - Nie miałem z tym nic wspólnego. Nie miałem pojęcia, że wydarzy się coś takiego.

Charley zerknął na taśmę w magnetofonie.

- Wierzę ci, Ahmadzie - powiedział. - Opowiedz mi coś jeszcze. Na przykład o Smutnych Wakacjach.

Gwałtowny skurcz i nagłe pochylenie barków Araba były dość wyrazistą odpowiedzią.

Charley uniósł rękę niczym pianista, który zakończył występ. Obszedł jeńca i usiadł na krześle twarzą do niego.

- Ostrożnie, Ahmadzie - ostrzegł, obserwując pierś Araba, która uniosła się, gdy chciał coś powiedzieć. - Bardzo ostrożnie. Pamiętaj o tym, co ci mówiłem.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko o Smutnych Wakacjach, Ahmadzie. Przecież wiesz, o co mi chodzi. To twój projekt. Możesz być dumny z tego, co do tej pory zrobiłeś. Ale to już przeszłość, a ja chciałbym poznać szczegóły.

Charley pozwolił bin Faisalowi milczeć przez długą chwilę.

- Chciałbyś zapalić, Ahmadzie? - spytał wreszcie. - Wiem, że lubisz. Może papieros odświeży ci pamięć.

Bin Faisal nie odpowiedział.

Charley wyciągnął rękę i delikatnie odpiął kieszeń na piersi Araba. Wyjął z niej srebrną papierośnicę i zapalniczkę.

- Bardzo dobre - ocenił, zaglądając do papierośnicy. - Palilem je, kiedy podróżowałem po Bliskim Wschodzie.

Wyjął tureckiego papierosa, postukał nim i zamknął papierośnicę. Zapalił go błękitnym płomieniem zapalniczki i zaciągnął się głęboko, zanim wstał i poluzował sznurek zaciskający kaptur na głowie bin Faisala. Uniósł czarne płótno, nie odsłaniając oczu Araba, i przytknął papierosa do jego ust. Dostrzegł łzy na policzkach jeńca, wilgotne smugi lśniły obok nosa i na górnej wardze.

- No, już - mruknął Charley. - Już dobrze. Ciesz się papierosem i nie myśl o niczym innym, będziesz miał na to bardzo dużo czasu. Raduj się chwilą, póki trwa. Smakuj dym.

Usta bin Faisala przyłgnęły łapczywie do filtra. Papieros zadrżał w jego ustach.

- O właśnie - powiedział Charley. - Myśl o tym.

Po chwili wyjął papierosa z ust bin Faisala i zgasił go butem na podłodze.

- Bałeś się, że będę cię przypalał? - spytał. - To staromodna metoda i mówiąc szczerze, trochę poniżej naszych standardów. W końcu obaj jesteśmy rozsądnymi ludźmi. Ale moi koledzy... Wiesz, to ty ponosisz odpowiedzialność za śmierć ich towarzyszy. Być może niezupełnie rozumiesz, jak bliscy stają się sobie ludzie, którzy razem pracują, cierpią i razem się boją. Takie przeżycia tworzą więź niepodobną do innych. I kiedy tracisz takiego towarzysza, to tak jakbyś stracił dziecko albo ukochaną. Zastanów się dobrze, Ahmadzie, zanim mi odpowiesz. Co oznaczają Smutne Wakacje?

Ahmad bin Faisal pochylił głowę jeszcze niżej, jakby przed toporem kata.

- To program... - powiedział cicho. - Program rozprzestrzenienia ospy w Stanach Zjednoczonych.

Ahmad bin Faisal mówił, a Charley Payne słuchał, od czasu do czasu zmieniając kasyety w magnetofonie. Wreszcie powiedział:

- Dobrze się spisałeś, Ahmadzie. Bardzo dobrze. Ale o jednym zapomniałeś, a ja bardzo chciałbym to wiedzieć... Kto jest Jedynym? Opowiedz mi o nim. Jak się nazywa? Gdzie jest? Skąd będzie wiedział, że ma rozpocząć misję?

Głos przesłuchiwanego był cichy i ochrypły.

- To młody człowiek. Nazywa się Youssef bin Hassan. Jest Arabem. Urodził się w Arabii Saudyjskiej, a do szkoły chodził w Anglii. Ostatnio przebywał w Amsterdamie... i już rozpoczął misję.

Charley pochylił się nisko nad głową bin Faisala.

- Jak to „już rozpoczął misję”?

Arab wzdrygnął się i odwrócił głowę.

- Dostał sygnał do działania. Na własną rękę i w wybranym przez siebie momencie poleci do Stanów Zjednoczonych. Nie będzie nawiązywał z nami kontaktu... aby nie zwiększać ryzyka niepowodzenia misji. Komunikacja odbywa się tylko w jedną stronę. Youssef zagląda codziennie na pewną stronę pornograficzną w Internecie i szuka zdjęć o określonych nazwach. Ładuje je do komputera i uruchamia program, który wydobywa z kodu obrazka fragmenty wiadomości i tłumaczy je. W taki sposób możemy przekazywać informacje.

Charley zmusił się do zachowania spokoju.

- Był z tobą w Amsterdamie? To ten młody człowiek, z którym się spotkałeś?

- Jeśli widziałeś nam razem, to wiesz, jak wygląda. To on jest Jedynym.

- A co z wirusem ospy?

- To ja przywiozłem go do Amsterdamu. Prawie nie wymaga opieki. To dlatego stanowi idealną broń.

- A plan awaryjny? W jaki sposób mieliście dostarczyć bin Hassanowi drugą porcję wirusa, gdyby nie udało mu się wwieźć pierwszej do Stanów?

- Pewien dyplomata w egipskiej misji jest jednym z nas. Nieraz już przewoził nasze materiały w bagażu dyplomatycznym. Ma też swojego agenta. W razie problemów Jedyny ma udać się do Waszyngtonu i zostawić znak - ślad kredą na bocznej ścianie skrzynki pocztowej przy egipskiej ambasadzie, we wtorek albo czwartek przed dziewiątą rano. To sygnał, że mają się spotkać następnego dnia na ławce w parku National Mall, w pobliżu Smithsonian Museum. Tam też nastąpiłoby przekazanie materiału.

- Jak się nazywa ten Egipcjanin?

- Ramzi Abdullah. Jest wicekonsulem.

- Na pewno ustaliliście jakiś sygnał oznaczający przerwanie akcji. Jak możemy powstrzymać bin Hassana?

- Nie możecie. Teraz, kiedy dostał rozkaz, będzie próbował wykonać zadanie za wszelką cenę. Takie było założenie: wysłać Jedynego z misją, której nie można odwołać.

- Zastanów się dobrze. W żaden sposób nie da się tego zrobić?

- Tylko jeśli go odnajdziecie, nim zaatakuje. My w żaden sposób nie możemy powstrzymać Jedynego. - Arab umilkł i oblizał splekane usta. - Mogę dostać wody?

Charley wstał i wyszedł z pokoju. W drodze do kuchni minął stół z monitorem przekazującym obraz z pokoju bin Faisala. Wokół ekranu tłoczyli się operatorzy Dominance Rain. Szpule magnetofonu obracały się wolno, rejestrując przesłuchanie. Agenci unieśli głowy i spojrzawszy na wracającego z wodą Charleya, unieśli kciuki,

gratulując sukcesu. Payne cicho zamknął za sobą drzwi, podszedł do spętanego Araba i przytrzymał mu szklanę. Jeniec pił chciwie, jak dziecko.

- Spokojnie - strofował go Charley. - Nie udław się.

Bin Faisal wypił wszystko i uniósł nieco głowę.

- Naprawdę nie wiem, jak miałbyście go powstrzymać. Dostał polecenie ignorowania wszelkich wiadomości, które nakazywałyby przerwanie misji. Kanał łączności został pomyślany jednokierunkowo. W zasadzie miał służyć tylko do sugerowania dodatkowych celów ataku albo ostrzegania o zagrożeniu. Spodziewaliśmy się, że Jedyny odniesie sukces właśnie dzięki temu, że będzie całkowicie osamotniony.

- Nie pozwolimy na to - stwierdził twardo Charley. - Pomożesz nam w tym, prawda, Ahmadzie?

Arab znowu spuścił głowę, jakby spoglądał przez kaptur na zdarte czubki eleganckich pantofli.

- Tak - odparł po chwili. - Pomogę wam.

Po skończonym przesłuchaniu Charley przyjął gratulacje najpierw od członków Dominance Rain, a potem od nowo przybyłych śledczych. Opuścił ich po chwili, by pójść do tymczasowej kostnicy. Stał tam przez chwilę, spoglądając na zabitych i wdychając nieprzyjemną woń krzepnącej krwi. Wreszcie wrócił do zaimprovizowanej sali medycznej, gdzie specjaliści od urazów, przybyli wraz ze śledczymi, pracowali już nad bezwładnym ciałem Dale'a Millera. Przysiadł na swoim miejscu, w kącie pokoju, by nie rzucać się w oczy i nie przeszkadzać. W milczeniu obserwował monitor, na którym krzywa linia obrazowała równy rytm pracy serca rannego.

AMSTERDAM, HOLANDIA

Youssef bin Hassan wyszedł z biura turystycznego Złoty Tulipan i zatrzymał się na moment przed witryną oklejoną ulotkami reklamującymi zniżki na bilety lotnicze do wszystkich zakątków świata. Jego odbicie w skrawku odsłoniętego szkła było zniekształcone przez poszarzały strzęp papieru odlepiający się od szyby po przeciwnej stronie. Youssef miał w torbie bilet w jedną stronę do Toronto. Szlak, którym zamierzał dotrzeć do Nowego Jorku, był sprawdzony - kontrole na północnej granicy Stanów Zjednoczonych były mniej drobiazgowo niż w innych częściach kraju. Choć dokumenty, w które go zaopatrzone, były wystarczająco dobre, by pokusić się o lot wprost do Waszyngtonu, Youssef wolał zachować ostrożność i wybrał dłuższą, lecz pewniejszą drogę.

Zauważył, że przybyło mu kilka zmarszczek na twarzy, ale nie był pewien, czy to z braku snu czy z nadmiaru kłopotów. Odwrócił się plecami do witryny, rozejrzał i popłynął wraz z tłumem w kierunku kanału. Ruszył dalej wzdłuż brzegu, pozwalając, by łagodnie meandrujący nurt wskazywał mu drogę. Wciąż powracał myślą do Britty. Próbował wyprzeć z pamięci obraz jej twarzy zarumienionej orgazmem i pulchnego, białego ciała, które naprężało się pod nim raz po raz. Starał się nie myśleć o jej

łagodności i o tym wszystkim, co zobaczył w jej oczach, gdy widzieli się po raz ostatni: o gniewie, urazie i rozczarowaniu.

Britta sprawiła, że zaczął kwestionować sens swojej misji.

Na szczęście podczas szkolenia wpojono mu zasady, w których znalazł teraz oparcie. Miał zadanie do wykonania. I wykonywał je - przygotowywał się do przemieszczenia na terytorium wroga, dokładnie tak jak powinien.

Tylko dlaczego czuł się z tym tak podle?

To, co robił, nie było podle. Musiał tylko przypominać sobie o tym od czasu do czasu. To, co robił, było ważne, decydujące. Potężni ludzie wybrali go i uczynili Jedynym - wykonawcą ostatecznego ciosu, jaki zostanie zadany Wielkiemu Szatanowi. O tym trzeba pamiętać, pomyślał Youssef. Nie o Britcie w wąskim łóżku; nie o tym, co czuł, gdy to robili, i później, gdy leżeli w milczeniu.

Ale co ona by powiedziała? Co by sobie pomyślała, gdyby wiedziała, że on jest Jedynym?

Youssef przystanął, oparł się o metalową barierkę i spojrzał w dół na mętne wody kanału i własne odbicie zniekształcone oleistymi plamami i pianą. Dyscyplina, którą wpojono mu w Sudanie, znowu doszła do głosu: oczyścił umysł ze sprzecznych myśli i skoncentrował się na zadaniu. Musiał jak najszybciej zapomnieć o dziewczynie i wyruszyć w drogę. Miał już wszystko, czego potrzebował: komputer, wirusa ospy, dokumenty i bilet na samolot. Ubrania, przybory toaletowe i inne drobiazgi mógł kupić po drodze. Mógł, a nawet musiał, by nie wzbudzać podejrzeń podczas odprawy. Niczego więcej nie potrzebował.

Prócz spokojnego umysłu.

Najłatwiej byłoby pozostać w stanie złości na Britte, myślał, na jej naiwność i brak doświadczenia. Nienawidzić jej dziecinnego spojrzenia na świat. Lecz mimo wszystko jakąś cząstką świadomości Youssef zastanawiał się, czy dziewczyna nie ma racji. I czy słuszne są pobudki, którymi kieruje się od tyłu miesiący. Na co dzień napędzały go nienawiść i gniew, ale krótki czas spędzony z Brittą wypłukał zeń sporą część negatywnych uczuć.

I coraz gorzej znosił samotność. Kiedy byli razem, wszystko wydawało się prostsze. Wmawiał sobie, że korzysta tylko z dobrej przykrywki, ale w istocie było w tym coś znacznie głębszego.

Włóczęc się w zamyśleniu, minął Dam i ruszył w kierunku dworca. Zobaczył jego fasadę u wylotu wąskiej uliczki, w szpalerze wysokich kamienic. Nie musiał spieszyć się na pociąg; składy kursowały w stronę lotniska co dziesięć minut. Zatrzymał się przed małą kafejką, a ściślej przed pustym stolikiem pod gołym niebem, dziwnie zapomnianym w strumieniu przechodniów. Wszedł do środka, zapłacił za kawę i wrócił z filiżanką do stolika. Słońce świeciło mocno, uparcie wciskając swe promienie w kaniony uliczek między wysoką i zwartą zabudową. Youssef siedział jednak w cieniu.

Zamierzał najpierw wypić kawę, a potem podjąć decyzję.

Po drugiej stronie kanału, przed wystawą sklepu z damską odzieżą, a tak naprawdę przed wypucowaną szybą, w której odbijała się kafejka, stała Isabelle

Andouille. Przyglądała się Youssefowi bin Hassanowi, którego śledziła od chwili, gdy pochmurny opuścił mieszkanie Britty. Szła za nim, gdy wstępował do biura podróży Żłoty Tulipan. Potrzebowała tylko chwili i prostej sztuczki, by dowiedzieć się, dokąd się wybiera.

- Mój przyjaciel... Joseph? - wykrztusiła zdyszana, stając przed otyłym Holendrem prowadzącym biuro. - Był tu przed chwilą... Kupił już bilet do Stanów?

- Pani przyjaciel? - odrzekł mężczyzna, uśmiechając się do pięknej kobiety. - Nie, leci do Toronto. Może stamtąd pojedzie do Stanów. Wybierają się państwo razem? Może chciałaby pani kupić bilet?

- O, nie - odparła Isabelle. - Jeśli mam jechać, to on zapłaci! Dziękuję panu!

I wybiegła na ulicę, by podążyć za Youssefem, tak pogrążonym w myślach, że zapomniał o najbardziej podstawowej kontrynwigilacji. Wałęsał się ulicami najwyraźniej bez celu, nieświadom niczego poza własnymi myślami. Dwa razy Isabelle zastanawiała się, czy nie podejść bliżej, nie trącić go „przypadkowo” ramieniem i nie zakończyć sprawy, wbijając mu w szyję krótki, ostry nóż, który ścisnęła w dłoni, ale coś ją powstrzymywało - chciała wiedzieć więcej.

Toronto. Zapewne wybiera się łatwiejszą drogą do Stanów, być może prosto do Nowego Jorku. Tam będzie mógł wtopić się w tłum, zniknąć bez śladu i pojawić w dowolnym miejscu. Isabelle przypomniawszy sobie książki, które kupował. Waszyngton. Łatwo tam dotrzeć z Nowego Jorku - pociągiem albo samolotem krótkiego zasięgu. Oblizwała wargi koniuszkiem języka. Zabić go teraz czy później? Podać go Amerykanom na tacy czy po prostu pomóc mu zniknąć na wieki? Musiała podjąć decyzję.

W DRODZE DO WIRGINII/KWATERA GŁÓWNA JEDNOSTKI DOMINANCE RAIN, FAIRFAX, WIRGINIA

Podczas lotu przestronna ładownia transportowca C-141 jest miejscem hałaśliwym i potężnie wibrującym. Charley Payne wcisnął się w głąb siatkowego siedziska, które kołysało się przy każdym gwałtownym ruchu maszyny wspinającej się w dobrym tempie na pułap przelotowy. Naprzeciwko niego, w otoczeniu ekipy medycznej, leżał Dale Miller, mocno przypięty pasami do szpitalnego łóżka. Worki kroplówek zgodnie z prawami fizyki odchyłały się od pionu wyznaczonego przez umocowane do pokładu stojaki. Rurki wsunięte w nozdrza i usta rannego drżały od huku odrzutowych turbin. Medycy zrobili wszystko, co mogli, ale w praktyce nie było to wiele - ustabilizowali pacjenta na tyle, by doczekał zabiegu neurochirurgicznego w dobrze wyposażonej sali operacyjnej. Kula, która utkwiała w mózgu, wyrządziła wystarczająco duże szkody; dodatkowe krwawienie i opuchlizna delikatnej tkanki nerwowej mogły jedynie pogorszyć sprawę. Dale był w śpiączce, a jego twarz, częściowo zakryta rurkami i plastrami, sprawiała wrażenie doskonale spokojnej. Lekarz powiedział już Charleyowi, że ranny może pozostać w takim stanie do końca swoich dni.

Pośrodku ładowni leżały drewniane palety, a na nich wielkie drewniane skrzynie z pieczęciami dyplomatycznymi Stanów Zjednoczonych. Znajdowały się w nich trumny z nierdzewnej stali, dla każdego z zabitych w Atenach. Choć zamknięto je szczelnie, w powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach rozkładu i krwi. Przynajmniej tak wydawało się Charleyowi.

Rozprostował nogi i rozłożył je szeroko na metalowym pokładzie. Irytowało go nieustanne kołysanie siedziska. Przez minutę bezskutecznie szukał oparcia dla rąk, nim wreszcie wstał i podszedł do małego iluminatora obok tylnej rampy. Spojrzał w dół, na daleki błękit fal. Lecieli nad Morzem Śródziemnym i wkrótce mieli się znaleźć nad Atlantykiem, zmierzając prosto ku Bazie Andrews w stanie Maryland. Tam Charley miał zostawić Dale'a w rękach lekarzy, a ciała operatorów powierzyć speccom od przeładunków. Czekala go jeszcze podróż do Fairfax w Wirginii i raport, który miał złożyć szefowi Callana, Rayowi Daltonowi.

- Ray stoi za tym wszystkim - powiedział mu wcześniej Callan. - To on kieruje akcją i podpisuje czeki.

- W imieniu jednostki? - upewnił się Charley.

- Tak. To tajny projekt. Jego specjalność.

- Dale kiedyś dla niego pracował.

- Właśnie: kiedyś. W tej chwili nie chciałby mieć nic wspólnego ze sprawą, gdyby tylko wiedział, że stoi za nią Dalton.

- Ja nie mam tego problemu.

- I dlatego ci o tym mówię. Jeżeli chcesz pozostać w temacie i może odegrać się na tamtych, będziesz musiał być miły dla wielkiego szefa.

- Przecież i tak mnie potrzebujecie.

- To fakt - odparł Callan. - Ale to nie oznacza, że będziesz w centrum wydarzeń, kiedy nadejdzie pora zabijania.

- Chcę być.

- Wiem o tym. Więc bądź miły, kiedy będzie to konieczne. Choć może nie będzie... Ray wie, że jesteś mu potrzebny i że jesteś wystarczająco dobry do tej roboty. Nie pozwól tylko, żeby twój sławetny temperament spieprzył całą sprawę.

Charley zaśmiał się i pokręcił głową na wspomnienie tej rozmowy. Wyciągnął szyję, by spojrzeć przez iluminator ku górze, na niebo i pojedyncze chmury, przez które przelatywali. Zastanawiał się, co Dale powiedziałby na to wszystko. Miał go w pamięci jako młodzika rozwalonego na ogrodowym krzeselku u Sebastiana Joego, sączącego kawę z mlekiem i przyglądającego się co ciekawszym paniąkom. Pomyślał, że to osobliwe - mieszkali w tej samej dzielnicy, obracali się w tym samym kręgu znajomych i sąsiadów, a nie spotkali się ani razu do czasu strzelaniny przed galerią sztuki. Dziwny los.

Wrócił do wiszącego siedziska i zagłębił się w nie z niechęcią. Spojrzał na rannego i otaczających go lekarzy, zastanawiając się, czy Dale kiedykolwiek jeszcze zasiądzie na swym ulubionym miejscu w ogródku u Sebastiana Joego.

Ray Dalton pochylił się nad biurkiem niczym drapieżne ptaszysko, z zainteresowaniem przyglądając się Charleyowi Payne'owi. Wcześniej dokładnie

przestudiował jego akta - grubą na pięć centymetrów teczkę, która wciąż leżała obok. Zaraz po lekturze, a przed przybyciem Payne'a, zadzwonił do jego ostatniego przełożonego w Sztabie Akcji Specjalnych.

- „Szarżujący Charley”? - upewnił się przełożony, weteran służb specjalnych i wywiadu. - To jeden z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek miałem. I jeden z najgorszych. Niezrównany na ulicy czy w terenie - ciężko pracował, nigdy się nie skarżył, technika bez zarzutu, ogromna wiedza... Kluczowy członek zespołu. Ale jednocześnie uparty jak wszyscy diabli, trudny do opanowania, gdy sprawy nie układały się po jego myśli - jak cholerna primadonna. To emocjonalny typ, prawdziwy artysta. Cieszyłem się, że znalazł sposób na wyzycie się w fotografowaniu. Szkoda tylko, że traktował sprawy zawodowe zbyt osobiście. Wie pan, jak to jest: przychodzą rozkazy, nie nasza rzecz zadawać pytania, wykonujemy albo ginimy. Charley nigdy nie postrzegał tego w ten sposób. Burzył się przeciwko przełożonym, nienawidził szefów, zwłaszcza tych ze szczytu piramidy. Nie miał cierpliwości do procedur obowiązujących w organizacji. I w końcu poszedł swoją drogą. To wszystko, co mogę powiedzieć o Charleyu Payne. Mam nadzieję, że nie wpakował się w kłopoty?

- Absolutnie - odparł Ray. - Przyglądamy mu się, bo może nam być potrzebny.

- Nie wróci - odparł z przekonaniem były przełożony Charleya. - Nie ma takich pieniędzy, które mogłyby go do tego skłonić. A jeśli spróbuje pan go przymusić, daję głowę, że znajdzie sposób, żeby się odegrać.

- Będę o tym pamiętał - rzekł Ray. - Dziękuję za informacje. Będą przydatne.

- Nie ma sprawy. W razie potrzeby proszę dzwonić.

Wspomnienie tej rozmowy było jeszcze świeże. Payne wyglądał na zmęczonego i wychudzonego, a bruzdy na jego twarzy jakby się pogłębiły. Nie sprawiał jednak wrażenia zniecierpliwionego. Póleżał w miękkim fotelu, z nogami wyciągniętymi na całą imponującą długość i skrzyżowanymi w kostkach, rozluźniony jak kocur wygrzewający się w słońcu. Wyglądał tak, jakby się zastanawiał nad wynikiem tego spotkania, i postanowił w głębi duszy, że cokolwiek się stanie, będzie cierpliwy.

To był dobry znak.

A skoro Payne był tak dobry w działaniu, Ray bardzo chciał zlecić mu robotę.

- Rozesłaliśmy jego zdjęcie do placówek celnych i imigracyjnych na wszystkich przejściach granicznych - powiedział. - Nadaliśmy mu status „znanego terrorysty” i nakazaliśmy zatrzymanie i specjalne traktowanie całego jego bagażu oraz rzeczy osobistych. Polecono nam jednak nie podnosić kwestii zagrożenia wirusem ospy.

Payne poruszył się w fotelu, ale Ray uniósł dłoń, by powstrzymać ewentualny protest.

- To rozkaz od samego prezydenta, Payne. Chodzi o to, że gdyby rzecz się wydała, mielibyśmy ogólnonarodowy atak paniki i prawdziwy szturm na placówki medyczne, na który nie jesteśmy przygotowani - przynajmniej na razie. Ośrodek Kontroli Chorób i wybrani urzędnicy odpowiedzialni za publiczną służbę zdrowia w regionach otrzymali polecenie wzmożenia czujności, ale ospa jest tylko jedną z wielu chorób, przed którymi ostrzegamy. Oficjalnie chodzi o „podwyższone zagrożenie działaniami wojennymi z użyciem broni biologicznej”, a to przecież nic nowego.

Ray odchylił się w fotelu i złożył dłonie na brzuchu, na dobrze wykrochmalonej koszuli.

- Dostałem precyzyjnie określone zadanie: odnaleźć Youssefa bin Hassana i powstrzymać go, zanim rozprzestrzeni wirusa na terytorium Stanów Zjednoczonych. Chciałbym, żeby pokierował pan tą akcją.

Charley bardzo się starał ukryć zapał, z jakim myślał o tej misji. Ale Ray i tak wiedział: łowca zawsze pragnie iść tropem zwierzyny, odnaleźć ją, dopaść i zabić. Wszystko wskazywało na to, że Payne ma rachunki do wyrównania.

- Co ty na to, Charley? - spytał.

Charley zastanowił się dobrze, zanim odpowiedział pytaniem:

- Co dokładnie miałbym zrobić?

- Widziałeś na własne oczy wszystkich głównych graczy: Rhamana Udaya, Ahmada bin Faisala i Youssefa bin Hassana. Możesz zidentyfikować Jedynego na pierwszy rzut oka. Chcę, żebyś poprowadził tę sprawę, poszedł tropami, które uda nam się znaleźć. Będziesz mógł go zdjąć, jeśli zechcesz. Dam ci ekipę do pomocy.

- Wolalbym pracować sam.

- Nie da rady. Będziesz potrzebował wsparcia.

- Przy dobrej łączności zawsze zdąży pan przysłać wsparcie. Nie jestem ani chętny, ani gotowy do kierowania zespołem, którego nie znam. Najlepiej będzie, jeśli po prostu puszcze się śladem Jedynego, gdy tylko zdobędziemy jakieś informacje, i w razie potrzeby będę naprowadzał zespół na cel.

Ray zastanawiał się przez chwilę i doszedł do wniosku, że to dobry pomysł. Payne straciłby sporo czasu, gdyby musiał z marszu rozpocząć współpracę z zespołem. Dowództwo można było powierzyć komuś innemu.

- W porządku - powiedział Dalton. - Będziesz zbierał napływające informacje. Póki nie dostaniemy wiarygodnych danych, współpracuj z naszymi analitykami. Później będziesz kierował ruchem moich ludzi. Oczywiście sam też weźmiesz udział w akcji.

- Brzmi to sensownie.

- Wyglądasz na zaskoczonego.

- Nie, to tylko ulga.

Roześmiali się równocześnie.

- Na razie będziesz pracował tutaj - powiedział Ray. - Urządzą ci biuro w zabezpieczonej sali konferencyjnej na końcu korytarza. Będziesz miał dostęp do mnie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Mamy w pobliżu samolot w pełnej gotowości - możemy lecieć w dowolne miejsce, w dowolnym momencie.

- Powinno zadziałać.

- Zatem jesteśmy umówieni.

Payne zabębnił palcami prawej dłoni po obitym pluszem podłokietniku fotela.

- A co z Dale'em?

Dalton wiedział, że to pytanie musi paść.

- Jest w szpitalu Johna Hopkinsa w Baltimore. Pracuje nad nim jeden z najwybitniejszych neurochirurgów świata. Jak widzisz, nie oszczędzamy. Naprawdę zapewniamy mu opiekę.

- Chirurg w samolocie wątpił, czy Dale się z tego wylize. Od postrzału minęło zbyt wiele czasu...

- Mamy nadzieję, że będzie lepiej - przerwał mu Ray. - I dlatego robimy dla Dale'a wszystko, co w naszej mocy.

Payne z namysłem skinął głową.

- Zastanawiam się, co by czuł Dale, gdyby się dowiedział, że to pan płaci rachunki.

- To stara historia, którą zapewne już znasz.

- Co z nim będzie po operacji?

- Bez względu na to, co myślał Dale, my zawsze będziemy go uważali za jednego z nas. A potrafimy troszczyć się o swoich. Jeżeli nie wyjdzie ze śpiączki, trafi do należącego do nas ośrodka, gdzie do końca życia będzie miał zapewnioną najlepszą opiekę. Jeżeli wyjdzie, może liczyć na rehabilitację i wszystko inne, czego tylko będzie potrzebował. Dopilnujemy tego.

- Nie mam za sobą takiej historii jak pan i Dale - odparł Charley. - Dlatego mogę tylko powiedzieć, że brzmi to nieźle. Ciężko mi myśleć o tym, że Dale mógłby spędzić resztę życia w łóżku w jakimś przytułku dla weteranów.

- Tak nie będzie. Nie skażę na taki los żadnego z moich ludzi. Dale jest dla nas jak syn marnotrawny. Wiedziałem, że jego powrót to tylko kwestia czasu.

- Byle tylko miał odpowiednią opiekę... Chciałbym go odwiedzać, jeśli tylko wystarczy mi czasu.

- Nie wiem, czy wystarczy... Ale do szpitala nie jest aż tak daleko, a ty będziesz miał swojego kierowcę. Tylko proszę, skoncentruj się przede wszystkim na zadaniu.

- Jasne.

- W takim razie bierzmy się do roboty.

Przygotowania nabrały tempa. Sala konferencyjna na końcu korytarza szybko zapełniła się dodatkowymi stołami, na których spoczęły monitory, telefaksy i telefony. Każdy wolny skrawek blatu zajęły z czasem sterty komputerowych wydruków i faksów, kubki z zaschniętymi resztkami kawy oraz nie dojedzone kanapki. Charley jak zawsze siedział w ortopedycznym dyrektorskim fotelu u szczytu największego ze stołów, uważnie czytając raporty, które napływały ze wszystkich przejść granicznych na terytorium Stanów Zjednoczonych. Pracownicy służb imigracyjnych i celnicy mieli pełne ręce roboty, szukając w tłumach podróżnych twarzy Youssefa bin Hassana, a wśród tysięcy paszportów - tych kilku wystawionych na fałszywe nazwiska, które Charley wydobyl z Ahmada bin Faisala. Dane ze wszystkich placówek spływały na bieżąco. Ale póki co, nie było w nich niczego interesującego.

Zadowolony z przebiegu prac, Ray Dalton wymknął się wreszcie z budynku i wsiadł do służbowego samochodu z kierowcą. Przez całą drogę do szpitala Johna Hopkinsa - a minęło sporo czasu, nim przedarli się przez korki na obwodnicy - spoglądał przez okno, rozmyślając o sprawach, które pozostały jeszcze do załatwienia.

W szpitalu zamienił kilka słów z lekarzem dyżurnym, a potem udał się prosto na oddział intensywnej opieki medycznej, by stanąć przy łóżku Dale'a Millera. Głowę rannego spowijały bandaże. Miał zamknięte oczy. Ręce spoczywały równo wzdłuż boków, lewa naszpikowana igłami kroplówek zawieszonych na stojaku z nierdzewnej stali. Z nosa rannego wystawała plastikowa rurka, a do piersi i skroni umocowano końcówki czujników połączonych kablami ze sprzętem monitorującym.

- Fatalnie wyglądasz, Dale - szepnął Ray.

A potem wyciągnął rękę i delikatnie poklepał stopę nieprzytomnego.

TORONTO, KANADA

W hotelu w dzielnicy czerwonych latarni, oferującym pokoje - nierzadko na godziny - głównie prostytutkom i ich klientom, Youssef w skupieniu przygotowywał swój sprzęt. Na atomizerach umieścił naklejki z odświeżacza do ust, a ukryte wewnątrz fiołki napełnił aromatycznym płynem. Pojemniczki z prawdziwym wirusem ospy ukrył w prezerwatywie, na wszelki wypadek założył na nią jeszcze jedną, cały pakiet nasmarował dobrze wazeliną i wcisnął sobie do odbytu. Skrzywił się, czując nieprzyjemny balast. Połknął solidną dawkę lomotilu, dostępnego w Amsterdamie bez recepty, by zatrzymać pracę jelit na czas przelotu nad Atlantykiem. Wreszcie stanął przed lustrem. Inspekcja wypadła pozytywnie; jedynie kroki wydawały się nienaturalnie sztywne. Pomyślał, że trzeba będzie nad tym popracować.

Odlot i podróż przebiegły bezproblemowo. Ochrona nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem. Przystojniak w ciemnoszarym garniturze biznesmena nie interesował urzędników tak bardzo jak młodzi ludzie z plecakami roztaczający wokół siebie silną woń marihuany. Kolejną próbą była odprawa celna na kanadyjskim lotnisku. Paszport, którym legitymował się Youssef, był jednym z kilku zakupionych w Amsterdamie. Był to paszport amerykański, wystawiony na nazwisko Roya Huntera, nie znane przełożonym z Al-Bashiry. Był to dodatkowy środek ostrożności, który Youssef podjął w trosce o własne bezpieczeństwo.

Inspektor celny, gburowaty siwowłosy Kanadyjczyk w za ciasnym mundurze, spojrział najpierw na paszport, a potem na Youssefa. Nie interesował go „Ray Hunter”, a skoro tak, to szukając podejrzanych, mógł polegać wyłącznie na intuicji i doświadczeniu.

- Cel wizyty?

- Wakacje - odparł Youssef.

- Jak długo chce pan tu zostać?

- Tylko dwa tygodnie.

- Z Amsterdamu?

- Tak.

- Dokąd wybiera się pan później?

- Do domu, do Nowego Jorku - odrzekł Youssef. - Trzeba wracać do roboty.

Inspektor spojrział na niego przeciągle, a potem energicznie skinął głową. Ostemplował paszport i oddał go właścicielowi.

- Życzę miłego pobytu.

- Dziękuję - powiedział Youssef, chowając dokument w wewnętrznej kieszeni kurtki.

W toalecie mieszczącej się opodal stanowisk firm wynajmujących samochody wyjął z odbytu prezerwatywy z fiołkami wirusa i wypróżnił się z ulgą. Cenny ładunek schował do szczelnej plastikowej torebki, którą przygotował specjalnie na tę okazję. Chwilę później młody Arab odebrał samochód, który zarezerwował wcześniej przez Internet, i pojechał na południowy wschód, do przejścia granicznego pod Buffalo. Oficer Patrołu Granicznego rzucił okiem na paszport, przelotnie spojrział na twarz kierowcy i zanotował numer rejestracyjny wozu. Youssef zostawił samochód na strzeżonym parkingu przy niewielkim lotnisku w Buffalo i udał się autobusem spod terminalu wprost do centrum miasta. Tam znalazł dworzec autobusów dalekobieżnych Greyhound i zapłacił gotówką za bilet w jedną stronę do Nowego Jorku. Dotarłszy na miejsce, znalazł w pobliżu Motel 6, gdzie wynajął pokój, ponownie płacąc gotówką. Gdy został sam, ostrożnie wyjął fiołki z wirusem ospy i włożył je do atomizerów na miejsce pojemników z płynem zapachowym. Miał wrażenie, że atomizery stały się cięższe.

Następnego dnia pojechał autobusem do centrum miasta. Była to długa podróż. Youssef z przyjemnością patrzył, jak zmienia się krajobraz: od niemal wiejskiego pejzażu dalekich przedmieść, do wysokiej zabudowy w sercu Nowego Jorku. Z dworca autobusowego dotarł taksówką do Penn Station, gdzie kupił bilet na pociąg ekspresowy do Waszyngtonu, zatrzymujący się na Union Station. Pociąg kończył bieg po północy, toteż Youssef zarezerwował sobie pokój w małym hotelu w pobliżu stacji. Wiedział, że wystarczy mu jedna noc. Następnego dnia zamierzał wtopić się w anonimowy tłumek schroniska młodzieżowego.

Tymczasem po drugiej stronie miasta, w Międzynarodowym Schronisku Młodzieżowym, zmęczona dziewczyna zza kontuaru spojrzała na postać, która stanęła w szerokich drzwiach. Była to kobieta o kruczoczarnych włosach opadających na czoło drapieżnymi kosmykami, a z tyłu sięgającymi ramion. Trzymała w ręku wypchaną torbę.

- Cześć - powiedziała brunetka. - Dostanę jeszcze pojedynczy pokój czy się spóźniłam?

- Nie, mamy jeszcze dużo miejsc - odparła dziewczyna zza kontuaru. - Masz kartę naszej sieci?

- Mam, ale gdzieś ją posiałam.

- Nic nie szkodzi. Płacisz gotówką czy kartą?

- Gotówką. - Ciemnowłosa kobieta wyjęła z kieszeni dziesięć zwitek banknotów i wyciągnęła rękę ku recepcjonistce. - Weź, ile trzeba, ja jeszcze się nie orientuję w tych waszych pieniądzach.

- Skąd jesteś? - spytała dziewczyna, wybierając osiemnaście dolarów z pokaźnej kupki.

- Z Amsterdamu - odparła Isabelle Andouille, odgarniając z czoła kosmyki czarnej peruki. - Właśnie przyleciałam. Nie mogę się doczekać zwiedzania.

WASZYNGTON, STANY ZJEDNOCZONE

Charley powoli tracił spokój w ciasnej sali konferencyjnej. Dobijał go zapach nieświeżej kawy i rozgrzanego sprzętu biurowego. Wreszcie nie wytrzymał: zadzwonił po kierowcę, każąc mu czekać przed bramą budynku.

- Mam radio i komórkę na wszelki wypadek - powiedział, zwracając się do ledwie dwudziestoparoletniego, chudego jak szczapa asystenta, którego przydzielił mu Ray. - Powinienem wrócić mniej więcej za godzinę.

- Dobrze, proszę pana - odpowiedział asystent, unosząc głowę znad pliku wydruków, nad którymi ślęczał. - Powiem panu Daltonowi, kiedy się zjawi.

Kierowca, ubrany w skórzaną kurtkę pilota i spodnie koloru khaki, siedział za kierownicą lincolna zaparkowanego przed wejściem do niczym nie wyróżniającego się budynku biurowego. Charley zapukał w szybę, otworzył drzwi i usiadł z prawej strony.

- Dokąd jedziemy, panie Payne? - spytał szofer.

Mówił z lekkim bostońskim akcentem.

- Pojedźmy Sześćdziesiątą Szóstą do centrum... Potem aleją Konstytucji do Muzeum Lotnictwa i Astronautyki.

- Robi się. Sześćdziesiątą Szóstą do centrum.

Droga międzystanowa numer 66 była zatłoczona, ale nie tak bardzo jak o późniejszej porze, gdy samochody pełzną po niej zderzak w zderzak. Przejechali po moście Teodora Roosevelta nad Potomakiem i skręcili w aleję Konstytucji. Charley poczuł dreszcz, spoglądając na pomnik Waszyngtona lśniący w słońcu. Miał patriotyczną duszę, dlatego gdy jechali wzdłuż alei, z dumą przyglądał się budowłom i monumentom tak wiele znaczącym dla kraju.

- Wyrzuć mnie tutaj - powiedział, kiedy dojechali na wysokość Siódmej Ulicy. - Przejdę się kawalek. Spotkamy się przed wejściem do Muzeum Lotnictwa.

- Ma pan radio? - upewnił się kierowca.

- Jasne. Nadaję na Taktycznej Jeden.

- Na Taktycznej Jeden - powtórzył szofer. Sięgnął po słuchawki i uruchomił mikrofon. - Wóz do Payne'a, wóz do Payne'a.

Krótkofalówka, którą Charley trzymał w dłoni, zmieniła nieco jego głos.

- Słyszę cię dobrze - powiedział.

Przez moment obserwował wóz włączający się wolno do ruchu, a potem wyciągnął ramiona nad głowę i odchylił się do tyłu, by rozluźnić kręgosłup. Długie godziny spędzone w miękkim fotelu osłabiły jego zdolność myślenia. Ruszył zważym krokiem przez National Mall, czując pod butami miękką trawę. Już po kilku minutach był po drugiej stronie parku, przy alei Jeffersona, dokładnie naprzeciwko Narodowego Muzeum Lotnictwa i Astronautyki. Trzecia ławka po prawej była - jeśli wierzyć Ahmadowi bin Faisalowi - miejscem spotkań egipskiego wicekonsula z

młodym Arabem, któremu powierzono rolę Jedynego. Charley podszedł do niej, stał chwilę, a potem usiadł.

Choć nie mógł ich zobaczyć, wiedział, że ludzie z ekipy obserwacyjnej kierowali obiektywy wprost na niego - jedna grupa ulokowała się na dachu muzeum, druga zaś w furgonetce zaparkowanej przed gmachem. Obie były wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt optyczny oraz komputery zdolne do przeprowadzenia analizy porównawczej zdjęcia podejrzanego z fotografiami znanych terrorystów, zgromadzonymi w bazie danych. Spora ekipa strzelców ukryła się w ciasnym pokoiku wypożyczonym od strażników Muzeum Smithsonian, tuż obok głównego wejścia do budynku. Byli gotowi do akcji w chwili, gdy tylko Jedyne zostanie zauważony i rozpoznany.

Charley wyciągnął nogi przed siebie, a długie ręce ułożył na oparciu ławki. Powietrze było gorące i wilgotne, a dotyk promieni słonecznych na rozłożonych ramionach - teraz tak lekki i przyjemny - już wkrótce miał stać się dokuczliwy.

W Minnesocie spędził w taki sposób wiele poranków, przesiadując przed Linden Hills Cafe i wygrzewając się w słońcu przy porannej kawie. Dale wołał ogródek u Sebastiana Joego, lecz i on przestawiał krzeselko bliżej chodnika, by łapać ożywcze promienie i delektować się kawą z mlekiem, którą uwielbiał. Ciekawe, co u niego, pomyślał Charley. Jeśli wierzyć najświeższym informacjom od Raya, stan rannego się nie zmienił. Mózg Dale'a przejawiał pewną aktywność, ale nikt nie umiał przewidzieć, na ile sprawnie będzie funkcjonował, gdy pacjent ocknie się ze śpiączki - o ile się ocknie. Charley bez większego trudu znajdował preteksty do nieodwiedzenia przyjaciela. Nie chciał oglądać go w takim stanie. Jakąś częścią duszy ganił się za ten przejaw tchórzostwa; inna zaś podszeptowała mu nieustannie, że gdyby naprawdę był przyjacielem Dale'a, poczęstowałby go kulą i zakończył ten dramat. Charley, jak większość aktywnie żyjących osób, bał się fizycznej niesprawności, która mogłaby przykuć go do łóżka - myśl o śpiączce czy paraliżu była w istocie największym lękiem, jaki go prześladował. Lecz choć zdawało mu się, że sam życzyłby sobie śmierci w takim położeniu, to jednak brakowało mu odwagi, by z litości dobić przyjaciela. Czasem wydawało mu się, że mógłby to zrobić, lecz gdy wyobrażał sobie moment, w którym pociąga za spust... Wahał się.

Dziwne myśli, i do tego zupełnie jałowe, powiedział sobie w duchu Charley. Wstał i rozejrzał się, wiedząc, że Jedynego jeszcze tu nie ma, ale jednocześnie mając irracjonalną nadzieję, że dostrzeże go gdzieś i wreszcie zakończy tę operację. I tutaj, i przy egipskiej ambasadzie - gdzie miał pojawić się sygnał oznaczający wezwanie na spotkanie - ekipy obserwacyjne działały non stop. Sam wicekonsul również był pod opieką. Pułapek zastawiono wiele, lecz zdobycz nie złapała się jeszcze w żadną z nich.

Na razie.

Charley włączył krótkofalówkę i szepnął do mikrofonu:

- Wóz, tu Payne. Jestem gotowy do spotkania przy muzeum, od strony Jeffersona.

- Potwierdzam - odpowiedział szofer. - Zaraz tam będę.

Charley podszedł do krawężnika i po chwili ujrzał czarnego lincolna town car, który zbliżał się ku niemu. Wszedł mu na spotkanie i po chwili siedział już obok kierowcy.

- Wracamy - powiedział.
- Jasne.

W powolnym strumieniu aut Charley miał mnóstwo czasu na przyglądanie się ludziom spacerującym po parku i zmierzającym do Muzeum Smithsonian. Tyle twarzy, tyle miejsc... Każdego dnia można tu usłyszeć dziesiątki obcych języków i akcenty z bodaj wszystkich regionów Stanów Zjednoczonych, myślał Charley. Nazwa National Mall wydawała mu się nadzwyczaj trafna - w tym parku pojawiali się wszyscy zwiedzający Waszyngton.

Prędzej czy później musiał się tu pojawić i Youssef bin Hassan.

Na początek powinien przyjść na rekonesans operacyjny, aby się upewnić, na której ławce ma usiąść i czy nie trwają tu prace renowacyjne albo nie zachodzą inne okoliczności, które mogłyby uniemożliwić spotkanie. Charley liczył, że przeciwnik został nauczony tak podstawowej techniki. Miał nadzieję, że podczas rekonesansu bin Hassan zostanie sfotografowany, rozpoznany i zatrzymany przez oddział szybkiego reagowania. Dzięki skomputeryzowanemu procesowi rozpoznawania twarzy identyfikacja była ostatnio łatwiejsza niż dawniej. Program oczywiście nie był doskonały - można było go oszukać choćby poprzez najprostszą charakteryzację, jednak przy bliższym badaniu rysy twarzy prędzej czy później zdradziłyby podejrzanego.

Charley miał szczerą nadzieję, że bin Hassan zachowa się w przewidywany sposób. Bin Faisal twierdził stanowczo, że realizacja planu rozpocznie się właśnie tu, w Waszyngtonie, a rozprzestrzenieniu zarazy na cały kraj służyć będą między innymi środki transportu publicznego. Jeżeli Jedyny zamierzał trzymać się planu i przestrzegać zasad poznanych podczas szkolenia, szanse na schwytanie go w Waszyngtonie były spore, zwłaszcza że stolica była przygotowana na odparcie ataku bioterrorystycznego lepiej niż inne miasta.

Charley odwrócił się i raz jeszcze spojrzął na miasto przez tylną szybę samochodu odjeżdżającego na zachód, do Fairfax. W świetle dnia wszystko wydawało się jasne i czyste.

*MIĘDZYKARODOWE SCHRONISKO MŁODZIEŻOWE, WASZYNGTON,
STANY ZJEDNOCZONE*

Youssef bin Hassan przesunął na wąskie plecy torbę kurierską, swój jedyny bagaż, nim odezwał się do dziewczyny z blond dreadami siedzącej za kontuarem.

- Cześć. Jestem Youssef Ameer. Zarezerwowałem tu przez Internet pojedynczy pokój.

- Cześć, Youssef - odpowiedziała dziewczyna i pochyliła się nad wydrukiem, który leżał przed nią. - Mam cię na liście... I mam dla ciebie pokój. - Sięgnęła po klucz przywiązany do kulki wielkości piłeczki golfowej i wręczyła go Arabowi wraz z ulotką.

- Tutaj przeczytasz regulamin schroniska i dowiesz się, jakie zajęcia organizujemy.

- Dzięki.

Recepcjonistka uśmiechnęła się i Youssef zauważył u niej krzywy ząb.

- Pierwszy raz w Stanach Zjednoczonych?

- Tak - odparł.

Dziewczyna spojrzała na wydruk.

- Jesteś z Amsterdamu?

- Tak.

- Mam tu mnóstwo ludzi z twoich stron. Może kogoś poznasz... Uwielbiam Amsterdam, to urocze miasto.

- Fakt.

- Życzę miłego pobytu. Jeśli chodzi o kluby, to doradzam wyprawę na rondo Duponta i do Adams Morgan. W weekendy organizujemy wyjazd autobusem w te okolice. Można sobie potańczyć i..

- Bardzo chętnie - przerwał jej Youssef. - Ale teraz chciałbym odpocząć. Muszę się umyć i wyspać.

W spojrzeniu dziewczyny pojawiła się najpierw uraza, a zaraz potem rozczarowanie. Spojrzała na zegar i powiedziała:

- Jeśli chcesz, możesz już iść do pokoju.

Youssef skinął głową i odwrócił się, nieświadom spojrzenia, którym obrzuciła go recepcjonistka. Mało go obchodziło, co pomyślała o jego nieuprzejmości. Był już ponad to. Wsiadł do windy i pojechał na górę. Idąc długim, łukowatym korytarzem, mijał kolejne drzwi z numerami. Wreszcie dotarł do swojego pokoju - tak jak sobie życzył, tuż obok drzwi znajdowało się wyjście na schody przeciwpożarowe. Korzystając z nieuczęszczanej klatki schodowej, mógł wychodzić i wracać, nie pojawiając się w pobliżu wind i głównego holu. Wcisnął klucz w dawno nie otwierany zamek i musiał pokręcić nim energicznie, zanim udało mu się wejść do środka.

Pokój był ciasny, jak wszystkie pojedyncze pokoje w schroniskach młodzieżowych, w których w ostatnich miesiącach spędził tak wiele czasu. Youssef miał przed sobą zasłane, wąskie łóżko, maleńkie biurko z krzesłem, szafę oraz podstawkę na walizkę. Więcej mebli nie było. Zasłony były rozsunięte, a z okna rozciągał się widok na miasto z dominującym nad innymi obiektami obeliskiem ku czci Jerzego Waszyngtona. To wystarczyło Youssefowi, by zorientować się w terenie.

Choć z wielką uwagą studiował plany miasta i przewodniki, jednak nic nie mogło zastąpić zwiedzania. Postanowił poświęcić nieco czasu na zapoznanie się z miejscem akcji. W końcu miał się do czego przygotowywać.

Był w samym sercu terytorium wroga. Musiał być ostrożny. Rekonesans i próby należało ograniczyć do minimum. Bezpiecznie mógł natomiast pojawiać się w pobliżu atrakcji turystycznych, dobrze znanych i bardzo chętnie odwiedzanych. W takich miejscach Youssef mógł stać się jednym z wielu w tłumie, podobnie jak w kolei podziemnej.

Jednym z wielu w tłumie...

Youssef wszedł do mikroskopijnej łazienki przylegającej do pokoju i odkręcił kurek prysznic w wąskiej kabinie. Kiedy doczekał się ciepłej wody, zrzucił ubranie i stanął w przyjemnym strumieniu. Ustawił najwyższą temperaturę, jaką był w stanie znieść, i pozwolił, by ciepło rozeszło się po kościach. Choć spał ostatniej nocy i rano, czuł się stary i zmęczony. Napięcie związane z pobytem na wrogim terytorium dawało mu się we znaki. Dokuczały mu też wspomnienia o Britcie. Zostawił ją bez pożegnania i pozbawił się szansy na powrót do przytulnego mieszkania z wielkim oknem w domu nad kanałem i do łóżka, w którym kochali się godzinami. Ostatnim wspomnieniem, które zachował, był jej krzyk - kazała mu się wynosić i być samotnym. Zastanawiał się, co teraz porabia: czy płacze z żalu, czy śmieje się z ulgą? Czy nadal pracuje w schronisku, obdzielając bezdomnych współczuciem i kocami? Czy myśli jeszcze o nim? Czy zastanawia się, co on robi?

Youssef uniósł głowę, wystawiając twarz na mocny strumień z prysznic. W kącikach oczu czuł ciepło, którego źródłem nie była gorąca woda. Po chwili spuścił głowę, by splukać kark i ramiona. Woda była coraz chłodniejsza. Wkrótce musiał zakręcić kurek i wyjść z kabiny. Łazienka była pełna pary i Youssef, chcąc się ogolić musiał wytrzeć lustro. Czuł, że ręka uzbrojona w brzytwę drży niebezpiecznie. Świadomie nie patrzył w oczy swemu lustrzanemu odbiciu. Wiedział, co w nich zobaczy: smutek i słabość, towarzyszące od początku jego samotnej misji.

Musiał sobie przypomnieć, że sam wybrał tę ścieżkę. I że wciąż jeszcze najważniejszą rzeczą jest dla niego ukończenie misji. Teraz nie można już było pozwolić sobie na słabość czy wahanie, choć czuł, że toczą go od środka niczym rak. Wstydził się drżących dłoni i łez palących oczu.

Doszedł do wniosku, że najlepsze, co może zrobić, to odpocząć chwilę, a następnie wyjść do miasta i przejść się trasą przyszłej akcji. Czuł, że to mu pomoże uspokoić umysł, skupić się na istotnych sprawach.

Rozłożył na łóżku swój skromny dobytek. Ubrania rozprostował i powiesił w szafie. Zajęty krzątaniną, opanował się nieco. Wreszcie ułożył na kocu walizeczkę Pelican, w której trzymał fiolki z wirusem, trzy rozpylacze i dwa zbiorniczki aerozolowe. Przysunął sobie krzesło i opadł na nie ciężko. Łokcie wsparł na kolanach, a dłońmi podparł brodę. Tyle niszczącej siły w takich drobiazgach, pomyślał. Na wąskim łóżku spoczywała śmierć tysięcy, a może milionów ludzi. Oto w stolicy Stanów Zjednoczonych, w zatłoczonym schronisku młodzieżowym, siedzi samotnie Jedyny, siewca śmierci, który przejmuje się tym, co dziewczyna z Amsterdamu pomyślałaby o nim, gdyby wiedziała, jaki jest prawdziwy cel jego wyprawy za ocean.

Z niesmakiem potrząsnął głową i dopiero teraz przypomniał sobie, że może odebrać pocztę na miejscu - w sali komputerowej przeznaczonej właśnie do tego celu. Może czeka na niego e-mailowa wiadomość od Britty?

Youssef umieścił walizeczkę ze sprzętem w torbie i wsunął za łóżko. Wyszedł na korytarz i zamknął drzwi na klucz, a potem ruszył schodami w dół, z przyjemnością ćwicząc zastępe mięśnie. Po chwili był już na korytarzu w pobliżu głównego holu.

Ciemnoskóra dziewczyna o farbowanych włosach uśmiechnęła się, gdy ją mijał.

- Gdzie jest sala komputerowa? - spytał w przelocie.
- Tam - odpowiedziała, wskazując na koniec korytarza. - Obok automatów z colą.
- Dzięki.

Ruszył we wskazanym kierunku i wkrótce był już w sali, w której na długim stole ustawiono sześć I-Maców firmy Apple. Cienkie ścianki oddzielające komputery tworzyły coś na kształt indywidualnych stanowisk roboczych. Dwie maszyny były zajęte. Youssef usiadł przed najdalej stojącym komputerem, wszedł do Internetu i wywołał swoją skrzynkę hotmailową. Sprawdził jej zawartość. Wiadomości od Britty nie było, odezwał się za to ktoś, kto podpisał się jako Przyjaciel z Aten. Youssef otworzył list.

„Produkt, który panu dostarczyliśmy, został wycofany z powodu defektu fabrycznego. Proszę zajrzeć na naszą stronę internetową, by uzyskać informacje o procedurze zwrotu i wymiany towaru”.

Tylko tyle. Czyżby produkt naprawdę był wadliwy? Youssef nie mógł tego wykluczyć. Nie starał się specjalnie chronić próbek, bo powiedziano mu, że to nie będzie konieczne. Wirus został opracowany tak, by można było przenosić go za pomocą pocisków, i miał dobrze znosić przechowywanie przez dłuższy czas. Youssef raz jeszcze spojrzął na wiadomość. Wiedział, że nie powinien sprawdzać ukrytego w Internecie przekazu w sali komputerowej schroniska. Odwiedzanie strony pornograficznej, która służyła za kanał łączności, zwróciłoby na niego uwagę postronnych osób. Postanowił, że odczyta wiadomość później za pomocą laptopa. Pamiętał instrukcję na taką okazję - ktoś mądry przewidział, że wymiana „towaru” może być konieczna. Była środa, wyznaczonymi dniami kontaktu z łącznikiem z ambasady egipskiej były wtorki i czwartki. Może jednak uda się przeprowadzić dziś rekonesans, pomyślał Youssef.

Skasował wiadomość i wylogował się z sieci, po czym wrócił do swojego pokoju. Z zewnętrznej kieszeni torby wyjął plan miasta i zaczął analizować układ ulic wokół Muzeum Lotnictwa i Astronautyki oraz w okolicy ambasady egipskiej. Przesuwając palec po mapie, przemierzył dystans między dwoma obiektami, pomyślał jeszcze chwilę i wreszcie schował plan na powrót do torby. Rozpylacze ukrył w saszetce z przyborami toaletowymi, którą wraz z walizeczką wsunął pod łóżko, chroniąc je przed wzrokiem przypadkowych obserwatorów.

Był gotowy do wyjścia.

Główny hol był pełen gości schroniska, stłoczonych głównie wokół kontuaru recepcji. Niemal wszyscy byli w wieku Youssefa - mieli po dwadzieścia parę lat - i dźwigali plecaki przyozdobione różnymi gadżetami. Ich stroje, luźne i barwne, z daleka rzucały się w oczy, podobnie jak tatuaże, kolczyki i farbowane czupryny. Młody

Arab czuł się przy nich przeciętny w swych workowatych dżinsach i beżowym T-shircie. Miał wrażenie, że niewidzialna ściana oddziela go od rówieśników, zajętych beztruskimi pogawędkami, w których słyszał akcenty z całego świata. Dziewczyna, którą pytał o drogę do sali komputerowej, zauważyła go opodal wyjścia i uśmiechnęła się szeroko, jakby z nadzieją na nawiązanie bliższej znajomości, lecz Youssef to zignorował. Wyszedł na ulicę z pochyloną głową, zerkając na boki tylko po to, by zorientować się w terenie. Przy krawężniku stał biały autobus z głośno pracującym, pokrytym rosą klimatyzatorem umocowanym nad tylną szybą. Drzwi były otwarte. Obok Youssef zobaczył grupkę młodych ludzi w sportowych strojach, dosiadających rowerów górskich. Kobieta w lustrzanych okularach i kasku, spod którego wystawały proste, czarne włosy, spojrzała na niego przelotnie. Nie zwrócił na nią uwagi, zajęty własnymi myślami. Było gorąco, a od Muzeum Smithsonian dzieliła go długa trasa. Postanowił, że pojedzie autobusem. Podążył za stadkiem młodych turystów i zajął miejsce w tylnej części wozu, z dala od pozostałych pasażerów. Wyglądał przez okno, gdy autobus ruszał, odbijał od krawężnika i dołączał do kolumny pojazdów zmierzających ku National Mall. Kilkoro rowerzystów wyprzedziło autobus - przy tak intensywnym ruchu na ulicach mieli szansę dotrzeć do muzeum szybciej.

Pierwszy przystanek znajdował się naprzeciwko wejścia do gmachu Archiwum Narodowego, przed którym czekała długa kolejka chętnych do zwiedzania. Youssef wysiadł, stanął na rogu ulicy i spojrzał na granitową bryłę budynku oraz na ozdobne litery nad gzymsem. W promieniach słońca gmach rzucał na jezdnię wielki, poszarpany cień. Młody Arab odwrócił się plecami do archiwum i ruszył przed siebie, na drugą stronę ulicy, ku ocienionemu drzewami miejscu zwanemu Narodowym Ogrodem Rzeźby. Poszedł dalej Siódmą Ulicą, czując coraz bardziej dotkliwy żar słońca na głowie i ramionach. W wilgotnym powietrzu szybko poczuł pod koszulką krople potu. Po miesiącach spędzonych w umiarkowanym klimacie Amsterdamu, upał i wilgoć wydawały mu się nieznośne. I wtedy zobaczył otyłego, czarnoskórego mężczyznę w luźnej, obwisłej koszuli, który siedział na stołku obok wózka załadowanego butelkami z wodą oraz przy stojaku z czapkami i kapeluszami, koszulkami i pocztówkami.

Youssef zatrzymał się i sięgnął do kieszeni po zwitek banknotów.

- Dwie butelki wody proszę.

- Dwie butelki dla pana - odrzekł Murzyn, wprawiony w ruch jednym życzeniem klienta. Sięgnął do wiaderka wypełnionego lodem i wodą, by wyciągnąć zeń dwie dobrze schłodzone litrowe butelki. - Duże? Opłaca się.

- Tak, duże - zgodził się Youssef. Wręczył sprzedawcy kilka banknotów i wziął od niego butelki. Jedną schował do torby na później, a drugą od razu otworzył, by z rozkoszą pociągnąć solidny łyk.

- Za gorąco, żeby tak sobie spacerować, mój panie - odezwał się Murzyn. - Przydałoby się panu coś na głowę. Ma pan jakąś czapkę? Bo ja mam bardzo tanie. W takim upale bez nakrycia głowy ani rusz.

Sprzedawca sięgnął po czapkę baseballową z napisem FBI.

- Niech pan przymierzy.

Youssef potrząsnął głową i wierzchem dłoni otarł z czoła strumyki potu.

- Dobra, to może coś takiego? - nie ustępował sprzedawca.

Odłożył czapeczkę i zdjął ze stojaka zwykły słomkowy kapelusz.

- Kupił pan wodę, więc jako klientowi dam panu upust. Pięć dolarów i ma pan kapelusz. W taki dzień tylko samobójca chodzi z gołą głową.

- Zgoda - odparł Youssef.

Podał czarnoskóremu banknot, wziął kapelusz i wcisnął sobie na głowę.

- Pan z daleka? - zagadnął sprzedawca.

- Z Amsterdamu.

- Nie wygląda pan na Holendra.

- Holendrzy bywają różni.

- Pewnie tak. Podoba się panu w Ameryce?

Youssef poprawił kapelusz i znowu napił się wody z niemal pustej już butli.

- Ruchliwie tu - odpowiedział. - Tłoczno. I chyba bardzo bogato.

Murzyn roześmiał się głośno.

- Och, ruchliwie i tłoczno to na pewno. Ale niech pan się nie da oszukać, wielu bogaczy tu nie mamy. Jasne, że trochę ich jest, lecz większość ludzi musi się napracować, żeby przyzwycić żyć.

Youssef skinął głową. Dopił resztkę wody i oddał sprzedawcy pustą butelkę.

- Suszyło pana, co? Radzę uważać, w taką pogodę łatwo się odwodnić. A przecież nie chcielibyśmy oglądać holenderskich gości mdlejących z wysiłku, prawda? Na pewno nie weźmie pan jeszcze jednej butelki?

- Nie, dziękuję - odparł Youssef. - Gdzie jest Muzeum Lotnictwa i Astronautyki?

- Właśnie pan na nie patrzy - odparł Murzyn, wskazując na szeroki trawnik przed szklaną elewacją budynku po drugiej stronie ulicy. - A po tej stronie mamy Narodową Galerię Sztuki.

- Dzięki - rzucił Youssef i odszedł niespiesznie, by dołączyć do tłumu turystów maszerujących w szortach i z aparatami fotograficznymi na piersiach.

Przy krawężniku zatrzymał się wielki autokar i wypluł na chodnik hordę gości z Japonii. Przewodniczka zaczęła swoją tyradę, wspomagając się wytrenowanymi ruchami chorągiewką.

- A tutaj widzimy Narodową Galerię Sztuki...

Youssef podążył za grupą po schodach, lecz po chwili zatrzymał się i usiadł na stopniu. Miał wokół siebie jeszcze kilku miłośników ostrego słońca. Z miejsca, w którym siedział, rozciągał się świetny widok na ławki przed Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, choć dzieliła go od nich odległość ponad stu metrów. Mógł też obserwować ludzi spacerujących po parku i kręcących się przy schodach muzeum. Umundurowani strażnicy pilnujący wejścia do gmachu jakoś nie interesowali się ławkami; rozmawiali ze sobą, czasem odpowiadali na pytania turystów. Wracali do budynku na zmianę, co piętnaście minut. Youssef zauważył kamery zainstalowane na bocznej ścianie muzeum, ale wszystkie skierowane były na bezpośrednie sąsiedztwo gmachu, żadna nie obejmowała ławek. Nie dostrzegł też nikogo, kto przyglądałby się temu miejscu zbyt bacznie. Na parkingu przed muzeum zauważył kilka furgonetek, w których teoretycznie mogły się ukryć ekipy obserwacyjno-nasłuchowe.

W sumie jednak miejsce wyglądało na bezpieczne.

Grupa rowerzystów nadjeżdżała żwirową ścieżką wiodącą wzdłuż granicy trawiastej połaci parku. Youssef od razu ich rozpoznał - byli to ci sami ludzie, których widział przed wejściem do schroniska. Jeden z nich odłączył się od pozostałych, podjechał do ławek przed muzeum i zatrzymał przy sąsiadującej z tą, na której Youssef zamierzał usiąść następnego dnia. Rowerzystka - bo teraz dopiero dotarło do niego, że to kobieta - zdjęła kask i potrząsnęła długimi, ciemnymi włosami, po czym wyjęła chustę z kieszeni szortów, by otrzeć pot z czoła i szyi. Sięgnęła po bidon przyczepiony do ramy roweru i przechyliła go energicznie, by pociągnąć długi łyk. Nawet z tej odległości Youssef mógł docenić jej urodę. Zaraz też wrócił myślą do Britty.

A potem wstał i otrzepał spodnie, na pośladkach wilgotne od potu. Zszedł na poziom ulicy, gdzie z żółtej taksówki wysiadła właśnie grupka czworga turystów.

- Czekaj! - zawołał do kierowcy, który odpowiedział skinieniem głowy. Youssef schylił się i z ulgą wskoczył do klimatyzowanego wnętrza. Zatrzasnął drzwi i powiedział: -Poproszę do egipskiej ambasady.

Kierowca kiwnął głową i ruszyli.

Isabelle obserwowała Youssefa od dłuższego czasu. Łatwo było jechać za autobusem - dystans był dość krótki, a intensywny ruch na ulicach sprawiał, że rower był szybszym środkiem transportu niż samochód. Upał utrudniał sprawę, ale Isabelle miała dobrą kondycję i nawykła do trudów. Ignorując wezwania opiekuna wycieczki rowerowej, w odpowiednim momencie oddzieliła się od grupy i zatrzymała w miejscu, z którego mogła obserwować młodego Araba. Była pewna, że musi istnieć powód ważniejszy niż chęć podziwiania widoków, by o tej porze zasiąść na skąpanych w słońcu schodach galerii. Miała wrażenie, że Youssefa interesuje jedynie Muzeum Lotnictwa i Astronautyki; w ogóle nie obchodziło go to, co działo się dokoła. Doszła do wniosku, że nie będzie mu łatwo upewnić się, czy nie jest obserwowany - okolica była zbyt ruchliwa, pełna ludzi i samochodów. Z drugiej strony, jeśli ktoś go śledził, to w takim miejscu miał szczególnie trudne zadanie. Być może więc był to odpowiedni punkt potajemnych spotkań. Youssef dotarł tu jednak najkrótszą drogą, nawet nie próbując kluczyć. Nie udawał, że idzie na spotkanie czy spaceruje i podziwia zabytki, niczym typowy turysta.

Isabelle zakłęła pod nosem, gdy zobaczyła, że młody Arab wsiada do taksówki. Nawet nie próbowała pędzić za nią - wóz włączył się do intensywnego ruchu na Siódmej Ulicy i już po chwili zniknął za rogiem. Teraz musiała zaczekać na Youssefa gdzieś przy schronisku, co mogło być ryzykowne, bo nie chciała zbyt skracać dystansu. Czarna peruka potęgowała działanie słońca. Isabelle zdjęła okulary przeciwsłoneczne, chustą otarła pot z czoła i wyprężyła grzbiet, by pozbyć się skurczu. Po chwili rozejrzała się i zatrzymała spojrzenie na bramie Muzeum Lotnictwa i Astronautyki. Tłumy przewalały się w tę i z powrotem, Isabelle zaś zastanawiała się, co też mogło przyciągać tu Youssefa bin Hassana. Miała przykrą świadomość, że sama obserwacja może nie wystarczyć do rozwikłania tej zagadki.

Być może konieczne będzie wydobycie informacji siłą.

W stojącej po przeciwnej stronie ulicy furgonetce, w której pocili się dyżurni obserwatorzy, laptop zadźwięczał ostrzegawczo, a fragment nagrania wideo z ukrytej kamery znieruchomiał nagle na ekranie obok zdjęcia kobiety odpowiedzialnej za strzelaninę w Minneapolis. Na ekranie błyskał rytmicznie napis: „Pozytywna identyfikacja”.

Kierowca taksówki robił co mógł, by przedrzeć się przez leniwy nurt samochodów płynących ulicami wokół ambasady Egiptu. Mimo to Youssef miał dość czasu na zapamiętanie układu ciągów komunikacyjnych i budynków w całej okolicy. A była to okolica przyjemna, pełna uroczo odrestaurowanych domów. Stare, kolonialne rezydencje zamieniono w biura i ambasady. Taksówka zwolniła, zbliżając się do egipskiego przedstawicielstwa.

- Chciałem tylko popatrzeć - powiedział Youssef. - Nie musi pan zatrzymywać.
- To dokąd w końcu jedziemy? - spytał kierowca, chudy Murzyn z kozią bródką, porządnie spocony mimo dobrze działającej klimatyzacji.
- Do Międzynarodowego Schroniska Młodzieżowego.
- Trzeba było mówić wcześniej...
- Przepraszam. Po prostu chciałem zobaczyć budynek ambasady.
- Jest pan Egipcjaninem?
- Mój ojciec był.
- No to chyba pan też?
- Pewnie tak.

Taksówkarz parsknął z cicha i z westchnieniem na powrót włączył się do ruchu. Youssef jeszcze przez moment przyglądał się otoczonej murem rezydencji. Przy bramie zauważył dwóch wartowników. Po chwili jechali już ulicą z ciągami sklepów. Youssef dostrzegł między nimi szyld kawiarni internetowej. Dobrze wiedzieć, pomyślał. Zapamiętał też położenie skrzynki pocztowej, na której następnego dnia miał zostawić znak.

Rekonesans dobiegł końca. Nadszedł czas na posiłek i sen. Kolejny dzień zapowiadał się dość pracowicie.

Ray Dalton odwrócił składane krzesło i usiadł na nim okrakiem, krzyżując ramiona na oparciu. W sali konferencyjnej panował wyjątkowy bezruch. Asystenci i operatorzy sprzętu zajęli się swoimi sprawami. Dalton i Payne zostali sami. Charley odchylił się z krzesłem, potarł oczy pięściami i powiedział:

- I co?

- Żadnych śladów?

- Nic - odparł Charley. - Absolutnie nic. Więc czekamy. Wydarzyło się tylko tyle, że przeczytał wiadomość e-mailową.

- Więc już tu jest.

- Tak.

- Co z instrukcjami na stronie internetowej?

- Nasi hakerzy bardzo się postarali. Spreparowana wiadomość jest tam, gdzie powinna być.

- Sądysz, że coś z tego będzie?

- To nasza największa szansa. Facet dostał polecenie ignorowania wszelkich rozkazów nakazujących mu przerwanie misji. Absolutnie bezpieczny układ. Dlatego nie wciągniemy go w pułapkę inaczej, jak tylko organizując spotkanie.

Ray skinął głową.

- Gadałeś ze strzelcami?

- Tak. Dobrzy są. Już rozmawiają z ekipą z Centrum Kontroli Chorób.

- Mamy też ludzi z Fort Detrick.

- Im więcej nas, tym weselej - mruknął Charley, - Ale nie będziemy ich potrzebować, póki nie zwiniemy chłopaczka. Wtedy będziesz mógł spuścić ze smyczy tylu łowców zarazków, ilu tylko zechcesz.

- Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Wystarczy, że będziesz podpisywał czeki, Ray. Naprawdę. Jesteśmy gotowi.

Odwrócili się jednocześnie, gdy jasnowłosa asystentka o nerwowo ściągniętej twarzy weszła do sali, kierując się prosto ku jednemu ze stanowisk komputerowych.

- To was powinno zainteresować. Trafiliśmy - powiedziała, wystukawszy coś na klawiaturze.

Charley i Ray obeszlili stolik i spojrzeli na ekran. Zobaczyli portret Isabelle Andouille i National Mall w tle. W obraz wkomponowana była mniejsza fotografia z Minneapolis.

- To jedna z nich, prawda? - powiedziała asystentka. - Bliźniaczka.

- Co, u diabła, ona tutaj robi? - warknął Ray.

Charley przysiadł obok asystentki. Kilku operatorów wróciło do sali i wszyscy stanęli za jego plecami, ale nie zwrócił na nich uwagi.

- Opowiadaj - odezwał się po chwili. - Chcę wiedzieć, jak to było.

Kobieta znowu zaczęła uderzać w klawisze. Rozluźniała się stopniowo.

- Było tak: pięć minut temu koledzy wrzucili jej zdjęcie do skanera, po tym jak przyjechała z grupą rowerzystów, oddzieliła się od nich i zbliżyła do ławek. Nie stanęła przy tej, która nas interesuje, ale przy sąsiedniej. Zdjęła kask i okulary, napiła się, a potem wsiadła na rower i odjechała.

- Co jeszcze robiła? - drążył Charley.
- Nic. Spojrzała na Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, ale nie tak, jakby kogoś obserwowala.
- Wiemy coś o tym, co robiła wcześniej?
- Tylko tyle, że jechała z grupą rowerzystów. Kiedy się odłączyła, przejechała przez trawnik prosto do ławki. Nic więcej.
- Czego mogła szukać? - spytał Ray.
Charley poklepał asystentkę po ramieniu.
- Dzięki. Dobra robota.
Popatrzył na ekran, na znajomą twarz Isabelle. Co tu robi? Co mogło sprowadzić ją do Stanów, jeśli nie sprawa Jedynego?
- Ona chce nas do niego zaprowadzić - powiedział Charley.
- Co? - Ray spojrział na niego ze zdumieniem.
- Tak jak to zrobiła w Amsterdamie. Z jakiegoś powodu idzie jego śladem, chce go znaleźć i nam przekazać... Albo zlikwidować. Zapewne wie o Smutnych Wakacjach.
- To dość naciągana hipoteza. Skąd miałyby wiedzieć?
- A z jakiego innego powodu miałyby tu przyjeżdżać akurat w tym momencie? Nie odważyłyby się z Marie na kolejną akcję w Stanach po tym, jak dostały od nas ostrzeżenie. Na pewno chodzi o Smutne Wakacje.
Charley odwrócił się ku asystentce i dodał:
- Wiemy, dokąd się udała?
Kobieta pokręciła głową.
- Nasi ludzie zostali na posterunku. Zanim się połapaliśmy, zdążyła odjechać. Wszystko zgodnie z rozkazem: mieli nie ruszać się z miejsca, póki nie zidentyfikują Jedynego. Więc zostali. Możemy wprowadzić na miejsce dodatkowy zespół, niech patrolują okolicę. Może wypatrzą tę Andouille?
- Zajmij się tym - polecił Charley. - I wyślij ostrzeżenie całemu zespołowi: Jedyne jest gdzieś w pobliżu.
- Jesteś pewien? - spytał Ray.
- O, tak - odparł Charley tonem łowcy, który odnalazł trop zwierzyny. - On tu jest. A Isabelle doprowadzi nas prosto do niego.

OKOLICE AMBASADY EGIPTU WASZYNGTON, STANY ZJEDNOCZONE

Po długiej nocy wypełnionej przykrymi, na wpół zapamiętanymi snami Youssef obudził się zmęczony, ale szybko przygotował się do działania. Dotarł w pobliże egipskiej ambasady i zatrzymał się przed witryną kafejki internetowej, którą zauważył poprzedniego dnia podczas rekonesansu. Lokal nazywał się „U Cyber-Joego”, jak głosił napis na drewnianym szyldzie, na którym znalazły się też obrazki filiżanki z parującą kawą oraz otwartego laptopa. W środku rzeczywiście pachniało świeżą kawą. Przy większości stolików siedzieli pierwsi poranni goście, zajęci lekturą „Washington Post” i sączeniem małej czarnej. Na blatach pod ścianami stały rzędy I-Maców, osobno zaś urządzono boksy z minibiurkami.

- Czym mogę służyć? - zapytał mężczyzna stojący za kontuarem. Miał na sobie czarną koszulkę i czarne dżinsy, a w jego gestach i sposobie mówienia znać było zniewieścienie, które wyprowadziło Youssefa z równowagi.

- Czy tam są boksy do pracy na laptopach? - spytał.

- Właśnie tam. Chcesz skorzystać?

- Tak.

- Więc zapraszam, zajmę się tobą, kolego.

Gospodarz wydawał się rozbawiony zachowaniem Youssefa. Przyjął od niego gotówkę i wydał resztę drobnymi monetami, przez krótką chwilę dotykając palcami dłoni chłopaka.

- Proszę - powiedział. - Podać kawę?

- Nie - odparł Arab.

Cofnął rękę i wrzucił monety do kieszeni, a następnie wytarł dłoni o nogawkę spodni. Gospodarz oczywiście dostrzegł ten gest.

- Jak chcesz, kolego - rzekł mniej uprzejmie. - Dobrej zabawy.

Youssef zajął najdalszy boks w pobliżu okna. Podłączył kabel T-1 do wejścia Ethernet w laptopie i zalogował się. Rozejrzał się ostrożnie. Gej zza kontuaru zerknął na niego przelotnie i odwrócił głowę. Youssef wpisał numer URL będący adresem płatnej strony pornograficznej. Wybrał opcję „Członkowie” i w oknie dialogowym podał hasło. Gdy otworzyła się strona z ikonami, odnalazł w długim rzędzie tę podpisaną słowem „Nastolatki”. Kliknął i po chwili na ekranie ukazały się miniaturki zdjęć. Długo przewijał stronę w dół, nim znalazł plik zatytułowany „Samantha”. Otworzył powiększony obraz i zobaczył na ekranie młodą brunetkę o wygolonym kroczu, nadziewającą się na wielki, czarny, plastikowy członek. Zapisał zdjęcie na twardym dysku, opuścił stronę pornograficzną i wylogował się z Internetu. Chwilę później kliknął na miniaturze obrazka i brunetka ponownie pojawiła się na ekranie. Kilkoma uderzeniami w klawisze uruchomił program, który przeczesał kod tworzący zdjęcie i wydobyl z niego linię ukrytą gdzieś wśród bitów tworzących udo dziewczyny. Youssef przeniósł ją na pulpit i uruchomił program deszyfrujący, który zamienił ciąg zer i jedynek na wiadomość tekstową: „Produkt, który otrzymałeś w Amsterdamie, jest wadliwy. Zamień go na nowy u lokalnego łącznika”.

Youssef wpatrywał się przez chwilę w treść wiadomości, a potem wykasował tekst, linię kodu oraz pornograficzne zdjęcie. Odłączył komputer, wyszedł z boksu i ruszył w stronę kontuaru. Gospodarz niespiesznie uniósł głowę znad gazety, którą czytał.

- Tak? - spytał wreszcie.

- Podobno jest w pobliżu sklep z artykułami malarskimi. Gdzie go znajdę?

Gej zlustrował go uważnym spojrzeniem.

- Nie wyglądasz mi na artystę, kolego.

- Sklep - powtórzył natarczywie Youssef. - Gdzie go znajdę?

- Wyjdiesz, skręcisz w prawo i pójdziesz prosto. Na pewno trafisz. Tylko uważaj, żeby ci drzwi tyłka nie przytrzasnęły, kochasiu.

Youssef drżącymi rękami włożył laptopa do torby. Omal jej nie upuścił, siłując się z drzwiami. Cichy śmiech mężczyzny jeszcze długo dźwięczał mu w uszach.

Wyszedłszy na ulicę, Jedyne przystanął i wystawił twarz do słońca, jakby chciał oczyścić się kąpielą w jego promieniach. Zdjął z głowy słomkowy kapelusz, ale zaraz włożył go ponownie, gdy przez gęste włosy poczuł falę gorąca. Przewiesił torbę przez ramię i ruszył ulicą. Wkrótce zauważył szyld sklepu, widoczny co najmniej z odległości jednej przecznicy. Widniał na nim rysunek palety z farbami oraz napis „Artykuły malarskie”.

Youssef wszedł do sklepu i rozejrzał się po długich rzędach półek. Wreszcie zadał pytanie przechodzącemu opodal sprzedawcy:

- Przepraszam, gdzie znajdę krede?

- Trzeci rząd, w połowie długości, po prawej stronie.

Youssef wziął z półki paczkę zwykłej białej kredy i poszedł prosto do kasy.

Zapłacił i wyszedł, by zaraz otworzyć opakowanie, wyjąć kawałek kredy i schować go do kieszeni, w której mógł zaciskać na nim dłoń. Resztę kredy schował do torby.

Od skrzynki pocztowej przy ambasadzie Egiptu dzielił go już tylko krótki spacer.

Po drugiej stronie ulicy Isabelle szła równoległym kursem, trzymając się nieco w tyle. Wyteżala wszystkie zmysły, bo instynkt podpowiadał jej, że coś jest nie tak z młodym Arabem. W schronisku trzymał się z daleka od innych gości, a na ulicy nie próbował zachowywać nawet najbardziej elementarnych środków ostrożności. Tak jakby mu nie zależało albo jakby jego pewność siebie osiągnęła poziom całkowitej bez troski. Isabelle nie była pewna, która możliwość wchodzi w grę, ale jedno nie ulegało wątpliwości: Youssef nie zachowywał się jak operator w samym sercu wrogiego terytorium. Sprawiał wrażenie pogrążonego we własnych myślach i nie interesował się otoczeniem, jakby coś zaprzętało jego uwagę. Była to dość frustrująca sytuacja - obserwując osobliwe zachowanie Araba, Isabelle w żaden sposób nie potrafiła odgadnąć, jakie są jego intencje. W kawiarni internetowej najprawdopodobniej otrzymał e-mailową wiadomość zawierającą nowe instrukcje; w Amsterdamie postępował podobnie. Nie ośmieliła się jednak podejść na tyle blisko, by przekonać się o tym na własne oczy. Przebranie zabezpieczało ją wystarczająco dobrze, ale jedynie na odległość. Gdyby stanęła oko w oko z Youssefem, zapewne by ją rozpoznał - musiał ją pamiętać z długiego lunchu i spotkań w Amsterdamie.

Isabelle zapanowała nad frustracją i skupiła się na obserwowaniu ulicy. Arab wciąż ignorował otoczenie, lecz ona nie mogła sobie na to pozwolić. Tu, w Waszyngtonie, szczególnie aktywnie działały liczne agencje rządowe oraz wywiady obcych państw i amerykański, nie wspominając o lokalnej policji. Isabelle pracowała

tu już w przeszłości i była pewna, że potrafi o siebie zadbać, lecz tym razem po prostu nie miała pojęcia, dokąd zaprowadzi ją Youssef. Niebezpieczne wydawało się jej również to, że poruszają się w tak cichej dzielnicy, wzdłuż ulic ocienionych drzewami i szeregowych, zadbanych domów, z których wiele było siedzibami ambasad. Ochrona policyjna siłą rzeczy musiała tu być bardziej szczelna niż w innych rejonach miasta. Isabelle starała się wyglądać na turystkę - miała na sobie luźną dżinsową sukienkę do kolan, wielki słomkowy kapelusz i duże czarne okulary przeciwsłoneczne na nosie. W okazałych rozmiarów torbie na ramię niosła na wpeł wystający przewodnik i plan miasta. Szła wolno, by nie zbliżyć się zbyt blisko do obserwowanego. Miała wiele czasu na to, by zastanawiać się, dlaczego Youssef wlece się ze zwieszoną głową, a jego ramiona są pochylone, jakby spoczywał na nich wielki ciężar.

Marcus Williams i Robert Sanders siedzieli w białej, acz mocno zakurzonej furgonetce, zaparkowanej za rogiem ulicy, tuż obok egipskiej ambasady, dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym Jedyny miał zostawić dyskretny znak na skrzynce pocztowej. Zasilane akumulatorem wentylatory mieszały gęste powietrze, a wiaderko z suchym lodem stojące przed nimi miało stanowić namiastkę klimatyzacji. Mimo to obaj mężczyźni ociekali potem.

Jeden z monitorów był podłączony na stałe do minikamery, którą zamocowano tuż przy wewnętrznej ścianie na wysokości małego otworu w karoserii. Obiektyw był skierowany na skrzynkę, a w kadrze mieścił się każdy, kto przechodził obok niej. Drugą kamerę ukryto w cieniu atrapy wlotu powietrza na dachu furgonetki. Istniała możliwość sterowania jej położeniem w dwóch płaszczyznach, a także robienia zbliżeń, gdyby w okolicy pojawił się interesujący cel. Obraz z kamer przekierowywany był dalej, do małego serwera zasilanego akumulatorem. Komputer zajmował się nieustanną obróbką nadsyłanych obrazów - ujęć twarzy, które ukazywały się na monitorze. Podczas porannych godzin szczytu, gdy wielu ludzi spieszyło do pracy, operatorzy mieli pełne ręce roboty. Przechodnie co chwilę zatrzymywali się przy skrzynce i wrzucali list, po czym odchodzili w stronę pobliskiego przystanku autobusowego lub w innym kierunku. Komputer nie znalazł wśród sfilmowanych twarzy ani jednej odpowiadającej wzorcowi. Od tamtej pory przy skrzynce pojawiło się tylko kilka osób.

Williams sprawdził kabel zasilający serwer i spojrzął na wskaźnik naładowania akumulatora. Mieli dość mocy, by pozostać tu do końca dnia. Wyłowił kolejną butelkę wody mineralnej z wiaderka, w którym topniał lód.

- Wody? - spytał, podając Sandersowi mokrą flaszkę.

- Tak - odparł Sanders. - Dzięki.

Otworzył litrową butelkę i opróżnił ją szybkimi łykami. Williams popatrzył na niego, a potem wskazał na czterolitrowy pojemnik w połowie wypełniony uryną.

- Jak będziesz tak złopał, znowu będziesz musiał się odlać.

- Wiem, wiem - odparł Sanders. - Ale nie zamierzam się odwodnić. Jest cholernie gorąco, po co ryzykować?

Williams wzruszył ramionami i pociągnął łyk z butelki, którą wyjął dla siebie. Przeplukał usta, zanim połknął chłodną wodę.

- Chcesz się zamienić?

- Jasne.

Sanders wstał ze stołka, przecisnął się obok partnera i ułożył na wąskim leżaku, z którego chwilę wcześniej podniósł się Williams.

- Nie wiem, jakim cudem wciskasz dupę w coś takiego -poskarżył się.

- Trzeba dbać o linię.

Głośnik radia zatrzeszczał cicho.

- OP, tu Zero, próba łączności.

Sanders sięgnął po mikrofon i odpowiedział:

- Zero, tu OP, słyszę cię doskonale.

- Zero bez odbioru.

- Payne znowu dorwał się do radia? - mruknął Williams.

- Na to wygląda. Lubi trzymać rękę na pulsie.

- Pewnie czuje oddech szefa na karku.

Głośnik zatrzeszczał ponownie.

- OP, tu Spluwa, próba łączności.

- Spluwa, tu OP. Słyszę cię doskonale.

- Przyjąłem. Spluwa bez odbioru.

Sanders odwiesił mikrofon.

- Szkoda mi strzelców - powiedział. - Jest diabelnie gorąco, a oni nie mają klimatyzacji.

- Przeżyją - mruknął Williams. Poprawił jeden z wentylatorów, by strumień powietrza dmuchał mu prosto w twarz. - Okazuje się, że nasłuch i obserwacja to całkiem niezła działka, co? Ty też mógłbyś ganiać teraz po ulicy i pocić się ze strzelcami.

- Taa - odrzekł Sanders. - A tymczasem pocę się z tobą. Super działka.

Na ekranie pojawił się młody, śniady mężczyzna w słomkowym kapeluszu, z torbą kurierską przewieszoną przez ramię, zmierzający wprost ku skrzynce pocztowej.

Youssef przez pewien czas trzymał się na uboczu, stojąc w cieniu drzewa, oparty o betonowy kwietnik, i popijał wodę z butelki. Nie wyróżniał się z tłumu przechodniów szukających choć odrobiny wytchnienia od nieznośnego skwaru. Obserwował skrzynkę pocztową i najbliższą okolicę, szukając charakterystycznych szczegółów: osób podejrzanie długo pozostających w tym samym miejscu, zaparkowanych aut z pasażerami oraz furgonetek i ciężarówek, które nie pasowały do otoczenia. Kłopot polegał na tym, że na pobliskich ulicach pełno było takich osób i pojazdów, a zachowanie, które Youssef nauczył się rozpoznawać jako podejrzane, tutaj najwyraźniej było normą. W zwykły dzień roboczy ulica tętni swoim rytmem - wyznacza go ruch pieszych i samochodów. Youssef długo i bezskutecznie próbował wczuć się w niego, by wyłapać dysonanse, aż wreszcie po kilku minutach, powodowany rosnącym zniecierpliwieniem, uznał, że najlepiej będzie po prostu robić swoje.

Niestety, im dłużej zwlekał, tym mniejszą miał ochotę do działania.

Zaskoczyła go ta myśl. Nigdy dotąd nie rozważał świadomie możliwości odpuszczenia sobie spotkania z łącznikiem. Jak właściwie miałby to zrobić? Tak po prostu porzucić misję? Zrezygnować z roli Jedynego? Myśl była dziwna, lecz coraz bardziej natarczywa. W końcu odsunął ją od siebie, tak jak wspomnienia o Britcie. Skoncentrował się na zadaniu, które miał do wykonania.

Wziął głęboki wdech, jakby skakał na główkę do basenu, i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdy zapaliło się zielone światło. Zaraz potem skręcił w lewo i na moment został sam, gdy reszta pieszych poszła swoją drogą. Wsunął dłoń do kieszeni i zacisnął palce na długim kawałku kredy. Serce waliło mu jak młotem. Zatrzymał się na krótką chwilę, jakby nagle zapragnął podziwiać kolonialną architekturę. Wreszcie ruszył dalej, tym razem prosto ku niebieskiej skrzynce. Przystanął przy niej, wyjął rękę z kieszeni i spróbował nakreślić linię na bocznej ścianie.

Kreda pękła mu w palcach, a jej okruchy pozostawiły na porządnie pomalowanej, metalowej powierzchni tylko ledwie widoczny ślad. Spróbował jeszcze raz. Kreda zapiszczała przeraźliwie na gładkiej powłoce i tylko małe drobiny zatrzymały się w nielicznych nierównościach. Youssef wstrzymał oddech, czując, że ogarnia go panika. Zbyt dużo czasu zmarnował przy celu. Wyciągnął rękę z resztką kredy ku betonowemu kwietnikowi tuż obok skrzynki i zostawił na nim długą, poziomą linię. Potem włożył kredę do kieszeni i odszedł pospiesznie.

Przełożeni nie mogli przecież rozkazać mu, by zostawił znak na powierzchni, na której po prostu nie można pisać. Z pewnością chodziło im o betonowy kwietnik, rozumował, który dobrze przyjmuje kredę. Youssef miał nadzieję, że właśnie tak było. Ogarnięty przemożnym poczuciem zagrożenia przyspieszył kroku. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że na przystanku w pobliżu skrzynki zatrzymuje się autobus. Wiedziony strachem, zawrócił i wskoczył na stopień.

- Ile płacę? - spytał, podając kierowcy garść drobnych. - Jestem nietutejszy.

Kierowca, szczupły Latynos o zroszonej potem twarzy, ubrany w błękitną służbową koszulę z ciemnymi plamami wilgoci pod pachami i na plecach, wybrał kilka monet i wrzucił do kasetki, a potem oderwał bilet z rolki w drukarce i podał Youssefowi.

- Dziękuję - powiedział Arab.

Autobus ruszył. Youssef przeszedł na sam koniec wozu i zajął ostatnie miejsce, bokiem do kierunku jazdy. Mógł dzięki temu obserwować skrzynkę. Nie zauważył niczego nowego, a jednak coś, może szósty zmysł ściganej zwierzyny, kazało mu uciekać. Spoglądał na skrzynkę tak długo, aż zniknęła mu z oczu. Wtedy się odwrócił, ale po chwili jeszcze raz obejrzał się przez ramię.

- Masz go? - syknął Williams. - Masz go? Tego w kapeluszu.

Sanders w pośpiechu manipulował pokrętłem, sterując kamerą ukrytą pod atrapą wlotu powietrza.

- Zgubiłem go! Niech to szlag! - warknął Sanders. - Odchodzi.

- Sfilmowałeś twarz?

- Tak... tylko że kapelusz utrudnia sprawę, rzuca na twarz cień... - mamrotał Sanders, przebiegając palcami po klawiaturze. - Wyślij za nim ludzi.

Williams chwycił mikrofon.

- Tu OP, do wszystkich jednostek: mamy podejrzanego. Śniady mężczyzna, wzrost mniej więcej metr osiemdziesiąt, luźne dżinsy, beżowy T-shirt, słomkowy kapelusz i torba na ramieniu. Zdaje się, że próbował zostawić znak na skrzynce.

Dwie najbliższe jednostki uliczników przystąpiły do działania: z obu wozów wyskoczyli operatorzy. Jeden pobiegł na narożnik, skąd widać było odjeżdżający autobus, drugi zatrzymał się przy skrzynce, by przyjrzeć się śladom kredy i kawałkom leżącym na ziemi. Podniósł okruch kredy i powiedział do mikrofonu wpiętego w klapę:

- Zero, tu Spluwa Jeden. Widzę kawałki kredy. Ktoś zostawił znak na kwietniku obok skrzynki pocztowej.

- Spluwa Jeden, tu Zero. Gdzie on jest?

- Nie widzę go na ulicy. Sądzę, że wsiadł do autobusu, który przed chwilą odjechał.

- Wszystkie jednostki za autobusem. - W głosie Payne'a słychać było napięcie.

Czuwający na rogu ulicy zobaczył, jak autobus zatrzymuje się na kolejnym przystanku. Ignorując zdziwione spojrzenia przechodniów, zameldował coś do mikrofonu w klapie, a potem wybiegł na jezdnię i dał znak partnerowi czekającemu w samochodzie.

Sanders uruchomił program obróbki obrazu, by przyjrzeć się bliżej zdjęciom podejrzanego.

- Nie ma idealnej zgodności. System potwierdza na siedemdziesiąt sześć procent. Kapelusz i cień utrudniają identyfikację.

- Facet zostawił ślad kredą, to dokładnie ten znak. którego oczekiwaliśmy - odparł Williams. - Jak go nazwiemy?

- Ja bym go nazwał Celem - odpowiedział Sanders.

Williams sięgnął po słuchawki z mikrofonem.

- Zero, tu OP, nadajemy podejrzanemu kryptonim Cel Jeden, powtarzam: Cel Jeden.

- Tu Zero, przyjąłem, OP. Potwierdzam: Cel Jeden. Do wszystkich jednostek: Cel Jeden znajduje się w pobliżu.

Odłożywszy mikrofon, Charley poderwał się z krzesła w takim tempie, że obróciło się kilka razy. Wraz z Rayem wybiegli z sali i popędzili korytarzem do windy ekspresowej, która zawiozła ich do podziemnego garażu. Wskoczyli do czarnego chevroleta suburbańskiego z przyciemnionymi szybami. Na jednej z ławek w kabinie siedzieli dwaj strzelcy w skórzanych kurtkach, sprawdzający przed akcją pistolety maszynowe MP-5.

- Jak szybko możemy dotrzeć na miejsce? - spytał Charley kierowcę.

- Przy takim natężeniu ruchu? Za pół godziny, może czterdzieści minut.

- A z kogutem?

- Kogut nie sprawi, że inne wozy znikną z ulic.

- Są tam nasi ludzie - odezwał się Ray. - Miej trochę wiary, na pewno zrobią, co do nich należy.

- Powiniennem być pójsć z nimi - odparł Charley.

- Niech robią swoje - odrzekł Ray, po czym pokręcił gałką radia, by lepiej słyszeć rozmowy uliczników. - A my się spieszymy.

W furgonetce służącej za stanowisko obserwacyjne Sanders i Williams spojrzeli po sobie i przybili piątkę.

- Teraz wszystko w rękach uliczników i strzelców - stwierdził Williams.

- Chciałbym być teraz z nimi - westchnął Sanders. Wytarł dłonie o nogawki i sięgnął po butelkę z wodą. - A ty nie?

Williams przestawił wiatraczek.

- Ja już się w życiu nabiegałem i nastrzelałem. Podoba mi się to, co tu robię. Niech młodszy latają ze spluwami.

Sanders parsknął z cicha i odgarnął z czoła kosmyk włosów.

- Pozwalasz, żeby wiek dyktował ci, co masz robić.

- Zobaczymy, co powiesz, kiedy stuknie ci czterdziestka, młodzieńcze.

Głośnik monitora zabrzączał i obaj operatorzy spojrzeli na ekran. Zobaczyli młodą kobietę w dżinsowej sukience, słomkowym kapeluszu z wielkim rondem i okularach przeciwsłonecznych, które właśnie w tej chwili zdjęła, by przetrzeć je chustką wyjętą z torebki. Na ekranie widniał też napis Pozytywna identyfikacja. W mniejszym oknie pojawił się portret tej samej kobiety, tyle że siedzącej na siodełku motoroweru z pistoletem maszynowym w ręku.

- Jezu Chryste, to Cel Dwa - jęknął Williams. Uniósł mikrofon i dodał: - Zero, wszystkie jednostki, Cel Dwa w Miejscu Alfa, powtarzam: pozytywna identyfikacja Celu Dwa w Miejscu Alfa.

Sanders pokręcił gałką i na ekranie ukazało się zbliżenie twarzy kobiety.

- To ona - powiedział. - Isabelle.

Siedząc w tylnej części suburbana, Charley uniósł mikrofon do ust i odpowiedział:

- Spluwa Prowadzący, tu Zero.

- Mów, Zero - odpowiedział mu lakonicznie spokojnym głosem dowódcy uliczników.

- Zatrzymać Cel Dwa. Zgarnijcie ją.

- Ustalmy coś, Zero, będę musiał wycofać niektóre jednostki jadące za Celem Jeden.

Charley pochylił się nad mikrofonem, myśląc intensywnie. Osłabienie pościgu za Jedynym mogło oznaczać, że tracą go z oczu. Z drugiej jednak strony, Isabelle najwyraźniej wiedziała co nieco o bin Hassanie, a informacje, które posiadała, mogły przyspieszyć jego zatrzymanie.

- Wykonać - powiedział, ignorując spojrzenie Raya. - Zgarnijcie ją.

- Przyjąłem, Zero. Zrozumiałem i wykonuję. Spluwa Prowadzący bez odbioru.

Isabelle stała przed ogrodzeniem z kutego żelaza, otaczającym wyjątkowo pięknie odnowiony dom. Widziała, jak Youssef niezdarnie usiłuje zostawić znak i jak z samochodów wyskakują dwaj mężczyźni, bez wątpienia obserwujący jego poczynania. Bez pośpiechu zdjęła okulary i starannie wytarła szkła chustką wyjętą z torebki. Rozejrzała się jak gdyby nigdy nic, szukając uważnie pojazdów ekip obserwacyjnych, które powinny tu być. Po chwili zza rogu wyjechał z dużą prędkością czarny suburban. Opony zapiszczały głośno, a cały wóz zakołysał się mocno na amortyzatorach. Isabelle schowała chustkę w torbie, włożyła ciemne okulary i opuściła ręce, starając się, by były dobrze widoczne.

Chevrolet zatrzymał się gwałtownie, tylne drzwi się otworzyły i na ulicę wyskoczyli trzech mężczyźni z pistoletami maszynowymi MP-5.

- Nie ruszaj się! - krzyknął jeden z nich, gdy puścili się biegiem w jej stronę. Isabelle stała spokojnie i czekała.

Spluwa Jeden i Spluwa Dwa jako pierwsi znaleźli się w pobliżu autobusu, którym podróżował podejrzany. Jechali beżowym czterodrzwiowym fordem taurusem, o pięć przecnic za uciekającym. Spluwa Jeden wyjął z torby ze sprzętem lornetkę i spróbował ustawić ostrość na tylną szybę autobusu, ale łagodna krzywizna drogi i gęsty strumień samochodów utrudniały mu zadanie.

- Nic nie widzę - odezwał się po chwili. - Nie wiem, czy facet wysiadł czy jeszcze nie.

Jego partner sprawdził pozycję autobusu i zawiadomił pozostałe jednostki, że Jedyńy mógł już wysiąść.

- Widzisz coś? - spytał.

- Pospiesz się. I sprowadź drugi wóz, niech jedzie przed autobusem.

Siedząc bokiem, Youssef z uwagą przyglądał się jezdni za autobusem. Ruch był tak intensywny, że chwilami wlekli się w żółwym tempie, a potem, gdy pojawiała się sposobność, wóz wyrывał nagle do przodu. Kierowca bez ceregieli wymuszał pierwszeństwo, gdy musiał zajechać na przystanek; tylko dlatego mieścił się jakoś w rozkładzie. W autobusie przybyło pasażerów i Youssef musiał usiąść przodem do kierunku jazdy. Otyła Murzynka w różowej sukience z tafty wcisnęła się na siedzenie obok niego.

- O matko - stęknęła. - Ależ gorąco.

Youssef skinął głową i odwrócił się, by uniknąć rozmowy. Kobieta wyczuła jego niechęć i bez słowa znieruchomiała z dłońmi na kolanach, jak grzeczne dziecko. Youssef wziął głęboki wdech, by się uspokoić, i poczuł mocny zapach siedzącej obok Murzynki.

- Przepraszam - powiedział. - Muszę wysiąść.

Przesunęła się, by mógł wstać i przejść obok niej. Youssef przepchnął się do przodu, w pobliże drzwi. Po pięciu przystankach zauważył tablicę ze znakiem stacji metra. Zdjął kapelusz, przycisnął go do piersi i wysiadł wraz ze sporą grupą pasażerów. Zaraz też wtopił się w strumień ludzi zjeżdżających ruchomymi schodami w czeluść podziemnego dworca. Fala chłodnego powietrza przyniosła mu ulgę. Na powrót włożył kapelusz, podszedł do automatu biletowego i wsunął do otworu pięć

dolarów. Z biletem całodziennym przeszedł przez elektroniczną bramkę i ruszył w stronę peronu.

Minęły poranne godziny szczytu i pociągi kolei podziemnej nie kursowały już tak często. Czekać na kolejny, Youssef przystanął z dala od innych pasażerów. Zauważył przewody wentylacyjne na ścianach przy końcu peronu, tuż obok czarnej dziury tunelu, którym pędziły pociągi. Podeszedł do nich niespiesznie, zadarł głowę i zobaczył kamery wideo skierowane na tor i płytę peronu. Starając się nie patrzeć w stronę obiektów, zbliżył się do krawędzi peronu i splunął na tor, a potem wrócił, by wmieszać się w tłum oczekujących. Wiedział, że kamery utrudnią umieszczenie rozpylaczy w przewodach wentylacyjnych. Nagle poczuł silny prąd powietrza, wypchnięty z tunelu przez nadjeżdżający pociąg. Odruchowo odwrócił głowę, podobnie jak mężczyzna stojący obok.

- Jakby miało nas zaraz zdmuchnąć, prawda? - odezwał się nieznajomy.

W szortach, T-shircie i z aparatem fotograficznym na piersi wyglądał na turystę.

Youssef pokiwał głową i pomyślał o tym, jak daleko taki podmuch mógłby zanieść mgiełkę z atomizera, gdyby rozpylić ją u wylotu tunelu.

To był dobry pomysł.

Biały pociąg wtoczył się na stację, zwolnił i stanął. Drzwi otworzyły się z sykiem i na peron wyszła garstka pasażerów. Oczekujący przepuścili ich cierpliwie, zanim sami weszli do wagonów. Youssef także wsiadł i zajął miejsce przy oknie, w pobliżu drzwi, przy których wisiała tabliczka z mapą sieci kolei podziemnej. Od dworca przy Muzeum Smithsonian dzieliły go zaledwie dwa przystanki. Pociąg drgnął i potoczył się w głąb tunelu, a maszynista obwieścił przez głośniki nazwę najbliższej stacji. Po kilku chwilach Youssef wysiadał już opodal muzeum. Wraz ze sporą grupą współpasażerów wspinał się po kamiennych stopniach, minął kołowrotek i popłynął ruchomymi schodami na powierzchnię. Unosząc się ku światłu, na moment wrócił myślą do koszmarnego snu, który dopadł go w łóżku Britty.

Stając w spiekocie dnia, kolejny raz odsunął od siebie myśli o dziewczynie z Amsterdamu. Pewien, że nikt go nie śledzi, spojrzął na zieloną połąkę National Mail. Nagle ogarnęło go znużenie i zatęsknił za jej przytulnym łóżkiem... Za swoim łóżkiem, poprawił się w myślach, pochmurniejąc w jednej chwili. Odwrócił się ku ruchliwej ulicy i machnął ręką na nadjeżdżającą taksówkę.

- Do schroniska młodzieżowego proszę - powiedział do kierowcy.

Miał jeszcze czas na odpoczynek. Tyle czasu, ile tylko zapragnął... przynajmniej do jutra.

*META JEDNEJ Z AGENCJI RZĄDOWYCH GEORGETOWN, WASZYNGTON,
STANY ZJEDNOCZONE*

Isabelle siedziała na drewnianym krześle. Ręce, skute plastikowymi kajdankami, trzymała potulnie na udach, a długie nogi wyprostowała i skrzyżowała w kostkach. Jej spojrzenie było chłodne i z lekka wyzywające, gdy przypatrywała się Charleyowi. Znajdowali się w budynku w Georgetown, gdzie po fiasku porannej akcji - i na żądanie Charleya - przeniosła się tymczasowo centrala grupy prowadzącej dochodzenie. Ekipy śledcze przez całe przedpołudnie przeczesywały uliczki wokół ambasady Egiptu, szukając śladów, które mógł zostawić Jedyny. Idąc za nimi, ludzie Charleya dotarli do stacji metra, a tam, po analizie nagrań z peronowych kamer, zdołali ustalić, że podejrzany wsiadł do pociągu i odjechał. Armia agentów federalnych natychmiast ruszyła na przystanki kolei podziemnej, by przejrzeć nagrania rejestrujące wychodzących pasażerów. Wydawało się jednak, że Jedyny rozplynął się w powietrzu.

Charley dał znak dwóm strzelcom pilnującym kobiety, by wyszli.

- Mamy zostawić uchylone drzwi, szefie? - spytał starszy z nich, chudy typ o cienkich, jasnych włosach odsłaniających błyszczące zakola, przerzucając MP-5 do drugiej ręki i kierując się w stronę wyjścia.

- Nie trzeba, Daryl - odparł Charley. - Znamy się z Isabelle.

Isabelle odwróciła głowę i uśmiechnęła się do Daryla.

- Obiecuję, że nie zrobię mu krzywdy.

Daryl przystanął z pistoletem w opuszczonej ręce.

- Dobra - powiedział. - A ja obiecuję, że cię nie zabiję... na razie.

Mężczyzna postać jeszcze krótką chwilę, a potem wyszedł i po cichu zamknął za sobą drzwi.

- Ooo - zdziwiła się Isabelle, znowu spoglądając na Charleya. - Czyżbym go czymś uraziła?

- Nie dzielimy twojego poczucia humoru, Isabelle - powiedział Charley.

Poprawił glocka w kaburze, po czym rozparł się wygodniej na krześle i skrzyżował ramiona na piersi. - Gdzie on jest?

- Gdzie jest kto? - spytała Isabelle. - Zatrzymujesz mnie wbrew mojej woli, nie wiem nawet, jak się nazywasz... I czy to naprawdę jest konieczne? - dodała, unosząc nadgarstki.

Charley sięgnął do pasa i wyjął z futerału uniwersalne narzędzie Leathermana. Otworzył szczypce, wstał i używając ostrej części szczęk, przeciął plastik wokół szczupłych, ale silnych rąk Isabelle. Przez chwilę stał nad nią, gdy rozcierała czerwone ślady.

- Jak teraz? - spytał.

- Dziękuję.

- Mam na imię Charley.

- Charley. To od Charlesa, prawda?

- Zgadza się.

- Więc... gdzie jest kto, Charley?

Charley z trzaskiem zamknął narzędzie, włożył je do futerału i zajął miejsce naprzeciwko Isabelle. Nie odpowiedział od razu.

- Oboje wiemy, o kim mowa. Darujmy sobie ceregiele. Chcemy dopaść Youssefa bin Hassana. Przyjechałaś tu za nim z Amsterdamu. Wiesz, gdzie on jest, a przynajmniej gdzie nocuje. My też chcemy wiedzieć. I nie mamy czasu na gierki.

Spokój Isabelle irytował Charleya. Wyglądała tak, jakby zupełnie nie przejmowała się całą sytuacją. Oddychała spokojnie, regularnie, pewnie patrząc mu w oczy.

- Chcemy go dorwać - dodał z naciskiem.

- To widzę - odrzekła. - Ale jestem ciekawa dlaczego.

- To nie powinno cię obchodzić.

- Obchodzi mnie przede wszystkim to, co zamierzacie zrobić ze mną i z moją rodziną.

Charley ze zdziwieniem przechylił głowę.

- Z tobą i z twoją rodziną?

- Tak.

- Niby co mielibyśmy zrobić?

Isabelle zaśmiała się, ale nie wyglądała na rozbawioną

- Ech, wy, Amerykanie. Wydaje wam się, że reszta świata to tępaki. Myślisz, że się nie domyślam, jakie macie plany wobec mnie i Marie?

- Zawarliśmy układ, Isabelle. Wzięłaś gotówkę i poszłaś swoją drogą. Do tego wydałaś nam Arabów. Podobnie jak wy, dostaliśmy to, czego chcieliśmy.

- I może jeszcze zamierzacie to tak zostawić? Nie jestem idiotką!

Charley przygryzł górną wargę, pochylił się i wsparł łokcie na kolanach.

- Posłuchaj mnie, Isabelle. Nie planowaliśmy żadnych działań przeciwko wam. Dostaliśmy to, na czym nam zależało, i zostawiliśmy was w spokoju. Dotrzyliśmy słowa. Ale ty... pojawiłaś się tutaj. Akurat teraz. Dlaczego?

- Żądam gwarancji - oznajmiła Isabelle. - Dla mnie i dla mojej rodziny.

- Nie czas na targowanie się...

- No to sami go szukajcie.

- Prędzej czy później go znajdziemy.

- Więc po co w ogóle ta rozmowa?

- Isabelle, czy ty wiesz, po co on tu przyjechał? Nie sądzę. Jesteś matką. Masz piękną córeczkę. To, co zamierza zrobić bin Hassan, zagraża i jej.

- Jesteśmy bardzo daleko od Amsterdamu.

Charley wyprostował się i skrzyżował ramiona na piersi. Wprowadzenie Isabelle w szczegóły sprawy przysporzyłoby mu nowych problemów. Teraz jednak najważniejsze było odnalezienie Youssefa bin Hassana, a Isabelle mogła w tym pomóc.

- Wiesz, gdzie on jest? - spytał.

- Możliwe. Wiem, gdzie nocuje.

- Czego chcesz w zamian za informację?

- Gwarancji, że zostawicie w spokoju mnie i moją rodzinę. Ze nie wrócimy do tej sprawy ani tutaj, ani w Amsterdamie.

- Isabelle, czy możemy dać ci jakąkolwiek gwarancję, której jeszcze nie daliśmy? Pozwoliliśmy ci odejść w Amsterdamie. Zapłaciliśmy tyle, ile chciałaś. Czy to nie wystarczająca gwarancja?

Isabelle nie odpowiedziała, lecz choć zachowała kamienną twarz, instynkt podpowiedział Charleyowi, że nie pomyślała o sprawie od tej strony.

- Bez względu na to, jakie jest twoje zdanie na ten temat, my nie prowadzimy wojen z rodzinami. Waszej córce nigdy nic nie groziło z naszej strony.

- Czego chcecie od tego chłopaka? - spytała Isabelle. - To całkiem zwyczajny gość.

- Mniej zwyczajny, niż się wydaje.

- Skoro jest dla was taki ważny, łatwiej nam będzie się dogadać.

Odwrócili się oboje, gdy drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzał Ray Dalton.

- Pozwól na słowo - powiedział, przywołując Charleya ruchem dłoni.

Charley zauważył, że na twarzy Isabelle pojawił się najpierw dość dobrze zamaskowany grymas strachu, a potem wyraz zaniepokojenia.

- Nie mamy wiele czasu - rzucił na odchodnym. - Właściwie wcale go nie mamy.

Wyszedł za Rayem na korytarz.

- Daj jej wszystko, czego zażąda - rzekł Dalton bez zbędnych wstępów. - Później będziemy się martwić, jak dotrzymać słowa. Jeżeli mimo to będzie się opierała, nafaszerujemy ją prochami i wydobędziemy prawdę siłą. Ekipa medyczna speców od przesłuchań jest już w drodze.

- Ona sama nie wie, czego chce - odparł Charley. - Jaką gwarancję można zaproponować paranoiczkę?

Ray zasepił się.

- Masz jakiś pomysł?

- Chyba powinniśmy powiedzieć jej prawdę o Jedynym. Jest wystarczająco bystra, żeby dostrzec zagrożenie dla swojej rodziny, które niewątpliwie powstanie, jeśli zaraza rozprzestrzeni się w Stanach. Od Europy dzieli nas tylko krok. Powiedzmy jej prawdę i zaproponujmy, żeby pracowała z nami. Może to ją przekona, że nie zamierzamy jej stuknąć. A potem, kiedy będzie po wszystkim, dostanie od nas pieniądze i słowo honoru. I niech wraca do domu.

- Myślisz, że to zadziała?

- Nie mamy czasu na nic innego.

- Więc niech tak będzie.

Charley kiwnął głową i wrócił do pokoju. Isabelle spojrzała na niego przez ramię, założyła nogę na nogę i bez słowa zaczęła, aż usiadł naprzeciwko niej.

- I co? - spytała wreszcie.

Ledwie zauważalne drganie kącika jej lewego oka było jedyną oznaką zdenerwowania, jaką można było dostrzec. Charley podziwiał jej samokontrolę. Przez krótką chwilę fantazjował nawet, jak by było, gdyby spotkali się kiedyś jako kobieta i mężczyzna... Tylko że mężczyźni raczej nie są w jej typie, pomyślał zaraz. Uśmiechnął się, a Isabelle zrewanżowała mu się - tyle że jej uśmiech był chłodny i wystudiowany. Widać było, że uśmiecha się w ten sposób często i od dawna.

- Isabelle, co wiesz o ospie?

Na gładkiej masce, jaką stanowiła jej twarz, na ułamek sekundy pojawiły się oznaki emocji: zaskoczenia, ciekawości, konsternacji i wreszcie dobrze skrywanego zrozumienia.

- Tak - powiedziała z namysłem. - Taki temat rzeczywiście musiał was zainteresować.

- Teraz już wiesz, dlaczego szukamy tego chłopaka.

- On jest zarażony?

- Nie. Ale ma przy sobie preparat z wirusem.

Isabelle z niepokojem zmarszczyła brwi, nieznacznie tracąc panowanie nad sobą.

- Rozpytał go gdzieś? Może w Amsterdamie?

- Nie, Isabelle - odparł cierpliwie Charley. - Ilse i Marie są bezpieczne, przynajmniej na razie. Bin Hassan zamierza wywołać epidemię tu, w Ameryce. Tylko że w tej sytuacji Amsterdam już nie wydaje się taki daleki, prawda?

- Nie ośmieliliby się... - odpowiedziała. - Wiedzą przecież, co wy, Amerykanie, zrobilibyście z nimi za coś takiego.

- A jednak to robią, właśnie teraz. Twój był zleceniodawcy z Al-Bashiry. Dość już sobie powiedzieliśmy, Isabelle. Wiesz już, dlaczego chcemy dopaść bin Hassana. Jesteśmy gotowi ci zapłacić i udzielić wszelkich potrzebnych gwarancji - czego tylko zechcesz. Ale musisz nam powiedzieć, gdzie on jest.

Isabelle lekko oblizwała usta. Charley dopiero teraz zauważył, że kobieta ma spierzchnięte wargi, a dolna wygląda na mocno przygryzioną. Jak mógł przegapić takie oznaki zdenerwowania?

- Mogę dostać wody? - spytała.

Charley podszedł do drzwi. Jeden z techników z centrum łączności, monitorujący przebieg rozmowy, przyniósł mu butelkę wody mineralnej.

- Dzięki - mruknął Charley.

Wrócił i usiadł na krześle, wyczuwając pod kręgosłupem twardość oparcia. Podał butelkę Isabelle.

- Dziękuję - powiedziała.

Otworzyła butelkę, przechyliła i wypila połowę zawartości jednym haustem.

- Tak lepiej - szepnęła. Przez chwilę bawiła się zakrętką, obracając ją w palcach, jak iluzjonista obraca monetę. - Powinnam była zabić go w Amsterdamie.

- Planowałaś coś takiego?

- Wiedziałałam, że zależy wam na tym starszym. Zastanawiałam się, czy nie zabić ich obu, ale nie byłam pewna, czy to będzie wam na rękę. Żałuję, że dla nich pracowałam... Zwykle nie dajemy się wykorzystywać w taki sposób.

- Teraz masz szansę mu odpłacić, a przy okazji zarobić więcej niż za robotę dla Al-Bashiry.

- Tak - zgodziła się. - I mam na to wielką ochotę. Chcesz, żebym go zabiła?

- Wolimy dostać go żywego, jeśli tylko będzie to możliwe. Wraz z produktem, który ma przy sobie. I raczej zrobimy to sami.

- Naturalnie. Powiem wam, co wiem. Zatrzymał się w Międzynarodowym Schronisku Młodzieżowym w Waszyngtonie i używa nazwiska Youssef Ameer. Zajął pojedynczy pokój na trzecim piętrze, obok schodów pożarowych. Dziś rano wyszedł

bardzo wcześnie i udał się prosto do kafejki internetowej w pobliżu miejsca, w którym mnie zwinęliście. Potem zostawił znak obok skrzynki pocztowej... i zniknął. Wczoraj był opodal National Mail i siedział na stopniach przed Narodową Galerią Sztuki, a potem odjechał taksówką. Wtedy go zgubiłam. Większość czasu spędza w samotności, w swoim pokoju. Schodzi tylko na posiłki i do sali komputerowej.

Charley spojrział najpierw na drzwi, a potem znowu na Isabelle.

- Co jeszcze?

- To wszystko. Planowałam śledzić go i dowiedzieć się wreszcie, co właściwie robi, a potem porwać go albo zlikwidować. Tak czy inaczej, bylibyście mi wdzięczni, miałabym gwarancje...

- Już je masz. I od tej chwili pracujesz dla nas.

Isabelle roześmiała się.

- Taki już jest ten świat, nieprawdaż, Charley?

MIĘDZYNARODOWE SCHRONISKO MŁODZIEŻOWE WASZYNGTON, STANY ZJEDNOCZONE

Wydarzenia nabrały tempa. Agenci federalni i miejscowi policjanci rozmieścili pojazdy ze stanowiskami obserwacyjnymi wokół schroniska. Dwaj operatorzy Dominance Rain oraz funkcjonariusz policji - wszyscy w cywilnych ubraniach - podeszli do kontuaru w holu głównym i zapytali o przyjaciela, Youssefa Ameera. Dyżur pełniła jasnowłosa dziewczyna z dreadami.

- Jest w swoim pokoju - odpowiedziała. - Numer trzysta czternaście, na trzecim piętrze. Przyszedł parę godzin temu, powiedział, że jest zmęczony i kładzie się do łóżka. Przypomniałam mu, że nie powinien wracać o zbyt późnej porze.

- Dzięki - odparł gliniarz z obyczajówki, chudy jak szczapa Murzyn ubrany w skórzaną kurtkę kierowcy, zdecydowanie nieodpowiednią na taki upał, oraz czarne ogrodniczki. - Pewnie imprezował pół nocy. Zajrzę do niego.

- Jeżeli nie będzie go w pokoju, proszę sprawdzić w sali komputerowej. Dużo czasu spędza, surfując po Internecie.

- Tak zrobię.

Dwaj operatorzy dali znak policjantowi, żeby zaczekał. Ruszyli w głąb korytarza, ku sali komputerowej, i niespiesznie przeszli przed otwartymi drzwiami, zaglądając do środka. Zobaczyli otyłego młodzieńca o germańskich rysach i uszach naszpikowanych niezliczonymi kolczykami oraz ciemnoskórą, mniej więcej trzydziestoletnią kobietę. Oboje stukali zawzięcie w klawiatury. Ani śladu Jedynego.

- Co chcecie zrobić? - spytał policjant, Earl Long. - Możemy wejść na górę, zapukać i upewnić się, czy facet jest w środku, zanim sprowadzimy ekipę.

- Nie - odparł starszy z operatorów, muskularny Filipińczyk o siwiejących włosach. - Nie będziemy się zbliżać. Rozejrzemy się na piętrze, obejrzymy drzwi i klatkę schodową, ale nie zamierzam budzić podejrzanego, jeśli śpi. Zostawmy to ekipie.

- Jeżeli taki z niego straszny terrorysta, to dlaczego nocuje w zwykłym schronisku? - spytał Long.

- A kto by go tu szukał? - odpowiedział pytaniem Filipińczyk.

- Prawda - przyznał Murzyn. - Bierzmy się do roboty.

Rozdzielili się. Młodszy operator pobiegł schodami pożarowymi na trzecie piętro, policjant i Filipińczyk zaś pojechali windą. Przemieszczali się wolno, a numery pięter migwały leniwie na ekraniku pokrytym tłustymi odciskami palców. Wysiedli na trzecim piętrze i przecisnęli się między dwoma długowłosymi turystami ubranymi w luźne bluzy z kapturami i zsuwające się z wąskich bioder, workowate portki. Po chwili byli już sami na łukowato biegnącym korytarzu z długimi rzędami drzwi. Słyszeli nieustający szum, mieszaninę rozmów, dźwięków telewizyjnego talk-show, charakterystycznego głosu Dave'a Mathewsa z głośno odtwarzanej płyty i grzechotu klimatyzatorów pracujących na najwyższych obrotach.

Earl Long ułożył usta tak, jakby bezgłośnie gwizdał, i zabębnił palcami po skórzanej kurtce w miejscu, w którym miał ukryty mikrofon. Palcem wskazującym otarł pot z czoła i powiedział:

- Ciekawe, gdzie mój pokój.

Filipińczyk, Eddie Aledo, musnął palcami poły kamizelki fotografa, pod którą ukrywał kaburę z pistoletem, rozejrzał się po zakrzywionym korytarzu i kiwnął głową w prawo.

- Chodźmy tędy.

Ruszył środkiem, z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż boków. Earl Long szedł tuż za nim, od czasu do czasu zerkając ponad jego ramieniem. Pokój 314 znajdował się na końcu korytarza, po prawej stronie, przy drzwiach do zapasowej klatki schodowej. Właśnie tam czekał na nich partner Eddiego. Filipińczyk gestem nakazał towarzyszom milczenie, podszedł do drzwi i przez chwilę nasłuchiwał. Wszelkie odgłosy, które mogłyby dobiegać z pokoju, były skutecznie zagłuszone przez klimatyzator pracujący pełną parą. Aledo zbliżył się do wyjścia na schody pożarowe, pochylił i sprawdził, czy klamka działa bez zarzutu z obu stron, a następnie na wszelki wypadek zalepił taśmą bolec zamka, tak by nie można było zamknąć drzwi na klucz. Wtedy dopiero pochylił się do ucha partnera i spytał:

- Zauważyłeś coś?

Młodszy operator zaprzeczył gestem. Aledo skinął głową, dotknął ramienia Longa i wskazał palcem na podest za drzwiami. Dzięki małej szybce pośrodku drzwi stojący na półpiętrze mógł dyskretnie obserwować fragment korytarza i drzwi do pokoju 314. Long kiwnął głową, otarł wierzchem dłoni spocone czoło i stanął tak, by móc zerkać na korytarz przez szybkę w drzwiach.

- Zaraz wracamy - szepnął mu do ucha Aledo.

- W podskokach - syknął Long. - Nie ma na co czekać.

Dwaj operatorzy Dominance Rain zbiegli szybko po schodach na parter i opuścili budynek bocznym wyjściem. Dwaj agenci FBI w cywilnych ubraniach, którzy stali przy drzwiach, powitali ich skinieniem głów. Na jezdni, w strefie zakazu parkowania, stała! furgonetka warsztatu hydraulicznego. Dwaj operatorzy podeszli do szoferki.

Aledo stanął przy otwartym oknie wozu i odezwał się do siedzącego w środku mężczyzny w roboczym kombinezonie.

- Zostawiliśmy człowieka na górze, obserwuj drzwi i klatkę schodową - powiedział. - Wszystko wygląda tak jak na planach. Jesteście gotowi?

Zrelaksowany mężczyzna w kombinezonie skinął głową.

- Mam w budzie speców od chorób, nie są przyzwyczajeni do pracy ze strzelcami. Wejdzie ich czterech, plus moich sześciu. Wszyscy są gotowi.

- Więc do dzieła.

Mężczyzna siedzący w szoferce uniósł krótkofalówkę.

- Wszystkie jednostki, wszystkie jednostki: gotowi, gotowi, gotowi. - Odczekał chwilę, po czym dodał: - Wchodzimy! Już, już, już.

Przesuwane drzwi z tyłu furgonetki otworzyły się błyskawicznie i sześciu ludzi zwinnie wyskoczyło na jezdnię. Wszyscy byli ubrani w czarne kombinezony z grubymi pancerzami okrywającymi piersi i plecy oraz w ochraniacze na kolana i łokcie. Na głowach mieli czarne hełmy ze słuchawkami i laryngofonami. W dłoniach trzymali pistolety maszynowe MP5SD z tłumikami. Dziwnym detalem były jedynie ciemne chirurgiczne maski, które zasłaniały ich usta i nosy. Tuż za nimi z wozu wyłoniło się czterech ludzi w białych skafandrach i w maskach respiratorów na twarzach.

Wszyscy pobiegli gęsiego w stronę bocznego wejścia. Agenci federalni otworzyli im drzwi. Ekipa wśliznęła się do środka na oczach jednego z mieszkańców schroniska, który popatrzył na nich jak na kosmitów. Znalazłszy się w bocznym korytarzu, operatorzy skreśli ostro i wbiegli na schody pożarowe, by osłaniając się wzajemnie, dotrzeć po chwili na trzecie piętro, gdzie przy drzwiach czekał Earl Long.

- Działo się coś? - spytał szeptem dowódca drużyny szturmowej, który dotarł na miejsce pierwszy.

Long zaprzeczył ruchem głowy. Czteroosobowa ekipa specjalistów w białych skafandrach stanęła tuż obok niego. Ich widok pozbawił go resztek spokoju.

- Po co wam, kurwa, te ubranka? - syknął wystraszony.

Członkowie drużyny szturmowej byli już na korytarzu, stali w szeregu pod ścianą, tuż obok drzwi pokoju 314. Jeden z nich sięgnął po kamerę ze światłowodem, który zamierzał wsunąć pod drzwiami, ale dowódca pokręcił głową. Przywołał trzeciego w szeregu, a ten bez słowa umieścił miniaturowy ładunek wybuchowy, zaprojektowany specjalnie do niszczenia zamków, na wysokości bolca, w drzwiach, między klamką a futryną. Po chwili wrócił na miejsce, by popatrzeć, jak dowódca odlicza na palcach: jeden, dwa, trzy... W tym momencie ładunek eksplodował, a dowódca potężnym kopniakiem pomógł drzwicom otworzyć się szeroko. Drużyna szturmowa przystąpiła do akcji: dwaj operatorzy wbiegli do ciasnego pokoju, jeden osłaniał ich spod drzwi, a trzech pozostali pilnowali korytarza.

W środku nie było nikogo. Na łóżku leżała zmięta pościel. Łazienka była pusta.

- Gdzie on, kurwa, polazł? - warknął dowódca.

Siedzący w suburbanie zaparkowanym w bocznej uliczce Charley Payne cisnął krótkofalówkę na podłogę i huknął pięścią w fotel.

Po błyskawicznym przeszukaniu budynku nie znaleziono nikogo poza zdumionymi, a czasem i buntowniczo nastawionymi gośćmi schroniska. Najbardziej ciekawskim powiedziano, że to oblawa na narkotykowego dealera. Ekipę z Centrum Kontroli Chorób czym prędzej ukryto w furgonetce zakładu hydraulicznego.

Ray i Charley stanęli na ulicy, niczym zwyczajni przechodnie przyglądający się krzątaniu policji wokół budynku.

- Co teraz? - spytał Ray.

- Czekamy - odparł Charley. - Jutro musi przyjść na spotkanie, a my będziemy przygotowani na każdą ewentualność.

- Sądzisz, że zauważył naszych obserwatorów?

- Możliwe - odrzekł Charley. - A może po prostu zmienił miejsce noclegu?

Isabelle dołączyła do nich. Na plecach jej sukienki widać było ciemne plamki potu.

- Co nowego? - spytała.

- Nie wiesz, dokąd mógł się wybrać? - spytał Charley.

- Nie - odparła. - Nie mam pojęcia.

BETHESDA MARYLAND, STANY ZJEDNOCZONE

Youssef bin Hassan leżał na istic królewskim łóżu w pokoju na czwartym piętrze hotelu Residence Inn w Bethesda w stanie Maryland. Wsunąwszy dłoń pod głowę, wpatrywał się w wolno obracający się wentylator, który mieszał pod sufitem chłodne powietrze z klimatyzatora. Zerknął w bok na radio z budzikiem stojące na szafce nocnej przy łóżku. Minęła siedemnasta. Przespał większość dnia po tym, jak wrócił do schroniska po swoje rzeczy i wymknął się z niego bocznym wyjściem. Czerwoną linią metra pojechał wprost do Bethesda i gdy tylko wyszedł ze stacji na powierzchnię, zobaczył po drugiej stronie ulicy wejście do hotelu. Zastanawiał się chwilę, czy nie zwróci na siebie zbytnej uwagi, jeśli zamelduje się w Residence Inn jedynie z torbą kurierską, ale przekonał się, że zmyślona historyjka o zgubionym bagażu wzbudza raczej współczucie niż podejrzliwość recepcjonistki.

- Biorąc pod uwagę jakość usług linii lotniczych, to cud, że tak niewielu pasażerów traci bagaż - powiedziała otyła kobieta w czerwono-białej, co najmniej o rozmiar za małej sukience.

- Dziękuję - powiedział Youssef, przyjmując z jej rąk klucz do pokoju. - Zadzwoń pani do mnie, gdy tylko dotrą moje walizki?

- Oczywiście, ale proponuję uzbroić się w cierpliwość. To może potrwać.

- Bardzo pani uprzejma.

- Drobiazg, młody człowieku. Niech pan już idzie na górę i odpocznie, na pewno zmęczyła pana ta podróż.

Powolne obroty wentylatora działały na Youssefa usypiająco, toteż nawet po przebudzeniu trwał jeszcze w dziwnym stanie między snem a jawą. Jego umysł nareszcie uwolnił się od sprzecznych myśli i niepokojących wizji. Porządny

wypoczynek zdziałał cuda, jeśli chodzi o jego psychikę. Jedyny przypomniał sobie słowa instruktora w obozie szkoleniowym, który zawsze powtarzał, że należy jeść i spać przy każdej nadarzającej się okazji, ponieważ z chwilą, gdy rozpocznie się akcja, jednego i drugiego może braknąć przez dłuższy czas. Youssef wiedział już, jak wiele prawdy było w tych słowach.

Raz jeszcze przeanalizował w myśli szczegóły planowanego spotkania. Między dwunastą a dwunastą trzydzieści miał się zjawić na wyznaczonej ławce z najświeższym egzemplarzem „Washington Post” otwartym na stronie poświęconej modzie. Pojemniki z wirusem miał przynieść w torebce śniadaniowej z szarego papieru. Łącznik powinien usiąść obok i zapytać o treść głównego artykułu. Youssef miał podać mu gazetę i powiedzieć, że może ją sobie zatrzymać. Łącznik również miał przynieść ze sobą papierową torebkę, a w niej fiolki z nowym preparatem. Youssef musiał tylko ją wziąć i się oddalić. Prosty plan, pomyślał, nie do zepsucia.

Skrzyżował nogi w kostkach. Wirowanie łopatek wentylatora działało na niego hipnotycznie. Zamknął oczy i pozwolił myślom błądzić. Zobaczył oczami wyobraźni twarz Britty, ale nie odsunął od siebie tego obrazu, tylko zaczął bawić się wizją. Czy dziewczyna będzie jeszcze w Amsterdamie, kiedy przyjdzie pora, by opuścić Amerykę? Youssef wybierał się najpierw do Syrii, by w tajnym obozie złożyć raport z przebiegu operacji. Sądził jednak, że później będzie wolny. Był przecież Jedynym, bohaterem, który zada Amerykanom potężny cios. Spodziewał się nagrody.

Być może więc spotkanie z Brittą jest mu jeszcze pisane.

Tuż za drzwiami pokoju rozległy się nagle głosy kobiet.

- Gdzie chciałybyś zjeść? - spytała jedna.

- Tuż za rogiem mamy uroczy bar kanapkowy - odpowiedziała druga, w Boeymonger's...

- A cóż to za nazwa: Boeymonger's?!

- Bo ja wiem? Grunt, że dają tam dobre sałatki i kanapki.

Głosy cichły z wolna, w miarę jak kobiety oddalały się korytarzem w stronę wind. Wzmianka o jedzeniu sprawiła że Youssef poczuł nagle burczenie w brzuchu i przypomniał sobie, że od rana nic nie jadł. Usiadł, sięgnął pod łóżko i wyciągnął torbę. Wyjął z niej małą, twardą walizeczkę. Otworzywszy ją, spojrzął na fiolki. Wyjął jedną z nich i uniósł do światła. Po chwili odłożył ją na miejsce i zatrzasnął wieko walizeczki. Schował ją do torby, a tę wsunął na powrót pod łóżko. Włożył buty, wziął pilota i włączył telewizor, ustawiając głośność na dość wysokim poziomie. Następnie podszedł do drzwi, wyjrzał na korytarz i zawiesił na klamce tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Wyszedł, zamknął drzwi na klucz i sprawdził, czy się nie otwierają. Po chwili był już w windzie. Zjechał na dół, nucąc cicho w rytmie migających na wyświetlaczu numerów pięter. Ruszył prosto ku kontuarowi recepcji, przy którym powitała go uśmiechnięta kobieta.

- Odpoczął pan? - spytała.

- Tak, dziękuję. Teraz jestem głodny. Podobno jest tu lokal o nazwie Boeymonger's?

Kobieta roześmiała się.

- Czyż to nie najśmieszniejsza nazwa dla baru kanapkowego? Po wyjściu z hotelu proszę skręcić w prawo. Zaraz za rogiem ulicy znajdzie pan ten bar. Nie sposób nie trafić. Mają tam też pyszne zupy.

- Skręcić w prawo - powtórzył. - Dziękuję.

- Ależ proszę bardzo.

Youssef przystanął na moment przed wejściem, przyglądając się samochodom sunącym ulicą. Wciąż było gorąco i wilgotno, może nawet bardziej niż wtedy, gdy przybył do hotelu. Ruchome schody wywoziły ze stacji metra nieprzerwany strumień pasażerów, a na jezdniach panował niezmiennie wielki ruch. Youssef zastanawiał się, czy kiedykolwiek bywa tu spokojniej. Bez względu na porę, natężenie ruchu wydawało się jednakowe.

Zastanawiał się też, jak to będzie, gdy dojdzie do epidemii. Czy na ulicach wciąż będą takie tłumy? Tyle samochodów? Wątpił w to.

Wyszedłszy zza rogu ulicy, zobaczył szyld baru kanapkowego. Przy metalowych stolikach na dworze siedziało kilka osób, w środku lokalu jeszcze parę. Nikt nie stał w kolejce, gdy Youssef zamawiał u nastolatka stojącego za ladą kanpkę i tuńczykiem, sałatkę owocową i szklankę soku pomarańczowego. Wszedł z tacą do środka i usiadł w takim miejscu, z którego mógł obserwować ulicę. Tuńczyk, szczypiorek i miękkie, pszenne pieczywo stanowiły doskonałą kombinację. Youssef jadł z apetytem, nie spoglądając nawet w stronę telewizora wiszącego na ścianie, a nastawionego na kanał informacyjny. Kiedy skończył, podszedł do kubła na śmieci, wyrzucił resztki, a plastikową tacę odłożył. Idąc w stronę drzwi, spojrział na ekran telewizora i stanął jak wryty. Zobaczył budynek Międzynarodowego Schroniska Młodzieżowego w Waszyngtonie, otoczony wozami policyjnymi. Poczuł gwałtowny ucisk w żołądku, a zaraz potem falę mdłości. Na ekranie ukazała się twarz dziennikarki o azjatyckich rysach, bezgłośnie recytującej komentarz. Youssef wyszedł pośpiesznie, stanął w dusznym powietrzu ulicy i zaczerpnął głęboko powietrza.

Ćwiczenia oddechowe, których go nauczono, pomogły mu zapanować nad strachem: wdech - zatrzymanie powietrza - wydech. I powtórka. W telewizji nie pokazano jego zdjęcia, toteż nie mógł wykluczyć, że policja pojawiła się w schronisku z innego powodu. Pospieszył z powrotem do hotelu, niemal w biegu minął uśmiechniętą recepcjonistkę, która spojrzała za nim z zainteresowaniem, wpadł do windy i z wysiłkiem skoncentrował się na tyle, by kciukiem wcisnąć przycisk z trójką. Dotarłszy do pokoju, usiadł na łóżku przed telewizorem i zaczął przeszukiwać lokalne kanały. Wreszcie znalazł obraz znajomego budynku i usłyszał głos reporterki:

- Policja i władze federalne urządziły dziś nalot na Międzynarodowe Schronisko Młodzieżowe w poszukiwaniu znanego handlarza narkotyków, który podobno zatrzymał się właśnie tutaj...

Dziennikarski meldunek był krótki i konkretny. Nie podano rysopisu handlarza i nie pokazano jego zdjęcia ani portretu pamięciowego. Youssef wpatrywał się wciąż w ekran telewizora, próbując powstrzymać gonitwę myśli. Czy to prawda? Czy możliwy jest taki zbieg okoliczności? A może to tylko przykrywka, pod którą władze ukryły poszukiwania przybysza z Amsterdamu? Youssef zastanawiał się, czy nie warto wrócić do schroniska, ale doszedł do wniosku, że byłoby to niezgodne z regułami sztuki.

Zresztą nie po to opuścił centrum Waszyngtonu, żeby zjawiać się tam ponownie. A jednak jakąś częścią duszy pragnął tego, jakby chciał się przekonać, czy zostanie złapany, czy jego misja dobiegnie niespodziewanego końca. Byłoby to jakieś wyjście.

Myśl ta pojawiła się nagle i w jednej chwili Youssef bin Hassan poczuł złość. Słabość i niezdecydowanie, które, jak sądził, odsunął od siebie na dobre, powróciły. Czy to się nigdy nie skończy? Musi to jeszcze przemyśleć... A jeśli jego misja już nie jest tajemnicą? Jeżeli Amerykanie rzucą swe potężne siły i środki przeciwko niemu? Ale skąd mieliby wiedzieć? A nawet gdyby wiedzieli, w jaki sposób mogliby go powstrzymać?

Tak, to ostatnie było pocieszające. W zasadzie nie mogli go powstrzymać, a przynajmniej nie wtedy, gdy w jego rękach znajdzie się właściwy produkt, czyli już jutro. Jutro... Youssef wyłączył telewizor i w zamyśleniu usiadł skulony na łóżku, jedną ręką gładząc pilota, a drugą bębniąc po wygniecionej narzucie. Obrazy z całego dnia przesuwały się przed jego oczami niczym kadry filmu, aż wreszcie wrócił pamięcią do chwili, w której zostawił znak dla łącznika. Miał wrażenie, że był obserwowany, choć nie widział niczego podejrzanego. Może po prostu stał się nerwowym? A jeśli został namierzony i ktoś śledził go aż do schroniska? Tylko dlaczego nie aresztowali go od razu? Youssef był pewien, że nikt nie wsiadł za nim ani do autobusu, ani do metra. Zwłaszcza że ostatecznie przesiadł się do taksówki.

Czy to oznacza, że spotkanie będzie bezpieczne?

Mógł się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

Po raz kolejny wyciągnął spod łóżka torbę i wyjął z niej walizeczkę. Fiolkę preparatu zawierającego wirus włożył do atomizera, starając się nie rozpylić ani kropli. Powtórzenie wyćwiczonej procedury uspokoiło go tak, jakby przeładował i przygotował do strzału pistolet. Atomizer wydawał mu się ciężki. Jak śmierć, pomyślał. Usłyszał głosy gości hotelowych idących w kierunku wind. Może warto wyjść do miasta, wypróbować produkt? I tak minie wiele dni, zanim się okaże, czy wirus rzeczywiście jest nieskuteczny, pomyślał Youssef. A wtedy dawno mnie tu nie będzie.

Wstał, wsunął atomizer do kieszeni i zacisnął na nim dłoń. Podeszedł do okna, otworzył je i spojrzał w dół, na ulicę. Widok z góry przypomniawszy mu o koszmarze z Amsterdamu. Poczul się dokładnie tak jak przed południem, gdy wyjeżdżał na powierzchnię ze stacji kolei podziemnej. Zastanawiał się, czy to zły omen. Jego matka często miewała sny - zapisywała je skrupulatnie i utrzymywała, że zawierają istotne wiadomości. Youssef był ciekaw, co powiedzieliby matka i ojciec, gdyby wiedzieli, że ich syn jest Jedynym. Może byliby dumni? A może poczuliby odrazę. Siłą woli zepchnął tę ostatnią myśl w głąb świadomości, gdzie kłębiły się już podobne, równie niepotrzebne wyobrażenia.

Nadmiar myślenia szkodzi operatorowi. Nadmiar wyobraźni rodzi szkodliwe pomysły - i to właśnie było słabością Youssefa. Pamiętał instruktora z obozu w Sudanie, byłego oficera KGB, który opowiadał przyszłym operatorom o trudach, na jakie będą narażeni podczas tajnych misji. Mówił też o figlach, które płata człowiekowi własny umysł, jeśli tylko pozwoli mu się na to. Dyscyplina myślenia

zależy wyłącznie od woli operatora, podobnie jak skupienie na misji będące warunkiem skutecznej walki ze zwątpieniem.

Zatem tylko od jego woli zależy, czy wykona zadanie zgodnie z rozkazem. Potrzebował dłuższego odpoczynku. Był gotowy do spotkania nazajutrz. Teraz liczył na dobry sen i pożywne śniadanie, zanim wyruszy w drogę.

Zamknął okno, by do pokoju docierały jedynie stłumione odgłosy ulicy. Położył się na łóżku w ubraniu. Wyjął atomizer z kieszeni i uniósł w lekko zamkniętej dłoni, jakby trzymał spłoszonego ptaka i wyczuwał niespokojne bicie jego serca.

Zasnął po chwili.

META W GEORGETOWN

Charley otworzył oczy i powoli zamrugał, zanim przewrócił się na plecy i spojrzał na sufit pokoju, w którym spał. Wokół niego na składanych łóżkach spali pozostali członkowie specjalnej grupy operacyjnej. Charley wyciągnął spod posłania butelkę i wypił resztkę wody mineralnej. Po chwili wstał i ostrożnie, by nie obudzić śpiących, wyszedł z pokoju. W toalecie na końcu korytarza z niemalą ulgą oddał mocz, a potem umył nad umywalką ręce i twarz, po czym ogolił się starannie. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Miał „wrażenie, że przybyło mu siwych włosów, a bruzdy żłobiące jego twarz stały się jeszcze wyraźniejsze. Trzy głębokie zmarszczki na czole przypominały kaniony. Sinawe worki pod oczami sprawiały, że wyglądał na bardziej zmęczonego, niż był w rzeczywistości. Potarł palcami policzki, by się upewnić, czy ogolił się wystarczająco dokładnie. Wreszcie wyjął dezodorant antyperspiracyjny w shtyfcie i posmarował się nim pod pachami. Zebrał przybory, schował do woreczka i wyszedł na korytarz, gdzie cierpliwie czekał jeden z operatorów.

- Dzień dobry.

- Dobry, szefie - odpowiedział mężczyzna i skinął głową.

Kiedy Charley wrócił do sypialni, jego ludzie budzili się z wolna. Wyjął spod swojego łóżka torbę z cordury i wyciągając z niej ekwipunek, sprawdzał kolejno każdy element. Krótkofalówka była sprawna, baterie świeże, a mikrofon, który ukrył pod kamizelą fotografa, zupełnie nowy. Do kabury wsunął glocka 30, zgrabny, niewielki pistolet kalibru .45, a do pasa przypiął trzy zapasowe magazynki - dwa we wspólnej ładownicy, a trzeci w sportowej, przystosowanej do szybkiego wyjmowania magazynka. Obejrzał też dwa noże: perrina przeznaczonego do noszenia na szyi, dzieło Ernesta Emersona, a także składanego emersona CQC-7, którego zwykle nosił przypiętego od wewnątrz do prawej przedniej kieszeni spodni. Był ubrany w luźne, błękitne dżinsy o szerokich szlufkach, w których mieścił się pas od kabury, oraz w workowatą koszulkę polo w kolorze beżowym, włożoną w spodnie. Na wierzch narzucił kamizelkę, która skutecznie maskowała broń i krótkofalówkę. Wiedział, że zwykle, cywilne ubranie i obszerna kamizelka z kieszeniami są niczym mundur dla operatora służb specjalnych działającego w warunkach miejskich. Podobny strój był też, rzecz jasna, uniformem fotografa. Charley z lekkim rozbawieniem pomyślał o

podobieństwach między swą dawną i nową profesją. Przez moment zastanawiał się, czy jest fotografem bawiącym się w agenta czy odwrotnie. Tak czy inaczej, strzelał - kiedyś z broni palnej, a obecnie najczęściej tylko migawką. Tego dnia nowy zawód miał się stać przykrywką dla dawnego: Charley przewiesił przez szyję pasek aparatu fotograficznego, pożyczonego od ludzi z ekipy obserwacyjnej. Nie trudził się zakładaniem filmu. Wystarczyło mu, że dzięki teleobiektywowi będzie mógł kontrolować sytuację, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, a przy okazji uzupełni kamuflaż, jakim była kamizelka fotografa.

Teraz był gotowy.

Przeszedł korytarzem do pomieszczenia, w którym operatorzy sprzętu przez całą dobę czuwali przy monitorach, faksach i telefonach.

- Coś nowego? - spytał dwóch dyżurnych.

Mężczyźni potrząsnęli głowami.

- Jeszcze nic, Charley - odrzekł jeden z nich.

Ich zadaniem było monitorowanie przebiegu zmasowanej akcji obserwacyjnej, którą zorganizowano w okolicy parkowej ławki, na której Youssef bin Hassan miał się spotkać z łącznikiem z egipskiej ambasady. Na miejscu były już wozy techniczne z komputerami i kamerami, których obiektywy pilnie rejestrowały każdego, kto zbliżył się do ławki. Samą ławkę wyposażono w maleńkie, lecz bardzo czułe urządzenie podsłuchowe, przyklejone pod deskami siedziska. Od świtu w okolicy kręcili się barczyści mężczyźni w luźnych koszulach skrywających broń, a na pobliskich parkingach czekały wozy z ich równie dobrze uzbrojonymi zmiennikami.

Wokół skromnej parkowej ławki zgromadzono naprawdę potężne siły tworzące szczelny kordon. Planując akcję, Charley dbał o równowagę między bogactwem środków a ich koncentracją, która mogłaby wzbudzić podejrzenia przeciwnika. Na wypadek zagrożenia bronią biologiczną, którą Jedyne mógł przynieść ze sobą, sprowadzono zespół z Centrum Kontroli Chorób. Specjalistów i ich ekwipunek - w tym „kosmiczne” skafandry i sprzęt odkażający - umieszczono w pokoju użyczonym przez strażników Muzeum Smithsonian. Na dachu budynku usadowili się snajperzy uzbrojeni w karabiny o takiej sile rażenia, że ich kulom nie mogła się oprzeć żadna kamizelka kuloodporna, choć oczywiście bardziej prawdopodobne było to, że zadaniem strzelców będzie co najwyżej unieruchomienie Jedyne. Cel operacji był jasny: wziąć Youssefa bin Hassana żywcem i przechwycić jego śmiertelny bagaż w nienaruszonym stanie. Jeżeli miałyby to na przykład oznaczać postrzał w nogi - snajperzy byli gotowi. W pogotowiu czuwał zastęp lekarzy i ratowników medycznych, dysponujących wszelkimi środkami do ratowania ludzkiego życia w przypadku ran postrzałowych. Śmigłowiec w każdej chwili mógł zabrać rannego do pobliskiego szpitala, w którym znajdował się dobrze wyposażony oddział urazowy z zawsze gotową salą operacyjną. Dwa helikoptery krążyły wolno wokół parku National Mall, skrupulatnie przestrzegając zasad ruchu w zamkniętej strefie powietrznej nad Waszyngtonem. Na pokładzie każdej z maszyn znajdowali się i obserwatorzy, i snajperzy.

Charley nasłuchiwał przez chwilę meldunków od poszczególnych jednostek, przekazywanych na wspólnej częstotliwości dowodzenia. Wszyscy byli gotowi, a łączność działała bez zarzutu.

- Dzięki, chłopcy - powiedział Charley. - Potrzebujecie kawy? Może czegoś innego?

- Nie, szefie. Dzięki.

Charley poszedł do kuchni, gdzie Ray Dalton i Isabelle Andouille siedzieli razem przy stole. Ray jadł bułkę z cynamonem, a Isabelle małymi łyżkami popijała kawę z dużego kubka. Charley też nalał sobie kawy z jednego z trzech dzbanków stojących na kredensie i dodał solidną porcję cukru i śmietanki. Pociągnął łyk, oparł się plecami o mebel i spojrzał na siedzących.

- Piekielna parka - powiedział.

Isabelle skrzywiła się i postawiła kubek na udach, obejmując go dłońmi. Ray parsknął śmiechem.

- Chcesz bułkę? - spytał. - Są tam, w pudle.

- Jeszcze nie - odparł Charley. - Najpierw mój żołądek musi się obudzić.

- Dobrze spałeś? - spytała Isabelle.

Charley uśmiechnął się i uniósł kubek, jakby wznosił toast za jej zdrowie.

- Jesteś niesamowicie uprzejma jak na zabójczynię, Isabelle. To naprawdę urocze.

- Trzeba się starać dobrze żyć z innymi - odpowiedziała, unosząc brew. - Życie jest wystarczająco trudne.

- To prawda - przyznał Charley. - A odpowiadając na twoje pytanie: nie bardzo. A ty?

- Ja też nie. Wolałabym zacząć działać.

- No to jest nas troje - odezwał się Ray. - Co słyhać na ulicy?

- Wszyscy są na swoich miejscach - odparł Charley. - Kordon jest tak ciasny, jak to tylko możliwe.

- Kiedy chcesz się tam pojawić?

- Gdy tylko wstanie mój kierowca i wleję w niego trochę kawy.

- A co ze mną? - spytała Isabelle.

- No właśnie: co z tobą? - odrzekł Charley, spoglądając na Raya.

- Sam zdecyduj - powiedział Dalton.

Charley zastanawiał się przez długą chwilę.

- Możesz jechać ze mną, Isabelle. Nie mam dla ciebie roli do odegrania, ale zasłużyłaś na to, żeby popatrzeć na finał tej sprawy.

- Żebyś wiedział, że zasłużyłam. Dasz mi broń?

- Raczej nie - odparł Charley. - Mamy swoich strzelców. Chcę, żebyś była dodatkową parą oczu. Zwłaszcza że znasz bin Hassana.

Isabelle wzruszyła ramionami w sposób po europejsku wymowny.

- Jak chcesz. Oczywiście w razie potrzeby będziesz mnie chronił.

Charley roześmiał się i z zadowoleniem dostrzegł cień uśmiechu na jej twarzy.

- Jesteś najmniej potrzebną osobą, jaką w życiu spotkałem.

- To chyba komplement.

Ray przysłuchiwał się tej rozmowie z dość kwaśną miną. Nieszczerólnie podobała mu się swoboda w kontaktach Charleya i Isabelle.

- Jesteście gotowi? - spytał.

W tym momencie do kuchni wszedł kierowca Charleya. Stanąwszy przy kredensie, napełnił kawą plastikowy, jednorazowy kubek.

- W samą porę - powiedział Charley. - Jadłeś już?

Kierowca pokręcił głową.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, szefie, to zajrzę po drodze do piekarni. Wezmę bajgle, mogę zjeść w samochodzie.

- Może być - zgodził się Charley. - Zbieramy się. Isabelle?

- Dajcie mi jeszcze chwilkę - odpowiedziała. - Przepraszam.

Wyszła z kuchni, odstawivszy kubek do zlewu. Ray odprowadził ją wzrokiem, a potem odwrócił się i spojrzał Charleyowi w oczy.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Payne.

- Dogadaliśmy się - odparł Charley. - Isabelle działa z jasnych pobudek: chce chronić swoją rodzinę. Dopóki wierzy w nasze gwarancje, nie będzie miała nic przeciwko współpracy z nami.

- Podjadę od frontu, szefie - powiedział kierowca i wyszedł na korytarz.

- Zaraz tam będę - zawołał za nim Charley. - Nie odpychaj pomocnej dłoni, Ray.

- Bierz się do roboty.

- Jasne - odparł Payne.

Ray jeszcze przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, wodząc palcem po brzegu kubka.

- Weź go żywcem, Charley.

- Zrobię, co się da. Wszystko zależy od niego.

Ray skinął głową.

- Udanych łowów.

RESIDENCE INN BETHESDA, MARYLAND

Youssef bin Hassan obudził się o wschodzie słońca, wypoczęty po zaskakująco spokojnej nocy. Nareszcie śnił o przyjemnych sprawach, lecz gdy zaczął odzyskiwać świadomość, sny umknęły mu, choć bardzo starał się je zapamiętać. Mimo to był zadowolony. Przez szparę między grubymi kotarami wpadała do pokoju smuga światła. Kiedy wstał i rozsunął zasłony, w jednej chwili otoczył go ciepły blask słońca.

To był piękny poranek.

Youssef długo brał gorący prysznic, a potem ogolił się dokładnie. W lustrze widział gładką, zupełnie spokojną twarz. Zastanawiał się tylko, skąd to nagłe opanowanie po tak długim okresie nieustającego napięcia.

Doszedł do wniosku, że po prostu nareszcie jest gotowy do wykonania zadania.

Plama słonecznego światła rozlała się po całym bladoniebieskim dywanie.

Youssef stanął przy zamkniętym oknie i spojrzał w dół, na ruchliwą o tej porze ulicę,

pełną ludzi spieszących do pracy. Oparł dłoń o szybę i choć poczuł chłód szkła, wiedział, że na zewnątrz temperatura rośnie w szybkim tempie. Zapowiadał się upalny dzień. Youssef pamiętał o tym, wybierając luźny, biały T-shirt i obszerne niebieskie dżinsy. Zajrzał do walizeczki i sprawdził, czy fiołki są na miejscu, a potem wyjął z kieszeni naładowany atomizer. Zastanawiał się, czy powinien odłożyć do futerału pojemnik, który umieścił w urządzeniu. Jeszcze nie, pomyślał. Wzruszył ramionami i ucieszył się w duchu, że od rana podąża za własnymi myślami, nie dopuszczając do siebie nieprzyjemnych wizji. Naładowany atomizer wsunął na powrót do kieszeni, walizeczkę Pelican zaś włożył do kurierskiej torby.

Zarzuciwszy torbę na ramię, wyszedł z pokoju i zjechał windą na parter. Skinieniem głowy pozdrowił napotkanych gości i skierował się prosto do jadalni. Stał przy długiej ladzie, zza której serwowano śniadanie. Poprosił o szpinak i omlet z serem, a potem dorzucił na talerz ziemniaki. Na drugim, mniejszym, ułożył ciastka. Kawa smakowała mu jak nigdy dotąd. Po trzeciej filiżance poczuł przyływ kofeinowej energii, który pomógł mu zmóc suty posiłek. Na końcu lady wyłożono dla gości najświeższe wydania „Washington Post” i „USA Today”. Youssef wziął gazetę i wrócił do swojego stolika. Popijając kawę, przejrzał pobieżnie artykuł o aktorce Susan Sarandon, o której niewiele wiedział. Kiedy skończył, złożył gazetę, tak by pierwszą stroną była ta poświęcona modzie i stylom życia. Wsunął ją do zewnętrznej kieszeni torby, by łatwo było ją wyciągnąć.

Zegar ścienny wskazywał siódmą trzydzieści. Youssef nie był pewien, co powinien teraz zrobić. Mógł zostać jeszcze trochę w hotelu i zrelaksować się przed podróżą metrem na spotkanie albo wyjść wcześniej i zabić czas, spacerując ulicami. Ułożył brudne naczynia w schludny stosik na brzegu stołu, wyszedł do holu i ruszył w stronę wyjścia. Fala gorącego, wilgotnego powietrza uderzyła w niego, gdy tylko stanął na chodniku. Nawet o tak wczesnej porze upał był trudny do zniesienia. Po drugiej stronie ulicy Youssef zobaczył ludzi wchodzących i wychodzących ze stacji kolei podziemnej. Samochody trąbiły i przyspieszały gwałtownie, by zdążyć przed czerwonym światłem. Zaciśnął usta i po namyśle wrócił do hotelu. Młoda dziewczyna stojąca za kontuarem uśmiechnęła się promiennie na jego widok.

- Przez cały dzień będzie gorąco - uprzedziła.
- Tak, wiem - odparł Youssef. - Chyba będzie lepiej, jeśli jeszcze trochę poczekam.
- Przyjechał pan tu na wakacje czy w interesach?
- Po trosze jedno, po trosze drugie.
- Upał może być jeszcze gorszy, podobno nawet trzydzieści osiem stopni. W taki dzień najlepiej zwiedzać Muzeum Smithsonian; mają tam świetną klimatyzację.
- Dobry pomysł - odrzekł Youssef. - Ile czasu zajmuje dotarcie tam metrem?
- Nie więcej niż dwadzieścia, może trzydzieści minut.
- Dziękuję.

Na ławie stojącej w holu leżała sterta czasopism. Youssef wybrał kilka i ruszył w kierunku windy. Zamknąwszy za sobą drzwi pokoju, położył torbę na krześle pod oknem a sam położył się na łóżku i zaczął przeglądać periodyki, od czasu do czasu spoglądając na zegarek. Choć czuł się wypoczęty, wkrótce odłożył pisma i zamknął oczy. Drzemka nie zaszkodzi, pomyślał. Nigdy za wiele odpoczynku.

Wkrótce czeka go ciężka praca.

NATIONAL MALL, WASZYNGTON

Silnik zahuczał nisko, gdy czarny chevrolet suburban zwinnie wyprzedził wielką ciężarówkę na alei przed Narodową Galerią Sztuki, oddzielonej od Muzeum Lotnictwa i Astronautyki rozległą, trawiastą połącią parku National Mall.

- Wyrzuć nas tutaj - powiedział Charley. - A potem zaparkuj przy Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, mamy tam zarezerwowane miejsce.

- Tak jest, szefie - odparł kierowca. Zwolnił i zatrzymał wóz tuż przed skąpanymi w słońcu schodami galerii. - Tutaj?

- Może być - mruknął Payne. Wysiadł i otworzył drzwi Isabelle. - Słucham was przez radio - rzucił w stronę szofera.

Kierowca skinął głową. Charley zatrzasnął tylne drzwi i suburban ruszył, by okrążyć cały kwartał i dotrzeć do muzeum.

- Ciepło dziś - stwierdziła Isabelle, odgarniając z czoła loki czarnej peruki.

Charley rozejrzał się po terytorium łowieckim. Miejmy nadzieję, że będą to bezkrwawe łowy, pomyślał, ale mimo wszystko jest to terytorium łowieckie. Wspiął się po długich schodach i stanął przed gmachem Narodowej Galerii Sztuki. Teraz dopiero zobaczył całą okolicę. Nad parkiem krążyły dwa śmigłowce; zataczały obszerne kręgi, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania, jako że helikoptery nad centrum Waszyngtonu były rzeczą najzupełniej normalną. Na przeciwnym krańcu National Mall trwały prace budowlane przy ścianie gmachu Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, od strony Siódmej Ulicy. Wzmógłony ruch ciężarówek w tamtej okolicy sprawiał, że parkujące opodal furgonetki ekip obserwacyjnych nie wyglądały podejrzanie. Charley skupił spojrzenie na dachu muzeum. Wiedział, że powinni tam być snajperzy, lecz nie dostrzegł ani jednego. I tak powinno być pomyślał. Nieco bliżej, na deptaku, na trawniku i na schodach muzeum przebywało w tej chwili dwudziestu czterech uzbrojonych i wyposażonych w nowoczesne środki łączności operatorów - mężczyzn i kobiet udających, że dobrze się bawią na świeżym powietrzu. Wyglądali na studentów, turystów i urzędników cieszących się przerwą w pracy, ale w rzeczywistości byli specjalistami w zatrzymywaniu podejrzanych bez użycia broni. Mogli zaatakować Jedynego w dowolnym momencie. Kilku najmłodszych, ubranych w luźne stroje miłośników deskorolek, zabawiało się rzucaniem frisbee; inni przyglądali się im, siedząc na trawie.

Isabelle wzięła Charleya pod ramię i oparła głowę na jego barku, udając kochającą dziewczynę.

- Widzisz tych z frisbee? - spytała cicho. - Muszą bardziej uważać, przynajmniej niektórzy. Widać im pistolety pod koszulami, kiedy się naciągają.

- Isabelle, jesteś prawdziwą gwiazdą - odparł Charley.

Poprowadził ją w miejsce, w którym nie było turystów, i wyszeptał kilka słów do ukrytego mikrofonu. Na rezultat nie trzeba było długo czekać. Gracze zwolnili nieco, a

kilku odeszło na ukos przez trawnik do zaparkowanych opodal samochodów. Wrócili chwilę później.

- Co z Egipcjaninem? - spytała Isabelle.

Charley upewnił się, że nikt ich nie podsłuchuje.

- Załatwimy to w najprostszy sposób: jeśli się pojawi, zgarniemy go. Zostanie uznany za persona non grata i deportowany.

Isabelle uśmiechnęła się szeroko, jakby usłyszała doskonały żart.

- Wy, Amerykanie, jesteście tacy sentymentalni. Powinniście go zabić, żeby dać do myślenia innym.

Charley roześmiał się i poklepał dłoń kobiety, prowadząc ją na drugą stronę ulicy w kierunku trawnika.

- Przejdźmy się, moja droga. Zaczynasz mnie przerażać.

*RESIDENCE INN BETHESDA, MARYLAND/NATIONAL MAIL,
WASZYNGTON*

Niepokój wyrwał Youssefa z płytkiego snu. Zerknął na świecące cyfry na ekraniku radia z budzikiem. Dochodziła dziesiąta trzydzieści. Przespał prawie trzy godziny. Zdziwiło go nie tylko to, jak szybko minął czas, ale i to, że jest zmęczony, choć w nocy spał doskonale. Wszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Wytarł się szorstkim ręcznikiem wiszącym obok umywalki i spojrzął na swoje odbicie.

Bał się. Strach wyzierał teraz z jego oczu, a sen miał być tylko ucieczką od lęku.

Youssef mógł już przyznać się do tego przed samym sobą. Im bliższy był ostatecznego związania swojego losu z misją, którą mu zlecono, tym większe gnębiły go wątpliwości i lęki. Wiedział, że tak jest. Wiedział też, że musi przezwyciężyć strach i zacząć działać.

Potrzebował ruchu, akcji.

Potał zacerwienione oczy, raz jeszcze umył twarz - tym razem starannie, ciepłą wodą - i wytarł ją tym samym ręcznikiem. Kiedy skończył, złożył go porządknie i zostawił na szafce obok umywalki. Wrócił do pokoju i zaczął zbierać części garderoby. Gdy wszystkie leżały na łóżku, obok torby z walizeczką, stwierdził w duchu, że jego dobytek jest żałośnie skromny. Zgarnął ubrania i wrzucił je do szafy; zamierzał przecież jeszcze tu wrócić. Chciał, by hotel stał się jego bazą wypadową na czas pobytu w Waszyngtonie.

Przysiadł na łóżku i teraz dopiero wyczuł w kieszeni kształt i ciężar atomizera z fiolką śmiertcionośnego preparatu. Wyjął go, obejrzał i rozładował, fiolkę zaś odłożył na miejsce, do walizeczki, którą trzymał na kolanach. Pochylił się nad nią jak uczeń nad książką, uważnie wpatrując się w czarny plastik, jak gdyby nie mógł odczytać tajnego hasła, które ktoś na nim zapisał. Wspomniał Britte, lecz zaraz odepchnął tę myśl. Pomyślał o swoim przyjacielu Ahmadzie, wijącym się w rękach izraelskich żołnierzy, ale i to mu nie pomogło - wspomnienie o nim było dziwnie niewyraźne, jak wyblakłe zdjęcie.

Tym, co sprawiło, że wreszcie ruszył się z miejsca, była gwałtowna potrzeba oddania moczu. Ręce trzęsły mu się niemiłosiernie, gdy rozpinał rozporek. Stojąc w toalecie, myślał ze wstydem o tym, jak łatwo strach przejął kontrolę nad jego ciałem. Odwrócił się plecami do własnego odbicia i biegiem wrócił do pokoju. Chwycił torbę, przewiesił ją przez ramię, obciążoną jedynie walizeczką Pelican, gazetą i tanim słomkowym kapeluszem.

Nie miał już czasu na rozmyślanie. Zmusił się do cichego zamknięcia drzwi, choć miał ochotę trzasnąć nimi, i to niejedną raz. Tabliczka „Nie przeszkadzać” wciąż wisiała na miejscu. Youssef trącił ją i zostawił rozkołysaną, odchodząc ku najbliższej windzie. Po chwili był już w kabinie i samotnie zjechał na parter. Za kontuarem recepcji zobaczył tę samą matronę, która dzień wcześniej witała go w hotelu.

- Witam, witam! - zawołała z daleka. - Bagaż wreszcie dotarł?

Youssef uśmiechnął się z wysiłkiem i wymamrotał:

- Nie, wciąż czekam...

- Nic panu nie jest, złociutki? - spytała z troską. - Nie wygląda pan najlepiej.

- Jestem po prostu zmęczony.

- W takim razie proszę na siebie uważać. Chyba nie chce pan przechorować wakacji? Niech pan oszczędza dziś siły.

Youssef poczuł nagle, że chce mu się płakać - w oczach miał łzy, a gardło ścisnęła niewidzialna ręka. Pospieszył w stronę wyjścia, zostawiając bez pożegnania zdziwioną recepcjonistkę.

Gdy wyszedł z klimatyzowanego wnętrza, fala gorącego i wilgotnego powietrza uderzyła w niego jak młot. Nawet o tej porze, za piętnaście jedenasta, na ulicach panował intensywny ruch, choć wydawało się, że piesi zwolnili nieco tempo marszu w promieniach wysoko stojącego słońca. Youssef przebiegł na drugą stronę ulicy, nie czekając na zmianę świateł, i po chwili był już na ruchomych schodach, które powiozły go ku chłodnej czeluści stacji kolei podziemnej w Bethesda. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Otarł ręką wilgotne oczy, zawstydzony niepożądanym zalewem emocji, nad którymi nie panował.

Co się z nim dzieje?

Miał ochotę krzyknąć. Pragnął cisnąć swą kurierską torbą o betonową ścianę dworca, rozlewając bezużyteczny preparat niczym płamę moczu. Po co ściągnął na siebie taki los? Co chciał zrobić? Zatrzymał się, gdy schody zawiozły go na poziom peronów, ignorując ludzi, którzy mijali go z irytacją. Jego ręka, jakby wiedziona własną wolą, powędrowała do kieszeni i wydobyła garść zmiętych banknotów. Przejrzał je machinalnie, wybrał pięciodolarówkę i wsunął do automatu, aby kupić bilet na cały dzień. To było dobre. Wreszcie coś konkretnego, materialnego.

Przeszedł przez elektroniczną bramkę i przystanął blisko toru, by zaczekać na pociąg. Minęło zaledwie kilka minut, gdy zamigotały ostrzegawcze światła i silny podmuch z tunelu zaanonsował przybycie pociągu. Wagony toczyły się coraz wolniej i zanim się zatrzymały, nieliczni pasażerowie zbliżyli się do krawędzi peronu. Youssef czekał chwilę, obserwując otoczenie, i wsiadł jako ostatni, gdy drzwi już się zamykały.

- Zamykanie drzwi - popłynęło z głośnika trochę spóźnione ostrzeżenie, wypowiedziane syntetycznym, kobiecym głosem.

Youssef usiadł przy oknie, przyciskając torbę do piersi. Obserwował szare ściany podziemnych tuneli, umykające w dal z wielką prędkością. Wydawało mu się, że minęła tylko chwila, gdy ten sam głos obwieścił:

- Stacja Centrum.

Youssef wstał i pozwolił, by tłum wysiadających poniósł go ze sobą. Na sąsiednim peronie musiał zaczekać na pociąg linii pomarańczowej, który zatrzymywał się na przystanku opodal Muzeum Smithsonian. Odbył tę krótką podróż na stojąco i w stanie dziwnego oszołomienia przyglądał się współpasażerom. Dwie nastolatki - obie w T-shirtach z podobizną młodzieńca i podpisem Justin Timberlake - spojrzały na niego i zachichotały. Czarnoskóry mężczyzna w drogim garniturze czytał „Wall Street Journal”, a zmęczona kobieta w szarym kostiumie apatycznie przewracała kartki „Cosmopolitana”. Choć wszyscy jechali w jednym wagonie, Youssef miał wrażenie, że oddziela go od tych ludzi niewidzialna membrana.

Pociąg zatrzymał się na stacji.

Youssef zachwiał się, jakby uderzył w niego silny poryw wiatru. Odwrócił się ku drzwiom i wysiadł, gdy tylko się otworzyły, a następnie podążył za innymi pasażerami w stronę wyjścia na powierzchnię. Wybrał zwykle schody. Szedł wolno, wpatrując się we własne stopy, z każdym stopniem wyczuwając napływ gorącego powietrza znad skąpanego w słońcu parku. Przystanął na chodniku. Za plecami miał pomnik Waszyngtona, a przed sobą połąć trawy ciągnącą się aż po gmach Kapitolu. Po prawej, po drugiej stronie Jefferson Drive, mieściły się biura Muzeum Smithsonian, a dalej, mniej więcej w odległości czterech przecznic w głąb National Mall, wznosiły się imponujące gmachy Narodowej Galerii Sztuki oraz Muzeum Lotnictwa i Astronautyki.

Youssef ruszył na północ, lekko odbijając ku wschodowi, w kierunku wielopiętrowego i rozległego budynku Muzeum Historii Naturalnej, wznoszącego się po drugiej stronie parku. Mimo nieznośnego skwaru nie brakowało ludzi grających w piłkę, jeżdżących na rowerach, spacerujących i biegających. Zwarta grupa miłośników joggingu - zapewne żołnierzy, sądząc po wyglądzie - przebiegła tuż obok Youssefa i skierowała się dalej, wzdłuż Madison Drive, w kierunku Kapitolu. Młody Arab dotarł do ulicy i skręcił w prawo. Szedł wciąż po trawie, zgarbiony, wlepiając spojrzenie w czubki butów, jakby ogromny ciężar przygniatał go do ziemi. Słońce prażyło bez litości i Youssef wreszcie przypomniał sobie o słomkowym kapeluszu, który niósł w torbie. Zatrzymał się, wyjął go i wcisnął na głowę. Spojrzał w niebo i zmrużył oczy. Po drugiej stronie ulicy, przed Muzeum Historii Naturalnej, zobaczył wózki handlarzy. Podszedł do pierwszego z nich, żeby kupić okulary przeciwsłoneczne. Wybrał bez namysłu, nie bacząc na to, jak będzie w nich wyglądał. Założył je natychmiast, wyjął z kieszeni zwitek banknotów i wyciągnął rękę do sprzedawcy. Azjata zdziwił się nieco, ale wybrał pięciodolarówkę i spytał:

- Wydać resztę?

- Nie - odparł Youssef.

- Miłego dnia.

Tandetne okulary wystarczająco chroniły przed słońcem, ale ważniejsze było to, że zakrywały oczy. Do tej pory Youssef miał wrażenie, że każdy, kto na niego popatrzy, będzie mógł wyczytać z jego spojrzenia całą prawdę, wejrzeć w duszę, dostrzec wszystkie sekrety. Teraz przemknęła mu przez głowę myśl, że może dobrze byłoby wrócić do hotelu, rzucić się na łóżko, naciągnąć narzutę na głowę i czekać, aż świat zapuka do drzwi.

Zastanawiał się, ale wciąż szedł na spotkanie.

U zbiegu Madison i Dziewiątej wrócił na drugą stronę ulicy, na trawnik parku National Mail. Upał jakoś nie odstraszał ludzi. Youssef mijał pracowników instytucji federalnych, którzy spędzali tu przerwę na lunch, turystów, studentów, bezdomnych... Zwolnił nieco, przechodząc obok drzewa, w cieniu którego leżał koc, a na nim para młodych ludzi, splecionych w uścisku i złączonych pocałunkiem. Spojrzał na nich z zaciekawieniem i przez moment wyobrażał sobie, że widzi Brittę. Ale nie, ta dziewczyna, choć jasnowłosa, była szczupła i opalona, podczas gdy skóra Britty była biała jak mleko w świetle księżyca.

Dotarłszy do skrzyżowania Madison i Siódmej, zaczął na zmianę świateł. Rodzina turystów przystanąła obok niego - otyły ojciec z plecaczkiem i torbą na aparat fotograficzny oraz matka, którą dzieci uparcie próbowały przeciągnąć na drugą stronę ulicy.

- Strasznie długa ta zmiana świateł - odezwał się ojciec, spoglądając na Youssefa, który go zignorował.

Mężczyzna popatrzył na żonę i wzruszył ramionami. Światła zmieniły się wreszcie i Youssef przeszedł przez jezdnię, patrząc prosto przed siebie, jakby maszerował w rytm melodii, której nikt inny nie mógł usłyszeć. Stawiając długie kroki, szybko zostawił w tyle rodzinę i głosy dzieci umilkły. O dzieciach także powinienem zapomnieć, pomyślał, i znowu ogarnęło go przygnębienie.

Nadszedł czas odsunąć od siebie takie myśli.

Narodowa Galeria Sztuki górowała nad okolicą po lewej stronie; po prawej, za trawiastym polem, wznosił się lśniący, przeszklony gmach Muzeum Lotnictwa i Astronautyki. Ludzie wchodzili i wychodzili z obu budynków. Youssef skierował się ku schodom galerii i wmieszał w tłum turystów, którzy właśnie wysypali się z kilku autobusów wycieczkowych. Nawet nie próbował stosować technik kontrinteligencji. Czuł, że w tłoku jest praktycznie niewidzialny, a zresztą nie zależało mu już na niczym. Przypomniawszy sobie słowa instruktora w sudańskim obozie szkoleniowym: szukaj osób, które zbyt bacznie przyglądają się temu, co się wokół dzieje. Większość ludzi interesuje się tylko tym, co widzą na wprost, przed sobą. W takim tłumie turystów rozglądających się na wszystkie strony i zajętych rozmowami, nie miał najmniejszych szans na wyłuskanie potencjalnych obserwatorów.

Wśliznął się między dwa wielkie autokary, których silniki - w przeciwieństwie do klimatyzatorów - pracowały na jałowym biegu, i wszedł na chodnik. Z wozu wysiadła grupa turystów z Japonii - utworzyli zbite stadko, wymachując nparatami fotograficznymi i drepząc niczym posłuszne kaczątka w ślad za drobną przewodniczką, która dzierżyła w dłoni żółtą chorągiewkę z napisem Yoshituno Tours. Youssef zabrał się z nimi aż do drzwi Narodowej Galerii Sztuki. Tam przystanął i

przepuścił grupę Japończyków, a sam odwrócił się i spojrzął na National Mall, a ściślej mówiąc w stronę ławki, na której miał się spotkać z Egipcjaninem.

Była pusta. Sąsiednie, rozmieszczone w sporej odległości, były zajęte. W pobliżu tej właściwej grupa młodych ludzi grała we frisbee; kilka osób odpoczywało też w skąpym cieniu drzew. Youssef spojrzął w dół. U podnóża schodów wiodących do Narodowej Galerii Sztuki zobaczył dziesiątki turystów pocących się w południowym skwarze. Kilkoro najgorliwszych wyznawców kultu słońca prażyło się, leżąc plackiem na najniższych stopniach.

Youssef wyszedł z cienia przed drzwiami galerii i stanął w pełnym świetle.

Cele. Tylko tym byli dla niego ci ludzie.

Zważył w ręku czarną torbę i poczuł znajomy, uspokajający ciężar walizeczki. Spojrzął na zegarek. Jedenasta czterdzieści pięć.

Był gotowy.

NATIONAL MALL, WASZYNGTON

Charley Payne i Isabelle Andouille siedzieli obok siebie na gorących, betonowych stopniach wiodących do Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, od strony parku. Wyglądali jak para z długim stażem, całkiem zadowolona ze wspólnego milczenia w blasku słońca. Charley trzymał w ręku aparat z teleobiektywem. Isabelle złożyła dłonie na kolanach, z należytą skromnością dbając, by dzinsowa sukienka nie odsłaniała zbyt wiele.

Omiotła okolicę spojrzeniem, skrywając oczy za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi, i spytała:

- Już tu jest?

Charley pochylił głowę, nasłuchując meldunków, które docierały do niego przez słuchawkę umieszczoną w uchu, po czym przecząco potrząsnął głową.

- A ja myślę, że jest - powiedziała Isabelle. - Wyczuwam go.

Charley spoglądał na nią przez chwilę, a potem pochylił głowę i szepnął do mikrofonu ukrytego w kamizelce:

- Do wszystkich jednostek: zachować czujność i meldować ponownie.

W słuchawce rozległa się seria potwierdzeń odbioru.

- Pospacerujemy? - spytała Isabelle.

- Nie - odparł Payne. - Nie ma potrzeby. Mamy najlepsze miejsca, jakich można sobie życzyć.

- Jak chcesz. Na twoim miejscu kazałabym ludziom sprawdzić jeszcze raz schody do Narodowej Galerii Sztuki. Poprzednim razem stał tam i przypatrywał się całej okolicy.

W słuchawce Charleya rozległ się trzask.

- Zero, tu Wielka Spluwa - Prowadzący.

Wielka Spluwa-Prowadzący był dowódcą ekipy snajperskiej na dachu Muzeum Lotnictwa i Astronautyki. Ukryty za niskim murkiem, obserwował okolicę przez potężną lunetę karabinu kalibru .308.

- Wielka Spluwa, tu Zero. Mów - odpowiedział szeptem Charley.

- Mamy podejrzanego na najwyższych stopniach przed galerią, tuż przy drzwiach wejściowych. Mężczyzna, śniada skóra, słomkowy kapelusz, biały T-shirt, niebieskie dżinsy, czarna torba na ramieniu.

Twarz Charleya znieruchomiała. Widząc jego reakcję, Isabelle zaczęła jeszcze bardziej intensywnie wpatrywać się w miejsce, w którym spodziewała się ujrzeć bin Hassana.

- Przyjąłem, Wielka Spluwa - rzekł Payne. - Oko Jeden i Dwa, macie go?

W furgonetkach ekip obserwacyjnych, z których jedna wyposażona była w kamerę umocowaną pod wysięgnikiem, trwał proces komputerowej identyfikacji twarzy, którym objęto niemal wszystkie osoby pojawiające się w pobliżu ławki i w dalszej okolicy. Technicy nie odzywali się przez długą chwilę, aż wreszcie w słuchawce Charleya rozległ się głos jednego z nich.

- Zero, tu Oko Jeden. Mamy trafienie. Powtarzam: mamy trafienie. Podejrzany został zidentyfikowany jako mężczyzna, którego sfotografowaliśmy wczoraj.

- Wszystkie jednostki: przygotować się - zarządził Charley. - Cel został zidentyfikowany.

Isabelle wstała, wygładziła i obciągnęła naznaczoną plamami potu sukienkę.

- Już czas - powiedziała.

Niczym groźni drapieżcy wygrzewający się dotąd w słońcu, członkowie zespołów, których zadaniem było zatrzymanie podejrzanego, drgnęli i przystąpili do działania.

Youssef bin Hassan, starannie wyselekcjonowany agent organizacji terrorystycznej Al-Bashira, zwany Jedynym, wciąż stał w cieniu kamiennych płaskorzeźb zdobiących wejście do Narodowej Galerii Sztuki, pogrążony w myślach. Co by się stało, gdyby nie przyszedł na spotkanie? A gdyby zignorował wszelkie sygnały? Czy towarzysze z organizacji szukaliby go aż tutaj? W jaki sposób mieliby go znaleźć? Nie byli w stanie. Właśnie na tym zasadzał się pomysł operacji Smutne Wakacje. Jedyny był nie do powstrzymania, ponieważ nie można było go odnaleźć. A gdyby teraz zniknął na dobre i wrócił do Amsterdamu, znalazł pracę i zamieszkał z Brittą? Gdyby uznał, że nie warto zadawać śmierci niewinnym?

Nie rozumiał, dlaczego nie może opędzić się od takich myśli.

Wiedział tylko jedno: że jedynym sposobem na oczyszczenie umysłu jest działanie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwunasta. Trzeba iść, pomyślał. Poprawił torbę na ramieniu i wyjął z jej zewnętrznej kieszeni egzemplarz „Washington Post”, otwarty i złożony na stronach poświęconych modzie. Niosąc go w lewej dłoni, zaczął wolno schodzić po stopniach. Miał wrażenie, że przeżywa déjà vu. Powrócił koszmar, który nawiedził go w łóżku Britty: schodził z wielkiej wysokości na ulice pełne trupów i konających ludzi. Patrzył na tłum turystów, zupełnie niewinnych osób, i doskonale wiedział, że za kilka tygodni wszyscy mogą być już martwi. Słowa duchownych i instruktorów, które słyszał w obozach szkoleniowych, wydały mu się nagle

nieskończenie dalekie. Ta rodzina - opalone dzieci, roześmiane i rozbiegane, chwytające za nogi rozbawionych rodziców - czym właściwie zasłużyła sobie na śmierć? A ta para zakochanych, wygrzewających się w słońcu i cieszących uczuciem, które ich połączyło? Co takiego uczynili, że należy zadać im straszną, powolną śmierć?

A przecież to on, Youssef, miał stać się narzędziem ich zagłady.

Miał sprowadzić męki i śmierć na rzesze niewinnych ludzi, czyniąc dokładnie to, co uczynili Amerykanie - tyle że na znacznie większą skalę, niż udało im się to zrobić za pomocą bomb i samolotów. W tym momencie Youssef dopuścił do siebie myśl, która nie dawała mu spokoju od dłuższego czasu: że to, co robi, jest złem. Potwornym złem. Zawahał się i potknął na najniższych stopniach, wybity z rytmu niespodziewaną woltą umysłu. Skoncentruj się, upomniał się w duchu. Najpierw przejdź przez trawnik, do ławki. Potem nawiąż kontakt. Następnie wymień produkt. Wtedy będziesz mógł podjąć decyzję.

To był dobry plan.

Charley pochylił się nieco i przeniósł ciężar ciała na palce, obserwując, jak powoli zaciska się pętla wokół człowieka, którego mieli pochwycić. Samotna postać Youssefa bin Hassana znieruchomiła na moment u podnóża schodów wiodących do Narodowej Galerii Sztuki, potem zniknęła za autokarem i pojawiła się znowu, na Madison Drive, na drodze do parku. Arab szedł ze spuszczoną głową, jakby głęboko zamyślony, nie rozglądając się na boki, co z pewnością powinien robić doświadczony terrorysta próbujący nawiązać kontakt z łącznikiem.

Jego postawa martwiła Charleya. Czyżby Jedyiny wiedział o czymś, o czym nie wiedzą jego przeciwnicy?

- Zero kontrinwigilacji - powiedział. - Jak sądzisz, dlaczego się nie stara?

Isabelle przesunęła po górnej wardze koniuszkiem języka.

- Bo to smarkacz i się boi.

- Czego? Nas?

- Boi się tego, co kazano mu zrobić. Nie nadaje się do roboty, którą zleciła mu Al-Bashira.

Charley uniósł aparat do oczu i spojrział na bin Hassana w maksymalnym zbliżeniu, na jakie pozwalał trzystumilimetrowy obiektyw. Nie mógł nie zauważyć napiętych mięśni szyi i ramion młodego Araba. Poruszył pierścieniem, by uzyskać obraz szerokokątny, i zobaczył operatorów, którzy jeden po drugim dyskretnie zajmowali pozycje wokół terrorysty. Dwaj z nich, którzy do tej pory siedzieli na schodach Galerii, wstali jak gdyby nigdy nic i podążyli za Youssefem.

Niemal dokładnie naprzeciwko niego ze stopni Muzeum Lotnictwa i Astronautyki zeszła para młodych ludzi z małym dzieckiem, by ruszyć prosto ku wolnej ławce. Charley zaklął pod nosem. Jedyiny był już w połowie trawnika, we wnętrzu niewidocznej jeszcze sieci. Problem polegał na tym, że rodzina nie mogła się znaleźć w samym środku akcji operatorów, którzy mieli zatrzymać bin Hassana.

- Tu Zero do wszystkich jednostek - szepnęła Charley do mikrofonu. - Zmiana planu. Zdejmujemy go w marszu. Oddać akcję od cywilów na ławce. Drużyna Alfa na mój rozkaz nawiąże pierwszy kontakt. Gotowi, gotowi, gotowi...

Młodzi agenci bawiący się frisbee - Drużyna Alfa - zaczęli skracać dystans rzutów, tworząc coraz bardziej zwartą grupę. Youssef bin Hassan zrównał się nimi i zmienił nieco kurs, by obejść grających.

Gęste włosy na karku Youssefa były mokre od potu. Wzruszył ramionami, zirytowany niemiłym doznaniem, i otarł ręką wilgotną skórę. Miał wrażenie, że wszystkie jego zmysły wyostrzyły się nagle. Syk trawy pod butami, łaskotanie kropli potu spływającej po czole, pojedyncze głosy ludzi - wszystko to wydawało mu się wyraźniejsze niż zwykle, każdy detal domagał się uwagi, na którą w obecnym stanie ducha nie mógł się zdobyć.

Dysk frisbee odbił się od ziemi i wylądował u jego stóp.

Youssef podniósł głowę i zobaczył graczy, którzy biegli truchtem w jego stronę.

- Poda nam pan? - zapytał jeden z nich, wskazując na plastikowy dysk.

Youssef spojrział nad jego ramieniem i zobaczył oczy pozostałych. Drapieżny błysk, który w nich dostrzegł, nie pozostawiał złudzeń. Teraz już wiedział.

- Zwieje im - warknęła Isabelle i pochyliła się niczym sprinter stający w blokach. Charley zatrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Wszystkie jednostki: teraz, teraz, teraz! - powiedział do mikrofonu.

Youssef obrócił się na pięcie w lewo i puścił biegiem ku Czwartej Ulicy, w kierunku Kapitolu. Upuścił gazetę i z całej siły przycisnął do piersi torbę, zwinnie uskakując przed jednym z agentów federalnych, który nadbiegał z rozłożonymi ramionami. Pobiegł dalej, niczym napastnik prowadzący piłkę między obrońcami. Ekipa, która miała go zatrzymać, porzuciła zachowywanie pozorów i ruszyła za nim w sprinterskim tempie. Youssef w biegu poluzował paski zamykające czarną torbę i wyszarpnął z niej walizeczkę, po czym obrócił się, by stanąć oko w oko z prześladowcami. Uniósł ją wysoko nad głowę niczym totem, który mógłby powstrzymać rozpedzonych ludzi. Poczul przeszywający ból w nodze, gdy ktoś kopnął go z boku w splot nerwowy. Inny operator chwycił go za rękę, a kobieta wyszarpnęła walizeczkę z jego dłoni. W tym momencie ktoś sprawił, że Youssef stracił równowagę. Upadł, widząc wokół siebie tylko wirującą połać trawy, dalekie budynki i jeszcze bardziej odległe niebo. Silne ręce operatorów przygwoździły go do ziemi. Opierał się im z całej mocy, dopóki potężne uderzenie w splot nerwowy z boku szyi nie pozbawiło go sił. Poczul się nagle cudownie lekki, a ziemia stała się miękka, jakby leżał na najdelikatniejszym posłaniu. I jeszcze tylko przez moment trwał w rozmarzeniu, które poprzedza długi i głęboki sen.

OŚRODEK MEDYCZNY CIA FAIRFAX, WIRGINIA

Zasłony były rozsunięte, a przez wielkie okno wpadało do sali morze światła. Na ścianach pomalowanych słonecznie żółtą farbą wisiały obrazy przedstawiające polne kwiaty. Charley siedział w jednym z dwóch niebieskich, miękkich i głębokich foteli, obserwując równy oddech Dale'a Millera. Pierś przyjaciela unosiła się i opadała rytmicznie. Jego twarz była blada, a skóra pod oczami miała sinawą barwę. Głowę wciąż spowijały bandaż.

- I tak to wszystko poszło, partnerze - powiedział Charley. - Teraz panicz Hassan śpiewa i śpiewa, bez końca. A nasza przyjaciółka Isabelle miała rację: wybrali niewłaściwego faceta do tej roboty. Kiedy go dorwaliśmy, Youssef był już gotowy rzucić w diabły całą tę misję. A jeśli chodzi o Al-Bashirę... Cóż, twoi bracia z Dominance Rain i paru innych jednostek rozbierają ją po kawałku, po jednej komórce. Krótko mówiąc, Al-Bashira umiera, bracie - w Sudanie, Somalii, Jemenie, wszędzie, gdzie tylko zdarzyło się jej działać.

Charley zaśmiał się cicho.

- Naprawdę ubawiłbyś się, gdybyś widział, jak biurokraci rozczulają się teraz nad nami. Są gotowi zrobić dla mnie wszystko. I tobą też się zajmą. Dopilnuję, żebyś miał najlepszą opiekę. No i będę tu wpadał sprawdzać, czy nie obniżają standardów. Może minie trochę czasu, zanim to zauważysz, aleja... będę cię odwiedzał.

Charley wstał, podszedł do łóżka i przez chwilę przyglądał się, jak Dale oddycha. W cichym pokoju słyszał wyraźnie każdy wdech i wydech.

- Do zobaczenia, bracie.

DZIELNICA LINDEN HILLS, MINNEAPOLIS, MINNESOTA

Charley Payne siedział przy swym ulubionym stoliku w ogródku lokalu Linden Hills Diner i obserwował leniwy ruch pojazdów. Leżały przed nim dwa brudne talerze, na wpół pełny kubek z kawą oraz ostatni numer „Star Tribune”. Charley sięgnął po kubek, pociągnął łyk wciąż jeszcze gorącego napoju i z rozkoszą przymknął oczy.

Życie jest jednak piękne.

Uniósł powieki i nawykowo się rozejrzał, sprawdzając najpierw bliższą, potem dalszą okolicę, szukając... no właśnie, czego? Roześmiał się na myśl o własnych dziwactwach i sile przyzwyczajenia. A potem spojrzął na swoją koszulę.

Na wysokości mostka tańczyła po niej mała, czerwona plamka laserowego światła.

Charley wstrzymał oddech i trzymając obie ręce na blacie, uniósł głowę. Zobaczył Isabelle Andouille, która stała oparta plecami o samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy, z laserowym wskaźnikiem w dłoni. Widząc jego spojrzenie, uśmiechnęła się i schowała urządzenie do kieszeni dopasowanych szortów. A potem zaczęła na odpowiedni moment, by przebiec przez jezdnię. Mężczyźni oglądali się za nią, ale ona nie zwracała na nich uwagi. Interesował ją wyłącznie Payne.

- Witaj, Charley - powiedziała.
- Masz niecodzienny sposób anonsowania swego przybycia - odparł.

Zaśmiała się lekko.

- Lubię twoją dzielnicę. Przypomina mi rodzinne strony.
- Rzeczywiście, jest podobna. Co słyhać u Marie i Ilse?
- Mają się doskonale, dziękuję. I są bardzo zadowolone. Wasza hojność bardzo

ułatwiła nam życie.

- Dostałaś to, na co uczciwie zapracowałaś, Isabelle.

Wsunęła obie ręce głęboko w kieszenie i przez chwilę stała nad Charleyem, który dłonią osłaniał oczy przed słońcem, by móc na nią patrzeć. Wydawało się, że zastanawia się nad czymś dość intensywnie. Wreszcie wyjęła z kieszeni lewą rękę i położyła na stole przed Payne'em skrawek papieru.

- Co to? - spytał.
- Mój numer - odrzekła. - Powinniśmy kiedyś popracować razem.

